

Daria Doncowa
KŁAMSTWO na KŁAMSTWIE

Z rosyjskiego przełożyła Ewa Rojewska-Olejarczuk
Tytuł oryginału DOMIK TIOTUSZKIŁŻY
Projekt okładki Małgorzata Karkowska
Zdjęcia na okładce Flash Press Media
Redaktor prowadzący Ewa Niepokólczycka
Redakcja Elżbieta Raiuska
Redakcja techniczna Katarzyna Krawczyk
Korekta Elżbieta Jaroszuk Bożena Burzyńska
Copyright © by EKSMO Agency Inc.
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation by Ewa
Rojewska-Olejarczuk, 2004
Świat Książki
Warszawa 2004
Bertelsmann Media, sp. z o.o.
ul. Rosola 10, 02-786 Warszawa
Skład i łamanie Plus 2
Druk i oprawa Wrocławska Drukarnia Naukowa PAN
ISBN 83-7391-469-2 Nr 4713

* * *

Rozdział 1

Trup nie może wyjść z kostnicy na własnych nogach. Swoją ostatnią ziemską przystań ciało opuszcza w trumnie, na wózku popychanym przez sanitariusza o beznamiętnej twarzy. Ale temu, co jeszcze niedawno było człowiekiem, jest to obojętne, wszelkie emocje są już poza nim. Całkiem niepotrzebnie większość osób tak się trzęsie ze strachu przed nieboszczykami. Zmarli nikomu nie są w stanie zrobić nic złego, a tak naprawdę bać się należy żywych. Paradoksalnie jednak, choć wiemy, że nieboszczyk nie wyrządzi nam krzywdy, nie chcemy pozostawać z nim w pokoju sam na sam. Ale Pietia Romow czuł się w pomieszczeniu obok trupa zupełnie bezpiecznie. I na dobrą sprawę nie było w tym nic nadnaturalnego. Pietia studiował na czwartym roku akademii medycznej, zamierzał zostać anatomo-patologiem, otrzymywał maciupęńkie stypendium, w domu miał matkę inwalidkę i dorabiał sobie w prosektorium jako sanitariusz. Z pracy był zadowolony. Po pierwsze, nabierał doświadczenia, stojąc przy sędziwym Siemionie Diemientjewiczu, najlepszym w stolicy "doktorze zmarłych", po drugie, dostawał pensję, która, choć obrzydliwie mała, i tak była wielokrotnie wyższa niż stypendium, a po trzecie, krewni zmarłych stale wciskali mu do kieszeni pieniądze, prosząc:

- Niech go pan uczesze, z łaski swojej. Albo:
- Postaraj się, chłopcze, żeby on (trup) wyglądał przyzwoicie. Piętka się starał. Robił makijaż, układał fryzury. Starych nie było mu żal, cóż, nażyli się, czas na wieczny odpoczynek, ale na widok młodych ludzi, leżących na ocynkowanym stole, nieprzyjemnie ścisnęło mu się serce. Jak gdyby ktoś mu przypominał: ty, Piętka, kurde, też możesz kopnąć w kalendarz... Kostnica szpitala imienia Sawinowa, gdzie pracował Romow, była starym, dawno nieremontowanym budynkiem z zużytym wyposażeniem. Klinikę założono jeszcze w czasach Mikołaja II i Piętka podejrzewał, że przez prawie sto lat istnienia ani razu jej nie odnawiano. W prosektorium nie było żadnych modnych wynalazków w rodzaju szaf chłodniczych, gdzie każde ciało leży na oddzielnej półce albo w oddzielnej szufladzie. Skądże, tu była po prostu "chłodnia", mniej więcej dwudziestometrowe pomieszczenie, w którym utrzymywano temperaturę poniżej zera. Zwłoki kładziono zwyczajnie na wózkach albo na czymś, co do złudzenia przypominało

prycze.

Pierwszego grudnia Piętka miał nocny dyżur. Jakoś tak około drugiej zachciało mu się jeść. Przeciagnął się, zamknął podręcznik patologii i powlókł się na drugi koniec korytarza. Mieściło się tam coś w rodzaju kuchenki. Zlew, malutka, rozsypująca się ze starości lodówka Saratow i czajnik elektryczny, bynajmniej nie Tefal, ale okropne, niklowane urządzenie z dziobkiem, wyprodukowane jeszcze w czasach sowieckich. Czajnik rozgrzewał się długo. Piętka, który chciał zalać wrzątkiem "danie w pięć minut", czekał cierpliwie, aż pojawi się para. Potem bez pośpiechu zjadł makaron w sosie pomidorowym, wypił dwie szklanki niemal czarnej herbaty z cukrem, spałaszował bułkę z makiem i poczuł, że znów jest w stanie zagłębić się w podręcznik.

Strząsnął okruszyny z ceraty i ruszył z powrotem do pokoju, w którym powinien zasiadać dyżurny. Droga prowadziła obok przechowalni zwłok. Zbliżywszy się do masywnych drzwi, Piętka zauważył, że są uchylone. Niczego dziwnego się w tym fakcie nie dopatrzył. Chłodni nie zamykano, bo i po co? Nie było tam nic, co można by ukraść - po prostu zamykano drzwi na klamkę i już. A zresztą zamek w drzwiach od dawna był zepsuty, a dyrektor, któremu Siemion Diemientjewicz zaniósł podanie o nowy zamek, tylko machnął ręką:

- Kupi się trochę później, tam w ogóle trzeba wymienić całe drzwi.

Była to prawda, drzwi się wypaczyły i przy futrynie zrobiły się szpary... A zresztą w prosektorium należało wymienić wszystko, poczynając od stołów, a kończąc na linoleum.

Piętka pamiętał, że kiedy sam szedł do kuchni, przechowalnia zwłok była dokładnie zamknięta, ale cholerne drzwi co chwila się uchylały... Romow z westchnieniem dowlókł się do chłodni i przed zamknięciem uprzykrzonych drzwi zajrzał do środka.

To, co zobaczył, bardzo go zdziwiło. Dziś w przechowalni znajdowały się trzy trupy. Dwa dostarczono z interny. Były to staruszki, które zgasły spokojnie w wyniku przeprowadzonego leczenia. Trzecie zwłoki przywieziono z izby przyjęć. Młoda, ładna dziewczyna zmarła z nieustalonych przyczyn i czekała w kolejce na sekcję. Okazała się prawdziwą pięknoscią i Piętce było jej straszliwie żal. Wspaniała figura, cudowne jasne włosy, piękne dłonie, ciało niemal bez skazy, po prostu miss pięknosci, i umarła. Do szpitala zdążyli ją dowieźć, ale na intensywną terapię już nie.

Teraz jednak na półce leżały tylko staruszki, dziewczyna zaś zniknęła. Piętka wszedł do pomieszczenia i zagapił się na klientki. Leżały spokojnie, z odrzuconymi głowami, ze stóp zwisały im numerki na gumkach. Romow odruchowo przeczytał: "Anna Konstantinowna Fiedotowa, rok urodzenia 1920" i "Olga Siemionowna Potworowa, rok urodzenia 1926". Kompletnie zdezorientowany, zaczął się zachowywać zupełnie irracjonalnie. Najpierw schylił się i zajrzał pod półki, potem za szafę. Zwłok dziewczyny nigdzie nie było.

Całkowicie ogłupiały student podszedł do biurka i wpatrzył się w telefon. Może zadzwonić do Siemiona Diemientjewicza do domu?

Po raz pierwszy Romow poczuł się w kostnicy nieswojo.

Nagle przy drzwiach dał się słyszeć lekki szelest. Piętka, stojący plecami do wejścia, odwrócił się gwałtownie i poczuł, jak ziemia usuwa mu się spod nóg, obutych w tanie koreańskie adidas. Na progu majaczyła martwa dziewczyna. Jej ogromne niebieskie oczy patrzyły wprost na przerażonego sanitariusza, jasne włosy, potargane i brudne, wisiały w niechlujnych strąkach wokół bladej twarzy.

Przez sekundę trup patrzył na Piętkę, a potem wyciągnął doń drżące ręce i zachrypiał:

- Pomóż...

Dalszych słów student już nie usłyszał; po raz pierwszy w życiu zemdłał, zdążywszy tylko pomyśleć: "Mama ma rację, powinienem był zdawać na chemię".

Ostry dzwonek obudził mnie o wpół do siódmej. Jestem rozpróżniona, niepracująca damą i nigdy nie wstaję tak wcześnie. Mój dzień zaczyna się o dziesiątej. Choć nie zawsze tak było. Przez długie lata ja, Dasza Wasiljewa, uboga lektorka języka francuskiego, wychowująca dwoje dzieci przy całkowitym braku męża, zrywałam się w porze, kiedy wstają z łóżek kierowcy komunikacji miejskiej. Rano, przed wyjściem do pracy, miałam mnóstwo do zrobienia: musiałam obrać ziemniaki na kolację, wyprasować bieliznę, włączyć pralkę. Przytłaczająca większość kobiet robi to wszystko wieczorem, po powrocie z pracy. Ale moja pensja w tych odległych czasach wynosiła dziewięćdziesiąt rubli brutto, alimentów nie otrzymywałam, toteż po odbębnieniu dnia roboczego leciałam albo na korepetycje, albo na inne fuchy... Do domu docierałam około jedenastej i padałam na łóżko, czując, że nie mogę obrócić językiem. Rękami i nogami jeszcze jako tako władałam, ale organ mięśniowy, którym mełłam bez ustanku przez dwanaście godzin, ciążył mi jak stopy baletnicy, która odtańczyła cztery noworoczne spektakle jeden po drugim. I drętwiały mi szczęki. Uważam, że obowiązkiem nauczycielki jest być w dobrym humorze i uśmiechać się do uczniów, toteż pod wieczór szczęki sztywniały mi tak samo jak język i jechałam metrem do domu, nadal z idiotycznym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Rozumiecie więc sami, że wieczorem byłam w stanie tylko runąć na łóżko, nawet się nie myjąc. Dlatego wszystkie prace domowe przesuwalam na rano i budzik dzwonił mi nad uchem punkt piąta. Jeżeli czegoś nienawidziłam, to właśnie tego natarczywego piukania zegarka bipbipbip... Ten, kto codziennie wstaje do pracy, na pewno mnie zrozumie. Nic więc dziwnego, że przeobraziwszy się nieoczekiwanie w bogatą damę, przede wszystkim wyrzuciłam ze swego pokoju wszystkie przedmioty, które mogłyby dzwonić rankami. Budziki są w sypialni mojego syna Arkadego i jego żony Olgi, u córki budzika nie ma, chociaż Maszka musi wstawać rano do szkoły. Ale stawianie na jej nocnym stoliku ryczącego zegara kompletnie nie ma sensu, bo i tak nie usłyszałyby dzwonienia. Nasza licealistkę budzi gosposia Ira. Jestem chyba wyrodną matką, bo za każdym razem, gdy słyszę, jak Irka maszeruje korytarzem do sypialni Maniuszy, a potem wykrzykuje z parteru w równych odstępach czasu: "Maniusza, wstawaj! Mania, spóźnisz się! Maniusza, zaraz będzie autobus!", głębiej zakopuję się w pościel i dziękuję w duchu dziadkowi McMayerowi za to, że zgromadził majątek. Gdyby baron McMayer nie został bogaczem, gdyby moja najlepsza przyjaciółka Nataszka nie poślubiła jego prawnuka, musiałabym sama ściągać Maruskę z łóżka. Mieszkałam razem z Nataszką przez wiele lat. Większość przyjaciół uważa nas za kuzynki, a niektórzy myślą, że jesteśmy siostrami. I chociaż to nieprawda, łączące nas więzy są o wiele silniejsze niż rodzinne...

Nie wiadomo, jak byśmy sobie teraz radziły, ale w latach dziewięćdziesiątych Natalii udało się wyjść za potwornie bogatego Francuza Jeana McMayera.

To, co wydarzyło się później, bardzo przypomina współczesną wersję baśni o Kopciuszku. Jean miał olbrzymi majątek, ale żadnych krewnych, ani w linii prostej, ani krzywej, toteż po jego śmierci całe bogactwo dostało się Nataszce, mnie i dzieciom. Oto dlaczego mamy dwa domy, jeden pod Paryżem, a drugi w podmoskiewskim osiedlu Łożkino, rachunek w banku oraz wszelkie inne radości życia, i nie musimy się liczyć nie tylko z każdym rublem, ale nawet z tysiącami.

Nie chcę jednak, abyście myśleli, że jesteśmy ludźmi nazywanymi obecnie "nowymi Rosjanami". Posiadanie wielkich pieniędzy niezbyt

zmieniło nasz sposób życia, wszyscy w domu nadal pracują. Arkady jest adwokatem, Olga, czyli, jak ją nazywamy, Kicia, pracuje w telewizji, prowadzi program "Świat sportu", Maruśka chodzi do szkoły, Nataszka, ku ogólnemu zaskoczeniu, została pisarką, tworzącą w języku francuskim obrzydliwie słodkie, ale wściekle popularne powieści o miłości.

W naszej rodzinie nic nie robią tylko trzy osoby: moje wnuki, Ańka i Wańka, które są jeszcze za małe, by chodzić do przedszkola, oraz ja. Nie mam kompletnie nic do roboty. Nauczycielstwo obrzydziłam sobie do końca życia, a niczego innego po prostu nie potrafię. Mogłabym poprowadzić dom, ale mamy gosposię Irę i kucharkę Katierinę, a do wnuków nie dopuszcza mnie niania Serafima Iwanowna.

W związku z tym dni upływają mi na nicnierobieniu i wreszcie mogę spokojnie czytać kryminały i wstawiać o dziesiątej.

Dzisiaj jednak musiałam, pożyczwszy od Katieriny budzik, zerwać się o tak morderczej porze. Że nie chciało mi się tego robić, to za mało powiedziane, i wcale nie dlatego, że musiałam wstać skoro świt. Czekał mnie straszny, ciężki dzień.

Zwlokłam się na dół i szcękając zębami z niedospania, włączyłam w kuchni czajnik. Na progu stanęła zaspana Irka.

- Dario Iwanowno, proszę iść do jadalni, zaraz podam śniadanie.

- Coś ty? - Zamachałam rękami. - Niczego o tej porze bym nie przełknęła, po prostu napiję się kawy, a wy lepiej przygotujcie wszystko w salonie.

- Kiedy pogrzeb? - spytała Ira, kuląc się jak z zimna. Też się wzdrygnęłam.

- O ósmej mamy być w kostnicy z rzeczami, o dziesiątej wyjeżdżamy, kremacja o dwunastej. Myślę, że wrócimy koło drugiej, więc nakryjcie na drugą.

- Nie lubię styp - zachnęła się Ira.

- Kto je lubi? Ale trzeba odprowadzić człowieka w ostatnią drogę jak należy, z blinami, kutią i wódką...

- To okropne - nie mogła się uspokoić gosposia. - Taka młoda, zdrowa i bach! Nie żyje...

Zasępiłam się. Tak, racja, niestety, musimy dziś pochować Polinę Zeleznową, córkę mojej bliskiej przyjaciółki. Studiowałyśmy z Niną Zeleznową na tej samej uczelni, a Pola była młodsza od mojego Arkaszki o kilka lat, w grudniu tego roku miała skończyć dopiero dwadzieścia cztery. No i proszę. Zabrakło jej dwóch tygodni do dnia urodzin! I nawet nie wiem, co jej się stało. Przedwczoraj około dziesiątej wieczorem Pola zadzwoniła do mnie na komórkę i wychrypiała strasznym głosem:

- Dasza, umieram...

Pognałam do niej i znalazłam ją nieprzytomną na podłodze, przy drzwiach do kuchni; obok leżała słuchawka telefoniczna, z której dobiegały krótkie sygnały. Ostatnim wybranym numerem było "03".

Najwyraźniej Polina najpierw telefonowała do mnie, a potem usiłowała wezwać pogotowie... Natychmiast tam zadzwoniłam.

Medycy błyskawicznie załadowali chorą do karetki i odjechali.

Kiedy zjawiłam się w szpitalu zaraz po nich, powiedziano mi, że Polina zmarła z nieustalonych przyczyn. Najgorsze było to, że nie udało mi się zawiadomić o tragedii jej matki. Trzy lata temu Ninuszka, wspaniała tłumaczka, swobodnie władająca trzema obcymi językami, wyszła za mąż za Teda Smitha, Amerykanina mieszkającego w małym miasteczku koło Los Angeles. Ted jest człowiekiem bardzo zamożnym, właścicielem lokalnej gazety i radiostacji. Ninkę ubóstwia, i Zeleznową mieszka teraz w Stanach.

Polina nie wyjechała z matką, bo w tym roku miała zrobić dyplom. Spędziła tylko w USA całe lato.

Na wieść o nieszczęściu natychmiast rzuciłam się dzwonić do Ninuszki, ale automatyczna sekretarka w jej domu odpowiadała

radosnym głosem po rosyjsku i angielsku: "Cześć, wyjechaliśmy na urlop, czego i wam życzymy. Jeżeli chcecie, zostawcie wiadomość, jeśli nie, zadzwońcie po piętnastym grudnia. Ciao!".

No i teraz musiałam pochować Polinę. Wciąż dygocząc z zimna, wsiadłam do samochodu, włączyłam ogrzewanie na cały regulator i pojechałam do Moskwy. Nasze Łożkino leży zaledwie o kilka kilometrów od obwodnicy, ale powietrze jest tu bez porównania świeższe od stołecznego.

Zaparkowałam przed zdecydowanie niereprezentacyjnym budynkiem, odrapanym i krzywym, weszłam do środka i nacisnęłam dzwonek przy drzwiach opatrzonych napisem: "Krewnym wstęp surowo wzbroniony. Tylko dla personelu".

Wyjrzał pyzaty młodzian w niezbyt czystym białym fartuchu.

- No?zapytał.

- Tu są rzeczy - powiedziałam, wyciągając doń walizeczkę.

- Czyje?

- Poliny Żelaznowej - odparłam, pewna, że usłyszę coś w rodzaju: "Proszę mi to dać" albo "Dobrze".

Młodzian jednak zachował się bardzo dziwnie. Skwapliwie wyskoczył zza drzwi i powiedział grzecznie:

- To nie tutaj.

- Dlaczego? - zdziwiłam się. - Zeszłym razem taki tęgi pan powiedział, że mam się tu zgłosić pierwszego grudnia z rzeczami.

- Nie, nie - odrzekł szybko sanitariusz. - Proszę iść do kliniki, drugie piętro, i spytać o Andrieja Władimirowicza Korolowa.

- Po co? - spytałam zaskoczona. Młodzian odrzekł zaaferowany:

- My tu jesteśmy tylko drobne płotki, robimy, co nam każą.

Polecono mi skierować krewnych Żelaznowej do dyrektora.

Kompletnie oszołomiona spytałam:

- I rzeczy też mam zanieść?

- Oczywiście!

- A trumnę?

- To trumienkę pani też przywiozła?

- Naturalnie! - rozzłościłam się. - Co wy tu macie za porządki? Zmarłych oddajecie rodzinie w workach, czy co? Przecież powinniście ubrać ciało i ułożyć w trumnie. Nawiasem mówiąc, zapłaciłam pańskim kolegom za pełną obsługę i jeśli się z panem nie podzielili, to już nie moja sprawa. A zresztą...

Wyciągnęłam z torebki zielony banknot.

- Niech pan to weźmie i robi wszystko, co trzeba.

Ale sanitariusz zdumiał mnie jeszcze bardziej, opędzając się energicznymi gestami:

- Nie, nie, proszę iść do Korolowa, a trumna niech na razie postoi na parkingu, przecież przywiozła ją pani karawanem?

- Nie. - Wyszłam z siebie. - Przyniosłam pod pachą. Nie ma pan głępszych pytań?

- Proszę, niech się pani nie denerwuje - z troską zagadkał młodzian.

Całkiem zdezorientowana weszłam do głównego budynku, wspięłam się na drugie piętro, otworzyłam drzwi z tabliczką "Dyrektor" i nadziałam się na wyjątkowo wredną, nieprzystępną sekretarkę.

- Pani do kogo? - warknęła, świdrując mnie oczkami, rdzawo-brązowymi jak kłapa studzienki kanalizacyjnej.

- Do Andrieja Władimirowicza.

- Czy on wie, w jakiej sprawie?

- Skierowano mnie tu z kostnicy, jestem krewną Poliny Żelaznowej, dzisiaj...

- Oj - powiedział cerber, przywołując na twarz sztuczny uśmiech

- oczywiście, czekamy na panią, proszę wejść, proszę, tylko niech się pani nie denerwuje. Serce ma pani zdrowe? Zaraz naleję waleriany.

Czując, że tracę zdrowe zmysły, weszłam do gabinetu.

- Proszono mnie w kostnicy...

- Jest pani matką Żelaznowej? - Zza biurka zerwał się grubawy

facet.

- Nie - odparłam i nie chcąc się wdawać w długie wyjaśnienia, dodałam: - Jestem ciotką.

- Proszę siadać, proszę - przemówił gorączkowo lekarz. - Napije się pani koniaczku?

- Dziękuję, jest za wcześnie.

- No to walerianki. - Podsunął mi pod nos szklaneczkę z intensywnie pachnącym płynem.

- Co się stało? - zapytałam, machinalnie łykając lekarstwo.

- No cóż, właściwie, że tak powiem, głupstwo - wybełkotał Andriej Władimirowicz. - Tyle lat pracuję, a nigdy nic takiego się nie zdarzyło. Po prostu diabli wiedzą, jak to się stało, ale myśmy tu nie zawinili, chociaż, jeżeli poda nas pani do sądu, zrozumieć, czysto po ludzku, bo taka rzecz to po prostu coś okropnego!

Do głowy zakradło mi się straszne podejrzenie.

- Gdzie jest ciało Poliny?

- E, e... - stęknął Korolow - e... właśnie w tym sęk, że żadnego ciała nie ma!

- Jak to? - wyszeptałam. - Gdzież się podziało?

- Wyszło - bąknął Andriej Władimirowicz.

Widać było po nim, że ta rozmowa kosztuje go wiele wysiłku. Twarz miał czerwoną, szyję też, na czole krople potu. Wyciągnął z kieszeni marynarki nieskazitelnie wyprasowaną chustkę i zaczął ocierać pot.

- Chce pan powiedzieć, że ciało Poli wykorzystano na organy do przeszczepów? - wymamrotałam, czując lekki zawrót głowy.

- Chcę powiedzieć, że Polina żyje - z determinacją wypalił Korolow. - Jest absolutnie żywa i, naszym zdaniem, zdrowa, znajduje się teraz w sali 305.

Przez sekundę patrzyłam na spoconego lekarza, potem chciałam wstać, ale nogi się pode mną ugięły i runęłam na podłogę.

Rozdział 2

- To było bardzo niedelikatne, Andrieju Władimirowiczu - dotarł do mojej świadomości wysoki kobiecy głos.

- Robiłem, co mogłem - dudnił głos męski. Otworzyłam oczy i zobaczyłam dwie postacie - jedną w garniturze, drugą w białym fartuchu.

- Lepiej pani? - spytała kobieta i podsunęła mi pod nos śmierdzącą watę.

- Nie trzeba, jestem uczulona na amoniak. Wata zniknęła.

- Co z Polą?

- Żyje, leży w sali 305.

- Ale jak to... Przecież zawiadomiono mnie, że zmarła, przedwczoraj...

- Tak. - Korolow kiwnął głową. - Rzeczywiście uznano ją za zmarłą, odesłano do prosektorium, a ona odzyskała przytomność i okropnie nastraszyła sanitariusza. Wstała i wyszła na korytarz, nasz chłopiec o mało nie umarł.

Ogarnęła mnie dzika furia.

- Ani trochę mi nie żal pańskiego sanitariusza! Cóż to, nie macie w klinice potrzebnej aparatury? W jaki sposób stwierdzacie zgon? A gdybyśmy ją odwieźli żywą do krematorium?

Wściekła zerwałam się na nogi.

- Gdzie jest Pola?

- W sali 305 - powtórzyła kobieta. - Położyliśmy ją w najlepszym pokoju, absolutnie bezpłatnie...

- Natychmiast ją zabieram.

- Ale ona potrzebuje opieki...

- Proszę się nie obawiać, zawiozę ją do prywatnej lecznicy.

- Ale zrobilibyśmy wszystko absolutnie bezpłatnie - skamlał dyrektor.

- Dziękuję, nie potrzeba.
- Ale...
- Dość tego - warknęłam. - I niech mnie pan zaprowadzi do sali, kretyński potworze!
Andriej Władimirowicz bez słowa ruszył korytarzem. Nie kłamał, pokój rzeczywiście był obszerny. Na łóżku pólśiedziała Pola. Na mój widok najpierw wybuchnęła płaczem, a potem spytała:
- Powiedziałaś mamie?
- Nie, wyjechała na urlop.
- Bogu dzięki - chlিপnęła Pola. - To by dopiero był horror.
- Za to teraz jaka radość! - wtrącił nietaktownie dyrektor.
- Niech pan z łaski swojej zniknie mi z oczu - poprosiłam.
Korolow wyniósł się w te pędy. Cisnęłam na łóżko walizeczkę, otworzyłam i poleciłam Polinie:
- Ubieraj się szybko i wychodzimy. Najpierw pojedziemy do nas do Łożkina, a potem do innej kliniki, gdzie zrobią ci wszystkie badania. Co cię boli?
- Nic. - Pola wzruszyła ramionami. - Tylko trochę kręci mi się w głowie.
Mnie też było z lekka niedobrze, więc wytrząsnęłam ciuchy z walizki i powiedziałam:
- No, wkładaj to i wynosimy się stąd.
Pola posłusznie włożyła sukienkę, rajstopy i popatrzyła na pantofle.
- A to co? Nigdy takich nie miałam!
Westchnęłam. Czarne czółenka na płaskim obcasie, przypominające baletki, kupiłam w firmie pogrzebowej. Pracownik, u którego zamawiałam trumnę, poradził:
- Niech pani kupi u nas specjalne obuwie, bo zwykłe pantofle mogą nie pasować, po śmierci stopy puchną.
- Wkładaj, nie bój się.
- Dziwne jakieś - powiedziała Pola. - Podeszwy jak z tektury. Znowu westchnęłam. Podeszwy rzeczywiście były tekturowe, nikt przecież nie przypuszczał, że trup pomaszkuje na katafalk na własnych nogach!
- Nie szkodzi, doczłapiesz jakoś do wyjścia, a potem od razu do samochodu.
- A gdzie palto?
- Przepraszam, nie przywiozłam.
- Dlaczego? - oburzyła się Pola. - Przecież jest zima, mróz.
- Tak w ogóle to miałam zamiar cię pochować - odparłam rozweselona - a do trumny nie kładzie się zwłok w palcie.
Pola zachichotała. Do pokoju zajrzał dyrektor.
- Proszę wstąpić po dokumenty.
- Jakież?
- No, wypis...
- Czy jest tam zdanie "zwłoki po zmartwychwstaniu umieszczono w szpitalu"? - spytałam złośliwie.
- Nie - zmieształ się Korolow.
- Wobec tego nie potrzebujemy pańskiego świstka! Pierwszymi osobami, które ujrzałam po zejściu na dół, byli Arkady, Kicia i Mania, wszyscy w czerni. O, cholera! Zupełnie zapomniałam, że umówiłam się z nimi w kaplicy. Miałam przyjechać wcześniej, oddać rzeczy i czekać na domowników.
- To skandal! - krzyknęła Kicia.
- No, matka - rzekł, kręcąc głową, Arkady - wiedziałem, że jesteś nieodpowiedzialna, ale żeby do tego stopnia! Autokar czeka, dokąd mamy zawieźć trumnę? I dlaczego jesteś tutaj, a nie w kostnicy?
- Właśnie, dlaczego? - powtórzyła za mężem Olga.
- Mamusku, słabo ci? - zapytała Mania. - Chcesz waleriany?
- Mam niespodziankę - oznajmiłam wesoło.
- Jaka? - zdumiał się Kieszka?
- Wspaniała. Spotkałam tu pewną osobę i myślę, że będzie wam strasznie miło ją zobaczyć!

- Dario - lodowatym tonem przemówiła Kicia - natychmiast przestań, stało się nieszczęście, chowamy Polinę, a ty...

- Na razie pogrzeb możemy odłożyć - zachichotałam, zastanawiając się, jak by tu ostrożnie przekazać domownikom nowinę.

- Odłożyć? - rzekł przeciągle Arkasza i odwrócił się do Mani. No, siostrzyczko, to chyba przypadek dla ciebie.

Nasza Mania chce zostać weterynarzem i rodzina pozwala jej niekiedy opatrywać swoje pokaleczone palce.

- No - ciągnął Kiesza - co jej jest? Psychoza reaktywna?

- Nie wiem - wymamrotała oszołomiona Mania. - Tego jeszcze w naszym kółku nie przerabialiśmy.

- Po co my w ogóle za te twoje kursy płacimy? - rozżłościł się brat. - Czego ty się tam uczysz?

- Teraz przerabialiśmy pasożyty skórne, różne pchły, wszy, kleszcze - zaczęła starannie wyliczać Marusia - a poza tym jeszcze nie jestem studentka, chodzę tylko na zajęcia kółka przy Instytucie Weterynarii.

- Nawet jeżeli ona ma pchły, nie ma to nic do rzeczy - odparowała Kicia i zwróciła się do mnie: - Nie uderzyłaś się przypadkiem w głowę?

Znudziła mi się już ta idiotyczna sytuacja i zawołałam:

- Pola, dość tego, wychodź!

Polina wychyliła się zza kolumny. Dzieci rozdziawiły usta i jednocześnie upuściły na podłogę telefony komórkowe. Pierwsza opamiętała się Mania:

- Kto to jest?

- Ja - spokojnie odrzekła Pola.

- Żywa? - zapytał głupio Kiesza.

- Nie, nadmuchiwana - prychnęła dziewczyna i wyciągnęła rękę. Masz, dotknij.

- Dasza! - rozdarła się Kicia. - Zwariowałaś! Żeby wyciąć taki numer! Nie do wiary! Pogrzeb, trumna, stypa!

- Mamuś! - podskakiwała Mania. - Zrobiłaś nam kawał? Super! A Oksana i Denik mogą przyjechać na cmentarz! Ale obciach! I Kostia tam jest!

Kostia, narzeczony Poli, jakoś nie chciał przyjechać do kostnicy...

- Matka - warknął siny ze złości Arkady - nawet po tobie czegoś podobnego bym się nie spodziewał! Diegtiarow specjalnie się zwolnił i pojechał po wieniec! O, właśnie idzie!

Chciałam powiedzieć, że sama dopiero przed chwilą o wszystkim się dowiedziałam, ale język stanął mi kołkiem, albowiem przez oszklone drzwi przecisnął się właśnie nasz najlepszy przyjaciel, pułkownik Diegtiarow, z prześlicznym wieniecem w rękach.

- Myślałem, że mieliśmy się spotkać w kostnicy - wymamrotał Aleksander Michajłowicz. - Dlaczego stoicie w holu?

Milczeliśmy. Pułkownik spojrział na nas, zobaczył Polę, patrzył na nią przez sekundę, po czym upuścił różaną konstrukcję ze słowami:

Pola z całym spokojem podniosła wieniec, rozprostowała czerwoną jedwabną szarfę i przeczytała z patosem:

- Kochanej Polinie od pogrążonego w smutku przyjaciela. Potem odwróciła się do Diegtiarowa i mruknęła:

- No, wujku Sasza, wzruszyłeś mnie do łez. A jeszcze niedawno mówiłeś, że straszna ze mnie niecnota i trzeba mi łoćć skórę, i patrzeć, czy równo puchnie.

- Czy ktoś mi wytłumaczy, co się tu dzieje? - ryknął pułkownik, padając na koślawe krzesło.

- Mamuśka zrobiła nam kawał - szczebiotała Maszka. - Ekstra, to nawet lepsze niż poduszka, co puszcza baki... Cool! Myśleliśmy, że Polka umarła, rozpaczaliśmy, płakaliśmy, a ona żywiuteńka...

- Kawał? - odezwał się wolno Aleksander Michajłowicz, wyjmując papierosa. - Kawał?

- Wcale nie - powiedziała szybko, widząc, jak w oczach

przyjaciela zapala się niedobre światełko - taki idiotyzm nawet by mi nie przyszedł do głowy, w szpitalu się pomylili...

- Tobie mogło strzelić do głowy wszystko - oznajmiła Kicia.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - podchwycił Kiesza. Stłumiłam ciężkie westchnienie. Arkaszka i Olga wiecznie się sprzeczą. Jeżeli Kicia ma ochotę na coś słodkiego, to Kiesza natychmiast domaga się kwaśnego, awantury między nimi wybuchają w jednej chwili, nie mogli się porozumieć nawet co do tego, jakie czapeczki kupić bliźniakom na zimę. Mężulek chciał barankowe, a żoneczka z lisa, i tak się pokłócili, że musiałam polecieć do salonu futrzarskiego i nabyć kapturki z pieśca. Wzięcie czyjejkolwiek strony grozi śmiercią lub kalectwem, bo wtedy druga strona śmiertelnie się obraża. I tak jest zawsze. Wzruszającą jednomyślność prezentują tylko w jednym wypadku: kiedy zaczynają sztorcować mnie.

- Co robimy? - zainteresowała się Mania.

- Jedziemy do domu - odparła Pola, wzruszając ramionami. - Do was.

- A kremacja? - ni w pięć, ni w dziewięć zapytał całkowicie ogłupiały pułkownik.

- Chcesz mnie spalić żywcem, żeby się nie zmarnowały pieniądze zapłacone za urnę? - roześmiała się Polina.

- Tfu, głupia! - zakipiał zawsze uprzejmy Diegtiarior. Ruszyliśmy do samochodów i dopiero wtedy zobaczyłam Anię, snującą się koło karawanu. Dziewczyna miała bladą twarz, spuchnięty nos, a jej oczy wyglądały jak dwie szparki, przysłonięte czerwonymi powiekami. Biedna Anieczka, najlepsza przyjaciółka Poli, strasznie rozpaczała.

- Dlaczego nie zabieracie trumny?! - krzyknął kierowca. - Czas już jechać, bo się spóźnimy na kremację!

Ania wzdygnęła się i zapytała ochryplym głosem:

- Mogę pojechać do krematorium z kimś z państwa samochodem? Bo w karawanie...

I tu zobaczyła Polinę. Przez sekundę patrzyła na zmartwychwstałą przyjaciółkę, po czym, mamrocząc: "A kysz, zgiń, przepadnij w imię Ojca..." - rzuciła się co sił w nogach do bramy.

- Hej, Anka, zaczekaj! - wrzasnęła Polina i popędziła za nią.

- Trumnę trzeba wynieść! - wydierał się niczego nierozumiejący kierowca.

- Nie trzeba - burknął Arkady. - Jedź pan z powrotem do zakładu.

- Jak to? - zdumiał się kierowca.

- Po prostu jedź pan i już, pogrzeb odwołany...

- Dlaczego? - nie ustępował facet, który najwyraźniej po raz pierwszy znalazł się w takiej sytuacji.

- Bo nieboszeczka jest o, tam, leci za swoją koleżanką - wyjaśniła spokojnie Kicia.

Kierowca rozdziawił usta.

Do Łożkina wróciliśmy około południa; weszliśmy do holu, gdzie wisiało zasłonięte czarnym materiałem olbrzymie lustro.

- Ira! - wrzasnął Arkady. Gospośia wyjrzała z salonu.

- Przyniesz szampana - poleciał gospodarz. - Ale weź z piwnicy, z lewej strony, z półek, tylko nie Veuve Cliquot, ale Mueta. Taką radosną okazję trzeba uczcić winem najwyższej klasy.

Irka, która uwielbia Kieszę i bez szemrania spełnia wszystkie jego idiotyczne kaprysy, tym razem się oburzyła:

- Akurat! Radosna! Biedna Polinka! Taka była...

W tym momencie Pola weszła do holu i burknęła gniewnie:

- Cholerne buty! Kompletne gówno, podeszwy odleciały i idę boso!

Irka zapiszczała przeraźliwie i na oślep rzuciła się na górę po schodach, a za nią pognały wszystkie nasze psy, szczekając jeden przez drugiego.

- Czysty dom wariatów - westchnęła Kicia. - W naszej rodzinie nawet pogrzeb zmienia się w cyrk.

Rozdział 3

Chyba nawet nie warto wspominać o tym, że po tak wielkim zdenerwowaniu wszyscy napiliśmy się najpierw szampana, a potem koniaku... Rano następnego dnia Polina oznajmiła stanowczo:

- Nie jadę do żadnego szpitala!

- Ale trzeba się dowiedzieć, co ci było - usiłowałam zaapelować do jej rozsądku.

- E tam - prychnęła Pola. - Nic mnie nie boli!

- A co cię bolało?

- Po prostu zrobiło mi się niedobrze, miałam zawroty głowy, nogi i ręce zdrętwiały; chciałam coś powiedzieć i nie mogłam poruszyć językiem...

- Musisz koniecznie pójść do dobrego lekarza - nalegałam.

- Dobra, dobra - rzekła Pola na odczepnego. - Pójdę, ale później, teraz nie mam czasu. Bądź aniołem, zawieź mnie do domu, przebiore się i lecę na uczelnię.

- Ale proszę cię, nie jedź samochodem - zaczęłam błagać.

- Obiecaj, że pojedziesz metrem.

- Dobrze, dobrze - mruknęła Polina.

Najpierw pojechałyśmy do jej mieszkania. Pola otworzyła drzwi i poszła się przebrać. Ja usiadłam w kuchni i tępo zagapiłam się w okno. W głowie miałam mętlik, nie wiem, czy po wypitym wieczorem szampanie, czy po wcześniejszych przeżyciach.

- Daszutko - spytała Pola, zaglądając do kuchni. - Co chciałaś dzisiaj robić?

- Nic. Jeśli chcesz, to mogę ci poszoferować.

- Jazda z tobą to strata czasu - oznajmiła dziewczyna. - Wleciesz się noga za nogą, czterdzieści na godzinę. Lepiej zrób dobry uczynek.

- Jaki?

- Wczoraj, jak się pakowałam w szpitalu, zostawiłam na stoliku komórkę. Możesz ją odebrać?

- Oczywiście, odbiorę i przywiozę ci na uczelnię.

- Dzięki! - ucieszyła się Pola. - Uratujesz mi życie, bo ja bez komórki jak bez ręki. No to już, jedź.

I zaczęła popychać mnie do drzwi.

Przy wejściu do szpitala nie było nikogo: ani ochroniarza, ani babci z gazetą. Każdy bez przeszkód mógł się dostać do środka, nie wymagano tu wkładania ochraniaczy na buty, a szatni po prostu nie było. A zresztą personel medyczny nie zwracał na odwiedzających żadnej uwagi.

Kiedy w butach i kurtce szłam korytarzem do sali 305, nikt nie powiedział mi złego słowa. Siostra w dyżurce, pochłonięta lekturą romansu, nawet nie podniosła głowy, a przechodzący lekarze zdawali się nie dostrzegać kobiety maszerującej po wykładzinie w kozaczkach, a nie w kapciach... Jednym słowem, na oddziale w ogóle nie przestrzegano porządku. Nic dziwnego, że Polinie przydarzyła się taka straszna przygoda.

Pokój 305 był ostatni w korytarzu; ostrożnie zaskrobałam w drzwi, nie usłyszałam żadnej odpowiedzi, uchyliłam je i zobaczyłam na łóżku jakąś dziewczynę.

- Przepraszam - wymamrotałam. - Wczoraj przy wypisie zostawiłyśmy w nocnym stoliku komórkę, mogę zajrzeć?

Chora nie odpowiedziała. Myśląc, że nie słyszy, "wzmocniłam dźwięk":

- Proszę pani, gdzieś tu jest nasz telefon komórkowy, może...

Nie nastąpiła żadna reakcja. Dziewczyna nawet nie drgnęła. Spi. Pewnie podali jej środek nasenny.

Ostrożnie wślizgnęłam się do pokoju, kucnęłam, otworzyłam drzwiczki szafki, wyjęłam siemensa, po czym, wsparta na łóżku, zaczęłam wstawać i mimo woli się wzdrygnęłam. Moja dłoń natrafiła

na coś dziwnego, zupełnie lodowatego. Zerknęłam na materac i zobaczyłam, że dotknęłam niechcący gołej nogi dziewczyny na łóżku. Zaczynając już rozumieć, co się stało, popatrzyłam na twarz chorej. Oczy miała zamknięte, ale nie do końca, między górną i dolną powieką widać było wąską szczelinę, a skóra twarzy przybrała straszny, żółtawo-szarawy odcień, całkowicie niemożliwy u żywego organizmu.

- Na pomoc! - krzyknęłam. - Tutaj! Lekarza!

Po jakiejś godzinie zeszedłam do holu i klapnęłam na jedno z odrapanych krzeseł. Zbyt wiele burzliwych przeżyć w ciągu dwóch dni. Najpierw koszmarna historia z Poliną, potem trup znaleziony w szpitalnej sali. A swoją drogą, co to za lekarze?! Ta biedulka była już sztywna, pewnie zmarła wczesnym rankiem, a do sali nikt w ogóle nie zajrzał. Nieszczęsna dziewczyna, nawet nie wiem jak się nazywa.

Pod wpływem niezrozumiałego impulsu podeszłam do okienka informacji i spytałam:

- Bardzo przepraszam, kto leży w sali 305?

- Sprawdzamy według nazwisk - odparła opryskliwa baba, nawet nie podnosząc głowy znad książki.

Położyłam przed nią dziesięć dolarów. Nie zmieniając niezadowolonego wyrazu twarzy, przekartkowała grubą księgę i oznajmiła:

- Polina Żeleznowa, temperatura 37,2. Co za bałagan w tym szpitalu!

- Żeleznowa została wypisana wczoraj! A teraz kto tam leży? No, kogo po wyjściu Żeleznowej umieszczono w sali 305?

Dyżurna odparła ze złością:

- Niech pani sama pójdzie na górę i zapyta lekarzy. Ja tu mam czarno na białym: Polina Żeleznowa. Kogo i dokąd przeniesiono, kogo wypisano, powinni mnie zawiadomić z oddziału, jak prześlą mi dane, to będzie informacja, a teraz w 305 zapisana jest Żeleznowa i koniec!

Z tymi słowy głośno zatrasnęła okienko. Powlokłam się do samochodu. Po drodze na uczelnię Poliny myślałam o wszystkim, tylko nie o jeździe, toteż udało mi się trzy razy wpaść w łapy drogówki. Na ogół ludzie w mundurach, stojący na poboczu z pasiastym lizakiem w ręku, rzadko zatrzymują moje auto. Jeżdżę spokojnie, zgodnie z przepisami, wręcz ostrożnie. Na lewy pas zjeżdżam tylko wtedy, gdy muszę skręcić. Chociaż niekiedy, wieczorami, zatrzymują mnie bez żadnego powodu i zaczynają się czepiać.

- Gdzie apteczka?

- Proszę pokazać trójkąt odblaskowy...

- Dlaczego gaśnica nie leży w bagażniku?

Zawsze w takich wypadkach bez szemrania płacę pięćdziesiąt rubli; rozumiem, że chłopaki chcą sobie dorobić, a mój nowiutki, lśniący ford bez słów mówi o tym, że jego właścicielka nie ma raczej kłopotów materialnych. Pola z radością wyrwała mi telefon.

- Dzięki!

- Może zaczekam do końca zajęć i zawiozę cię do Łożkina?

- Nie, po co? Wracam do siebie. Nie denerwuj się, wszystko jest okej.

Z radosnym uśmiechem pobiegła do audytorium, ale mnie do końca dnia nie opuszczało niemiłe uczucie niepokoju.

Spojrząwszy na zegarek, pojechałam najpierw do księgarni "Młoda Gwardia" na Wielkiej Polance. Wszystkim, którzy chcą uzupełnić swe domowe biblioteki, polecam właśnie to miejsce. Wybór jest olbrzymi, sprzedawcy troskliwi jak opiekunki dla niemowląt, wszystkie książki umieszczone tak, żeby klient miał do nich dostęp, można je wertować, oglądać ilustracje, a ceny są o wiele niższe niż na straganach. W dodatku zaś mają tam pełny wybór kryminałów, od Agathy Christie po autorów współczesnych.

Uwielbiam literaturę kryminalną, toteż spędziłam przy półkach całe dwie godziny, a potem ledwie dotaszczyłam do forda szczelnie nabite torby. Oprócz tomów z zakrwawionymi sztyletami na okładkach kupiłam jeszcze Choroby zakaźne psów dla Mani i Poradnik perfekcyjnego makijażu dla Kici.

Nie mając absolutnie nic więcej do zrobienia, pojechałam do Łożkina.

Na dworze było już ciemno. Wprowadziłam samochód do garażu, w trzech susach dopadłam drzwi wejściowych, wbiegłam do środka i wrzasnęłam ze strachu.

Dokładnie na środku dwudziestometrowego holu stała elegancka trumna z ciemnego drewna. Po bokach miała przykręcone lśniące mosiężne uchwyty, polerowany spód błyszczał, wierzch tudzież, ale połowa wieka była otwarta, ukazując białą jedwabną poduszkę z koronkami. Spoczywała na niej granatowo-czarna głowa Murzyna. Czując, że zaraz zemdleję, zaczęłam się drzeć:

- Ira!!!

Gospośnia wyskoczyła z kuchni i rozdarła się w odpowiedzi:

- Co się stało?

Nie mogąc wydobyć głosu, wskazywałam palcem luksusowy sprzęt.

- A, to - rzekła już ciszej Ira. - Fu, Dario Iwanowno, ależ mnie pani nastraszyła, myślałam, że ktoś na panią napadł, słyszane to rzeczy, żeby tak ryczeć, teraz to już na pewno oka w nocy nie zmruję. Trumnę przysłali z zakładu, powiedzieli, że pani za nią zapłaciła.

- Tam leży Murzyn - szepnęłam. Irka podeszła do trumny.

- Nie, nikogo nie było, wnieśli ją pustą. Ależ to przecież Bundy! No, wyłaż, łobuzie...

Zaszeleściło i na podłogę zeskoczył nasz pitbull.

Mamy w domu pięć psów i najgroźniejszym jest półtorakilogramowa jorkszyska terierka Julie. Tylko ona potrafi gniewnie obszczekiwać nieznanym, pozostałym po prostu nie przychodzi to do głowy. Pudliczka Cherry ze starości prawie całkiem oślepla i ogłuchła, toteż nawet nie drgnie, kiedy rozlega się pikanie domofonu. Zresztą jeśli nawet po domu kręca się tłumy ludzi, też się nie denerwuje, tylko chowa w jakimś zacisznym kątku. Moim zdaniem, Cherry po prostu się boi, że ktoś jej nadeśnie na artretyczne łapy. Pudliczka ma cały wachlarz chorób, które nadeszły wraz ze starością. Regularnie leczymy ją na zapalenie uszu, katar, zapalenie spojówek, podagrę, biegunkę... Chociaż co do tej ostatniej dolegliwości, sama jest sobie winna, jako że kocha jeść, zwłaszcza żółty ser, którego weterynarze kategorycznie jej zabraniają z powodu chorej wątroby. Pozostaje dla mnie zagadką, jak to jest, że Cherry słyszy wcześniej niż inne psy, iż Katierina wyciąga z kredensu miski, aby je napełnić aromatyczną kaszą z mięsem. I dlaczego, pędząc korytarzami, by zdążyć pierwsza na posiłek, nigdy nie wpada ani na ludzi, ani na meble. Przecież jest ślepa i głucha!

Mops Hootch, też wielki żarłok, zazwyczaj spędza czas w stercie pleców i poduszek. Na dwór najchętniej wychodziłby tylko wtedy, gdy pogoda jest jak w Australii: plus dwadzieścia pięć, bez deszczu i wiatru. Zimą, wiosną i jesienią Arkady wygania go na spacer kopniakami. Hootch też nie interesuje się gośćmi. Zresztą ani pudle, ani mopsy z zasady nie są złe. Równie dobrze można by oczekiwać krwiożerczości od kanarka.

Myśleliśmy, że funkcję ochroniarzy będą pełnić rottweiler Snap i pitbull Bundy. Ale nic z tego. Dwa ponad siedemdziesięciokilogramowe olbrzymy witają każdego nieznanego, radośnie kręcąc zadkami. Widocznie trafiły nam się same genetyczne odmienne.

- Wynosi się - warczała ze złością Ira, wyciągając z trumny poduszki. - Cały jasiek oblepiony kłakami, myślisz, że to przyjemnie położyć się na czymś takim?

Poczułam się jak postać ze sztuki w teatrze absurdu.

- Skąd pani przyszedł do głowy Murzyn? - trajkotała Ira, strzepując z białego jedwabiu krótkie, szorstkie włosy.
- Wyglądało bardzo podobnie. Gosposia stanęła jak wryta.
- Widziała pani kiedyś Murzyna z obwisłymi uszami? Nic nie odpowiadając na tę kretyńską uwagę, weszłam do jadalni, chwyciłam telefon i wystukałam numer zakładu pogrzebowego.
- "Różane Przytulisko", słucham - zaszczębiotał dziewczęcy głos.
- Dziękujemy, że zwrócili się państwo do nas, rozwiążemy wszystkie państwa problemy.
- Bardziej idiotyczną nazwę niż "Różane Przytulisko" dla firmy pogrzebowej trudno wymyślić, ale niektórzy ludzie są absolutnie pozbawieni poczucia humoru.
- Dobry wieczór - powiedziałam uprzejmie. - Moje nazwisko Wasiljewa, zamawiałam u państwa trumnę...
- Chwileczkę, chwileczkę, aha, model 18 B. A co, czyżby jej nie dostarczono?
- Dostarczono.
- To w czym problem?
- Proszę ją zabrać z powrotem!
- Nie rozumiem - wymamrotała urzędniczka - ma pani zastrzeżenia do jakości? Wyrób jest porysowany?
- Nie. Po prostu nie jest już potrzebny.
- Niepotrzebny?!
- Tak, odwołaliśmy pogrzeb.
- Odwołaliście pogrzeb?!
- Właśnie. - Rozzłościłam się. - I co w tym takiego dziwnego? Nieboszczka ożyła, poszła dziś na uczelnię, trumny już nie potrzebujemy, chcę ją oddać.
- Nieboszczka ożyła? - bełkotała dziewczyna. - Oddać trumnę?
- Proszę pani, czy jest tam ktoś bardziej pojętny?
- Tak, tak, jedną chwileczkę.
- Rozległa się smętna melodyjka, potem energiczny męski głos:
- Starszy menedżer Siergiej Borisow, słucham.
- Zaczęła się nowa tura negocjacji. Najpierw młody człowiek zareagował tak samo jak dziewczyna, która odebrała telefon.
- Nie odpowiada pani model?
- Nie, po prostu nieboszczka zmartwychwstała i trumna nie jest już potrzebna.
- Zapadło milczenie, po czym menedżer powiedział dziarsko:
- Aha, świetnie panią rozumiem. Nieboszczyk ożył, tak?
- No właśnie - ucieszyłam się.
- I chce pani zwrócić trumienkę?
- Otóż to!
- To niemożliwe - odparł kamiennym głosem Siergiej.
- Ale dlaczego?
- Trumny nie podlegają zwrotowi.
- Ale skoro jest niepotrzebna?
- Proszę ją sobie zatrzymać.
- Pan oszalał!
- A pani sama dawno była u psychiatry? - wybuchnął Borisow. Towar został kupiony, pieniędzy nie zwrócimy.
- Nie trzeba - zapewniłam go. - Proszę je zatrzymać, ale błagam, zabierzcie trumnę.
- I nie będzie się pani domagać zwrotu pieniędzy?
- Nigdy w życiu.
- Głos menedżera znów stał się słodki:
- Dobrze, jutro przyślemy karawan. Milczał przez chwilę, po czym zapytał:
- To prawda, że człowiek ożył?
- Tak.
- Ale numer! - zachichotał menedżer. - Ale jaja, muszę opowiedzieć chłopakom!

Cisnęłam słuchawkę na kanapę i wieczór potoczył się dalej.

Najpierw przyjechała ze szkoły Mania i zapiszczała:

- Oj, trumna!

Potem zjawiła się Kicia i oznajmiła z oburzeniem:

- To obrzydliwe; niech Iwan wyniesie ją do stróżówki. Przywołany ogrodnik podrapał się po karku.

- Sam nie dam rady, a poza tym ona się w komórce nie zmieści, strasznie wielka.

Następnie wrócił Kieszka i wykrzyknął:

- Ekstra, chodźcie, wstawimy ją matce do sypialni, będzie jak prawdziwy Dracula!

Prychnęłam ze złością, poszłam na górę, wykapałam się, poprztykałam pilotem telewizora, potem dałam nurka pod puchową kołdrę i popatrzyłam na martwą naturę na nocnym stoliku.

Każdy ma jakieś słabostki, o których woli nie opowiadać innym.

Wiem, na przykład, że Kicia od czasu do czasu wpada do francuskiej cukierni "Delifrance" na tort z bitą śmietaną. Kiedyś pojechałam tam po ciastka i zobaczyłam Olgę przy stoliku pod oknem. Na blacie przed nią stała wysoka szklanka z koktajlem kawowym, a obok na talerzyku leżały aż trzy kawałki nieprawdopodobnie kalorycznego tortu. Kicia nabierała widelczykiem po kawałku, wkładała do ust, a wyraz twarzy miała przy tym taki, że nie zaryzykowałam wejścia na salę. Olga widocznie jest na diecie, metodycznie wyliczając ilość białka, tłuszczu i węglowodanów w każdej potrawie, więc pewnie czasem ma tego dość i urządza sobie w tajemnicy przed wszystkimi małą ucztę.

Nigdy nie zdradziłam jej sekretu. Nawiasem mówiąc, sama uwielbiam jeść w łóżku, wieczorem, przed snem. Niekiedy zaczynają mi dokuczać wyrzuty sumienia, ale szybko je tłumię. Utyć się nie boję, przez całe życie, poczynając od dwudziestki, ważę równo czterdzieści osiem kilo, toteż wskakuję pod kołdrę, biorę kryminał i zabieram się do jedzenia. Dzieci wiedzą o tej mojej namiętności i czasem na mnie burczą. Zawsze jednak Arkady szybko dodaje:

- Dajmy spokój, w końcu, jeśli lubi spać w okruszynach, to jej sprawa, ale żebyś się nie ważyła palić w łóżku!

Dzisiaj na stoliku stał talerzyk z sałatką, dwoma plastrami schabu i kawałkiem chleba. Obok leżał banan, kilka cukierków Korkunow i lody Mars. Oblizalam się, poszukałam wzrokiem książki i dopiero wtedy przypomniałam sobie, że torba z książkami została w bagażniku. Klnąc na czym świat stoi, wbiłam się w dżinsy, sweter i pognałam po lekturę.

Obok trumny przemknęłam z obawą. Na poduszce znów spoczywał czarny łeb. Bundy nie doznawał żadnych negatywnych emocji na widok miejsca ostatniego spoczynku człowieka i z rozkoszą wylegiwał się na jedwabnym jaśku. Pewnie powinnam go przepędzić, ale byłby to daremny trud. Bunduś jest uparty, znowu by się tam wpakował.

Powróciwszy do siebie z zakupami, wlażłam pod kołdrę, spojrzałam na nocny stolik i oniemiałam. Sałatka zniknęła, schab i banan też, po cukierkach zostały tylko papierki, lody zdematerializowały się razem z opakowaniem. Żadnego z psów w sypialni nie było. Tylko na fotelu spały smacznie kotki Fifina i Kleopatra. Ale koty za nic w świecie nie żarłyby takich rzeczy. Kipiąc ze złości, wyszłam na korytarz i zawołałam szeptem:

- Ej, Snap, Julie, Cherry, Hootch, chodźcie tu.

Bundy był poza podejrzeniem, spał w trumnie. Po sekundzie zjawił się rottweiler, za nim przytelepał się mops. Wszystko jasne.

Julie zjadła cukierki, umie rozwijać je nosem z papierków, resztę zeżarła staruszka Cherry.

- Już ja wam pokażę - zagroziłam. Na korytarz wyjrzał Kiesza.

- Czego znów rozrabiasz, matka?

- Julie i Cherry zeżarły moją kolację!

- Aa - ziewnął. - Bardzo dobrze zrobili. Może, jeśli zaczniesz się to powtarzać, porzucisz swoje szkodliwe nawyki.
Zniknął za drzwiami. Zeszłam do kuchni. Cóż, spodziewać się, że mój syn zakrzyknie radośnie: "Idź, mamusiu, połóż się, zaraz ci przyniosę kanapki!" - to marzenie ściętej głowy. W naszym domu to ja jestem obiektem działań wychowawczych.

Rozdział 4

Nazajutrz około pierwszej postanowiłam pojechać do supermarketu. Oczywiście, mogłabym posłać Irę, właśnie na takie okazje kupiliśmy jej żiguli, ale przecież muszę choćby cokolwiek robić sama!

Już byłam w kurtce, kiedy zadzwonił telefon.

- Daria Iwanowna?

- Słucham.

- Może pani zaraz przyjechać na uczelnię, gdzie studiuje pani Żeleznowa?

- Tak, ale...

- Zna pani Polinę? - przerwała mi dzwoniąca.

- Oczywiście, bardzo dobrze.

- Więc proszę się pośpieszyć, ona ma duże kłopoty. Wskoczyłam do forda i pognałam na ulicę Kołomyjską.

Na dziedzińcu stała karetka pogotowia i milicyjny radiowóz.

Przerażona rzuciłam się do wejścia i natknęłam się w holu na hałaśliwy tłum studentów.

- Przepraszam, gdzie jest Żeleznowa?

- Samochód jej się spalił - chórem opowiedziały dziewczęta. Szok!

- Gdzie? - spytałam zmartwiałyimi ustami. - Gdzie ten samochód?

- No, na parkingu...

Wybiegłam na zewnątrz, obeszłam budynek i od razu zobaczyłam wypalony szkielet żiguli, wokół którego kręciło się kilku facetów. Nieopodal stały nosze, nakryte czarnym workiem.

- Polina! - wrzasnęłam.

Jeden z milicjantów obejrzał się i poznałam Zeńkę. Pracuje razem z Diegtiarowem. Nasz najlepszy przyjaciel Aleksander

Michajłowicz jest oficerem milicji, a Zeńka ekspertem czy też biegłym od medycyny sądowej... Dokładnie nie wiem. Nie biega po ulicach, nie siedzi w zasadzkach, ale bada różne przedmioty...

Tak w ogóle, to nie mam pojęcia, czym się zajmuje, wiem tylko, że Diegtiarow mawia niekiedy: "Nie znam bystrzejszego chłopaka niż nasz Jewgienij".

- Zjawiłaś się - burknął Zeńka, grzebiąc w stojącej na ziemi walizce.

Potem odwrócił się do chłopaka obchodzącego spalony wrak auta i krzyknął:

- Nie pchaj wszystkiego do jednej torby, baranie, rozłóż to po ludzku!

Następnie spojrział w moją stronę i dodał z westchnieniem:

- Co za ludzie: taki młody, a już leniwy, nie chce mu się wziąć dodatkowej torebki, wali wszystko na kupę, a ja potem muszę to segregować.

- Gdzie Pola? - wyszeptałam.

- Idź na pierwsze piętro do dziekanatu - polecił sucho Żenia.

- Ale...

- Idź, tam jest Diegtiarow!

Zrobiłam krok w tył i wpadłam na chłopców w granatowych kurtkach.

- Co tak stoicie jak na weselu! - rozzłościł się Zeńka.

Zabierajcie umarlaka do trupodżeta.

Chłopcy bez słowa chwycili nosze.

- Idź do dziekanatu - powtórzył mój przyjaciel.

Powlokłam się do budynku. Pierwszą osobą, jaką zobaczyłam w wielkim, zastawionym biurkami pokoju, była Pola, pólleżająca na skórzanej kanapie. Wokół niej tłoczyło się kilka osób i ostro

pachniało lekarstwami.

- Polina! - zapiszczałam i rzuciłam się do niej.

Pola natychmiast wybuchnęła płaczem. Stojąca obok niej kobieta zakrzatnęła się spieszenie i zaczęła odmierzać do kieliszka walerianę.

- Daszka - szlochała Pola - to było okropne, straszne...

- Poleńko... - Uściskałam ją. - Żyjesz, dzięki Bogu... Ale tu nagle coś zaskoczyło mi w głowie i zapytałam:

- Zaraz, to kto był tam, na noszach?

- Lenka - rozszlochała się jeszcze bardziej Pola. - Oj, Lena...

- Nic nie rozumiem...

- Chodź tu - usłyszałam z tyłu.

Drgnęłam, odwróciłam głowę i zobaczyłam Diegtiariowa piszącego coś pilnie przy biurku.

- Zabierz Polinę - rozkazał - zawieź do domu do Łożkina i nie spuszczaaj z niej oka.

- Ale co się stało?

- W tej chwili jedźcie do domu - ciągnął gniewnie Aleksander Michajłowicz - i nigdzie jej nie wypuszczaj. No, ruszaj.

W samochodzie Pola się uspokoiła, wyjęła kosmetyczkę i zaczęła się malować. Widząc, że odzyskała zdolność logicznego myślenia, powiedziałam:

- Chodź, pojedziemy do podziemnego pasażu na Maneżowym.

- Po co? - wymamrotała Polina, rozprawdzając podkład na policzkach.

- Skończył nam się płyn do kąpieli, a poza tym można tam usiąść i napić się kawy...

Szczerze mówiąc, płyn do kąpieli nie jest artykułem pierwszej potrzeby, a nasza Katierina piecze o wiele lepsze ciastka niż te, które można dostać w fast foodach. Ale w olbrzymim centrum handlowym zawsze jest pełno ludzi, gra muzyka, dokoła pełno różnych pięknych rzeczy. Po prostu chciałam Polę rozerwać, poprawić jej humor.

Zostawiłyśmy auto na parkingu, zjechałyśmy na dół i wzięłyśmy w "Sbarro" sałatkę i drugie danie.

- Kawę tu mają okropną - powiedziała już trochę weselsza Pola.

- Pójdę i przyniosę z "Arnolda".

- Lepiej najpierw zjedzmy, a potem wjedziemy piętro wyżej do "Esterhazyego" - zaproponowałam.

Godzinę później, w cukierni, nabrałam odwagi i spytałam ostrożnie:

- Co się stało? Polina zasępiła się.

- Dziki koszmara. Coś takiego trudno sobie nawet wyobrazić.

Zamieszała kawę łyżeczką i powiedziała: - Słuchaj.

Po pierwszych zajęciach przybiegła do niej Lena Rokotowa z równoległej grupy i zaczęła błagać:

- Polka, bądź człowiekiem, pożycz żiguli, muszę skoczyć do domu!

Żeleznowa nie lubi pożyczać wozu obcym i daje kluczyki tylko w ostateczności.

- A po co? - spytała z niezadowoleniem. Lenka o mało się nie rozplakała.

- Zapomniałam pracy domowej, pomyśl tylko, co Mawra ze mną zrobi.

Mawra, czyli Maria Władimirowna Mawrina, prowadzi na uczelni zajęcia z przekładu technicznego. Jest to absolutnie nieugięta, nieubłagana dama, która nigdy nikomu nie pobbłaża. Można w nieskończoność marudzić:

- Ojej, Mario Władimirowno, napisałam, przyniosę na następne zajęcia, proszę...

Wredna baba tylko się uśmiecha i mówi:

- Zdaję sobie sprawę, że przekład techniczny przyda się w życiu jedynie nielicznym, toteż wcale nie nalegam, by studenci odrabiali prace domowe, ale jako pedagog nie mogę puścić płazem lekceważącego stosunku do przedmiotu. A więc minus jeden.

Delikwent w takiej sytuacji oczywiście pyta:

- Minus co?

- Minus jeden punkt na egzaminie - spokojnie wyjaśnia żoźa Mawra. - Jeźeli odpowie pan na trzy, postawię dwa, jeźeli na cztery - trzy... Wszystko jasne? Jeźeli nie odrobi pan następnego ćwiczenia, będzie minus dwa, a gdyby się nazbierało minus cztery, może pan w ogóle nie przychodzić na egzamin.

Głupi pierwszorocznicy tylko się śmiali, zdawało im się, że Maria Władimirowna żartuje. Ale już na pierwszej sesji okazywało się, że mówiła jak najbardziej serio.

Rozumiecie więc teraz, czemu zostawienie zeszytu w domu stawało się katastrofą.

- Poleńko, no proszę - błagała Lenka. - To niedaleko, obróć w pięć minut, a pieszo trwałoby bardzo długo...

- A nie możesz jechać swoim? - nie poddawała się Polina.

- Mój nawalił! Jestem dziś piechotą...

- No, dobra - westchnęła Pola. - Ale jeźeli go porysujesz albo w coś stukniesz, zabiję.

- Na pewno nie, żebym tak na miejscu spłonęła w ogniu piekielnym!

- wykrzyknęła Lenka, złapała kluczyki i poleciała.

Biedulka, nie przypuszczała, że dosłownie parę minut później rzeczywiście zapłonie jak pochodnia.

- To był wybuch? - spytałam. Pola pokręciła głową.

- Nic nie słyszałam, powiedziano mi, jak już przyjechała straż pożarna.

- Kiedy to się stało?

- W pierwszej przerwie między zajęciami.

- A przecież cię prosiłam, żebyś jeździła metrem!

- Jeszcze czego. - Pola wzruszyła ramionami. - Miałam jechać w ścisku w śmierdzącym wagonie?

- Przyjechałaś na uczelnię rano?

- Jasne, na dziewiątą.

- Wszystko było w porządku?

- Pewnie, i w ogóle wóz był prawie nowy. Och, biedna Lenka. Pola pociągnęła nosem.

- Słuchaj - powiedziałam szybko. - Widzisz ten butik po lewej?

- No? - Pola przestała płakać.

- Zobacz, jaki tam jest pulower na wystawie, jak dla ciebie stworzony, chodźmy, przymierzysz.

- Pewnie bardzo drogi!

- Co tam, trzeba się czasem porozpieszczać...

Pola kiwnęła głową i poszłyśmy do butiku. Spodobało się jej od razu kilka sweterków, złapała wieszaki z kolorowymi szmatkami i rzuciła się do przymierzalni.

Zaczęłam się przechadzać po sklepie. Szczerze mówiąc, wyglądał marnie i ubogo, a i ceny były tu bardzo niskie; taniej jest tylko na wietnamskich straganach, i pewnie dlatego kłębił się tu okropny tłum, głównie nastolatki i studenci, rozchwytyjący sweterki, bluzki i spodnie. Klientela zachowywała się bardzo bezceremonialnie, ludzie popychali się, głośno rozmawiali i narzekali, że przymierzalnie są wciąż zajęte. Szczególnie złościła się dziewczyna stojąca przed kabiną, w której przebierała się Pola.

- Nie możesz szybciej? - jazgotała. - Co jest, zasnęłaś tam, czy jak? E, rusz się, nie jesteś sama w sklepie.

Polina nie odpowiadała, i słusznie - z chamami lepiej nie wdawać się w dyskusje.

- No, jak długo można? - Dziewczyna aż podskakiwała. O rany, zaraz z tym zrobię porządek.

To mówiąc, wetknęła głowę za kotarę. Chciałam podejść i zwrócić jej uwagę, kiedy z przymierzalni rozległ się dziki wrzask:

- Aaaa!...

Runęłam w kierunku głosu i wyprzedzając innych, złapałam wstrętą dziewczuchę za łokieć.

- Czego się drzesz?

Dziewczyna zastygła z wytrzeszczonymi oczami i tylko wskazywała palcem w stronę kabiny.

- Tam, tam, tam...

Podbiegła ekspedientka. Szarpnęła granatową pluszową zasłonę i też się rozdarła:

- Aaa!...

- Aaa!... - podchwycili klienci stojący najbliżej przymierzalni.

Zajrzałam do kabiny i obleciał mnie chłód. Na podłodze leżała skręcona Polina, a pod jej ciałem rozlewała się ciemnoczerwona kałuża.

- Milicja! - ryczała ekspedientka. - Tutaj, szybko, ratunku, człowieka zabili...

Zaczęłam się wolniutko osuwać po ścianie.

- Co się stało? - przemówił znajomy głos. Poderwałam głowę i zobaczyłam, że z sąsiedniej kabiny wyłania się Pola.

- To ty? - wykrzyknęłam. - Ale dlaczego tutaj, przecież weszłaś do tamtej przymierzalni?

Po drodze do Łóżkina potwornie wystraszona Polina opowiedziała mi, co się stało. Kabiny przedziela nie ściana, tylko kotara. Polina nie zdążyła jeszcze przymierzyć pierwszego sweterka, kiedy zza zasłony wyjrzała jakaś kobieta i poprosiła:

- Czy byłaby pani tak dobra i zamieniła się ze mną kabinami?

- Po co? - zdziwiła się Polina.

- No bo u pani jest potrójne lustro, a u mnie zwykle - zaczęła wyjaśniać nieznajoma. - Chciałabym obejrzeć się w nowych spodniach ze wszystkich stron, a tutaj to niemożliwe. Proszę mi wyświadczyć tę uprzejmość, pani ma przecież tylko sweterki...

- Proszę bardzo. - Polina wzruszyła ramionami i z naręczem ciuchów przeszła do sąsiedniej kabiny.

Żadna z nich nie wyszła na zewnątrz, przemieściły się w przymierzalniach. Kiedy rozległ się krzyk, Polina była rozebrana do pasa. Zdziwiona, wciągnęła sweter, wyjrzała i zobaczyła mnie półprzytomną.

- O mało nie umarłam ze strachu! - wykrzyknęłam. - Myślałam, że to ty tam leżysz w kałuży krwi!

- No wiesz - oburzyła się Pola. - Tamta dziewczyna jest trzy razy grubsza, a poza tym to brunetka, a ja mam jasne włosy...

- Byłam przecież pewna, że właśnie ty jesteś w tej kabinie jęknęłam. - I dlatego nie zwróciłam uwagi ani na kolor włosów, ani na figurę...

Przez jakiś czas jechałyśmy w milczeniu i dopiero przed bramą Polina wymamrotała:

- Co to się wyrabia? W ciągu paru dni tyle okropieństw. Najpierw nie wiadomo z jakiego powodu wpadam w coś, co w szpitalu uznają za śmierć, potem Lenka ginie w moim samochodzie...

- Wóz się zapalił...

- Ale dlaczego? Wszystko działało jak należy! A teraz jeszcze ten wypadek w sklepie! Słyszałaś, co mówili milicjanci? Strzelano z pistoletu z tłumikiem przez kotarę... Czy ty coś z tego rozumiesz?

Nacisnęłam breloczek i skrzydła bramy rozjechały się na boki.

- Nie, szczerze mówiąc, nie wiem, czemu prześladują cię te nieszczęścia.

Polina wyrzuciła przez okno niedopałek.

- Po prostu ktoś postanowił mnie zabić, ale nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności najpierw zginęła biedna Lenka, a potem ta babka, co kupowała spodnie. Pomyśl tylko, co by było, gdybym po zajęciach wsiadła do samochodu... Albo została w tamtej pierwszej kabinie...

- Ale dlaczego ktoś chce cię załatwić? - spytałam oszołomiona.

- Zrobiłaś komuś krzywdę?

Polina wzruszyła ramionami.

- Sama zachodzę w głowę. Biznesem się nie zajmuję, wrogów nie mam... Z Kostią chodzę jeszcze od szkoły, nie mamy żadnych zazdrosnych byłych kochanków... Jak usiedliśmy w dziewiątej klasie w jednej ławce, tak do tej pory się nie rozstajemy, sama wiesz... Nie, pojęcia nie mam!

- Na pewno się mylisz - powiedziałam. - To po prostu zbieg okoliczności, w samochodzie nastąpiło jakieś zwarcie, a w przymierzalni... Sama nie wiem... Przypadek... Ty nie masz z tym nic wspólnego...

Z tymi słowy obróciłam kierownicę, wjechałam na naszą posesję i zdębiałam. Cały teren przed wejściem był zatłoczony samochodami. Główne drzwi otwarte na oścież i wszędzie kręcili się ludzie z jakimiś żelastwami w rękach.

Wychyliłam się z okna i zwróciłam do kierowcy auta, które zastawiało mi wjazd do garażu:

- Może pan uprzejmie podjedzie trochę do przodu?

- Akurat - odparł ten. - Zawsze człowiek musi wam, babom, ustępować! Nic z tego, skoro usiadłaś za kółkiem, to radź sobie sama. Na drodze nie ma podziału na pleć słabą i silną.

W pełnej konsternacji zostawiłam forda koło szopy i poszłam do domu. Trumna ciągle jeszcze stała w holu, dookoła sterczały reflektory, jakieś statywy, pudła, po podłodze wiły się kable i biegali kompletnie obcy ludzie, mimo grudnia noszący na głowach bejsbolówki.

- Co wy tu robicie? - spróbowałam zagadnąć jednego z młodzieńców.

- Spadaj - odparł.

- Co się tu dzieje? - krzyknęłam, rzucając się do kobiety w skórzanych spodniach.

- Odwal się! - warknęła i znikła w salonie.

- Daszutka! - rozległ się radosny okrzyk i zobaczyłam zarumienioną Kicię, sfruwającą po schodach. - Już jesteś! A my właśnie znosimy aparaturę.

- Jaka? - Zaczęłam się jąkać.

- Oj! - Olga klasnęła w ręce. - Przecież ja ci nie powiedziałam!

W naszym domu będą kręcić serial.

- Kręcić serial? U nas? Za jakie grzechy?

- Nie cieszysz się? - Kicia przyjęła postawę bojową. - Wszyscy, Kieszka, Mania, Irka, nawet Katierina, są zachwyceni, a ty się nie cieszysz?

- Jestem szczęśliwa, chcę tylko wiedzieć, dlaczego to szczęście spotyka właśnie nas?

Kicia popatrzyła na mnie podejrzliwie i zaczęła tłumaczyć.

Rozdział 5

Każdy ma jakieś marzenia, ma je także Kicia. Moja synowa uwielbia się pokazywać na błękitnym ekranie. Nasza Kicia jest bardzo wykształcona, ma dyplom prestiżowej uczelni, biegle włada dwoma europejskimi językami oraz arabskim, w którym, co prawda, nie umie swobodnie pisać i czytać, ale mówi całkiem dobrze. Nie chce jednak pracować jako tłumacz. Zawsze marzyła o sławie, oklaskach i popularności. Tłumacz zaś z natury rzeczy na ogół pozostaje w cieniu. Jeżeli tłumaczy na konferencjach, to stoi na drugim planie, jeśli zajmuje się przekładami literackimi, to całe dni spędza przy biurku; jednym słowem, fanfary na jego cześć nie grają.

Kicia marzyła, żeby się dostać do telewizji, i w końcu się tam znalazła. Pan Bóg się zlitował i dał jej szansę. Należy tu podkreślić, że Olga wykorzystwała tę okazję w stu procentach. Trafiła do programu sportowego i chociaż na początku kariery nie odróżniała siatkówki od koszykówki, udało jej się w ciągu roku wlecieć po służbowej drabinie od skromnej asystentki reżysera

do prezenterki. A wszystko dzięki niesłychanej pracowitości i uporowi. Święta, weekendy, uroczystości rodzinne... Nic z tych rzeczy dla Kici nie istnieje. Codziennie, bez względu na samopoczucie, jedzie do pracy. Punktualnie o 18.30 widzę ją na ekranie. Cała w uśmiechach, prześlicznie uczesana, moja synowa mówi:

- Dobry wieczór państwu. Olga Woroncowa zaprasza na program "Świat sportu".

Patrząc na to jasnowłose stworzenie o oczach młodej sarenki i aksamitnej cerze, nikt by nie pomyślał, że ma ono jakieś problemy zdrowotne. I tylko ja wiem, że dwie godziny wcześniej Kiciunia łyknęła dwie garści tabletek, bo znów dał jej się we znaki wrzód żołądka, którego się nabawiła podczas wspinaczki na szczyty sficy. Telewizja to nie tylko błękitny ekran, na którym ukazuje się uroczą buzią prezenterki, o nie, to także nieustanny stres, ciągle zmęczenie, chroniczne niedospanie, brak czasu na należyte zjedzenie posiłku i relaks...

Ale Kicia jest szczęśliwa, nawet wtedy, gdy prowadzi program chora na grypę, z temperaturą czterdzieści stopni. Zdawałoby się, że osiągnęła swój cel i zdobyła wszystko, czego chciała, ale Olga ma jeszcze jedno marzenie, tak skryte, że boi się je nawet głośno wypowiedzieć. Kiciunia strasznie, ale to strasznie, chce zostać aktorką i wystąpić w filmie... I oto teraz los znowu podsuwa jej szansę...

Studio "Wiek" postanowiło nakręcić niskobudżetowy serial obyczajowy. Film niskobudżetowy to taki, na który wyasygnowano nędzną kwotę i grupa zdjęciowa na wszystkim oszczędza. Bierze własne samochody, wewnątrz kręci w mieszkaniach i na daczach znajomych... No i Kicia zaproponowała nasz dom w charakterze planu zdjęciowego. Absolutnie bezpłatnie, tylko pod jednym warunkiem. Jej, Oldze, dadzą niewielką rolę. Reżyser momentalnie się zgodził. Kicia jest śliczna jak z obrazka, kamera ją bardzo lubi, no i, w przeciwieństwie do wielu dzisiejszych gwiazd ekranu, moja synowa ma poprawną, wyraźną dykcję. Krótko mówiąc, dobito targu.

- Najważniejsze, żeby zacząć! - Kicia podskakiwała z radości. A potem mnie zauważa i póójdzie!

Ja tylko mrugałam oczami i otwierałam usta. Serial! U nas w domu! Katastrofa!

- Po prostu ekstra! - powtarzała z triumfem Olga. - Wspaniale się złożyło, wszyscy są zachwyceni. W dodatku, to jest film o rodzinie, o szczęściu, że tak powiem, małżeńskim, i obiecali, że do scen zbiorowych zaangażują nas wszystkich: Manię, Arkaszę, Irkę, Katierinę, psy, i ciebie też sfilmują...

Chciałam głośno wyrazić zgrozę, ale popatrzyłam na uszczęśliwioną twarz Kici i ugryzłam się w język. Dobrze przynajmniej, że bliźnięta z Serafimą Iwanowną jeszcze dwa tygodnie temu wyjechały do Kijowa, do mamy Olgi. Miałam nadzieję, że do ich powrotu wszystko się zakończy.

- Jak długo potrwać zdjęcia? - spytałam nieśmiało.

- Ach, nie wiem, może miesiąc!

Wzdrygnęłam się. Koszmar! To jeszcze gorsze niż remont, muszę się postarać jak najrzadziej bywać w domu.

- Co to jest? - zapytał nagle ktoś grzmiącym głosem. Zapadła cisza. Do holu wszedł niewysoki, chuderlawy facecik w długim szaliku, kraciastej koszuli i dżinsach.

- Trumna - odpowiedziałam.

- Aha - odparł facet - świetnie, że już załatwiliście. Wnieście ją do pokoju, przeciwiczymy scenę pożegnania. Ej, ty, odsuń się od rekwizytu...

- Pan mówi do mnie? - spytałam.

- Do ciebie, do ciebie, odsuń się, ale to już, i bierz się do swojej roboty. Jak się nazywasz? Dlaczego cię nie znam? Kto tu wpuścił osobę nieupoważnioną? Wyrzućcie ją!

- Jestem właścicielką tego domu! Daria Wasiljewa!

- Och, sorry - skłonił się facio. - Bardzo mi miło panią poznać. Jestem Borys Kowalenko, reżyser. Ach, droga pani, co za wspaniały dom, uroczy, cudowny, mam nadzieję, że pan domu nie będzie zły, kiedy się dowie, cośmy tu postanowili...

- Pan domu jest dobry - oznajmił Kiesza, ukazując się na schodach. - I zawsze z przyjemnością spełnia życzenia żony. Oczywiście jęły biegać między mną, Olgą i Arkaszką. Wreszcie nie wytrzymał i palnął:

- Ach, więc jest pan mężem Darii? Przecudownie! Kiesza stłumił śmiech.

- Nie, jestem jej synem, a mężem Olgi.

Borys rozpląnął się w takim uśmiechu, że aż się zląkłam. Jeżeli postoi jeszcze z pięć minut z tym grymasem, rozboleją go policzki albo usta popękają w kącikach.

- Daszeńko! A gdzie jest pani mąż?

- Który? - uściślił Arkady.

- Więc jest ich wielu? - zachichotał reżyser.

- Było czterech - wyjaśnił Kiesza - i wszyscy pouciekali. Matka ma pewne dziwactwa. Widzi pan tę trumnę? Ona w niej sypia.

- Dość tych bzdur! - rozzłościłam się. Ale Borys natychmiast oświadczył:

- Tak piękna kobieta ma prawo do ekstrawagancji. Gotów jestem zostać piątym pani małżonkiem!

Poczułam się jak zapędzona do kąta mysz. Mało, że na cały miesiąc zostaniemy bankowo pozbawieni snu i spokoju, to jeszcze ten idiota postanowił się pozalecać do bogaczki. Żeby zmienić temat, powiedziałam szybko:

- To nie jest pański rekwizyt, to nasza trumna.

- Serio? - zdziwił się reżyser. - I po co ona pani? Naprawdę pani w niej sypia?

- Jasne, że nie! Po prostu głupi przypadek. Mieli po nią dziś przyjechać z zakładu pogrzebowego, ale jakoś ich nie ma!

- Ależ to wspaniale! - Borys zatarł ręce. - Akurat potrzebujemy trumny. Zaczniemy od sceny pogrzebu Leonida. Wnieście trumnę do pokoju, przeciwiczymy.

- Nie nadaje się - powiedział chłopak w zielonej kamizelce.

- Dlaczego? - rzucił się Borys. - Nie podoba ci się kolor, Fiedka, czy gatunek?

- Nie, mebel w porządku - odparł Fiedia - ale Łońka się w nim nie zmieści. Chłop ma metr dziewięćdziesiąt osiem, potrzebujemy trumny king size.

- Bzdury pleciesz, zmieści się!

- Nic podobnego!

- Zmieści.

- Nigdy w życiu!

- Ojej, nie kłóćcie się - wtrąciła się Masza - niech Kiesza spróbuje, ma wzrostu dwa metry bez jednego centymetra.

- Faktycznie - mruknął Borys, obrzucając wzrokiem mego syna. Może naprawdę się pan zmieści, spróbujmy.

- Gdzie? - spytał ogłupiały Kiesza.

- W trumnie, musimy zrobić przymiarkę - wyjaśnił Fiodor.

- W żadnym razie - uciał Arkady.

Reżyser zacisnął usta, Kicia błagalnie popatrzyła na męża. Ten westchnął ciężko i powiedział:

- Dobra, ale tylko na chwilę!

Podszedł do lśniącej fornirem skrzyni, wlaź do środka, złożył ręce na piersi i zapytał:

- No, jak wyglądam?

Żart nie wydał mi się śmieszny, ale Maruśka zawołała:

- Oj, tylko się nie ruszaj, zaraz przyniosę aparat i zrobię ci zdjęcie!

- No proszę - rzekł z zadowoleniem Borys. - Zmieścił się doskonale, a jak się ten mebel zamyka?

- Zwyczajnie - odparł Fiedia i pchnął wieko.
Rozległo się głuche szczęknięcie i zobaczyłam na wierzchu wizerunek krzyża.
- Wspaniale! - rzekł z aprobatą reżyser.
- No co wy? - jęknęła Mania, podbiegając z aparatem. - Dlaczego zamknęliście? Otwórzcie.
- Zaraz - powiedział Fiedia i pociągnął wieko. - Dziwne, nie otwiera się.
- Boże, wszystkiego was trzeba uczyć - westchnął Boria. - Nic sami nie umiecie, no, odsuń się!
Zaczął szarpać za uchwyt, ale piękne, lśniące wieko ani drgnęło.
- Nie otwiera się - wybełkotał.
- Ja spróbuję! - wrzasnęła Marusia i zaczęła ciągnąć uchwyt w różne strony.
Na próżno, wieko niewzruszenie trwało na swoim miejscu.
Przez jakichś pięć minut usiłowaliśmy je podważyć, ale bez rezultatu.
- To straszne! - Kicia załamała ręce. - Co robić?
- Nie wiem - odparłam. - Może zadzwonić do zakładu pogrzebowego?
- On się udusi - denerwowała się Olga. Przycisnęła twarz do trumny i krzyknęła na całe gardło:
- Kiesza, jak się czujesz? Nie było odpowiedzi.
- Stracił przytomność. - Kicia zaczęła się miotać na wszystkie strony. - No, róbcie coś!
- Wiem! - wrzasnęła Mania. - Trzeba zadzwonić do niego na komórkę!
Złapała telefon i zaczęła naciskać klawisze. Po sekundzie z głębi skrzyni dała się słyszeć przytłumiona muzyczka i za chwilę Mania zawołała radośnie:
- Kieszka, jak ci tam?
- Daj mi, daj! - pisnęła Olga i wyrwała jej siemensa. - Kieszku, kochany... - Membrana zapiszczała. Kicia słuchała przez chwilę, po czym warknęła:
- Idiota! - I cisnęła telefon na krzesło.
- Co powiedział? - zainteresowałam się.
- Cały on, cały twój synek - syknęła Kicia. - Powiedział, cytuję: "Jest mi dobrze, miękko, ciepło, ciemno i przytulnie. A co najlepsze, zupełnie was nie słyszę, więc nareszcie mogę sobie odpocząć. Jeżeli planujesz jazdę do krematorium, nie zapomnijcie mnie wyjąć, bardzo nie lubię upałów". Co za kretyn!
- Zgrywus! - zachichotał Fiedia.
- Wystarczy mu tam powietrza? - zaciekawiła się Mania.
- Na jakiś czas tak - odparła Pola - ale powinniśmy go szybko wyciągnąć.
- Jak? - Kicia zaczęła tupać nogami. - Przecież nie wiadomo, może to głupie wieko zatrzaskuje się raz na całe życie.
- Raczej na całą śmierć - powiedziałam.
- Zamknij się - jęknęła Olga.
- Nie świruj - rzuciła Pola.
- Dobrze ci mówić - wściekła się Kicia - a tak prawdę mówiąc, kupiliśmy tę trumnę dla ciebie!
- Po co te kłótnie? - Spróbowałam je uspokoić. - Zaraz zawołam Iwana, niech tu przyjdzie z siekierą.
- Co pani? - oburzył się Borys. - Przecież to draństwo kosztuje pięć tysięcy bagsów... A pani siekierą!
- Mój mąż jest mi droższy - wycedziła Kicia.
- Siekierą nie - wtrąciła Pola. - Można skaleczyć Kieszę.
- No to piła - zaproponowałam.
- To tylko w cyrku iluzjonista przepiłowuje skrzynię z żywą babą w środku - odrzuciła mój pomysł Polina.
- No to co robić? - załkała Olga.
W tym momencie zadzwonił telefon. Chwyciłam słuchawkę.
- Zupełnie nie rozumiem - przemówił zjadliwym tonem Arkady kiedy

postanowiliście mnie pochować? Nie zapomnijcie zamówić muzyki, najlepiej orkiestry dętej. Aha, pamiętajcie, że nie znoszę Pożegnania Słowianki. Lepiej...

Nacisnęłam zielony guzik.

- Co robić? - buczała Olga.

- Trzeba wezwać służby specjalne - oznajmia Mania.

- Najpierw zadzwońmy do zakładu pogrzebowego - zaproponowałam.

- Ale po co? - szlochała Kicia.

- Może nam powiedza, jak się to otwiera - powiedziałam i wybrałam numer.

- "Różane Przytulisko" - zaćwierkał znajomy głos. - Rozwiążemy wszystkie państwa problemy, menedżer Tania, słucham!

- Szanowna Tatiano, nazywam się Daria Wasiljewa, kupiłam u państwa trumnę, model, zdaje się, 18 B...

- Ach - wykrzyknęła dziewczyna - pamiętam! To prawda, że państwa nieboszczyk ożył?

- Tak.

- Ale obciach! A czemu pani dzwoni?

- Tanieczko, zatrzasnęliśmy trumnę i nie możemy otworzyć.

- Po co?

- Co - po co?

- Po co otworzyć?

- Tam jest człowiek.

- Jaki?

- Mój syn, chcemy go wyjąć.

Tania przez sekundę milczała, po czym zapytała ostrożnie:

- Czy on jest żywy?

- Oczywiście.

- Dlaczego wszedł do trumny?

- Chcieliśmy sprawdzić, czy się dla niego nadaje, czy potrzebny jest większy rozmiar.

Tania znów utraciła dar mowy, ale po chwili wzięła się w garść.

- Aha, kupiła pani na zapas, tak?

- Tanieczko - rzekłam z westchnieniem - słowo honoru, że opowiem pani wszystko szczegółowo, ale później, a teraz niech mi pani zdradzi, jak się otwiera trumnę.

- Szczęknęła?

- Nie rozumiem...

- No, jak ją państwo zamykali, to szczęknęła?

- Tak, cichutko, tryk!

- No to koniec.

- Jak to koniec? - szepnęłam wstrząśnięta.

- Nie trzeba było wieka nasuwać do końca, dopiero na cmentarzu zamyka się ją całkiem, przed opuszczeniem do grobu.

- Zamierzaliśmy poddać ciało kremacji - powiedziałam głupio.

- Można też kremować - odparła Tania. - To bez różnicy, dobrze się pali i nie wydziela szkodliwych domieszek, bo jest wykonana z ekologicznego surowca, troszczymy się o ochronę środowiska.

Czując, że urzędniczka zaraz zacznie recytować pełny tekst reklamowy, przerwałam jej szybko:

- Jak się ją otwiera?

- Nijak.

- Ależ to idiotyzm! - oburzyłam się. - A jeżeli trzeba człowieka wyjąć? Kto wymyślił coś tak głupiego?

- To przecież nie komoda - odparowała rezolutnie Tania.

- Nieboszczyka nie nosi się tam i z powrotem, kładzie się - i gotowe, witamy w grobie! To tylko pani wciąż się przydarzają jakieś idiotyzmy: a to trup ożył, a to znów wlaź do trumny do przymiarki!

Rozłączyłam się.

- No - rzuciła się na mnie Kicia - mów...

- Chyba nic z tego - oznajmiłam ostrożnie. - Zamknięte, przepraszam za głupi kalambur, na śmierć!

Olga zalała się łzami.

- Mówiłam przecież, że potrzebni są ratownicy! - wrzasnęła Mania.
 - Czy on się nie udusi? - spytała Pola.
 - Nie - uspokoił ją Fiodor. - Wieko jest wysokie...
 Ratownicy przyjechali błyskawicznie, jakby czekali na wezwanie tuż za rogiem. Trzej chłopcy w pomarańczowych kurtkach weszli do holu i jeden zaczął głośno:
 - No i cóż my tu mamy...
 W tej chwili jego wzrok padł na trumnę. Chłopak spojrzął na płaczącą Kicię, zdenerwowaną Manię, na moją zmienioną twarz i urwał.
 - Bardzo przepraszam.
 - Nie szkodzi - powiedziałam. - Bądźcie panowie tak dobrzy i otwórzcie wieko; niechcący je opuściliśmy, zatrzasnęło się i zamek zaskoczył.
 - A dlaczego... - zaczął drugi facet.
 Miałam już jednak dość całej sytuacji i poleciłam szorstko:
 - Chłopcy, albo róbcie, co do was należy, albo zabierajcie się stąd. Tu nie ma czasu na rozmowy.
 - Pani się nie denerwuje - rzekł pierwszy. - Już się robi. Tolan, dawaj brzeszczot.
 - Ostrożnie - zawyła Kicia - nie pokaleczcie!
 - Spoko - odparł Tolan. - Trumienka zostanie jak nowa.
 - Do cholery z trumną! - wybuchnęła. - Nie zróbcie krzywdy Kieszcy.
 - A kto to? - zapytał Tola.
 - Mój mąż - załkała Olga. - Jest w środku...
 - Te, Kolka - rzekł Tolan - a może podważymy łapkę? Bo przecinakiem możemy go zawadzić, a szkoda mi tej dziewczyny.
 - Dobra - westchnął Kola.
 Chłopcy wyciągnęli jakieś żelastwa, coś pomajstrowali i ku naszej radości trumna stanęła otworem. Ukazała się blada twarz Kieszcy z zamkniętymi oczami.
 Tolan się przeżegnał.
 - O rany, czego to się człowiek w tej robocie nie napatrzy.
 Olga rzuciła się na ciało męża.
 - Arkaszka! - krzyknęła. - Arkaszyk, słabo ci? Mój syn otworzył oczy, ziewnął i powiedział:
 - Wręcz przeciwnie, po prostu wspaniale. I nie wyobrażacie sobie, jak to fajnie pobyć czasem w samotności...
 - O matko! - zaskowyczał Tolan. - Ożył!
 - ...! - wypalił Kola i ruszył tyłem do drzwi. - ...!!! Widząc, że chłopcy są bliscy omdlenia, powiedziałam szybko:
 - On wcale nie umarł!
 - Niekiepska trumienka, niekiepska - bez sensu powtarzał Kola, cofając się do wyjścia.
 - Nikomu tej trumny nie oddam - podsumował Arkady. - Zabiorę ją do swojego pokoju i będę w niej spał. Pierwsza klasa, w środku nic nie słychać. Teraz rozumiem Draculę, bo zawsze się zastanawiałem, czemu spędzał noce w takim dziwnym miejscu... Już wiem, poszukiwał ciszy, pewnie też miał pyską żonę, jazgotliwą siostrę i nienormalną matkę.
 - Cham! - wrzasnęła Kicia, obróciła się na pięcie i pognęła schodami na górę.

Rozdział 6

Następnego dnia koło południa stwierdziłam z radością, że w domu nikogo nie ma. Zupełnie nikogo oprócz mnie i psów. Kicia i Arkady pojechali do pracy, Mania do szkoły, Irka do pralni, Katierina na bazar, a wstrętnei filmowcy mieli się zjawić dopiero o trzeciej. Poliny też nie było, zresztą nic dziwnego. Pewnie od dziewiętej siedzi na zajęciach i wgrzyza się w granit nauki. Rozkoszując się nieoczekiwanym szczęściem, wypiliśmy kawę,

przeczytałam gazetę i wypaliłam papierosa. Tak w ogóle to dzieci kategorycznie zabraniają mi kopcić w domu. Latem wychodzę do ogrodu, a na zimne dni wyznaczono mi ciasną komórkę pod schodami, gdzie Irka trzyma ścierki, kubły, odkurzacz i środki czystości. Przy czym prześladowania dotyczą tylko mnie. Gościom wyjmującym papierosy z miłym uśmiechem podsuwa się popielniczki. Ale kiedy tylko sama w czasie jakiegoś przyjęcia wydobywam moje ulubione gauloise'y, natychmiast wyrastają przy mnie Arkady albo Kicia i syczą jak żmije:

- Zgaś natychmiast!

Nie mają nic przeciwko paleniu jako takiemu, nie podoba im się po prostu, kiedy palę ja. Taka ideefixe, jak mawiała moja babcia. Dzisiaj jednak nadzorców nie było i z zadowoleniem wypuściłam z ust obłoczek dymu. Wczoraj i Borys, i Fiedia cały czas kopcili marlboro i Kicia oczywiście nie powiedziała ani słowa. Więc nie mam się czego obawiać. W najgorszym razie, jeżeli poczują zapach, a Olga ma wdech jak pies policyjny, zwałę wszystko na reżysera i operatora.

Odeszłam od okna i zamyśliłam się. Co by tu zrobić? Może z nudów pooglądać telewizję?

Błękitny ekran rozjaśnił się, ukazując twarz brzydkiego młodzieńca, który mówił energicznie:

- Przegląd wiadomości tygodnia. W poniedziałek o godzinie jedenastej przed południem na ulicy Mirosławskiej znaleziono zwłoki kobiety z ranami kłutymi i ciętymi w okolicach brzucha i szyi. Tożsamość ofiary...

Westchnęłam ciężko. Tak, jasne, to "Świat przestępstw". Mnóstwo jest teraz takich programów. TV6 nadaje "Patrol drogowy", NTV "Kronikę kryminalną", a jest jeszcze "Pietrowka 38"*, "Oddział dyżurny"... Mimo mojej pasji do literatury kryminalnej nie cierpię tych programów. Czytając książkę, człowiek wie, że nic podobnego tak naprawdę się nie wydarzyło, ale kiedy na ekranie pokazują płaczących ludzi...

Sięgnęłam po pilota i już miałam nacisnąć guzik, kiedy obraz się zmienił. Cały ekran zajęło zdjęcie czerwonego forda, a raczej tego, co z niego zostało. Piękny niegdyś samochód stał się wrakiem...

Głos reportera za kadrem relacjonował:

- Dzień dzisiejszy także rozpoczął się od wypadku samochodowego. Dokładnie o godzinie ósmej auto...

Coś takiego, fordzik identyczny jak mój, nawet taka sama nalepka na tylnej szybie. Przykleiłam tam obrazek z wypuszczającym parę czajnikiem i napisem: "Jeżdżę, jak umiem". Chodzi mi o to, by inni użytkownicy drogi od razu wiedzieli, z kim mają do czynienia, i nie złościli się. No bo jaki sens

* Adres Komendy Głównej moskiewskiej milicji (przyp. tłum.).

wściekać się na kobietę, która uczciwie się przyznaje, że prowadzenie samochodu nie jest jej hobby?

W tym momencie kamera ukazała zbliżenie zalanej krwią, wykrzywionej w grymasie twarzy Poliny.

- Chcę jeszcze raz przypomnieć wszystkim o konieczności przestrzegania przepisów drogowych i nieprzekraczania dozwolonej prędkości - zadudnił młody chłopak w mundurze drogówki.

Patrzyłam oniemiała na ekran. Świetnie znam tego milicjanta. W miejscu, gdzie trzeba zjechać z szosy, żeby trafić na boczną drogę, prowadzącą do naszego willowego osiedla, stoi posterunek drogówki, i z jego funkcjonariuszami, siedzącymi w oszklonej budce, wszyscy łożkinianie utrzymują przyjazne stosunki. Ten, który teraz opowiada o wypadku, to Misza...

Nie wkładając butów ani kurtki, w kapciach pognałam do garażu i półprzymotną otwarłam ciężkie drzwi. Ogromna przestrzeń, obliczona na cztery samochody, ziała pustką. Ani luksusowego

jeepa Arkaszy, kwadratowego, czarnego mercedesa, ani zgrabnego volkswagena Kici, ani skromnego żiguli Irki... Nie było też mojego forda. Tylko pod ścianą w głębi, czekając na nadejście lata, stał spokojnie motocykl Marusi.

Trzęsąc się z zimna i przerażenia, wróciłam do domu i zadzwoniłam do najbliższych sąsiadów, Syromiatnikowów.

- Halo! - zaśpiewała Karina.

- Kara - wychrypiałam - mamy straszne kłopoty, pożycz mi na parę godzin jeden z waszych samochodów.

- Bierz, który chcesz - odparła szczodra Karina. - Chcesz mojego merca?

- Nie, jest za duży, lepiej renaulta...

- Ale on jest stary i paskudnie wygląda...

- Daj mi renaulta...

- Bierz.

Narzuciłam kurtkę i poleciałam po kluczyki.

- Co się stało? - zapytała Kara.

- Potem ci wytłumaczę. Wieczorem oddam wóz, nie mogę teraz dokładnie powiedzieć, kiedy...

- Możesz w ogóle nie oddawać. - Karina machnęła ręką. Stoi i tylko zajmuje miejsce, już najwyższy czas go wyrzucić.

Słuchaj, weź merca, renault ma już przeszło dwa lata, będziesz w nim wyglądać jak jakaś łązega...

Ale ja już zapaliłam silnik i pognałam drogą, jedną ręką trzymając kierownicę, a drugą przyciskając do ucha komórkę.

Słyszając głos Aleksandra Michajłowicza, jęknęłam:

- Diegtiariow! Polina...

- Wiem - przerwał mi przyjaciel. - Jedziesz może do mnie?

- Tak.

- Czekam - rzucił krótko pułkownik i rozłączył się. Skręciłam w lewo, wyłączyłam silnik i pobiegłam w stronę posterunku drogówki. Wystarczył jeden rzut oka, by zrozumieć, jaka tragedia rozegrała się tu przed paru godzinami. Betonowy słup się przechylił, u jego podstawy ziała jakby wygryziona wyrwa. Śnieg naokoło był zdeптany, a na poboczu widniało kilka ciemnoczerwonych, prawie czarnych, zamarzniętych kałuż. Obok leżały opakowania po strzykawkach, rozerwana gumowa opaska uciskowa i poniewierał się jeden brązowy kozaczek, obsyty farbowanym króliczym futerkiem.

- Dario Iwanowno - podbiegł do mnie Misza - to pani? Patrę, hamuje renault Syromiatnikowów, i myślę, co się stało, że ci szpanerzy jadą takim rzęchem...

- Ten rzęch - odezwał się nieznany mi chłopak, stojący przy biurku - jest nowszy i lepszy od mojego żiguli. Nie obraziłbym się za taki wozik.

- Bo nie zna pan ich merca i ferrari - westchnął Misza.

- Widziałeś wypadek? - rzuciłam się na niego.

- Jasne - odparł. - Koszmar. Siedzę sobie, palę, wczesny ranek, nikogo nie ma, żyć, nie umierać. Nagle widzę, ford gna jak do pożaru... No, myślę, co się stało, że Daria Iwanowna odstawia takie numery? Tak porządna pani, a tu leci jak czarownica na miotle. Chciałem zatrzymać, bo pomyślałem, za przeproszeniem, że pani sobie podpiła. A po co narażać ludzkie życie?

Michaił wyskoczył na drogę, ale ford, nie zwracając na niego uwagi, na czwartym biegu wszedł w zakręt, tył samochodu zarzucił, rozległ się zgrzyt, huk, dziki krzyk...

Wszystko to trwało minutę, nie, kilka sekund... Misza nawet nie zdążył mrugnąć, jak drogi zachodni wóz zamienił się w kupę złomu z uwięzionym w środku trupem.

- Mam kompletnie zepsuty nastrój - skarżył się inspektor. - Tak dobrze się dzień zaczynał, a tu masz ci los! Śmiertelny wypadek!

- Sama sobie winna - mruknął drugi gliniarz. - Nie ma się co litować. Gołoledź, grudzień... Jeżeli zawsze tak jeździła, to długie życie nie było jej pisane.

- Ale pan tu nikogo nie zna - rozzłościł się nieoczekiwanie Misza
- a ja piąty rok pracuję i znam wszystkich ich przyjaciół i krewnych... Polina jeździła ostrożnie...
- Akurat - zachichotał chłopak.
Misza umilkł. Wsiadłam do renaulta i starając się nie patrzeć na krwawe kałuże, ruszyłam. Już podjeżdżając do Moskwy, zdziwiłam się poniewczasie, dlaczego Misza zwracał się do swego kolegi, równie młodego jak on, per "pan"?
Diegtiariow powitał mnie bez uśmiechu.
- Polina?! - wykrzyknęłam od progu. Aleksander Michajłowicz przytaknął.
- Jesteś pewien? - Czepiałam się resztek nadziei.
- Całkowicie!
- Ale lekarz ją badał; może ona żyje?
- Nie żyje - uciał pułkownik. - Wszystkie kości połamane, pęknięcie wątroby i płuc, skręcony kark...
- Musisz natychmiast wszcząć śledztwo!
- W jakiej sprawie? - wściekł się pułkownik. - Na jakiej podstawie prawnej?
Usiadłam na krześle, rozpięłam kurtkę i powiedziałam ze znużeniem:
- No, sam się zastanów! Najpierw Pola umiera z nieznanych przyczyn...
- Nie ma w tym nic dziwnego - przerwał mi pułkownik.
- sprawdziłem. Pogotowie stwierdziło atak serca. Zwyczajna rzecz.
- Ale nie w dwudziestym roku życia!
- Miała dwadzieścia trzy.
- To też żaden wiek. No dobra, zgoda, może ta przedziwna historia w szpitalu to przypadek, ale wybuch w samochodzie? Sam przecież nie wyleciał w powietrze.
- Kto ci powiedział o wybuchu? - zdziwił się Diegtiariow.
Speszyłam się.
- Ale przecież wóz się zapalił. Zginęła Lena, koleżanka Poli...
- Nie ma w tym nic kryminalnego, nie znaleziono śladów trotylu, po prostu nastąpiło zwarcie instalacji i wybuchł pożar...
- Dobrze, niech będzie, że to też się stało przypadkiem, ale zastrzelona kobieta w przymierzalni? Przecież weszła tam Pola i nikt nie wiedział, że zamieniła się z tamtą kabinami!
- A skąd ci przyszło do głowy, że to był strzał?
- Polina mi powiedziała, a jej milicjant!
- Bzdury. Nikt nikogo nie zabił.
- Sama widziałam krew.
- No to co? Miała gruźlicę, dostała krwotoku i zmarła, biedna, w przymierzalni. Oczywiście, to przykre, ale znowu nic niezwykłego.
- Ale w kotarze była dziurka, taka okrągła, z osmalonymi brzegami...
- Nonsens - nie poddawał się Diegtiariow. - Ktoś przypadkowo dotknął kotary papierosem, pocisk zostawia całkiem inny ślad. W zupełnej rozterce dorzuciłam:
- Ale Pola sama mi powiedziała, że ktoś na nią poluje...
- Polina ma pstro w głowie - rozgniewał się Diegtiariow. - A raczej miała i dlatego się rozbiła! Kto to widział, żeby tak pędzić...
- Ona zawsze jeździła ostrożnie.
- A dziś odstąpiła od tej zasady. A właśnie, pozwoliłaś jej wziąć forda?
- Nie - wykrztusiłam - nie prosiła mnie wczoraj...
- No widzisz. - Pułkownik sapnął z satysfakcją. - Kompletnie nieodpowiedzialne stworzenie, najpierw bez pytania zabiera cudzy wóz...
- Ale jej samochód się spalił - próbowałam usprawiedliwić Polę.
- Pewnie dopiero rano się połapała, że nie ma czym pojechać na zajęcia! Kiesza z Kicią wyjechali o siódmej, szkolny

autobus przyjechał po Marusię o wpół do ósmej, a Pola dopiero pół godziny później zorientowała się, że nie dotrze do miasta, i wzięła fordę. A zresztą dobrze wiedziała, że zawsze pożyczam wóz, jeżeli ktoś go potrzebuje.

- Aha. - Diegtiariow kiwnął głową. - Więc po prostu nie chciała cię budzić?

- Właśnie!

- Wsiadła do zagranicznego samochodu i naturalnie nie wiedziała, jak się go prowadzi. Sama sobie winna!

Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się, że Diegtiariow będzie taki szorstki, ale pewnie była to skaza zawodowa. Dla mojej przyjaciółki Oksany człowiek na stole operacyjnym to też tylko ciało.

- Nie mogę się uzalać nad pacjentem - mawia Oksana. - Potem się oczywiście przejmuję, ale nigdy w czasie operacji.

Żenka także o zwłokach mówi "umarłaki", a Arkady z całym spokojem doradza swoim klientom gangsterom, jak uniknąć odpowiedzialności. W chwili omawiania z oskarżonym strategii postępowania na procesie nie myśli o tym, że ma do czynienia z zabójcą czy bandytą. Praca to praca, często brutalizuje ludzi, pozbawia ich emocji.

- A więc nie wdrożą śledztwa...

- Nie ma podstaw, nie był to incydent zahaczający o kodeks karny.

- Kiedy mogę zabrać ciało?

- Nie musisz - odparł Diegtiariow. - Zadzwoń do Stanów do Niny, przyjedzie za parę dni i zabierze zwłoki do Ameryki.

- Dlaczego? - zdumiałam się. - A poza tym, jak się dodzwonię, przecież ona wyjechała na urlop?

Aleksander Michajłowicz uniósł brwi.

- To jej sprawa, gdzie chce pochować córkę. Mówi, że w Rosji nie ma już bliskich, nikt by się nie opiekował grobem. A co do urlopu, to nie wiem. Wybrałem numer, Nina podniosła słuchawkę.

- Ale kto pozwoli pochować obywatelkę rosyjską w Stanach?

- Zapomniałaś, że Pola miała też obywatelstwo amerykańskie rzucił Diegtiariow.

Zamilkłam. Rzeczywiście. W 1977 roku Ninka była w piątym miesiącu ciąży, kiedy zaproponowano jej wyjazd do Nowego Jorku. Miała być tłumaczem aktorów teatru dramatycznego czy jakiejś orkiestry symfonicznej, już nie pamiętam. Ci, którzy nie zapomnieli jeszcze lat siedemdziesiątych, wiedzą, jak trudno było wyjechać do Stanów. A raczej, że było to wręcz niemożliwe. Nina wahała się może pięć minut i oczywiście się zgodziła. Jej kalkulacja była bardzo prosta: pięć plus dwa równa się siedem. Zdaży wrócić przed rozwiązaniem. Poza tym Ninuszka jest kobietą przy kości, z dużym biustem, brzuch, nawet nie będąc w ciąży, miała wystający... Jednym słowem, liczyła na to, że nikt niczego nie zauważy, i miała słuszną. Nikomu nawet do głowy nie przyszło, że tłumaczka jest w ciąży. Tym bardziej że Ninka biegała jak fryga i nie miała żadnych dolegliwości. Tyle że ciągle kupowała buteleczki, smoczki, śpioszki i nieznane w ZSRR pielucho-majtki... Ciekawskim wyjaśniała krótko:

- Moja siostrzenica spodziewa się dziecka...

Wszystko szło świetnie aż do ostatniego dnia tournée. W nocy nieoczekiwanie zaczęły się skurcze i odwieziono Ninę do szpitala. Zrobił się koszmarny skandal. Artyści odlecieli do kraju bez tłumaczki. Przedstawiciel ambasady radzieckiej wdarł się do sali szpitalnej i zaczął z wściekłością wykrzykiwać coś o zdrajcach socjalistycznego ustroju, którzy postanowili oddać się w łapy płatnej kapitalistycznej medycyny. Ninka strasznie się zdenerwowała. Zastanawiała się nawet, czy nie poprosić o azyl polityczny. W kraju przecież już i tak nie będzie miała życia. Powstrzymała ją tylko myśl o matce emerytce...

Nie pamiętam już, kto był w 1977 prezydentem Stanów

Zjednoczonych, ale trzeba trafu, że jego małżonka w ramach

działalności dobroczynnej odwiedziła klinikę, w której leżała Ninka. Dowiedziawszy się, że w jednej z sal leży obywatelka radziecka, która urodziła wcześniaka, pierwsza dama natychmiast wyciągnęła z tej sytuacji wszelkie możliwe korzyści polityczne. Udała się do Ninuszki, uśmiechając się promiennie na benefis tłumy dziennikarzy, zaczęła ścisnąć położnicę, po czym złożyła kilka oświadczeń. Po pierwsze, wszystkie koszty utrzymania i pobytu Niny oraz dziecka w klinice pokryje pierwsza dama. Po drugie, jest gotowa zostać matką chrzestną niemowlęcia, po trzecie, dziewczynka zgodnie z obowiązującym w USA prawem otrzyma obywatelstwo amerykańskie, w związku z czym nazajutrz dostarczony zostanie stosowny dokument.

Następnego dnia rzeczywiście pani prezydentowa znów przybyła do szpitala. Za nią kroczyli dobrze zbudowani ochroniarze, dźwigający kosz orchidei i walizkę napchaną posagiem dla nowo narodzonej.

Ambasada radziecka natychmiast zmieniła krwiożerczy grymas na słodki uśmiech i nawet przysłała kwiaty oraz bombonierkę czekoladek.

Niemniej po powrocie do Moskwy Ninka dostała, jak wówczas mówiono, szlaban na wyjazdy. Aż do 1986 nie pozwalano jej jeździć za granicę, nawet do Bułgarii, ale potem system się rozpadł...

- Wracaj do domu - powiedział Diegtiarow. Usłuchałam odruchowo i powlokłam się długimi korytarzami do wyjścia.

- Daszka, cześć! - krzyknął biegnący z przeciwka Żeńka. - Coś ty taka przybita? Chcesz kawę?

Kiwnęłam głową. Żenia wepchnął mnie do swojego gabinetu, włączył czajnik i potrząsnął pustą puszką.

- Zaczekaj chwilę, skoczę po cukier.

Chciałam powiedzieć, że nie słodzę, ale Żeńka już pogalopował.

W pokoju było zimno, przysunęłam się do kaloryfera i zobaczyłam na biurku kilka kartek, zapisanych wyraźnym, okrągłym pismem.

Moje oczy machinalnie przebiegły tekst. "Stwierdziłem... samochód numer rejestracyjny 277 MAM, kolor śliwkowy..." Ależ to samochód Poli, ten, co się spalił. Zainteresowało mnie to. "...wnętrze w dużym stopniu spalone... ślady kopcina...", zaraz, co tam jest na końcu? "...na podstawie przedstawionych wyżej..." "ślady substancji wybuchowej, prawdopodobnie...".

Skrzypnęły drzwi, szybko zamknęłam oczy. Żeńka powiedział wesoło:

- Hej, obudź się, kawka podana.

Łykając wstrętny, słodki płyn, prowadziłam banalną rozmowę o różnych głupstwach, potem przeszłam do incydentu koło stacji metra Twerska i ostatecznie zamaciwszy przyjacielowi w głowie, z najniewinniejszą miną spytałam:

- Ale dlaczego uznaliście, że to zamach terrorystyczny? Tam była szaszłykarnia, stały butle z gazem... Nieszczęśliwy wypadek.

- Ekspertyza wykazała ślady materiału wybuchowego - wyjaśnił spokojnie Żenia.

- No i co?

- Znaczy, że to zamach terrorystyczny - cierpliwie tłumaczył Żenia. - Trotyl nie poniewiera się wszędzie.

- A czy ekspert nie mógł się pomylić? Żenia parsknął:

- Nie w tym wypadku. Nie, skoro znaleziono ślady materiałów wybuchowych, to znaczy, że była tam bomba.

Nie pojechałam do domu. Usiadłam w renaulcie i zapaliłam, obserwując bezmyślnie, jak błękitna smużka wzbija się pod sufit. Potem, ni stąd, ni z owąd, pojawił się gniew. No, Diegtiarow, poczekaj! Oszukałeś mnie, wcisnąłeś mi kit jak naiwnej idiotce, a ja ci uwierzyłam! Nie, Polę zamordowali, nie wiem, jak ją zmusili, by wjechała na słup, ale na pewno ktoś na nią polował. Najpierw nawaliło jej serce, ale pewnie źle wyliczyli dawkę, potem postanowili ją załatwić w samochodzie, potem zastrzelić w butiku...

Nagle drgnęłam. W szpitalu, w sali 305, leżała na łożku martwa

kobieta, a w informacji na dole powiedziano mi, że to... Polina! W tej klinice jest potworny bałagan. Zabraliśmy Polinę, a nikt z personelu nie raczył powiadomić informacji, czyli... Morderca dowiedział się o wskrzeszeniu Poli, przyjechał do szpitala, zapytał w okienku, gdzie leży Żelaznowa, i powiedziano mu: "w pokoju 305". Biedna ta pacjentka, która zajęła jej miejsce. Koszmar, po prostu koszmar!

Chwileczkę.

Podskoczyłam tknięta nagłą myślą i boleśnie uderzyłam się w kolano o kierownicę. Znaczący, że morderca czaił się gdzieś w pobliżu Poliny! Błyskawicznie się o wszystkim dowiadywał: o zmartwychwstaniu, o tym, że w aucie zginęła inna dziewczyna, i natychmiast podejmował kolejną próbę. Wyczekał, aż Pola zostanie sama, i strzelił do kabiny. W sklepie kłębiła się taka masa ludzi! Ale Polina znowu miała szczęście... Powiodła się dopiero następna próba. Jak on zmusił Polę, żeby wjechała na słup?

. Posiedziałam jeszcze z dziesięć minut i podjęłam decyzję. A więc Diegtiariow nie zamierza wszczynać dochodzenia. Cóż, jego motyw są zrozumiałe, zbliża się koniec roku i pułkownik nie chce sobie psuć "wykrywalności". Kto jak kto, ale on świetnie wie, że Pola nie ma żadnych upartych krewnych, którzy domagaliby się, aby zatriumfowała sprawiedliwość. A jak sprytnie zrobił ze mnie balona! No, grubasie, ja ci pokażę. Skoro nie chcesz szukać mordercy Poli, to nie. Sama zajmę się śledztwem. Nie mogę pozwolić, żeby morderca spacerował sobie na wolności. Pola była mi bardzo bliska, pamiętam ją jako niemowlę, a potem małą dziewczynkę... I w przeciwieństwie do Diegtiariowa nie mam serca z kamienia, a zresztą nie będę mogła spać, jeżeli nie dowiem się prawdy! Wyobrażam sobie minę pułkownika, kiedy się dowie, że rozwiązałam tajemnicę śmierci Poli! Szczeka draniowi opadnie i, prawdę mówiąc, dobrze mu tak.

A więc najważniejsze to działać bez pośpiechu, żeby nikt nie zaczął podejrzewać, że postanowiłam poprowadzić prywatne dochodzenie, a szczególnie należy uważać na dzieci i pułkownika. Najlepiej będzie, jeżeli teraz pojedę do McDonalda i spokojnie pogłównuję. Mam już za sobą pewne doświadczenia detektywistyczne...

Zapaliłam papierosa, uruchomiłam silnik, a potem powiedziałam cicho sama do siebie:

- Daszutka, przyznaj się uczciwie, lubisz rozwiązywać zagadki kryminalne i po prostu głupiejesz z nieróbstwa.

Cóż, to także prawda, wreszcie moje próżniacze życie nabierze sensu. Oczywiście, nikt mi nie zabrania znowu zacząć uczyć, ale czyż nudną pracę nauczyciela można porównać z fascynującym zajęciem detektywa?

Rozdział 7

Spędziłam pół godziny w McDonalddie i zjadłszy ze zdenerwowania od razu dwa cheeseburgery, naszkicowałam plan działania.

Postanowiłam zacząć od Spiridonowa.

Kostik mieszka w tym samym domu, co Polina, w dodatku w sąsiednim mieszkaniu. Nina przyjaźniła się z babcią Kostii, Galiną Iwanowną. Starsza pani sama wychowywała chłopca. Rodzice Kostii bardzo dawno, kiedy ten miał zaledwie roczek, wybrali się w góry. Oboje byli zamiłowanymi alpinistami - młodzi, zdrowi, weseli... Co się tak naprawdę stało na Elbrusie, Galina Iwanowna nigdy nie opowiadała, zawsze trudno jej było o tym mówić, wiedzieliśmy tylko, że Wasia i Tonia zginęli podczas wspinaczki.

Galina Iwanowna sama utrzymywała wnuka, co przy zarobkach pielęgniarki nie było sprawą łatwą. Chwytała się każdej możliwości dorobienia do pensji, kręciła się jak wiewiórka w kole i z wdzięcznością przyjmowała ciuchy po innych dzieciach. Swego czasu często dawałam jej kurtki, koszule i czapki Arkaszki.

Niestety, mój syn spodnie niszczył błyskawicznie, a buty w dwa miesiące potrafił tak zdeptać, że nadawały się tylko na śmietnik. Kostik przyjaźnił się z Polą dosłownie od urodzenia, różnica wieku między nimi wynosi zaledwie tydzień. Razem bawili się w piaskownicy, razem poszli do przedszkola, potem do szkoły... Co prawda, gdzieś w trzeciej klasie, kiedy koledzy zaczęli ich przezywać "narzeczony z narzeczoną", Pola i Kostia na jakiś czas zerwali przyjaźń, ale w dziewiątej klasie znów zasiedli w jednej ławce i przestali zwracać uwagę na docinki. Szczerze mówiąc, myślałam, że pobiorą się zaraz po maturze, ale Pola i Kostia, wykazując niezwykły jak na tak młodych ludzi rozsadek, postanowili najpierw pójść na studia. Co prawda, potem zdecydowali się złożyć papiery w urzędzie stanu cywilnego, ale wtedy zmarła Galina Iwanowna. Tak to już jest na tym świecie.

Po roku Kostia i Pola znów zaczęli planować ślub, ale tym razem udaremniła te zamiary Ninusza, pośpiesznie wychodząc za Teda... Po raz trzeci wesele odłożono, już nie pamiętam dlaczego... No i teraz Kostia owdowiał, zanim został mężem. Jeżeli ktoś wie o Poli wszystko, to tylko on.

Zapominając włączyć w renaulcie autoalarm, wpadłam do bramy, pieszo wbiegłam na drugie piętro i zaczęłam dzwonić do mieszkania. Zza drzwi dobiegał melodyjny gong, ale Kostik nie otwierał. Może siedzi w łazience? To, że jest w domu, wiedziałam na pewno. Przed bramą parkowała jego czerwona niva. Kostia nigdy nie chodzi pieszo, nawet do sklepiku z pieczywem, który mieści się o sto metrów od domu, jedzie samochodem. Nawet Arkady niekiedy używa nóg, a Kostik zawsze za kółkiem, jak jakiś autozaur.

Nie odrywałam palca od przycisku, dzwonek dzwonił jak szalony. Nagle przyszła mi do głowy straszna myśl. Chłopak dowiedział się o tragicznej śmierci Poliny i postanowił popełnić samobójstwo... - Kostik - rozdarłam się, kopiąc w drzwi. - Kostik, otwórz natychmiast, bo wezwę milicję!...

Dały się słyszeć kroki, szcęknał zamek i na progu ukazał się Kostia z zaczerwienioną twarzą, dziwnie błyszczącymi oczyma i rozczochranymi włosami. Popatrzyłam na jego koszulkę, włożoną na lewą stronę, i zapytałam:

- Spałeś? Przytaknął i spytał:

- Dasza, co się stało?

A więc Diegtiariow jeszcze do niego nie dzwonił i to ja będę musiała przekazać chłopcu straszna wiadomość. Nie wiedząc, jak zacząć, zagadnęłam dość obcesowo:

- Mogę wejść, czy będziemy rozmawiać na schodach? Kostia uśmiechnął się:

- Coś ty taka wściekła? Wejdziesz do kuchni. Chcesz kawy? Kostik ma malutką kawalerkę. Tuż przy drzwiach wejściowych jest łazieneczka, w której nie mieści się pralka. Robiąc jeden krok naprzód, człowiek już jest w pokoju, po następnym kroku w pięciometrowej kuchni; nie ma tu właściwie ani prawdziwego przedpokoju, ani nawet korytarzyka - to już nasze chomiki mają większy domek... Aby wygospodarować choć trochę przestrzeni, Galina Iwanowna kiedyś zdjęła drzwi do pokoju i kuchni, i powiesiła w futrynach zasłonki. Kiedy Kostia był mały, babcia zaciągała kotary, żeby dziecko mogło spać, ale potem, jak sięgnę pamięcią, zawsze były odsunięte. Teraz jednak wejście do pokoju okazało się zasłonięte. Pewnie Kostik nie chce, żebym zobaczyła łóżko z niezbyt świeżą pościelą, wstydzi się...

Milczeliśmy, czekając, aż zagotuje się woda w czajniku. Potem Kostia zapytał:

- Co się stało?

Chcąc odwlec przykry moment, bąknęłam:

- No... e... chciałam umyć ręce.

- Jasne, idź - zezwolił gospodarz.

Usiadłam na sedesie i zadumałam się. Muszę przekazać Kostii okropną wiadomość, ale strasznie mi się nie chce. Dlaczego wiecznie przypadają mi jakieś przykre obowiązki?! Nie wymyśliwszy nic sensownego, cicho wyszłam z łazienki, zobaczyłam, że Kostia nie ma w kuchni, i podjęłam decyzję. Nagłym ruchem odsunęłam zasłonę i zaczęłam:

- Kostia!...

Ale dalsze słowa utknęły mi w gardle. Na dźwięk mojego głosu chłopak obejrzał się i próbował zasłonić sobą łóżko... Ale i tak zobaczyłam to, co usiłował ukryć.

Pościel wbrew moim oczekiwaniom była nienagannie świeża i nawet wyprasowana. Powłoczkę zdobiły koronki. Na poduszce rozsypane były ciemne loki, okalające wąską twarzyczkę nie znanej mi dziewczyny.

- Po jaką cholere pchasz się do pokoju? - z nieoczekiwaną złością wrzasnął Kostia. - Nie widzisz, że zasłonka jest zaciągnięta?

- Bardzo cię przepraszam - wybełkotałam. - Nie miałam pojęcia, że nie jesteś sam.

- A co, masz mnie za eunucha? - rzucił gniewnie Kostia, bez ceremonii wypychając mnie z pokoju.

- Ale Pola...

- Co Pola? - wściekł się Konstanty.

- Przecież mieliście się pobrać!

- Zerwaliśmy - powiedział sucho Kostia. Osłupiałam.

- Kiedy?

- Pod koniec listopada.

- Nie rozumiem...

- A co tu jest do rozumienia? - Chłopak wzruszył ramionami.

Mieliśmy siebie dość po tylu latach, zaczęliśmy się kłócić i uznaliśmy, że to palec boży, że nie doszło do ślubu. Pamiętasz chyba: to jedna przeszkoda, to druga... No i postanowiliśmy zostać przyjaciółmi.

- Ale tak płakałeś, kiedy się dowiedziałeś o śmierci Poli...

- Nic dziwnego, całe życie byliśmy razem, tylko stanowczo odechciało mi się z nią żenić, a zresztą, sądząc ze wszystkiego, jej też przeszła ochota. Zresztą to ona pierwsza zaczęła, poderwała sobie faceta i przyszła z nim na urodziny do Łońki Rakitina. A skoro tak, to i ja związałem się ze Swietą!

- Czemu nam o tym nie powiedzieliście?

- A co, mamy informacje o swoich sprawach podawać przez radio?

Wielka mi rzecz! Ile razy ty sama się rozwodziłaś?

- Cztery...

- No widzisz, a nam nie wolno? Milczałam.

- Zaczekaj tutaj - rzucił Konstanty.

Wstał i wyszedł z kuchni, nie zapominając przy tym starannie zaciągnąć zasłony. Po chwili dały się słyszeć ostrożne kroki, szept i stuknięcie drzwi. Kostik odsunął zasłonkę i powiedział:

- Jesteśmy sami. Swietka wyszła, więc możemy teraz porozmawiać szczerze, skoro tak ci na tym zależy! Ale z góry uprzedzam, nic przyjemnego nie usłyszysz!

- Polina... - spróbowałam znów przekazać nieprzyjemną wiadomość

- ...Polina...

- Co? - krzyknął Kostia. - Co Polina? Biały anioł ze skrzydłami, a ja potwór? Tak? Zawsze wszyscy bierzecie jej stronę...

- Ale Pola...

- Polina to wredna suka - podsumował Kostia. - Obrzydliwa baba bez sumienia i honoru!

- Co ty wygadujesz? - oburzyłam się. - Nie gadaj bzdur.

- Taak - rzekł przeciągle Kostia. - Robić dobre wrażenie to ona potrafi. Słodkie oczęta, uśmiech na gębie... Anioleczek. Jeśli chcesz wiedzieć, to jeszcze w drugiej klasie podbierała kolegom w szatni forszę z kieszeni! Wiem o wszystkich jej numerach! A ty wcale jej nie znasz!

- Widowałyśmy się dość często - oponowałam.

- Aha - prychnął Kostia. - Raz na kwartał... Oczywiście, przy tobie zachowywała się odpowiednio, cicha woda, wszystko jak należy... Panienska z dobrego domu, a, e, elegancko... Oj, tiutiutiu, moje pieseczki śliczne, och, Daszeńko, jak ci ładnie w tej bluzce...

- Przestań błaznować! Polina to miła, wspaniale wychowana...

- To suka! - wrzasnął Kostia. - Zołza! Pamiętasz Anię Popową?

- No coś ty? - rozzłościłam się. - Oczywiście. Najlepsza przyjaciółka Poliny, parę razy były u nas we dwie. Anieczce bardzo się podobał Hootchuś, a na pogrzebie...

- Więc wyobraź sobie, że Ańka z Polą nie rozmawiają już od pół roku!

- Dlaczego? - zdumiałam się.

- Cholera wie - odparł Kostia. - Raz wpadłem na Anię w metrze, zacząłem ją wypytywać, a ona aż się zachnęła i mówi: "Zabić ją to jeszcze za mało!". No i nie wiem, co między nimi zaszło. A masz pojęcie, co ona wyprawiała ze mną?

- Nie.

Kostia zapalił i zasypał mnie lawiną informacji.

- Byłem w niej zakochany jak szczeniak. Po prostu umierałem z miłości i zaraz po balu maturalnym wyskoczyłem z oświadczeniami. Idźmy razem przez życie, ręka w rękę, rodzina to podstawowa komórka społeczna itede.

Polina jednak objęła epuzera i powiedziała:

- Kostik, musisz iść na studia, ty też powinienes dalej się uczyć. Bogatych krewnych nie mamy, mocnych pleców też, nikt nam nie pomoże. Moja mama jest niezamożna, a ty w ogóle sierota... Nie, najpierw musimy zdobyć wykształcenie...

Kostia uznał argumenty ukochanej i zaczął się przygotowywać do egzaminów na studia. Tego lata on i Polina wcale się nie widywali. Najpierw ona zdawała do Instytutu Języków Obcych; to prestiżowa uczelnia, w której chesne za rok wynosi prawie tyle co w Cambridge - dziesięć tysięcy dolarów. Polina takiej kasy nie widziała na oczy, więc chciała się dostać na miejsce bezpłatne. Było ich tylko dwanaście i należało zdać na piątki ze wszystkich przedmiotów. Potem, kiedy z powodzeniem przeszła tę próbę, do egzaminów przystąpił Kostia. Sprytny chłopak, nie chcąc, żeby go wzięli do wojska, wybrał sobie absolutnego pewniaka: uczelnię pedagogiczną, wydział wychowania przedszkolnego. Wykuwano tam kadry dla przedszkoli i chłopców, którzy chcieliby zostać wychowawcami, po prostu nie było. Dziekan stanowczo uprzedził członków komisji egzaminacyjnej:

- Jeżeli tylko jakiś młody człowiek złoży papiery, noście go na rękach i zróbcie wszystko, żeby się dostał.

Dlatego też, w przeciwieństwie do Poli, Kostia niezbyt się przykładał do nauki - wiedział, że i tak go przyjmą.

Dwunastego sierpnia, ujrawszy swoje nazwisko na liście przyjętych, chłopak zadzwonił do Poli; chciał ją zaprosić do jakiejś knajpki, żeby uczcić swój sukces, ale Nina, jej matka, zawołała ze zdziwieniem:

- Kostieńka? Rozmيناłeś się z Poliną? Leć prędko, pewnie obie z Anią już czekają na ciebie na dworcu!

- Na jakim? - Kostia nie potrafił ukryć zaskoczenia.

- Zapomniałeś drogi na naszą daczę? - spytała Nina. - Na Kijowskim. Słyszałam zreszta, jak Polina się z tobą umawiała. Na peronie pod zegarem, przy kiosku z gazetami.

Kostia raz dwa się ubrał i pognął we wskazanym kierunku. W głębi duszy czuł się trochę urażony, że dziewczęta postanowiły chyłkiem wybyć za miasto.

Oczywiście na peronie już ich nie było. Kostia wskoczył do pociągu, dojechał do Mieczurina, szybkim krokiem dotarł do znanego domu, pchnął furtkę i zobaczył na werandzie Polę z jakimś facetem.

Nieznajomy obrzucił go szybkim spojrzeniem i natychmiast zniknął

w domu. Pola dość niemiłym tonem zapytała:

- Jak się dowiedziałeś, gdzie jestem?
- Nina mi powiedziała.
- Jedź do domu! - rzekła rozkazująco Pola.
- Więc ty... - zaczął wolno Kostia.

Ale Polina nie pozwoliła mu dokończyć, szybko wypuściła zakochanego kawalera za furtkę, po czym przez płot oznajmiła cicho:

- To rektor mojej uczelni.
- Co on tu robi? - nie mógł zrozumieć Kostia. Pola westchnęła:
- Posłuchaj, głupku, bezpłatnych miejsc jest tylko dwanaście, a z pracy pisemnej dostałam czwórkę. Co prawda, w końcu czwórka zamieniła się w piątkę, ale pieczone gołąbki same nie lecą do gąbki. Teraz jestem studentką pierwszego roku, a w dodatku nie zapłacę za studia ani kopiejki. Ale nadszedł czas rewanżu. Chwytasz? No więc jedź do domu.
- Chcesz powiedzieć... - Kostia wciąż nie mógł uwierzyć.
- Droga do gwiazd prowadzi przez łóżko - spokojnie wyjaśniła Pola.
- A co ze mną? - spytał głupio chłopak. Polina uśmiechnęła się.
- Czy coś się zmieniło? Gdyby nie głupi przypadek, nigdy byś się nie dowiedział. Kocham tylko ciebie, a to jest coś w rodzaju wizyty u dentysty, zamkniesz oczy, trochę pocierpisz - i gotowe. Mnie nie ubędzie i ty nic nie stracisz...
- I co zrobiłeś? - spytałam. Kostia odparł ponuro:
- Pojechałem do domu. Naturalnie do urzędu stanu cywilnego nie poszliśmy i w ogóle do Nowego Roku z nią nie rozmawiałem.
- Ale potem się pogodziliście? Przytaknął.
- Pierwsza do mnie przyszła. Przepraszam, przebac mi, kocham cię, ubóstwiam, pogódźmy się.

- A ty?

- A ja, jak głupi, postanowiłem zacząć wszystko od początku. Znowu zaczęli planować ślub, nawet złożyli papiery i wyznaczyli dzień - 12 sierpnia. Ale w lipcu Polinę skierowano na praktykę do Business Banku. Ósmego poznała szefa, niejakiego Andrieja Karcewa, i nawiązała z nim płomienny romans.

- Przyszła do mnie - zwierzał się rozgorączkowany Kostia - i od progu

oznajmiła: "Kocham tylko ciebie, ale nie gniewaj się, jesteśmy nędzaczkami, golcami bez własnego kąta... Gdzie się podziemy po ślubie?".

Kostia próbował argumentować:

- Mam przecież własne mieszkanie. Polina załamała rękę.
- Ależ tam poza tobą nawet kanarek się nie zmieści! A co będzie, jak się posypią dzieci?
- No to zamieszkamy u was - nie poddawał się Kostia. - Przebijemy ścianę i z twojego trzypokojowego i mojej kawalerki zrobimy ekstra-apartament. Wystarczy dla całej kupy dzieciaków.
- Aha - wtrąciła Polina. - I z moją mamą na dodatek! Nie, dzięki, chcę mieć własne mieszkanie, sto metrów!
- Skąd je weźmiesz? - Kostia uśmiechnął się.
- Właśnie! - Polina podniosła palec. - Dobre pytanie! Chatę podaruje mi Andriej, jest koszmarnie bogaty, dla niego to jak splunąć, nawet nie poczuje. Czyli wesele będziemy musieli odłożyć na jakieś pół roku. Przez sześć miesięcy poodgrywam dziką namiętność, a potem się z nim rozstanę. Zaczniemy nie od zera, ale wszystko będziemy mieli podane na tacy. A właśnie, może nawet Andriej da mi samochód!

Kostia zeszywniał, a potem bez słowa wstał, ubrał się i wyszedł. Kiedy wrócił po jakichś trzech godzinach, Poli nie było, tylko w powietrzu unosił się subtelny zapach drogich perfum.

- A myśmy myśleli, że ślub został odłożony z powodu śmierci Galiny Iwanowny - wyjąkałam.

- Termin mieliśmy wyznaczony na dwunastego sierpnia - odparł

Kostia, kręcąc głową - a babcia umarła dwudziestego trzeciego. To ja łągałem jak najęty, że ślub odłożyliśmy najpierw z powodu jej choroby, a później wszyscy zapomnieli, co i jak. A mnie było to na rękę, bo nie chciałem opowiadać, jak się rzeczy naprawdę mają.

- I znowu się pogodziliście? Kostia kiwnął głową.

- Ten cały Andriej okazał się sknerą, żadnego mieszkania nie dał, i w ogóle potem wyszło na jaw, że nie ma pieniędzy. Wszystko to był szmal tatusia, straszego twardziela, a synek służył mu tylko za parawan. Jednym słowem, Polina została na lodzie!

I znowu Pola przybiegła do Kostii i zaczęła z tej samej beczki:

- Kocham tylko ciebie, chciałam, żeby nam niczego nie brakowało, robiłam to dla rodziny...

I zakochany do szaleństwa Kostia jeszcze raz jej wybaczył. Znowu byli razem, ale dawne szczęście nie powróciło. Chłopak nie ufał już narzeczonej, zaczął być zazdrosny... Pola się złościła, denerwowała, ciągle się kłócili... Krótko mówiąc, jeszcze przed ślubem zachowywali się jak znudzeni sobą małżonkowie.

Kolejny raz ślub odłożono przez Ninę. Ted chciał się ożenić w USA, więc Ninusza wraz z Poliną poleciały do Stanów. Polina specjalnie, żeby móc wyjechać, zdała przed terminem letnią sesję. Osiemnastego maja Kostia odprowadzał je na Szeremietiewo. Polina uściskała go i powiedziała:

- Głowa do góry. Dziesiątego lipca wracam, a piętnastego my też się pobierzemy.

Ale dziesiątego nie przyleciała. Zadzwoiła trzynastego i radośnie wyszczebiotała:

- Kostik, są problemy z biletami... Przy rezerwacji kilka dni wcześniej wypada trzy razy drożej. Ted nie chce przepłacać! Więc wrócę w sierpniu, pod sam koniec wakacji. Głowa do góry, kocham tylko ciebie.

Znajomy refren ugodził Kostię jak nóż. Zrozumiał, że w Stanach jego narzeczoną znowu nawiązała jakiś romans. Ale Ameryka to nie Miczurinic, nie da się tam tak po prostu pojechać. Kostia przemęczył się przez lato w mieście, a dwudziestego dziewiątego sierpnia Pola, jeszcze ładniejsza niż przedtem, opalona, przyleciała do domu i zaczęła dzielić się wrażeniami z pobytu w Stanach.

Było wspaniale, Ted zawiózł je na Florydę, w Ameryce jest bardzo wesoło, dookoła radosne twarze, mama zadowolona.

- Miałaś tam kochanka - nie wytrzymał Kostia.

- Oszalałaś! - zaśmiała się Pola. - Skąd ci to przyszło do głowy? Nie, gdybym spotkała tam mężczyznę swego życia, to już bym nie wróciła, wiesz, jak tam jest super?

Kostia nagle wszystko zrozumiał. Facet był i romans też, tylko jak zwykle, Polinie znowu się nie udało. Z jakiegoś powodu wszyscy mężczyźni tylko ciągnęli ją do łóżka, ale małżeństwa nie proponowali. Do ołtarza pragnął Polinę poprowadzić tylko Kostia. Najwyraźniej trzymała starego przyjaciela w odwodzie, zgodnie z zasadą: lepszy taki mąż niż żaden, ale gdy tylko na horyzoncie pokazywał się ktoś z lepszymi perspektywami, natychmiast odrzucała wiernego Romea jak parę znoszonych kapci. Zapewne wszystkie te myśli odbiły się na twarzy Kostii, bo Polina szybko zaczęła tę samą śpiewkę:

- Kocham tylko ciebie...

Co prawda, tej jesieni zachowywała się nienagannie. Ale w październiku nie wiadomo skąd zaczęła mieć sporo pieniędzy.

Kostia, przychodząc bez uprzedzenia do mieszkania Poliny (miał klucze), natykał się wciąż na nowe nabytki. W łazience pełno było drogich kosmetyków i markowych perfum, w szafie pojawiło się futerko z błękitnych norek, a starego, rozklekotanego moskwicza zastąpiło nowiutkie żiguli, w dodatku ostatni model, "dziesiątka". W mieszkaniu znalazł się drogi magnetowid, luksusowa aparatura stereo, a w lodówce na półkach leżały

produkty nie z hurtowni, lecz z drogiego supermarketu.

Na pytanie Kosti, skąd ma pieniądze, Polina oznajmiła spokojnie:

- Nina przysyła, załatwiła sobie dobrą pracę...

Nadszedł jednak ósmy listopada, urodziny Ninuszy, i Kostik zatelefonował za ocean. Przyszła teściowa ucieszyła się, podziękowała za życzenia, a na pytanie chłopca: "Co słyhać?" odrzekła z westchnieniem:

- Cóż mogę ci powiedzieć? Z jednej strony, dobrze, dom zasobny, żadnych kłopotów... A z drugiej... Ted, jak wszyscy Amerykanie, jest bardzo oszczędny. To nie Rosjanin, który odda dzieciom ostatnią koszulę. Tu jest wszystko inaczej, skończyłeś college - idź do pracy. Rodzice ci nie pomogą. No i nie pozwala mi wysyłać pieniędzy Polinie, a ja sama nie pracuję...

- Nic pani jej nie posyła? - uściślił Kostia. - Ani centa?

- No, kiedy Pola przyjeżdża - zaczęła tłumaczyć Nina - Ted niczego jej nie skąpi, zabiera ją do restauracji, na koncerty, kupuje prezenty, ale pieniędzy jej nie daje. Taka mentalność... Kostia nie zdażył się zastanowić, co ma powiedzieć Polinie, kiedy podła kłamczucha sama do niego przyszła i zaczęła trajkotać:

- Wyobraź sobie, musiałam zmienić zamek, bo stary się zepsuł.

Długo snuła epopeję o zatrasku, opisując wizytę ślusarza, podawała ceny... Ale! Ale nowego klucza Kosti nie dała. I chłopak zrozumiał, że w życiu Poliny znów pojawił się mężczyzna, a on kolejny raz odgrywa niewdzięczną rolę rogakza.

Kostia bardzo kochał Polinę i naprawdę chciał z nią spędzić całe życie. Co więcej, odznaczając się wyjątkowo niekonfliktowym, równym, niemal kobiecym usposobieniem, wiele razy wybacział dziewczynie rozmaite numery... Ale tego było już za wiele. Bądź co bądź, Kostia należał do istot płci męskiej.

Zapewne należało dać łajdaczce po twarzy i zacząć wrzeszczeć:

- Wszystko wiem! Twoja matka nie przysyła ani centa, mów, ździro, kto ci kupuje ciuchy i perfumy?

Ale Kostia tylko powiedział spokojnie:

- Zamek... Tak, to jest problem, niełatwo znaleźć taki, który by się nadawał!

Nazajutrz po tej rozmowie uśmiechnął się do ładnej śmieszki Swietoczki, która dawno robiła do niego słodkie oczy, i zaprosił ją na dyskotekę. Miłość do Poliny wypaliła się.

- Wycisnęła mnie jak tubkę pasty do zębów - mówił Kostia, wzdychając. - Docisnęła do samego końca, nic nie zostało...

Patrzyłam na niego w milczeniu, nie wiedząc, jak się teraz zachować, i w tym momencie zadzwonił telefon.

- Tak - powiedział Kostia. - Cześć, Aniu.

Po chwili zmienił się na twarzy i poblądł, a słuchawka upadła mu na podłogę.

- Polina - wyszeptał. - Poll... Czy wiesz, że ona...

Przytaknęłam.

- Wiedziałaś?

- Właściwie przyszłam, żeby cię zawiadomić o jej śmierci, najpierw bałam się to zrobić, ale skoro ze sobą zerwaliście...

- O Boże, Pola - jęknął Kostia. - Ty nic nie rozumiesz, ja ją kocham, ale nie mogę z nią żyć, kocham i nienawidzę... O Jezu, za co? To straszne...

Opuścił głowę na stół. Otworzyłam lodówkę. Kostia zapytał nagle:

- Czego szukasz?

- Kropli nasercowych albo waleriany...

- Nic z tych rzeczy nie mam.

Nalałam wody do szklanki, podałam mu i zaproponowałam:

- Może skoczę do apteki?

- Nie potrzeba - szepnął. - Bądź tak dobra, idź sobie, zostaw mnie samego...

Zawahałam się.

- Idź - powtórzył Kostia - na miłość boską, wyjdź, nie martw się, wszystko w porządku, ale wolałbym teraz być sam, rozumiesz?

Kiwnęłam głową i wyszłam.

Rozdział 8

Na dworze znacznie się ochłodziło, a ja, jak większość automobilistów, nie noszę ciepłego palta ani futra, w długim okryciu trudno się prowadzi, toteż zanim dobiegłam do renówki, zdażyłam porządnie zmarznąć. Aby się ogrzać, włączyłam nawiew ciepłego powietrza i zapaliłam papierosa. No, no, poznałam właśnie Polinę z zupełnie innej strony. Chociaż Kostia ma rację, właściwie wcale jej nie znałam. Byłyśmy z Niną dość blisko zaprzyjaźnione. Ninusza często przyjeżdżała z córeczką do nas, do Miedwiedkowa. Różnica wieku nie przeszkadzała Kieszcy i Polinie bawić się razem, poza tym Arkady czuł się przy małej bardzo dorosły i zachowywał się niezwykle szarmancko. Sprzął ją bardzo parę razy, i to słusznie. Polina w dzieciństwie była straszną skarżypytą i wiecznie opowiadała mamie, co kto nabroił. Kiedy podrosła, nie przyjeżdżała już tak często... Zamyśliłam się. Nagle mnie olśniło, że nowy przypływ miłości Poliny do nas zbiegł się w czasie z otrzymaniem przez nas spadku. Przedtem nie było jej ze dwa lata, choć co prawda, zawsze dzwoniła z życzeniami urodzinowymi i świątecznymi.

Gdy tylko jednak Nataszka została baronową McMayer, Polina zaczęła spędzać u nas każdą wolną chwilę. Raz nawet pomyślałam, że podoba jej się Arkasza. Tak na niego patrzyła! Ale potem doszłam do wniosku, że mi się zdawało... Znali się przecież od dziecka i nigdy nie spostrzegłam nic, co by wyglądało na zakochanie. A poza tym w owym roku, kiedy nagle staliśmy się bogaczami, Kieszka był już żonaty z Kicią, no, a Pola miała Kostię...

Polina pojechała z nami do Paryża. Przeniosłam się myślami do zeszłej jesieni. Wchodzimy z Poliną do sklepu "Samaritaine", gdzie kupujemy jej nowe ciuchy. Przy czym liczba mnoga czasownika "płacić" nie ma tu zastosowania. W kasie zawsze płaciłam ja. Dawałam jej zresztą forszę także w Moskwie, po prostu podrzucałam do torebki. Pola nigdy o nic nie prosiła, ale wiedziałam, że z gotówką u niej krucho. Kicia zresztą też często dawała jej w prezencie perfumy, kosmetyki, elegancką bieliznę... Uważaliśmy Polinę za kogoś z rodziny, powiedzmy, siostrzenicę...

Wartki strumień wspomnień nagle się urwał. Zadzwoił telefon.

- Gdzie jesteś? - warknęła Kicia.
- Na mieście, niedaleko Nowosłobodzkiej.
- Natychmiast wracaj do domu!
- Dlaczego?
- Jak to? - krzyknęła Olga. - Zapomniałaś?! A serial?!
- Ale co to ma wspólnego ze mną?
- To, że masz zaraz wracać, wszyscy czekają, Borys klnie, na czym świat stoi!

Ciężko wzdychając, wcisnęłam sprzęgło i wrzuciłam jedynkę.

Słusznie myślałam, że o spokoju teraz nie ma co marzyć.

Nasz hol wyglądał wprost koszmarnie. Trumna stała pod ścianą i znów spał w niej Bundy. Cały wieszak zapchany był kurtkami, kożuchami i futrami, po podłodze ciągnęły się grube, czarne kable. Z salonu dobiegał rozkazujący głos Borysa:

- Dobra, siadacie, Olga, bierzesz jabłko, ruszamy... Uchyliłam drzwi i zmrużyłam oczy. W pokoju paliły się oślepiające reflektory.

- Kto tam? - wrzasnął reżyser. Zobaczył mnie i natychmiast zmienił ton:

- O, Daszeńka, cudownie, w samą porę, kręcimy scenę obiadu rodzinnego. Proszę usiąść obok Olgi...
- Mam coś zrobić? - spytałam, posłusznie siadając na krześle. Mówić jakiś tekst?
- Niech się pani zachowuje naturalnie - poradził Borys. - No,

niech się pani uśmiecha, żartuje, jak zwykle, kiedy pani miło spędza czas w gronie rodziny...

Popatrzyłam na bladego Kieszę, spoconą Manię, czerwoną Kicię i stłumiłam westchnienie. Jak naturalnie, to naturalnie, mam tylko nadzieję, że Mania i Arkady nie zaczną się swoim zwyczajem kłócić. Na ogół bowiem Kiesza z krzykiem: "Ty beczko sadła, ty baleronie!" - zabiera siostrze piąty kawałek tortu, który ta, zupełnie się nie troszcząc o linię, najspokojniej pakuje do ust. Mania, która nigdy nie pozwala sobie w kaszę dmuchać, zaczyna się drzeć: "Odwal się, ty glisto w skafandrze!".

W tym stadium serdecznej, rodzinnej wymiany zdań zazwyczaj do akcji wkracza Olga, a ja staram się dyskretnie zniknąć, żeby odłamki rozrywających się pocisków przypadkowo nie trafiły mnie w głowę.

Dziś jednak dzieci, pragnąc zasłynąć na cały kraj, były nie do poznania.

- No to jazda! - zapiszczał Borys.

Zagapiłam się w kamerę, nad którą świeciła czerwona lampka. Coś takiego, niby głupstwo, zwykle urządzenie do filmowania, a jak hipnotyzuje! Język przylgnął mi do podniebienia, ręce jakby ktoś skrępował... Najwyraźniej Borys zrozumiał, co się ze mną dzieje, bo od razu powiedział:

- Daszo, teraz zrobimy tylko próbę. Zadanie jest następujące: spokojny, rodzinny obiad, taki jak zwykle. Swobodna pogawędka, smaczne jedzenie... Wszystko naturalnie, niewymuszenie, lekko... Proszę się nie spinać, uprzedzę, kiedy zaczniemy kręcić, no, do roboty, im wcześniej zaczniemy, tym szybciej skończymy. Najważniejsze to naturalność. No, Masza, zaczynaj, ty chyba masz najmniejszą tremę!

Maniusza zaczerwieniła się, odchrząknęła cichutko i zagaiła:

- Kieszyk, mój drogi, bądź tak dobry, nałóż mi, proszę, kawałeczek tortu.

- Z przyjemnością, kochanie. - Braciszek rozpląnął się w uśmiechu. - Którego? Z bitą śmietaną czy z truskawkami?

- Preferuję ciasta z kremem - odparła Mania.

- Może poszlibyśmy dziś do muzeum? - spytała Kicia.

- Cudowny pomysł - znów rozpromienił się Kiesza. - A ty się zgadzasz, mamusiu?

Skinęłam głową, z wysiłkiem powstrzymując wybuch śmiechu.

- Kurczak doskonale się udał - oznajmiła Olga. - Przyrumieniony w sam raz.

- Bardzo apetycznie wygląda - dodał Kiesza, który nie cierpiał kurcząt pod żadną postacią - ani gotowanych, ani pieczonych, ani duszonych. - Wspaniałe danie.

- Kieszeńka - kontynuowała Maszka - nałóż mi z łaski swojej jeszcze kawałeczek tortu, o ten, z czerwoną różyczką!

W oczach mojego syna zapalił się zły płomyk, ale powstrzymał się z uwagi na Olgę i przesadnie słodkim głosem - istny cukier w czekoladzie - odparł:

- Oczywiście, skarbie! A może jeszcze porcję biszkoptu z konfiturami? Zjedz i to, i to.

Maruśka podniosła brew, ale też stłumiła gniewną replikę i zaciumkała:

- To szalenie miło z twojej strony, cudownie! Jesteś strasznie uprzejmy.

- W Rosyjskim Muzeum Etnograficznym - ciągnęła swoje Kicia otwarto rewelacyjną ekspozycję, poświęconą osiemnastowiecznym ubiorom. W owych odległych czasach odzież...

Usilnie udawałam, że jestem zajęta pałaszowaniem sałatki.

Strasznie się bałam, że za chwilę nie wytrzymam i zarzę na całe gardło, gdy tylko spojrzę na Olgę. Kiciunia siedziała

wyprostowana jak struna, jak primabalerina na audiencji u

królowej angielskiej, na jej ustach igrał uroczy uśmiech, a do kamery odwracała się ostrożnie, świetnie wiedząc, że z profilu

jej nos wydaje się odrobinę za długi, za to ujęcie trois quarts jest dla niej niezwykle korzystne. Arkady przestał kroić na drobne kawałki nieszczęsne kurczę i zagapił się na żonę. Mania starannie oddzielała kawałki biszkoptu, nie zapominając po każdym kęsie otrzeć ust serwetką.

- Wiele dam tamtej epoki - ćwierkała Kiciunia - starannie...

- Drogi Kieszka - wtrąciła Marusia - bądź uprzejmy nałożyć mi jeszcze torciku...

Obrus zafalował.

- Oj! - pisnęła Mania.

- Co się stało, mój aniele? - zapytał z niewinną miną Kieszka.

Przygryzłaś sobie język?

Marusia spurpurowiała, oparła się łokciami na stole...

Westchnęłam ciężko. No to koniec!

- Czego mnie trącasz? - wrzasnęła Mania.

Słyszac ten krzyk, wszystkie nasze psy natychmiast przygalopowały z holu i usiadły rzędem koło stołu. Bundy, dygocząc z niecierpliwości, dziko zamiatał po podłodze długim, cienkim ogonem, a Hootchuś cichuteńko zaskomlał.

- Co im jest? - zdziwił się kamerzysta Fiodor. Chciałam powiedzieć: "Psy po prostu wiedzą, co się teraz będzie działo" - ale nie zdążyłam.

- Złotko - rzekł powoli Kieszka - tak się objadłaś, że tort chyba uderzył ci do głowy! A nawiasem mówiąc, w okresie dojrzewania tak wielkie ilości tłustego, słodkiego pożywienia są bardzo szkodliwe...

- Głupek! - zawołała Mania. - Glista w skafandrze!

- Pasztetowa, baleron - natychmiast odparował braciszek.

- Ekspozycja w muzeum ukazuje... - Kicia jak mogła, starała się ratować sytuację, ale poniosła sromotną klęskę.

- Ach, ty draniu! - wrzasnęła Maruśka i cisnęła w Arkadego pasztecikiem.

Nadziejany mięsem pasztecik z naleśnikowego ciasta upadł wprost pod łapy drżącego z pożądania Bundy'ego. Pitbull błyskawicznie pożarł zdobycz. Hootchuś, widząc, że komuś już się trafił pyszny kasek, głośno zaskomlał.

- Skoro nie potrafisz się zachować - oznajmił Kieszka - będziesz jeść w swoim pokoju, oddzielnie od wszystkich. Notabene, rzucać też trzeba umieć. - I chwyciwszy drugi pasztecik, cisnął nim w Manię.

Tym razem pocisk trafił w cel, czyli prosciutko w czoło mojej córki. Maszka się zerwała, pasztecik znów upadł przed Bundym. Ucieszony pies natychmiast zeżarł i ten prezent. Hootchuś załkał na cały głos.

Przewracając po drodze talerzyki z deserem i filiżanki z herbata, Masza rzuciła się z pięściami na swego krzywdziciela.

Hootchuś pomknął radośnie zlizywać krem z dywanu.

- Rosyjski strój narodowy, wyszywany perłami... - zdzieraa sobie głos Olga, próbując za wszelką cenę przerwać potyczkę między swym mężem i szwagierką.

Ale Arkaszka zdążył chwycić Maruśkę za rękę.

- Puszczaj, ale to już! - darła się dziewczynka.

Kieszka jednak szybko i zręcznie pociągnął ją na korytarz, dogadując:

- Chociaż bez przerwy się objadasz, siły ci nie przybywa, wszystko idzie w sadło.

Mania wierzgała nogami, ale Arkasza w mgnieniu oka wywlókł ją za drzwi, przekręcił klucz i wcale niezadyszany spytał:

- To co mówiłaś o tych perłach? Kicia nagle wybuchnęła płaczem.

- Co ja takiego zrobiłem? - zdziwił się Kieszka. - Staralem się, jak mogłem, nawet jadłem kurczaka, jeszcze teraz mnie mdli, a ty znów jesteś niezadowolona.

- Zamknij się - wyszlochała Olga.

- Coś takiego! - parsknął kochający mąż. - Wstałaś dziś lewa

noga?

- Hej, hej - ocknął się nagle Borys. - To zupełnie nie to! Początkowo szło dobrze, a potem zaczęła się jakaś okropna tandeta. Nie zrozumieliście mnie,.. Chcę mieć scenę normalnego rodzinnego obiadu, jasne? No, jeszcze raz, od początku.

- O, nie - uciał Kieszka. - Nakręćcie tylko matkę i Olgę, mnie dajcie spokój, nic z tego nie będzie. Przykro mi, ale nie mam zdolności aktorskich.

- Będzie wspaniale - nalegał reżyser. - Do roboty, kręcimy dubla! Chciałam już powiedzieć, że właśnie przed chwilą wszyscy zachowywali się bardzo naturalnie, ale Arkady wstał, szybko podszedł do drzwi i otworzył je z rozmachem. Bębniąca z drugiej strony pięściami Maruśka zupełnie się nie spodziewała, że przegroda między nią a jadalnią ustąpi tak nagle.

Straciwszy oparcie, wpadła do pokoju i runęła na ziemię, zaczepiając rękami o barenk. Chwiejny stolik przewrócił się, kilka karafek i butelek znalazło się na podłodze, rozlewając swą zawartość. W powietrzu rozszedł się silny zapach alkoholu.

- To nic, to nic - mamrotał Borys. - Głupstwo, zaczniemy jeszcze raz, hej, Dario, a pani dokąd?

Ale ja już pędziłam na górę, przeskakując po dwa schodki. Boże miłościwy, zbaw mnie od rodzinnego ciepełka! Niech sobie Kicia i Marusia zostają gwiazdami, ja nie chcę i już.

Aż do północy nie miałam odwagi wyrzeć ze swego pokoju. Sądząc z odgłosów, zdjęcia szły pełną parą. Z jadalni dobiegały komendy: - Światło. Jazda. Kamera. Gotowe...

Słychać było podniesione głosy i tupot nóg. Około jedenastej zawarczały silniki i filmowcy odjechali. Oczekałam dla pewności całą godzinę i tak jak stałam, w króciutkim podkoszulku, ruszyłam do kuchni. Strasznie chciało mi się jeść.

Na schodach leżała jakaś dziwna kupka czegoś, jakby ktoś upuścił tam futrzaną czapkę. Ukucnęłam i zobaczyłam, że to Hootchuś. Mops spał w dziwacznej pozie, w absolutnie niewiarygodnym jak na niego miejscu. Zazwyczaj pcha się do łóżka do mnie albo do Mani. Co prawda, najchętniej spędzały nocę z Olgą, ale nie myślcie sobie, że Hootchuś ją właśnie najbardziej kocha, nie, po prostu wszyscy mamy kołdry z owczej wełny, dość ciężkie, a Olga sypia pod puchową. Hootchuś nie lubi, żeby coś ciężkiego przytłaczało jego tłuściutkie ciało, ponieważ zaś sypia przytulony od któregoś ze swoich państwa, zagrzebany pod przykryciem, puchowa kołderka to właśnie to, o co chodzi. Ale w sypialni Olgi wiecznie przesiadują nasze kotki, Fifina i Kleopatra. Ulokowane wygodnie w małżeńskim łóżu, fukają z niezadowolaniem na widok Hootcha, a mops woli nie wdawać się w konflikty ze wstrętnymi kocicami. Świetnie wie, jakie ostre pazury kryją się w aksamitnych łapkach!

Hootchuś jednak nigdy nie sypia na schodach, na twardych stopniach, w przeciagu. Wyglądało to tak, jakby biedulek laził do sypialni i padł w połowie drogi.

- Pieseczku, co się stało? - spytałam, głaszcząc jedwabistą sierść. - Jesteś chory?

Hootch otworzył zmętniałe ślepie, spróbował stanąć na króciutkich łapkach, ale łapki się rozjechały i mops znów klapnął na schodach. Nie zasnął jednak, tylko zaczął głośno czkać. Zaniepokoiłam się. Muszę obudzić Manię - może Hootchuś naprawdę zachorował?

- Proszę się nie denerwować - rozległ się tuż nad moim uchem zawieszisty męski głos.

Zerwałam się zaskoczona, zapominając, że mam na sobie tylko podkoszulek.

- Kto tu jest?

- Niech się pani nie boi. - Z ciemności wyłonił się Borys. Jego oczy błyskawicznie wpiły się w moje gołe nogi. Szybko usiadłam, naciągnęłam koszulkę na kolana i spytałam:

- To pan nie wyjechał?
- Nie, Jutro zaczynamy zdjęcia wczesnie rano i Olga uprzejmie pozwoliła mi zostać. Czemu pani zasłania nogi? Czy ktoś już pani mówił, że są cudowne?
- Tak - odparłam ze złością - wszyscy czterej moi mężowie zaczęli od omawiania urody moich kończyn.
Borys zaśmiał się, obrzucił mnie wzrokiem i oznajmił:
- Cała reszta też jest super.
Nie lubię komplementów i w odróżnieniu od niektórych kobiet świetnie wiem, że moim atutem nie jest uroda, którą, szczerze mówiąc, nie bardzo się mogę pochwalić, ale inteligencja, przenikliwość i wyjątkowy wdzięk. Ale, powtarzam, komplementów nie lubię. A już szczególnie nie cierpię, kiedy obcy mężczyzna, ubrany w dżinsy i sweter, stoi nade mną, półnagą, o północy, na ciemnych schodach, i oświadcza:
- Kochanie, jest pani prześlizczna!
Na wszelki wypadek postanowiłam zmienić temat i spytałam szybko:
- Dlaczego uważa pan, że nie muszę się martwić o Hootcha? Wygląda na chorego...
Borys roześmiał się.
- Mops wylizał likier, który się rozlał na dywan. Wszystko, co nie zdażyło wsiąknąć.
Schyliłam się i powąchałam mordkę Hootcha. Tak! Pachniała gorzkimi migdałami. Amaretto! Lepkie świństwo, którego nikt w domu nie pije. Kicia lubi koniak, Kieszka whisky, a my z Marusią nie pijemy nic mocniejszego niż kefir. Pojęcia nie mam, skąd się u nas wzięła ta butelka, pewnie przyniósł ją ktoś z gości.
Hootch metodycznie czkał.
- Ależ się nalizależ - rzekłam z oburzeniem. - Co za wstyd dla rodziny - pijany pies!
- W gniewie jest pani czarująca - zniżonym głosem powiadomił mnie reżyser i przysunął się tak blisko, że poczułam zapach wody po goleniu Kenzo.
Dziwne, do tej pory podobały mi się wyroby owego wyrafinowanego paryżanina, który zrobił karierę dzięki fascynacji Europy wszystkim, co wschodnie. Teraz jednak zapach wydał mi się mdlący.
- Nie czuje się pani samotna, taka bogata i bez męża? - czule zamruczał Borys.
Wzięłam Hootcha na rękę, przytuliłam i powiedziałam ostro:
- Myli się pan, panie Borysie.
- Jak to?
- Jestem nędzarką.
- Akurat! - Borys zachichotał. - A parę milionów we francuskim banku, dwa domy i góra klejnotów to co?
- Jest jeszcze kolekcja wielkich impresjonistów - dorzuciłam z westchnieniem. - Ale wszystko to należy do Kieszki, Mani i mojej najlepszej przyjaciółki Nataszy, baronowej McMayer. Ja mam tylko to, co na grzbiecie, jasne?
- Pani mi się podoba bez tego wszystkiego - rzekł śpiewnie Boria.
- A pan mnie nie - ucięłam. Wstałam i poszłam na górę, czując jego lepkie spojrzenie, pełzające po moim ciele. Nagle zrobiło mi się smutno. Dlaczego w moim życiu zawsze musi być tak? Dzieci się pokłóciły, zjeść najwyraźniej mi się nie uda, w domu pojawił się obleśny facet, który postanowił uwieść głupią bogaczkę, a w dodatku Hootch schlał się jak świnia!

Rozdział 9

Wczoraj nie jadłam kolacji, a dziś śniadania. W obawie, że reżyser, operator i Olga zmuszą mnie do odgrywania Bóg wie czego, na paluszkach przekradłam się do garażu i odetchnęłam z ulgą dopiero przed wjazdem do miasta. No, teraz do wieczora mam spokój.

Najlepsza przyjaciółka Poliny Ania Popowa była z nią na studiach

w jednej grupie. Pojechałam na zaułek Kołomieński, odszukałam potrzebne mi audytorium i zobaczyłam Anię, w skupieniu piszącą coś w zeszyte. Trwał lektorat z języka francuskiego. Niemłoda lektorka dudniła nosowo:

- Że abit...

Okropność, skąd oni wygrzebali tę osobę? "Że abit"! Ależ żaden Francuz nie wymówi je habite (mieszkam) w ten sposób! W tym momencie zadzwonił dzwonek, Ania wyszła na korytarz. Na mój widok zrobiła ponurą minę.

- Cześć - powiedziałam wesoło - chodź, wyskoczmy coś zjeść!

- Mam jeszcze zajęcia z dwóch przedmiotów - niezbyt uprzejmie odparła Ania.

- Nie szkodzi, zaczekam.

- Proszę, jeśli nie ma pani nic lepszego do roboty - powiedziała dziewczyna niegrzecznie.

Postanowiłam jednak zignorować ten ton, w końcu praca to praca, i dodałam zgodliwie:

- Jestem zupełnie wolna, swobodna jak wiatr.

Parę następnych godzin spędziłam na korytarzu i z nudów zrobiłam jakiejś dziewczynie pracę domową z francuskiego. Ucieszona studentka natychmiast wypaplała kolegom, że siedzi tu dziwna paniusia, wspaniale znająca język, i niby żurawie do ciepłych krajów zaczęli do mnie ciągnąć inni studenci z zeszytami w rękach.

Wreszcie Ania skończyła zajęcia, wsiadliśmy do renaulta i zapytałam bez ogródek:

- Co myślisz?

- O czym?

- O śmierci Poliny.

Ania odwróciła się do okna.

- Przecież się przyjaźniłyście - powiedziałam.

- Kiedy to było?

- O co się pokłóciłyście?

- A, takie tam głupstwa...

- Akurat - oburzyłam się - tyle lat razem, a potem nagle trach i przestałyście nawet rozmawiać. Poza tym przecież przyjechałaś, kiedy mieliśmy chować Polinę, płakałaś...

- W obliczu śmierci zapomina się o pretensjach - oznajmiła Ania.

- No więc co między wami zaszło?

- Nic ważnego - rzekła wymijająco. - Po co się pani grzebie w cudzych brudach?

- Polinę zabito, była mi bardzo bliska, chcę wiedzieć, kto i dlaczego to zrobił.

Ania wyjęła papierosy.

- A nam powiedziano, że to był wypadek samochodowy...

- Pamiętasz naturalnie jej zmartwychwstanie, a potem pożar w samochodzie?

Ania przytaknęła. Szybko opowiedziałam o historii w przymierzalni. Aniuta spokojnie dopaliła, wyrzuciła niedopałek i powiedziała:

- Widać komuś zalazła za skórę, prawdopodobnie jakiejś kobiecie. Pewnie chciała jej poderwać męża i ta nie wytrzymała.

- Dlaczego tak myślisz?

Ania zacisnęła usta, a po chwili niechętnie wycedziła:

- Opowiem pani o Polinie to i owo w ogólnych zarysach, ale proszę tego nie rozgłaszać.

- Bądź spokojna, będę milczeć jak grób - obiecałam. Ania i Pola przyjaźniły się już w szkole, odwiedzały się, często razem odrabiały lekcje. Żyły w takich samych warunkach bez ojców, ich matki z trudem wiązały koniec z końcem. Nigdy jednak nie chodziły głodne i obdarte, mamy dokładały wszelkich starań, by córki wyglądały przyzwoicie.

Również razem poszły na studia. Pomysł zostania tłumaczką przyszedł do głowy najpierw Ani. Dobrze jest znać języki obce

zawsze się wtedy dostanie pracę. Poza tym bardzo możliwe, że trafiają się wyjazdy za granicę, a Anieczka strasznie chciała zobaczyć trochę świata, dobrze się ubrać...

Pola miała inne marzenie.

- Żebyś nawet wylazła ze skóry - tłumaczyła Ani - to i tak ten świat jest stworzony dla facetów. No powiedz, ile kobiet się w życiu wybiło?

- Agatha Christie, Madonna, Ałła Pugaczowa - starannie wyliczyła Ania.

- E tam! - Pola machnęła ręką. - Nie wymieniaj takich, które Pan Bóg pobłogosławił talentem. One zresztą też nie stały się tym, czym się stały, same z siebie - po prostu trafił się babom przypadkiem od rodziców wyjątkowy zestaw genów. I gdzie tu ich zasługa?

Ania próbowała argumentować, że sam dar to za mało, że potrzebna jest jeszcze pracowitość i najzwyczajniejsza pilność, ale Polina nie chciała słuchać.

- Nie - upierała się przy swoim - zostawmy te wszystkie Marinine, Plisieckie i inne. Zastanów się lepiej: czy jest choćby jedna baba prezydent? Albo prezes banku? A może chociaż jedna sama zgromadziła majątek? Nie! Wszędzie tylko chłopcy.

- No i co? - spytała Ania.

- Właśnie - westchnęła Pola. - Każdy taki nadziany facio ma żonę obwieszoną perłami i norkami. Baba siedzi w domu, rozkoszuje się nieróbstwem, forsy jak lodu... Żadnych kłopotów! No, może czasem wyszczotkuje pieska. I ja też chcę tak żyć. Skoro nie trafili mi się rodzice, którzy mogliby zapewnić jaki taki poziom egzystencji, to niech przynajmniej mąż będzie bogaty; nie chcę harować przez całe życie jak matka i nawet nie mieć porządnego futra.

- Żeby zostać żoną generała, trzeba wyjść za lejtnanta - rozsądnie zaoponowała Ania.

- Bzdura - prychnęła Polina. - To dewiza dla idiotek. Nie, nie, ja się postaram złapać od razu gotowego marszałka.

Ania nie powiedziała już nic, a przyjaciółka zaczęła działać. Na uczelni było sporo chłopców, którym rodzice z lekkim sercem odpalali po dziesięć tysięcy dolarów rocznie i właśnie na tych chłopców zaczęła polować Polina. Pierwszy złapał się Jura Ragozin. Byli razem już trzy miesiące i Poleczka zaczynała triumfować, kiedy nastąpiła katastrofa. Do Moskwy przylecieli rodzice Jury, ambasadorostwo z jakiegoś tam kraju, i natychmiast przerwali miłosną idyllę, uważając, że uboga synowa zupełnie się do ich rodziny nie nadaje.

Pola przerzuciła się na Żenię Bielowa. Znowu rozgorzał romans, ale tym razem trwał tylko miesiąc, bo właśnie gdy upływał, Polinę odwiedziła jaskrawo wymalowana dama, wystrojona jak choinka. Poprawiając niezliczone brylantowe ozdoby, oznajmiła:

- Kochaneczko, Żenia ma narzeczoną, zawarliśmy już umowę z jej rodzicami. Ten związek jest korzystny dla obu stron, fuzja kapitału, biznes. Pani nie ma żadnych perspektyw, proszę zostawić mojego syna w spokoju.

Pola szybko otarła łzy i poderwała Wanię Stieblowa. Romans trwał około dwóch miesięcy, ale kiedy zniecierpliwiona dziewczyna zaczęła napomynać o ślubie, Wańka tylko się roześmiał:

- Wybacz, ale z takimi jak ty mężczyźni się nie żenia. Po co mi żona, którą przeleciało pół wydziału?

Polina musiała więc szukać "obiektu" gdzie indziej: w banku, do którego skierowano ją na praktykę, na przyjęciach, w dyskotekach... Ale za każdym razem ponosiła klęskę. Bogaci chłopcy chętnie szli z nią do łóżka, ale rano okazywało się, że każdy ma już narzeczoną albo mamę, pilnie strzegącą, by jej latorośl nie wpadła w niepowołane ręce. Biedni chłopcy natomiast Poliny nie interesowali.

- No, a Kostia? - zdziwiłam się.

- Co Kostia? - Ania wzruszyła ramionami. - Kompletna łajza. Ona robiła z niego durnia, a on we wszystko wierzył. Ile razy ją osłaniałam, okłamywałam chłopaka, że Polina jest u mnie! Inny dawno by się domyślił, co jest grane, a ten tylko mówił: "Dobra, relaksujcie się".

Czas płynął, a bogaty książe nie zajeżdżał białym mercedesem pod dom Poli. Tymczasem do Ani nieoczekiwanie uśmiechnęło się szczęście. Właśnie jej, która wcale nie szukała bogatego męża, los zesłał Siemiona Wwiedieńskiego. Poznali się przypadkiem. Ania usiłowała zatrzymać samochód, łebka. Nagle zahamował przed nią luksusowy zachodni wóz. Chciała przecząco pokręcić głową, ale siedzący za kierownicą czarnowłosy chłopak tak się miło uśmiechnął... Sienia okazał się ucieleśnieniem dziewczęcych marzeń. Młody, wesoły, hojny, bogaty, a poza tym bez rodziców. To jest, miał mamę, ale ta mieszkała gdzieś na prowincji, pod Uralem, i nie kwapiła się przyjeżdżać do Moskwy. Forse Wwiedieński zarabiał najzupełniej legalnie; założył agencję reklamową, która nagle zaczęła przynosić ogromne zyski. Nigdy nie był żonaty, nie miał dzieci, nie pił... Słowem - partia jak z marzeń sennych. Anieczka i Siemion zaczęli się spotykać, wszystko zmierzało w kierunku ślubnego kobierca...

Popowa umilkła, ja patrzyłam w okno. Nawet bez słów było dla mnie jasne, co się stało.

- Specjalnie mnie spoiła - ze złością wyrzuciła z siebie Ania.

- Wiedziała, że mi szkoda słodkie drinki, i na imprezie zrobiła koktajle. Dopiero jak wypiałam, zorientowałam się, że jednym ze składników było porto.

Anieczka momentalnie się zalała i usnęła. W nocy nagle się obudziła, poszła do toalety i w sąsiednim pokoju zobaczyła śpiących, zupełnie nagich, Sienie i Polę. Natychmiast wytrzeźwiała i powstrzymując płacz, uciekła. Siemion później zasypywał ją naręczami kwiatów, błagał o przebaczenie, ale Ania była nieugięta. Skoro ją zdradził - to koniec. Na próżno chłopak próbował się tłumaczyć:

- Sam nie wiem, jak to się stało. Ania nie chciała mu wybaczyć.

- Jedno mnie tylko cieszy - parsknęła. - Polinie też się nie dostał. Niepotrzebnie się tak starała. Sienia uważał, że dzięki to nie ludzie. Teraz chyba pani rozumie, dlaczego powiedziałam, że pewnie zabiła ją jakaś zazdrosna żona?

Nie mogłam w to wszystko uwierzyć. Polina i coś takiego?

Przypomniałam sobie bladą twarzyczkę dziewczyny z ogromnymi oczami i jej wysoki, wręcz dziecięcy głosik. Czyżby naprawdę za anielską powierzchownością kryła się chciwa, zła, przebiegła istota? I w kogo się wrodziła? Nina jest szczerą, serce na dłoni... Nie, na pewno Ania jest po prostu wściekła, że narzeczony wybrał jej bardziej atrakcyjną przyjaciółkę, i wygaduje głupstwa! A i Kostia chyba przesadzał... Pola nie chciała za niego wyjść i poczuł się skrzywdzony... Nie, przecież znam Polę od dziecka...

Ania, jakby czytając w moich myślach, powiedziała:

- Nie wierzy mi pani, a Polina leciała też na Arkadego, tylko że on jej pogonił kota!

Drgnąłam i spytałam:

- Skąd wiesz?

- Sama mi opowiadała! Do diabła z nim, zimny jak lód, w ogóle na mnie nie zwraca uwagi. Ale dam sobie z nim spokój, nie chcę psuć stosunków z Daszą, potrzebuję jej. Tak mówiła.

- Słuchaj - rzekłam ze złością - teraz, kiedy ona nie żyje, łatwo wszystko na nią zwalić...

- Więc niech pani spyta Kieszę - mruknęła Ania. - To dawne dzieje, pewnie się przyzna, zwłaszcza że nie ma nic do ukrycia. Polka dostała kosza! A kiedy się pani przekona, że nie kłamie, i jeżeli chce pani znaleźć zabójcę, to niech pani szuka skrzywdzonej kobiety! Tylko po co? Mam absolutną pewność, że

Polina sama sobie winna, doigrała się.
To mówiąc, wyskoczyła z auta i ruszyła prospektem, pulchna, opatulona w pogrubiający ją jeszcze kozuch. Przypomniałam sobie zgrabną, wysoką figurkę Poliny i westchnęłam. Może Ania obgadała przyjaciółkę ze złości, ale tak czy owak, muszę jej uwierzyć.

Rozdział 10

Arkaszka pracował w kancelarii adwokackiej. Wpadłam tam i zapytałam kobietę w okienku:

- Pan Woroncow jest u siebie?
 - Trzysta rubli - odpowiedziała.
 - Co? - nie zrozumiałam.
 - Porada u Arkadego Konstantinowicza kosztuje trzysta rubli, a pierwsza wizyta...
 - Dziękuję, ale mnie przyjmie bezpłatnie, proszę mi powiedzieć, który to pokój.
- Kobieta omal nie wypadła z okienka, usiłując mnie obejrzeć od stóp do głów. Po chwili, poskromiwszy jakoś ciekawość, oznajmiła:
- Ma w tej chwili klientów.
 - Świetnie, który pokój?
 - Chyba nie będzie teraz mógł się panią zająć.
 - Nie szkodzi, zaczekam.
 - Arkady Konstantinowicz nie lubi, kiedy klienci czekają na korytarzu. Zawsze wcześniej wyznacza wizytę. Jest pani zapisana?
 - Nie, ale ucieszy się, że przyszłam.

Kobieta zatrzęsnęła okienko. Ruszyłam korytarzem - wielkie rzeczy, sama trafię.

Znalazłam Kieszkę w miniaturowym gabineciku na samym końcu korytarza. Żadnych klientów nie zauważyłam. Syn czytał spokojnie jakąś grubą książkę.

Na odgłos otwierających się drzwi podniósł oczy i burknął z niezadowoleniem:

- No, czego chcesz?
- Nie zdążyłam otworzyć ust, kiedy na biurku zadzwonił telefon.
- Tak - powiedział naszjencenas - dziękuję, Rozalio Lwowno, wszystko w porządku, to moja matka!

Po czym powtórzył:

- No, co się stało?
 - Powiedz mi, czy miałeś romans z Poliną? - spytałam ostro.
- Kieszka ze zdumieniem podniósł brwi.
- Skąd to zainteresowanie?
 - Po prostu odpowiedz!
 - Oczywiście, że nie - odparł z westchnieniem. Ulżyło mi. Dzięki Bogu, Ania mnie okłamała.
 - Romansu nie było - ciągnął spokojnie Arkaszka - ale kiedyś próbowała się do mnie dobierać.
- Wytrzeszczyłam na niego oczy.

- Kiedy?

Mój syn zabębnił palcami po biurku.

- Trzy lata temu. Właśnie dopiero co wróciliśmy z Paryża. Szczeka mi opadła.

- No więc, przyjechaliśmy - kontynuował ze spokojem Kieszka - i naturalnie zaczęły nas odwiedzać całe procesje znajomych. Drgnęłam. Rzeczywiście, gdy tylko rozniosła się po Moskwie wieść o naszym powrocie z Francji, znajomi rzucili się nas witać. Zjawiła się też Polina. Przywieźliśmy wtedy wszystkim prezenty, Kicia wręczyła Polinie olbrzymie pudło kosmetyków Niny Ricci. Pola wpadła w zachwyty, długo dziękowała, natychmiast otworzyła perfumy, wypróbowała puder i w ogóle zachowywała się tak, jak wypada w podobnej sytuacji. Potem dosłownie u nas zamieszkała, ale nie dopatrzyłam się w tym niczego szczególnego.

- Później Kicia polecała do matki - opowiadał Kieszka. Pamiętam, tak, Olga postanowiła odwiedzić rodziców.

- No więc Olga wyjechała...

- Nie możesz opowiadać szybciej?

- No bo właściwie to już wszystko.

- Jak to wszystko?

- Olga wybyła, położyłem się spać, budzę się nagle, bo ktoś mnie głośzycze po plecach...

Zaspany Kieszka, myśląc, że to Kicia, nawet objął kobietę, ale po chwili, zorientowawszy się błyskawicznie, co jest grane, otworzył oczy i zobaczył... Polinę.

- Kochany - szeptała - skarbie! Od dawna cię kocham, ukrywałam swoje uczucia, ale już dłużej nie mogę... Kocham cię!

- A ty co?

Kieszka uśmiechnął się.

- Wylazłem z łóżka, wciągnąłem dzinsy i mówię: "Ja też cię bardzo lubię i obiecuję, że jak będziemy z Kicią chrzczyć dzieci, ciebie zaprosimy w kumy".

- A ona?

- Przecież nie była głupia, więcej takich prób nie podejmowała. Tylko czasem w korytarzu wzdychała zmysłowo, przyciskała się do mnie i mruczała: "Dlaczego mnie odtrącasz?".

- No i co?

- Nic, zbywałem ją żartami. Wybacz, jestem dla ciebie za stary, mam dwoje dzieci, całe zarobki poszłyby na alimenty.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

- Oj, matka! - Kieszka rozłożył ręce. - Wyobraź sobie taki obrazek. W łóżku goła dziewczyna, a ja się drę jak opętany: "Mamo, ratuj!". Tylko ciebie mi brakowało w takiej sytuacji!

- Kicia wie?

- Matka, czy ja wyglądam na idiotę?

- Więc ukrywasz to przed nią? Kieszka wpadł w złość.

- Myślałby kto, że ty sama wszystko swoim mężulkom opowiadałaś! O nie, czego oczy nie widza, tego sercu nie żal. A zresztą nie chciałem robić afery. Wybuchłaby awantura, Olga jest okropnie zazdrośna, naskoczyłaby na Polinę, a w rezultacie najwięcej ucierpiałbym ja. Sama wiesz, jak to się mówi: nie ma dymu bez ognia... Nie chcę żadnych niepotrzebnych stresów. A tak to wszystko jest w porządku, cisza, spokój.

- Ale ona ci się narzucała! Kieszka uśmiechnął się.

- Nie jestem biblijnym Józefem, nie będę się czerwienił. Ale rok temu wziąłem i jej przylałem.

- Co? - spytała przerażona.

- Walnąłem jej głową o futrynę - wyjaśnił mój syn - przyłożyłem porządnie i powiedziałem: "Jak nie będziesz trzymać rąk przy sobie, złamię ci nos i wyrzucę z domu, a wtedy koniec z bagsami od głupiej Daszutki". Wiem, wiem, że podrzucałaś jej pieniądze do torebki. Z jednej strony, wcale jej ich nie żałowałem, ale z drugiej... Nigdy nie przyszło ci do głowy, że to interesowna, wyrachowana dziwka, która zjawiała się w naszym domu tylko w jednym celu: żeby wyciągnąć od durniów trochę zielonych?

- Jak śmiałaś uderzyć kobietę?

- Mamusku - z nieoczekiwaną czułością powiedział Kieszka - są damy, ale są i kurwy. Polina należała do tej drugiej kategorii. Przykro mi, że tak skończyła. To straszne, umrzeć, mając dwadzieścia trzy lata, ale uwierz mi: jeżeli wobec innych żonatych mężczyzn zachowywała się podobnie jak wobec mnie, to tak czy owak nie dożyłaby ćwierćwiecza. Jakaś zazdrośna małżonka ustrzeliłaby ją bankowo.

Zupełnie rozbita wyszłam na ulicę, wsiadłam do renówki i zapaliłam papierosa. Coś takiego! Tyle lat obcować z dziewczyną, patrzeć, jak dorasta, i absolutnie jej nie znać! Może Kicia ma rację, kiedy krzyczy zirytowana, że mam na nosie podwójne różowe okulary?

Posiedziałam trochę w samochodzie i nieco się uspokoiłam. Musiałam przyznać, że ujrzałam swego syna z zupełnie nieznanej

strony. Walić głową dziewczyny o futrynę! Chociaż, szczerze mówiąc, zasłużyła na to, co za szmata!

W słusznym oburzeniu zaczęłam dzwonić do Kostki. Musiałam wiedzieć, z kim w ostatnim czasie romansowała Polina. Kostka jest chyba dokładnie poinformowany. Ale telefon nie odpowiadał. Jechałam spokojnie w strumieniu aut. Gdzie ten chłopak może się podziewać? Ależ wszędzie! No dobra, zrobimy tak. Pojadę do niego i zostawię kartkę w drzwiach.

Zima zawsze zaskakuje naszą stolicę. Najbardziej zdumiewa mnie szczerze zdziwienie władz miejskich:

- Co? Zamieć? W grudniu? To zupełnie nieoczekiwany atak, przykro nam, cały sprzęt do odśnieżania jest zepsuty, ale do kwietnia na pewno go naprawimy!

Dziś też jezdnia pokryta była błotem pośniegowym, większość wozów posuwała się ledwie-ledwie. Nic dziwnego, kto by chciał mieć kraksę? Z tego wszystkiego straciłam prawie dwie godziny na dojazd do mostu.

Wreszcie dotarłam do celu i zaczęłam szukać długopisu. Nie znalazłszy go ani w schowku, ani w torebce, użyłam do pisania szminki firmy Givenchy.

"Kostka - napisałam jasnobrazowym kolorem - zaraz jak wrócisz, zadzwoń do mnie do domu albo na komórkę. Dasza".

Nie miałam tylko czym przykleić liściku. Po chwili wahania zadzwoniłam do sąsiednich drzwi. Wyjrzał chłopak lat dwunastu, w słuchawkach na uszach.

- Ńdobry!

- Dzień dobry - odpowiedziałam i spytałam: - Nie masz paru pinasek albo kawałka skocza?

- Po co? - zainteresował się chłopiec.

- Chcę zostawić Kostki kartkę, ale nie mam czym jej przymocować do drzwi.

Chłopak przyjrzał mi się uważnie, zobaczył kluczyki od samochodu i nagle powiedział:

- Ja panią znam! Przyjeżdżała pani do Poli Żelaznowej takim czerwonym fordem, a wczoraj była pani u Kostki renówką, też niezła bryka, ale ford fajniejszy.

Uśmiechnęłam się.

- Masz rację.

- Pani ma dwa samochody?

- W ogóle to tak.

- Fajnie być bogatym - westchnął zazdrośnie chłopiec. - Jak będę miał kasę, to kupię sobie ferrari, to jest wozik! Pełny odlot!

A żiguli to starzyzna, ale musimy nim jeździć. Dużo ma pani szmalu?

- Nie narzekam - powiedziała ostrożnie.

- Ile mi pani da, jak powiem, co się stało z Kostką? Serce ścisnęło mi nagły niepokój.

- Co się stało?

- Ile? - naciskał chłopiec.

- Sto rubli.

- Nie, dolarów - zażądał. Wyciągnęłam banknot. Oczy małego rozbliły.

Pochwycił pieniądze, wyszedł na korytarz, rozejrzał się i cicho wyszeptał:

- Kostka porwali bandyci. Wytrzeszczyłam oczy.

- Co?!

- Wczoraj wieczorem - powiedział szybko chłopiec. - Mamy wizjer w drzwiach.

Z trudem przetrawiałam tę informację. Gdzieś około dziesiątej Loszka, tak miał na imię chłopiec, wybierał się na spacer z psem. Rodzice byli w podróży służbowej i opieka nad sędziwym spanielem spadła na barki małego. Strasznie mu się nie chciało wychodzić na zimno, więc wymyślił sprytny sposób. Zadzwonił do mieszkania numer dziewiętnaście, gdzie mieszkał jego kolega z klasy, Sańka,

i powiedział:

- Te, rudy, jutro mamy klasówkę z geometrii.

- Wiem - odparł ponuro trójkowicz Sania.

Loszka, który w przeciwieństwie do kolegi jest prymusem, zapytał chytrze:

- Chcesz, żebym rozwiązał twoje zadania?

- A co mam zrobić? - zainteresował się natychmiast praktyczny Sania.

- Głupstwo, przez trzy dni wyprowadzać Lorda rano i wieczorem, a zacząć teraz, zaraz.

- Dobra - zgodził się skwapliwie kolega - ale za pół godziny; matka kazała mi umyć głowę, raz-dwa wysuszę i przylecę.

Minęło czterdzieści minut, kiedy Loszce wydało się, że przyjaciel wreszcie nadchodzi. Lord, który siedział pod drzwiami i skomlał nerwowo w oczekiwaniu spaceru, zaczął drapać pazurami próg. Losza podszedł do wyjścia, ale jako

chłopiec ostrożny nie otworzył drzwi, tylko wyjrzał przez wizjer. To, co zobaczył, zupełnie mu się nie spodobało.

Dwaj młodzi ludzie o groźnym, bandyckim wyglądzie wypychali na klatkę schodową sąsiada Kostię. Wyglądali dokładnie tak, jak pokazują w filmach. Umieśnione bysiory o krótko ostrzyżonych, kwadratowych głowach, kompletnie pozbawieni szyj, i z łapskami jak kolumny przed szkołą muzyczną. Pomiedzy tymi postaciami, od stóp do głów odzianymi na czarno, ślaniał się sinoblady Kostia.

- Miał rozkwaszony nos - zachłystywał się Losza - a po brodzie leciała mu krew, i szedł tak dziwnie, jakby powłóczył nogami. I jeden z tych mięśniaków powiedział:

- Obetrzyj mu mordę, żeby ludzi w bramie nie straszył, po co nam to.

Potem wyciągnął coś bardzo podobnego do pistoletu, tylko z okrągłą nasadką na wierzchu i uprzedził:

- Słuchaj no ty, lepiej dla ciebie, jak wyjdiesz grzecznie i wsiądziesz do samochodu. Jak się zaczniesz szarpać albo wrzeszczeć, sam sobie będziesz winien, ja z dziesięciu metrów w kopiejkę trafiam. Jasne?

Kostia, rozdygotany, kiwnął głową i malownicza grupa zniknęła w windzie. Losza doczekał się wreszcie Sani, wyprawił go z Lordem i kazał spacerować co najmniej pół godziny, a sam rzucił się do mieszkania Kostia.

- Zaraz - przerwałam mu. - To oni nie zamknęli drzwi do mieszkania?

- Zamknęli.

- No to jak się tam dostałeś? Loszka przebiegle zmrużył oczy.

- Kostia jest okropnie roztrzepany, ze sto razy gubił klucze. Zachichotał. - O, pani patrzy, na drzwiach nie ma już wolnego miejsca, żeby wstawić nowy zamek! No to dał nam zapasowy komplet. Ale tam w środku wygląda!

- Możesz mnie wpuścić?

- Samej nie - czujnie oznajmił Loszka. - Tylko ze mną.

- Dobrze, niech będzie z tobą.

- Za to jeszcze sto baksów.

- Nie za dużo?

- Jak pani chce. - Wzruszył ramionami.

- Po co ci tyle pieniędzy?

- Chcę sobie kupić mały telewizor do pokoju, thompsona albo toshibę, to akurat dwieście bagsów.

- A jak wytłumaczysz rodzicom, skąd wzięłaś bagsy?

zainteresowałam się, wyjmując portmonetkę.

- Oni to mają gdzieś - odparł Loszka. - Chodźmy. Otworzył

sfatygowane drzwi; aż jęknęłam. Wczoraj, kiedy odwiedziłam Kostię, w mieszkaniu nie było zbyt porządnie, od razu rzucało się w oczy, że to kawalerskie lokum odkurza się dwa razy do roku, a firanek nie pierze wcale, ale rzeczy leżały w zasadzie na swoich miejscach. Dziś można było tu kręcić scenę Pogromu w

Żmerynce. Szafy otwarte, wszystkie ciuchy wywalone na podłogę, spodnie z wywróconymi kieszeniami. Bielizna pościelowa podarta na strzępy, na komodzie gruba warstwa pierza z rozprutych poduszek, nogi krzeseł połamane, książki wyrwane z okładek, a wszystkie zasłony, łącznie z tą zastępującą drzwi, zwalone beładnie na kupę w maleńkim, trzydziestocentymetrowym korytarzyku. Kuchnia wyglądała nie lepiej. Wykładzinę pokrywał kobierzec rozsyanego ryżu, kaszy, płatków owsianych, kawy i cukru. Jakby przed chwilą była tu zła macocha, która postanowiła zadać nieszczęsnemu Kopciuszkowi szczególnie trudną pracę.

- O jasny gwint! - wyrwało mi się.

- No - przytaknął Loszka. - Bajzel, że w życiu takiego nie widziałem. Po co wysypali kaszę?

Popatrzyłam na pyzată twarz chłopaka, na jego grube wargi, i nic nie powiedziałam. Praktyczny z ciebie chłopczyk, Loszeńka, szybko się zorientowałeś, jak można bez wysiłku zdobyć kasę, ale z logicznym myśleniem u ciebie trochę gorzej. Albo smarkacz ogląda w telewizji tylko kreskówki o Bevisie Buttheadzie, jako że ktoś, kto chociaż raz obejrzał film kryminalny, od razu zrozumie, że czegoś tu szukano, i to raczej czegoś małego, skoro wysypano zawartość słoików z zapasami. No bo gdyby bandyci chcieli zabrać Kostę na przykład komputer czy aparaturę stereo, rozmiar szkód byłby inny... Zresztą, czegokolwiek szukali, widać, że tego nie znaleźli. Dlaczego

doszłam do takiego wniosku? To bardzo proste. Przecież bandziory zabrały Kostę ze sobą... Nie rozumiem tylko, czy specjalnie stawiał opór, czy wiedział, że oddać schowanej rzeczy w żadnym razie mu nie wolno. Człowiek, który ukrywa coś przed mafią, żyje dopóty, dopóki milczy. Jeżeli puści parę z gęby, to koniec!

W głębokiej rozterce zeszałam na dół, padłam na fotel w renaulcie i bezmyślnie zaczęłam włączać i wyłączać radio. Co się wydarzyło u Kosty? Co przechowywał? Pieniądze? Narkotyki? Z jakim kryminalnym biznesem się związał? I co robić? Zawiadomić Diegtiariowa? Nie, sama tego nie zrobię!

Posiedziałam w samochodzie jeszcze z dziesięć minut, po czym udałam się na górę i znów zadzwoniłam do drzwi Loszy.

- A teraz o co chodzi? - zapytał "uprzejmie" chłopiec. Wręczyłam mu telefon.

- Zadzwon na ten numer, poproś Aleksandra Michajłowicza i opowiedz mu o Kosty.

- Po co?

Znów wyciągnęłam portfelik. Chłopak natychmiast zaczął wybierać numer. Zawiadomiwszy pułkownika, ze spokojnym sumieniem wróciłam do samochodu. Wczoraj Kostia się wygadał, że Pola przyszała z nowym facetem na imprezę do Loni Rakitina. Może Lonia wie, jak się ten facet nazywa.

Lonia Rakitin też mieszka w tym bloku, w szkole był o klasę niżej niż Polina, a jego starszą siostrę Katię, dawno temu, kiedy musiałam jeszcze biegać po korepetycjach, uczyłam francuskiego. Rakitinów naraiła mi Ninka, sama nie miała odwagi przygotowywać uczniów do egzaminów na studia, a mnie było wszystko jedno, co robię, byle mi tylko płacono.

Rozdział 11

Numeru mieszkania Rakitinów nie pamiętam, ale świetnie wiem, jak się tam idzie. Trzecia klatka, czwarte piętro, drzwi na prawo od windy.

Nogi same poniosły mnie znaną drogą. Drzwi otworzyła Katia.

- Dasza? - zdziwiła się. - Jaka miła niespodzianka!

Tak się dziwnie składało, że wszyscy moi uczniowie już po kilku lekcjach odrzucali patronimik i zaczęli zwracać się do mnie po imieniu. Zresztą nikt z moich znajomych nie mówi do mnie oficjalnie i pompatycznie "Dario Iwanowno". Po prostu nazywają

mnie Dasza lub Daszutka i nawet małe dzieci nie dodają słowa "pani".

- Wpadłaś z wizytą? To wspaniale - cieszyła się Katia. - Wejdz, napijemy się herbatki, a może wolisz kawkę?

- Wszystko mi jedno - odparłam. - Może być jedno albo drugie, tylko bez cukru i śmietanki. Słuchaj, jest Lonia?

- Śpi. - Katia zachichotała. - Mój pracowity braciszek chrapie, aż furczy.

- O trzeciej po południu?

- No bo się położył dopiero o dwunastej!

- Dlaczego?

- Całą noc pił, hulał i szalał - wyjaśniła Katia.

- I rodzice nic na to nie mówią? - zdumiałam się. Pamiętałam, że Rakitinowie mają surowego ojca i groźną, nigdy się nieuśmiechającą mamę, która za przyniesienie trójki lała dzieci oficerskim pasem. W dodatku ową karę cielesną stosowano w pełnym zakresie także wtedy, gdy uczyłam Katię języka. Dziewczyna miała siedemnaście lat, ale mamuśka traktowała ją tak, jakby ta dopiero wyszła z niemowlęctwa. Katia musiała wracać do domu najpóźniej o ósmej, a znalezienie w jej torebce szminki wywołało taką awanturę, że musiałam się wtrącić i odebrać rozjuszonej babie mop, który chciała połamać na grzbiecie córki. - Jewgienija Iwanowna pozwoliła Loni przez całą noc szaleć z gośćmi?

Katia ze stukiem postawiła przede mną czerwony kubek z napisem "Nescafe" i pływająca w środku torebką pickwicka.

- Nie byłeś u nas ze sto lat - odparła spokojnie. - Matka i ojciec dawno wyjechali.

- Dokąd? - spytałam zdumiona.

- No, do Niemiec, tacie tam zaproponowali laboratorium, przyzwoitą pensję, tu zarabiał grosze. Teraz żyjemy bez dozoru. Patrzyłam na nią z otwartymi ustami.

- Niemożliwe!

- No, niezupełnie bez. - Katia uśmiechnęła się chytrze.

- Powierzyli opiekę nad nami babce Zinie, ale jej nic nie obchodzi, jest głucha jak pień. O ósmej kładzie się spać i cześć. Ona śpi, a my imprezujemy.

Parsknęłam śmiechem: no tak, wyobrażam sobie, jak rozrabiają Rakitinowie, chcąc sobie powetować długie lata posłuszeństwa! Piłyśmy herbatę i gadałyśmy o wspólnych znajomych. W połowie sympatycznej pogawędki zjawił się Łońka, rozczochrany, z czerwonym lewym policzkiem i zapuchniętymi od snu oczami.

- Siema - wymamrotał, potwornie ziewając. Rozmowa stała się ogólna. Po chwili paplaniny o tym

i owym odezwałam się, wzdychając:

- Biedna Polina...

- No tak, pech - przytaknął Lonia.

- Nigdy nie wiadomo, co komu pisane - ciągnęłam. -

Przyjaźniliście się?

Katia wzruszyła ramionami.

- Widywaliście się.

- Kiedy widzieliście ją ostatni raz?

Łońka podrapał się po krótko ostrzyżonym karku.

- Na moich urodzinach, osiemnastego listopada, balanga była jak się patrzy.

- No - roześmiała się Katia - wyrzucaliśmy potem butelki przez dwa dni, niezła była imprezka.

- Pola, oczywiście, przyszła z Kostią? Lonia i Katia wymienili spojrzenia.

- Nie - odparł chłopak. - Zerwali ze sobą raz na zawsze.

- Naprawdę? - zdziwiłam się obłudnie. - Tyle lat ze sobą chodzili, mieli się pobrać!

- Sam byłem zdziwiony - powiedział Łońka. - Otwieram drzwi, patrzę, Pola z facetem. Nawet mu się nie przyjrzałem, byłem

pevien, że to Kostia. I dopiero jak weszli...

- A przystojny! - wtrąciła Katia. - Po prostu coś pięknego!
Wzrost, uśmiech, bary... Ekstra.

- E tam - ostudził jej zapał brat. - Wyglądał jak manekin wystawowy. Oczy okrągłe, buzia w ciup, pewnie pedzio.

- Nie pieprz głupot - rozzłościła się Katia.

- Jak się nazywa? - zapytałam, niby mimochodem.

- Wiktor - odrzekł Lonia.

- Nie, Wiaczesław - oznajmiła Katia - albo Władimir.

- W każdym razie na W - podsumował Łońka.

- A nazwisko?

- Co nas to obchodzi? - zapytali oboje. - Nawet nie pytaliśmy...

- Widzieliście go po raz pierwszy?

- Aha - podparł Lonia. - I ostatni. Ale o co chodzi?

- Polina pożyczyła mu nasz magnetowid - skłamałam szybko. - No i teraz chcę go odebrać... Ale jak mam znaleźć tego chłopaka?

- No, to jest problem - przytaknął Lonia. - Ale nie mieliśmy powodu, żeby go wypytować o życiorys. Powiedział tylko, że studiuje, i już. W ogóle był nieśmiały.

- Nieśmiały, akurat - ironicznie wtrąciła Katia. - Ale od razu skumał, co i jak, i przykleił się do Rozy Głotowej. Szybciućko się połapał, że nasza Rozoczka jest dziana.

- A głupia jak rzadko - rzekł ze złością Lonia. - Po prostu kliniczny przypadek!

- Za to chodzi w norkach, jeździ volvem i na każdym palcu ma po trzy pierścionki - powiedziała Katia, wzdychając. - A że głupia, to nawet dobrze. Faceci lubią nieskomplikowane kobiety, bo na ich tle wyglądają na orłów. Co mi przyszło z mojego rozumu? Na pewno nie wyjdę za męża. Nie, lepiej być kretynką jak Roza. Uśmiechnęłam się. Katia nie ma racji. Inteligencja to rzecz niezbędna, a wyjść za męża można w zasadzie za każdego, za kogo się tylko chce, każdego mężczyznę można zaciągnąć do ołtarza, nawet takiego, który przysiągł na wszystkie świętości, że nigdy się nie ożeni. Po prostu trzeba przestrzegać kilku zasad. Chcąc używać pralki, żelazka czy odkurzacza, czytacie przecież najpierw instrukcję? "Wcisnąć końcówkę węża w otwór pokrywy przedniej, oznaczony literą A...". Nie peszą was chyba tego rodzaju wskazówki? Przeciwnie, im jest ich więcej, tym lepiej. Stosując się do nich sumiennie, wiecie, że wasz sprzęt będzie działał bezawaryjnie. Czemu wobec tego, chcąc zdobyć męża, puszczacie sprawę na żywioł? Ja, kobieta, która była zamężna czterokrotnie, zapewniam was, że mężczyzna jest jak odkurzacz, no, może prostszej konstrukcji niż piorący electrolux, i pilnie przestrzegając określonych zasad, na pewno wyjdziecie za męża. A zasady są tak proste, że aż prymitywne. A więc, paniom, które chcą szybko zdobyć pieczętkę w dowodzie osobistym, przedstawiam podstawowe zasady:

a) Każdy mężczyzna jest przekonany o swojej wyjątkowości. Dlatego też wychwalajcie obiekt za wszystko, nie zapominając powtarzać w kółko: "Kotku, jakiś ty mądry". Nie obawiajcie się przesadzić. Zardzewiały haczyk pochlebstwa przedstawiciele płci przeciwnej łykają w jednej chwili. Następnie niestrudzenie sypcie komplementami przy każdej okazji. Samochód "on" prowadzi nienagannie, ma wspaniały charakter, powierzchowność... brak słów! Seks... O, tu nie ważcie się robić niezadowolonej miny, nawet jeżeli wybranek zakończył sprawę, nie zdążywszy zdjąć wam majtek. Przewracajcie oczami i szczebioczcicie: "Czegoś TAKIEGO jeszcze nigdy nie przeżyłam". I właściwie nie będzie to kłamstwo. Coś TAKIEGO jeszcze się wam nie przydarzyło, ale amant nie musi o tym wiedzieć.

Jeżeli osaczana zwierzyzna, przeglądając się rano w lustrze, oznajmia z westchnieniem: "Chyba muszę zacząć chodzić do siłowni" - natychmiast odpowiadacie: "Po co? Co byś tam robił z twoją idealną sylwetką?".

Jeżeli mężczyzna zaczyna się uskarżać na przełożonych, bo ominął go awans, reagujecie podobnie: "A czego się spodziewałeś? Jaki dyrektor zniesie przy sobie podwładnego, mądrzejszego niż on sam?".

Przytakujcie facetowi we wszystkim, uważajcie tylko, by nie mówić: "Masz rację, kochanie", kiedy ten wykrzykuje: "Ależ ze mnie kretyn!".

b) Uwielbiajcie jego mamę, tatę, babcię, pryszczatą siostrzyczkę i obrzydliwie cuchnącego pekińczyka. Wychwalajcie mamine pierożki, wysłuchujcie nudnych tyrad tatusia i rozwlekłych wspomnień babci, obdarowujcie siostrzyczkę kosmetykami i starannie ukrywając odrazę, głaszczcie wstrętnego pieska. Zmywajcie naczynia po rodzinnym obiedzie, a w czasie wspólnych posiłków zabierajcie głos jak najrzadziej.

c) Pamiętajcie, mężczyzna lubi mówić tylko o sobie, więc wysłuchujcie, co ma do powiedzenia obiekt, i nie obarczajcie go swoimi problemami. Własnej rodziny: wiecznie niezadowolonej mamy, zręczącego ojca, brata punka oraz kotki, która uwielbia sikać gościom w buty, nie powinnyście na razie wypuszczać na scenę. Najlepiej by było, gdyby narzeczony aż do weselnego przyjęcia uważał swą wybrankę za absolutną sierotę.

d) Pamiętajcie, że przepadacie za piwem, wyprawami na ryby albo piłką nożną i lubicie wszystkich jego przyjaciół. Nawet tych, którzy wdzierają się do waszego intymnego gniazdka o trzeciej w nocy w towarzystwie pijanych dziewuch. Jeżeli obiekt trzyma w domu aligatora - marzyłyście przez całe życie, żeby się zaprzyjaźnić z takim gadem; jeżeli hoduje karaluchy, śmiało bierzcie je do ręki i czule przygadujcie: "Ojej, jaki milusi". A zresztą tu powracamy do punktu "a". Przypominam: zachwycajcie się wszystkim. Ukrywajcie na razie chęć pokrzyczenia, ponarzekań, i niech was Pan Bóg broni przed opowiadaniem o swoich niedomaganiach. Ta ostatnia rada przyda się też w małżeństwie. Powinnyście wiedzieć, że w waszym domu chore będzie tylko jedno z was, zgadnijcie które? Słusznie, on, ukochany i jedyny, padający do łóżka, kiedy termometr pokaże 37°. Wy zaś z temperaturą 39° będziecie musiały miotać się między kuchenką, zlewozmywakiem i pralką. Wiecie przecież, że baba dostaje zwolnienie lekarskie po to, żeby wreszcie mogła doprowadzić dom do porządku.

Przestrzegając tych prostych zasad, bez trudu zaprowadzicie do ołtarza każdego, a potem będziecie mu mogły z nawiązką odpłacić za wszystkie doznane upokorzenia. A propos, są też oczywiście instrukcje, jak z rozpaskudzonego,

leniwego maminsynka, który do niczego się nie nadaje, zrobić idealnego męża, ale o tym opowiem przy jakiejś innej okazji.

- Rożka od razu wpadła mu w oko. - Katia zachichotała. - I na pewno poprosił ją o telefon...

- Gdzie mogę znaleźć tę Rożę? - spytałam. Katia prychnęła.

- Nie musisz nawet szukać! Na pewno jeszcze śpi! U siebie w domu, tu, vis a vis przychodni, taki budynek z czerwonej cegły. Idź od razu, na pewno ją zastaniesz.

- Śpi w porze obiadowej? Lonia zarżał.

- To u ciebie jest obiad, a u Rożki nawet na śniadanie za wcześniej, ona nigdzie nie pracuje, a w studiach przeszkadza jej całkowity brak szarych komórek, no więc spędza całe dni, a raczej noce, na imprezach... Kompleks rozrywkowy "Kryształ", kasyno "Korona", klub "Zawierucha"... Stać ją na to, więc czemu nie pobałować.

- Skąd ma tyle forsy? - zapytałam, wkładając w przedpokoju kurtkę.

- Jej tatulek - z ciężkim westchnieniem wyjaśniła Katia

- cholernie się wzbogacił, rozwiódł się z mamuszką i ożenił z dziewczyną młodszą od własnej córki. Rożka, chociaż idiotka, od razu skumała, że lepiej zostać przy tatusiu, więc pokłóciła się

z mamą. No, a potem tatuś kupił jej mieszkanie, żeby mu nie przeszkadzała w małżeńskich rozkoszach. Pieniądze sypie jej garściami, żyć, nie umierać.

Klatka schodowa domu, w którym mieszkała Roza, różniła się bardzo od tej, na której dopiero co byłam. Wszędzie chodniki, jakieś nowomodne skrzynki pocztowe, nie na kluczyk, ale na zamek szyfrowy, i ochroniarz w czarnym uniformie z koalicijką.

- Pani do kogo? - zapytał uprzejmie, ale surowo.

- Do pani Głotowej - odrzekłam z uśmiechem. Młodzieniec przyjrzał mi się i też się uśmiechnął.

- Czwarte piętro.

- Dziękuję. - Skinęłam głową i ruszyłam do windy.

Drzwi do mieszkania Głotowej były obite ostentacyjnie luksusową różową skórą, a przycisk dzwonka miał kształt złotego aniołka.

Kretyński pomysł, zważywszy, że ładnemu chłopczykowi ze skrzydełkami trzeba było przycisnąć nos, by wydobyć zeń bardzo niemelodyjne "dzyńdzyń".

- Kto tam? - dobiegł ze środka lekko ochrypliły głos; skrzypkowie mówią na to "piasek w strunach".

- Czy pani Roza Głotowa?

Szczęknięły zamki i na progu ukazała się bardzo ładna blondyneczka z ogromnymi, podobnymi do guzików, lekko wypukłymi niebieskimi oczami. Pulchną figurkę okrywał welurowy szlafroczek, obsyty łabędzim puchem, zgrabne nóżki tkwiły w rannych pantoflach z pomponami. W ogóle dziewczyna wydawała się tak ciepła i apetyczna jak świeżutka drożdżówka. Nawet pachniała czymś w rodzaju wanilii czy cynamonu. Uśmiechnęła się pełnymi, różowymi usteczkami i spytała:

- Pani do mnie? Skąd?

- Czytuje pani miesięcznik "Cosmopolitan"? Redaktor działu informacji towarzyskich Daria Wasiljewa.

- Oj! - Dziewczyna klasnęła w ręce. - Uwielbiam "Cosmo", to takie ciekawe pismo, tyle się można dowiedzieć! Ależ proszę, proszę wejść, bez krępacji.

Wciągnęła mnie do środka. Ścian w mieszkaniu nie było, to jest nie było ich między pokojami a kuchnią. Od samego progu otwierała się ogromna, prawie stumetrowa przestrzeń, w której jednym kącie znajdował się komplet mebli kuchennych, a w drugim wspaniałe łoże z baldachimem. Natychmiast stawało się jasne, że Rozoczka mieszka tu sama, bez męża, dzieci czy innych domowników.

- Tutaj, tutaj. - Dziewczyna ciągnęła mnie do barowej lady, zastępującej normalny stół. - Proszę wejść. Napije się pani whisky?

- Nie, dziękuję.

- No to koniaku.

- Dziękuję, wolałabym herbatę.

- Mam martella - oznajmiła Roza. - Nie jakieś gówno, ale prawdziwy francuski.

Popatrzyłam na ciemnozieloną butelkę, stojącą na barze. Na etykietce wyraźnie napisano po francusku: "Spirytus koniakowy".

Nie jest to szlachetny koniak, lecz jego daleki krewny. Francuzi stosują go do celów technicznych. Dodaje się go przy gotowaniu do różnych potraw albo używa do mięsa flambee, cienko pokrojoną poledwicę, którą kelner wnosi w stanie surowym, po czym przy stole oblewa potrawę alkoholem, podpala i po paru sekundach gasi. Wygląda to bardzo efektownie. Flambee często zamawiają turyści, i o ile wiem, nigdzie poza Francją się go nie serwuje. Poza tym w spirytusie koniakowym rozpuszcza się proszek na kaszel, a moja przyjaciółka Suzette dodaje go do maseczek kosmetycznych. Jednym słowem, ten produkt uboczny ma szerokie zastosowanie w różnych dziedzinach, ale żaden Francuz za nic nie piłby go tak jak koniaku Remy Martin, Hennessy czy Napoleon. A zresztą butelki spirytusu koniakowego w Paryżu stoją w sklepach w dziale spożywczym, a nie na półkach z alkoholem. Niestety, u nas ludzie

słabo się orientują w luksusowych towarach. Skoro na butelce napisano "Martell", to znaczy, że wszystko w porządku. W dodatku zaś nasze supermarkety, handlujące delikatesami, na ogół nie mają wśród swych pracowników tak zwanego sommelier, specjalisty od trunków, toteż z całym spokojem sprzedają spirytus jako markowy koniak.

- Wspaniały martell! - wyszczebiotała Roza, po czym wyjęła dwa małe kieliszki do wódki i napełniła je ciemnobrazowym płynem. Poczulałam ostry zapach. Głotowa nie wiedziała, że produkt departamentu Cognac należy nalewać do pękatych kielichów, zwężających się ku górze. Prawdziwy koneser ogrzewa taki kieliszek dłonią, delektując się bukietem i grą światła w alkoholu. Koniaku w żadnym razie nie można pić jak wódki... Ale Rozoczka opróżniła kieliszek jednym haustem i dopiero wtedy przyszło jej do głowy, by zapytać:

- Jaka pani ma do mnie sprawę?

- Nasze pismo zamierza przeprowadzić konkurs na najpiękniejszą parę - odparłam z uśmiechem. - Pani znajomi powiedzieli mi, że jest pani niezwykle piękna, sama zresztą widzę, że to prawda. A poza tym słyszałam, że pani partner to po prostu Alain Delon!

Trudno byłoby wymyślić coś głupszego, kompletna bzdura, ale z inteligencją Rozy rzeczywiście było raczej marnie.

- Super! - zapiszcziała. - Ekstra! Zrobią mi zdjęcia do "Cosmo", tak?

- Oczywiście.

- Kiedy?

- Jeszcze w tym miesiącu, ale...

- Co? - krzyknęła Roza. - Jeżeli pani myśli, że nie mam odpowiednich ciuchów, to proszę...

Podbiegła do lustrzanej ściany, szarpnęła jakąś dźwigienkę i moim oczom ukazało się wnętrze szafy, wypchane strojami. Czegóż tam nie było: suknie, bluzki, spódniczki, futra, bielizna.

- O! - Dziewczyna w podnieceniu zaczęła wyciągać ciuchy. - Jest tu wszystko: skóra, zamsz, aksamit, jedwab... No, w czym mam pozować? To z Paryża, a nie z bazaru, wszystko mam w najlepszym gatunku...

- Doskonale - pochwaliłam. - Rzeczywiście jest pani jak laleczka, a jak wygląda pani kawaler?

- Który? - Roza zachichotała. - Mam ich wielu.

- Ten, którego poznała pani na imprezie u Loni Rakitina.

Dziewczyna na moment zmarszczyła ładne czółko.

- Który to?

- No, taki wysoki, bardzo przystojny; Lonia mówił, że przyszedł z Poliną Żeleznową, a potem zobaczył panią i o mało nie padł trupem.

Roza zaczęła się pokładać ze śmiechu.

- Oj, nie mogę, przecież to Wienia.

- Kto?

- No, Wienia, tak mu na imię, rzeczywiście do mnie wystartował i nie odpuszczał przez cały wieczór!

- Polina pewnie się wściekła - podbechtywałam.

- Nieee - odparła radośnie Roza. - Nawet nie zwróciła uwagi, aż mnie to zdziwiło. Facet koło mnie skacze, komplementuje, prosi do tańca, a ona nic. Za to kiedy przyszedł Kostia ze Swietką, aż się zmieniła na twarzy, po prostu szok!

Nawet się zdziwiłam, co ją tak wzięło. Skoro podoba jej się Kostia, to po jaki grzmot przyszła z Wienią? A poza tym, co za sens tak cierpieć przez chłopaka? Znajdzie się inny. Ja, na przykład, nigdy bym się tak nie przejmowała, wielkie rzeczy, cały tłum się tu kręci pod oknami.

- Możesz mi dać telefon Wieni?

- Nie znam numeru.

Omiał nie jęknęłam z rozczarowania.

- To jak się z nim spotykasz?
- Z kim?
- Z Wienia.
- A kto pani w ogóle powiedział, że się widujemy?
- Lonia Rakitin - wypaliłam, niewiele myśląc. Roza się skrzywiła.
- Skąd mu to przyszło do głowy? Miałabym romansować z kelnerem? Jeszcze czego! Superfaceci tylko czekają na okazję: Loszka Śmiechów, jego tata jest generałem, Sieriożka Pietrow, jeździ jeepem mercedesem... O nie, ja wiem, co jestem warta, i z byle łajzą zadawać się nie będę!
- Lonia mówił, że Wienia jest studentem - wtrąciłam.
- Akurat! - prychnęła Roza. - Wienka kłamał! Mnie też powiedział, że studiuje w MGIMO* dyplomację, i uwierzyłam, a potem przyszedł Sieriożka Pietrow i od razu go poznał. Podszedł do mnie i szepnął:
- Słuchaj, Rożka, dawno znasz tego gościa? Dziewczyna wzruszyła ładnymi ramionkami i odparła:
- Jakies dwadzieścia minut.
- Zapytałaś go, gdzie pracuje?
- Studiuje w MGIMO, na wydziale dyplomacji. Sieriożka uśmiechnął się złośliwie.
- Tak ci powiedział? Łże. Twój wielbiciel pracuje w restauracji, biega z tacą. Wiem dobrze, bo prawie codziennie jadam w tej knajpie i widzę tego facia z serwetą w zgięciu łokcia. Ależ dałaś plamę, Roza, mnie odstawiłaś, a ściskasz się z jakimś fagasem!

* Moskiewska Wyższa Szkoła Stosunków Międzynarodowych (przyp. tłum.).

Głotowej aż się zrobiło niedobrze, kiedy zrozumiała, że chłopak, który jej się spodobał, drepcze między kuchnią a salą restauracyjną.

- No, niech pani tylko pomyśli, co za świństwo! - skarżyła się.
- Jak Polina mogła przyprowadzić do porządnego domu kogoś takiego?

Roza natychmiast zostawiła nic nierozumiejącego Wienię i zaczęła wytańcowywać z zadowolonym Sieriożką.

- A wiesz, jak się nazywa ta restauracja?
- Jakaś kaczką - zamruczała Roza. - Wesoła, niebieska, zielona... Nie, przypomniałam sobie. "Pomarańczowa Kaczka".
- Świetnie - rzekłam. - Dzięki za kawę, muszę lecieć.
- A zdjęcia? - zdumiała się Roza.

Cóż, to naprawdę idiotka. Przecież siedzę tu z pustymi rękami, ani aparatu fotograficznego, ani kamery.

- Dziś nie będziemy robić zdjęć - wyjaśniłam. - Po prostu przyszłam porozmawiać.

- A kiedy będą zdjęcia? - nie ustępowała Roza.

- W sobotę przyślę fotografa.

- Ooo, ekstra, zrobię sobie fryzurę, makijaż... Błękitne oczy Rozy wpatrywały się we mnie, usteczka się rozchyliły... I tu nie wytrzymałam:

- Fryzura i makijaż oczywiście, świetnie, ale trzeba jeszcze zrobić piercing i tatuaż!

Roza jednak wzięła to na serio.

- Ekstra! Cool! Jutro polecę do salonu tatuażu. Jak pani myśli, co wytatuować na łydce?

- Żmiję - doradziłam.

- Dlaczego? - spytała oszołomiona Roza.

- Bo to symbol mądrości - odpowiedziałam i wyszłam.

Rozdział 12

Sieć telefoniczna Bline świadczy swoim klientom całe mnóstwo usług. Operatorzy zaś darzą szczególną sympatią tych abonentów,

którzy korzystają z taryfy nielimitowanej. Płaci człowiek dwieście dolarów miesięcznie i rozmawia, ile chce. Wystarczy zadzwonić do informacji i podać swój numer, a dziewczyna na drugim końcu przewodu zamienia się w samą słodycz. Tak było i tym razem.

- Restauracja "Pomarańczowa Kaczka"? Sekundeczkę.

Ze słuchawki popłynęła smutna melodia. Ciekawe, czemu w Bline uważają, że powtarzające się monotonicznie dźwięki są lepsze niż cisza? Gdyby jeszcze nadawali koncert od początku do końca, ale wałkują w kółko jedną muzyczną frazę.

- Proszę notować - odezwała się operatorka. - "Pomarańczowa Kaczka", zaułek Fiodorowski 9.

Popatrzyłam na zegarek. Szósta. Cóż, w restauracji jest pewnie sam środek roboczego dnia.

"Pomarańczowa Kaczka" zajmowała dość małe pomieszczenie, zaledwie na sześć stolików. Wszystko tu, zgodnie z nazwą, było w kolorze pomarańczy: obrusy, kotary, serwetki, dywany i żyrandole. Z trudem stłumiłam śmiech, kiedy stanął przede mną kelner w smokingu, wyglądający z daleka jak gigantyczna mandarynka. Menu także miało okładki tej samej barwy.

Zamówiłam dwie najdroższe potrawy, których wcale nie zamierzałam jeść, kawę i zwróciłam się do kelnera:

- Mój drogi, zawsze obsługuje mnie Wieniamin.

- Oczywiście, oczywiście - odparł z przejęciem chłopak - jeśli pani sobie życzy, zaniosę zamówienie do kuchni, a Wienia poda. Wyniośle skinęłam głową i dałam mu dwadzieścia dolarów. Po jakichś dziesięciu minutach przy stoliku zjawił się postawny młodzieniec z tacą. Jego twarz o doskonale regularnych rysach, prostym nosie i wyraźnie zarysowanych ustach była odpychająco piękna. W każdym razie dla mnie. Nigdy mi się nie podobali nieskazitelni pięknie z farbowanymi włosami. A w czuprynie młodego kelnera spod blond pasemek prześwitywał zdradziecko czarny kolor, w dodatku oczy miał ciemnobrązowe, a przeguby porośnięte czarnymi włoskami, jasne więc było, że lalusz spędził niejedną godzinę u fryzjera, by osiągnąć pożądaną odcień włosów. Chciałabym jednak być dobrze zrozumiana. Nie mam absolutnie nic przeciwko mężczyznom, którzy o sobie dbają, robią sobie trwałą, manikiur, pedikiur, farbują włosy i brwi... W końcu przedstawiciele płci męskiej też chcą się podobać i wolno im. Tylko że mnie wydaje się to trochę śmieszne.

- Witam - rozpromienił się w słodkim uśmiechu Wienia, stawiając przede mną podgrzane talerze. - Dawno pani nie widziałem.

- W ogóle nigdy mnie pan nie widział - odparowałam. Kelner nie potrafił ukryć zdziwienia.

- Ale dopiero co pani wspominała...

- Niechże pan usiadzie, Wienia - rzekłam rozkazująco.

- Bardzo przepraszam - odparł - mamy obowiązek spełniać wszystkie prośby gości prócz jednej: nie wolno nam przysiąść się do stolików.

- Muszę koniecznie z panem porozmawiać - rzuciłam ostro i wręczyłam mu sto dolarów. - Może się pan teraz zwolnić na pół godziny? Nie wygląda mi na to, żeby goście walili tu drzwiami i oknami, więc pański kolega poradzi sobie sam.

- A obiad? - zdziwił się Wienia.

- Nie chcę go.

- Ale nie mogę zabrać dań z powrotem...

- Nie musi pan; ile wynosi rachunek?

- Chce pani zapłacić, nawet nie próbując potraw?

- Kochany - powiedziałam ciepło - odnieś to wszystko do kuchni i powiedz, że trafiła ci się wredna klientka, która poleciła przekazać kucharzowi, że prawdziwe risotto podaje się nie z pieczarkami, tylko z borowikami, a karczochy serwuje się w całości, nie w kawałkach. A skoro już o tym mowa, to gdzie jest sos do warzyw? Co, myśleliście, że będę jeść karczochy bez sosu?

- Ale...

- Raz-dwa zabieraj żarcie - poleciłam, regulując rachunek - i wyjdź na ulicę. Moja renówka stoi przed wejściem. Przyzwyczajony do spełniania kaprysów zamożnych klientów Wienia błyskawicznie się oddalił.

Usiadłam w samochodzie i zapaliłam papierosa. Po jakichś dziesięciu minutach gdzieś z boku wychynał mój kelner. Wyszedł służbowym wyjściem, już bez okropnego smokingu. Teraz miał na sobie sweter, dżinsy i króciutką barankową kurtkę. Wsiadł do wozu i powiedział:

- Słucham.

- Znasz Polę Żeleznową?

- Spotykaliśmy się - rzekł, kiwając głową.

- Długo?

- Co "długo"?

- Spotykaliście się...

Chłopak milczał przez sekundę, a potem uprzejmie, ale stanowczo odparł:

- Z jakiej racji mam się pani spowiadać?

- Widzisz, skarbie, Polina Żeleznowa parę dni temu zginęła w bardzo podejrzanych okolicznościach. Nazywam się Daria Wasiljewa, jestem prywatnym detektywem. Matka Poliny wynajęła mnie, żebym zbadała, kto jest winien śmierci jej córki. Rozumiesz?

- Nie - drżącym głosem powiedział Wienia. - Co ja mam z tym wspólnego?

- A to, koteczku, że jestem dziwnie pewna, że maczałeś w tej historii palce.

- Co pani? - Kelner pobladł. - Szaleju się pani opija? Przy tych słowach próbował otworzyć drzwi, ale szybko nacisnęłam breloczek blokady. Szczęknęło.

- Siedź spokojnie - powiedziałam.

- Proszę otworzyć - rzucił Wienia.

- Spokój - poleciłam. - Podaj mi komórkę, jest tu, w uchwycie.

- Po co?

Wyjaśniłam beznamiętnie:

- Otóż my, detektywi prywatni, nie mamy prawa sami dokonywać zatrzymań, więc zaraz wezwę tu pułkownika Diegtiariowa. A on już z tobą pogada jak należy. Nie chcesz rozmawiać ze mną, to nie, ale uprzedzam cię, że Diegtiariow to straszny człowiek, Kolkę Betona złamał w dwie minuty. Słyszałaś kiedyś o Betonie?

- Nie - wyszeptał Wienia.

- A - machnąłam ręką - jest taki twardziel, Kolka Beton, odkiblował w łagrach dwadzieścia lat, nikogo się nie boi, a u Diegtiariowa w izbie tortur od razu zaczął śpiewać jak słowik. Więc sam rozumiesz, że z tobą pułkownik poradzi sobie w try miga...

- W jakiej izbie? - wyjąkał Wienia. - Nie rozumiem.

- Nie szkodzi, wkrótce się dowiesz - obiecałam. - Dawaj komórkę! Ale kelner zaczął gorączkowo szarpać drzwi. Położyłam mu rękę na ramieniu. Podskoczył i uderzył głową o podsufitkę.

- Jakiś ty nerwowy - powiedziałam. - Nie wolno się tak wzbudzać. Jeżeli nie chcesz, żebym wezwała pułkownika, to mi wszystko opowiedz.

- Nie chcę - odparł Wienia jak mały chłopczyk.

- No, dobra - zgodziłam się. - A więc zrobmy inaczej. Dam ci jeszcze sto dolarów, patrz, jaki ładny zielony papierek z portretem amerykańskiego prezydenta. Bierz, nie krępuj się. Najpierw się uspokój, a potem mów: miałaś z Poliną romans? Nawiasem mówiąc, wstawiłeś jej kit, jak zresztą wszystkim, że masz nadzianych rodziców, studiujesz w MGIMO... A ona po jakimś czasie dowiedziała się prawdy, tak?

Chłopak milczał uparcie, patrząc na banknot.

- Polina miała wielkie ambicje - ciągnęłam spokojnie - szukała

bogatego męża i, naturalnie, zaraz cię rzuciła. No a ty się wściekłeś i postanowiłeś ją zabić. Byłeś niezwykle wytrwały. Podłożyłeś bombę w samochodzie, strzelałeś w butik... Jednego nie rozumiem: jak ci się udało ją nakłonić, żeby na takiej prędkości wjechała na słup? A właśnie, czerwony ford, w którym zginęła, należał do mnie, i na dobrą sprawę, powinnam z ciebie ściągnąć odszkodowanie.

- Opowiada pani okropne rzeczy - szepnął Wienia, zsuwając się po oparciu fotela. - Nie wiedziałem, że Polina zginęła.

- Koteczku, dlaczego kłamiesz?

- Jak Boga kocham, nie wiedziałem - jęczał Wienia. - Nikogo nie zabiłem, zresztą za co miałbym ją mordować?

- Z zazdrości. Skoro ty nie mogłeś jej mieć, to nikt inny też nie!

- O matko - zaczął zdesperowany kelner - nie było ani zazdrości, ani miłości, w ogóle nic!

- No to po co spotykałeś się z Poliną?

- Wynajęto mnie! - ze łzami w oczach wyznał chłopak.

- Wynajęto? Kto?

- Iraida Lwowna. - Wienia prawie płakał. - Dała mi tysiąc dolarów, obiecała jeszcze więcej, ale nic z tego nie wyszło...

- No, opowiadaj wszystko po kolei - rozkazałam. Wienia wyciągnął z kieszeni chustkę, wysmarkał się, dygocząc, i zaczął swoją opowieść:

Pracuje w "Pomarańczowej Kaczce" trzeci rok. Odsłużył wojsko, skończył szkołę i zatrudnił się w restauracji. Lokal mu się podoba, spokojny, bez striptizu. Żadni mafiozi i napaleni faceci tu nie przychodzą, bo nudno: ani dziewczynek, ani muzyki...

Klienci są na poziomie, głównie pracownicy dwóch pobliskich banków i inni solidni, dobrze zarabiający ludzie. Przychodzą na obiady, kolacje, dają przyzwoite napiwki. Wienia stara się, jak może, strasznie potrzebuje pieniędzy. Marzy, żeby się wynieść z sublokatorskiego mieszkania, i ciuła dolary. Bierze każdą dodatkową pracę. Czasami ktoś proponuje obsługę bankietu w prywatnym domu albo w firmie... Niektórzy krzywią się i odmawiają. Na "impresjach wyjazdowych" trzeba być nie tylko kelnerem, ale sprzątaczem i tragarzem: przenosić stoły, krzesła. Wienia jednak zawsze bierze każdą fuchę. Iraidę Lwownę zna od dawna. Bogata baba, przyjeżdża mercem z kierowcą, zamawia zawsze rybę na parze i pieczone ziemniaki. Albo dba o linię, albo jest na coś chora.

Mniej więcej miesiąc temu Iraida Lwowna pokiwała na Wienię palcem i spytała:

- Chcesz zarobić za nic tysiąc dolarów?

- Kto by nie chciał? - odparł rezolutnie chłopak.

- No to szoruj do mojego samochodu - poleciała baba.

W aucie, opuściwszy szybę między kierowcą a tylnym siedzeniem, na które wślizgnął się Wienia, Iraida Lwowna spokojnie wyłożyła, o co chodzi.

Ma syna Tolę, dziedzica zgromadzonego przez rodziców majątku. Miły chłopiec, łagodny, dobrze wychowany, absolutnie nieumiejący powiedzieć nikomu "nie". Wiedząc o patologicznej uczciwości i łagodności potomka, tatuś i mamusia przewidująco wyszukali mu narzeczoną, taką, aby była godną ich syna małżonką.

Tola studiuje w MGIMO, Natasza również, tylko o rok niżej.

Rodzice dziewczyny mają solidny biznes, dla młodych przygotowano już mieszkanie, samochód i posady. Ślub naznaczono na koniec grudnia. Nagle jednak Tola zaczął się zachowywać bardzo dziwnie. Przestał się spotykać z Nataszą, a potem w ogóle zerwał z nią wszelkie stosunki. Iraida Lwowna przeprowadziła zwiad i wykryła rzecz zdumiewającą.

Zawsze posłuszny, potulny syn raptem postanowił wykazać inicjatywę i nawiązał romansik z zupełnie nieodpowiednią osobą

- Poliną Żeleznową. I wtedy w głowie Iraidy Lwowny narodził się plan.

Wienia ma udawać syna nieprawdopodobnie bogatych rodziców i odbić Polę Anatolowi.

- Zebrałam o tej puszczalskiej informacji - spokojnie oznajmiła Iraida. - Dziewucha poluje na nadzianego męża. Gdyby mój syn pokochał normalną, porządną, ale biedną dziewczynę, nigdy bym nie próbowała zrujnować jego szczęścia. Jasne, że dobrze by było połączyć majątki, zarobiliśmy jednak z mężem tyle, że starczy dla wszystkich aż nadto. Chcę, żeby moje dziecko było szczęśliwe, ale ta dziewczucha!... Nie ma chyba pieca, z którego nie jadłaby chleba. Ładny z ciebie chłopiec, Wienia, ta dziwka na pewno na ciebie polecą, a wtedy Tola zrozumie, kim ona jest!

- Ale ja nawet nie mam samochodu - speszył się Wienia. - A poza tym nie mam też kasy, odpowiednich ciuchów... Nie dam rady jej oszukać. Od razu się połapie, co i jak.

- Będzie cię wozić mój kierowca tym mercedesem - spokojnie odrzekła Iraida. - Dziś wieczorem dostarczą ci do domu walizkę z ubraniami, a tu masz, trzymaj, dwa tysiące dolarów. Tysiąc jest twój, a drugi wydasz na zaloty: kwiaty, czekoladki, knajpy, kino, zresztą, co ja cię będę uczyć, sam wiesz. Jeżeli intryga wypali, wynagrodzę cię po królewsku.

- A jeśli nie?

- To nie - odpowiedziała sucho baba. - Umowa stoi? I podaj mi swój numer butów.

Wieczorem rzeczywiście dostarczono Wieni olbrzymią walizę, wypchaną eleganckimi ciuchami. Wszystkie były w świetnym gatunku, praktycznie nowe, ale bez metek. Wienia domyślił się, że nieznanemu mu Tola postanowił odnowić garderobę. Tylko buty były prosto ze sklepu, kilka pudełek z paragonami w środku. Młody człowiek aż gwizdnął, kiedy zobaczył, ile kosztują półbuty ze skóry pytona. Na rzeczach leżały dwa kosztowne skórzane paski do spodni, złota zapalniczka, zegarek Patek Philippe i telefon komórkowy. Iraida Lwowna przewidziała wszystko.

Na Polinę czatował przed uczelnią. Zaczekał, aż dziewczyna pożegna się z koleżankami i ruszy sama prospektem, po czym kazał kierowcy rozpędzić się porządnie i ochlapać ją brudną wodą z kałuży.

Szofer obryzgał Polinę od stóp do głów. Wienia wyskoczył z merca, zaczął przeproszać i zaproponował, by natychmiast wybrali się do sklepu po nowy przyodziewek. Polina obejrzała sobie samochód, sztywnie ubranego Wienię i wyraziła zgodę.

Przez cały tydzień Wienia usilnie odgrywał dziką namiętność, zasypując "ukochaną" prezentami.

- Ależ z niej suka - opowiadał, wzdychając. - Kręciła jednocześnie ze mną i z tym całym Tolą. On ciągle do niej wydzwaniał na komórkę, a ona mówiła: "Przepraszam cię, niedługo przyjadę, jestem jeszcze na zajęciach".

Po czym wyłączała telefon i mówiła słodkim głosem:

- Brat się denerwuje, pilnuje mnie jak jakiś eunuch w haremie, tak się boi o moją cnotę. Dobrze jeszcze, że nie czeka na mnie pod uczelnią! Okropnie surowy! Rodzice wcześniej nas odumarli i on zastępuje mi ojca.

Wienia wzdychał ze współczuciem, świetnie wiedząc, że eksdziewica poluje teraz na dwa zajace.

Rozdział 13

Polina bynajmniej nie była idiotką. Kosztowne prezenty przyjmowała niechętnie, jakby robiła Wieni łaskę, nie zgadzała się na zbliżenie, tłumacząc się sprytnie, że zazdrosny brat strzeże jej niczym stuoki Argus. Wienia zorientował się, że dziewczyna nie potrafi się zdecydować, którego z konkurentów wybrać, i wytoczył najcięższe działa. Wyznał, że nie ma rodziców

i żadnych krewnych, i ofiarował Polinie rękę i serce. Polina bez wahania przyjęła oświadczyń i demonstracyjnie wyłączając komórkę, oznajmiła:

- Koniec z tym, teraz nie muszę się bać brata, mąż jest ważniejszy.

Potem namiętnie odpowiedziała na pocałunek Wiener i szepnęła:

- Od dawna cię kocham, od pierwszego spotkania, ale bałam się ci powiedzieć, żebyś sobie nie pomyślał, że poluję na twoje pieniądze.

Wiener zaśmiał się i zaczął rozpinąć jej bluzkę, lecz Pola odsunęła jego ręce i powiedziała stanowczo:

- Przepraszam cię, ale mama na łożu śmierci prosiła, żebym przysięgła, że oddam się mężczyźnie dopiero po ślubie.

Najwyraźniej Polina, która tyle razy się sparzyła, postanowiła dmuchać na zimne. Wiener zdumiał tylko jej zdolności aktorskie; gdyby nie wiedział, co jest grane, uwierzyłby dziewczynie bez zastrzeżeń. Polina dokonała wyboru, nieszczęsnego, zakochanego Tolę czekała odstawka.

- Dzisiaj moi znajomi urządzą imprezkę - ciągnęła Polina. Chodźmy tam, zabawimy się!

Wiener, naturalnie, się zgodził. Nakupiwszy drogiego alkoholu i zakasek, udali się do Rakitinów. Najpierw wszystko szło po prostu wspaniale, ale potem zjawił się jeszcze jeden facet i Wiener zrobiło się zimno. W nowo przybyłym poznał stałego klienta "Pomarańczowej Kaczki", jednego z urzędników bankowych. Młody człowiek obrzucił Wienera uważnym spojrzeniem, przywitał się i poprosił do tańca Polinę. Widząc, że został zdemaskowany, Wiener czym prędzej wystartował do pulchnej dziewczyny o głupawym wyglądzie, od stóp do głów obwieszanej wyrobami jubilerskimi. Roza robiła wrażenie kompletnej idiotki i zebrani otwarcie się z niej nabijali. Kelner jednak pomyślał, że mocno nadziana panna świetnie się nadaje na kochankę.

Tym razem nie usiłował udawać superbogacza, po prostu powiedział Rozie, że jest studentem MGIMO.

Piękny chłopiec strasznie się Głotowej spodobał i dziewczyna natychmiast dała mu swój telefon. Ale Wiener mocno się przeliczył. Nie zdążył zaproponować podnieczonej Rozoczce szklanki wody mineralnej, kiedy nachmurzona Polina pokiwała na niego palcem.

Wyciągnęła niefortunnego amanta na klatkę schodową i zasyczała z wściekłością:

- Oszukałeś mnie!

Wiener postanowił udawać głupiego:

- Co się stało, kochanie? Pewnie jesteś zła, że tańczyłem z Rozą, ale słowo daję, nie chciałem cię rozgniewać...

- Zamknij się - przerwała mu Pola. - Wiem wszystko. Pracujesz w knajpie, a mercedes z kierowcą należy do prezeski banku Iraidy Lwowny Jerszowej. Boże, jaka ja byłam głupia! Całe szczęście, że Sieriożka otworzył mi oczy. Na twoje nieszczęście on pracuje właśnie w tym banku. Ale się zdziwił! Szefowa jeździ sama peugeotem 206, a merc z kierowcą gdzieś zniknął. Teraz wszystko jasne! Ty bydlaku, ty świni, ty draniu!

Zamachnęła się ręką z ostrymi, czerwonymi paznokciami, ale Wiener zdążył ją chwycić za przegub.

- Trafił swój na swego - powiedział z uśmiechem. - Co tam słyhać u twojego starszego brata Tolika? Powiadasz, że cię pilnuje jak niańka, tak?

Pola obrzuciła go ordynarnymi wyzwiskami. Wiener gwizdnął.

- No, no, żeby cnotliwa młoda panienska, która zamierza się oddać mężczyźnie dopiero po ślubie, używała takich wyrazów?!

- Wynocha! - zasyczała Polina i pchnęła byłego narzeczonego.

Wiener, który się tego nie spodziewał, boleśnie uderzył się o kaloryfer. Rozzłoszczony, chciał wytrząsać zuchwałą dziewczynę po buzi, ale ta szybko uciekła do mieszkania. Ochłoniwszy nieco,

kelner postanowił wykorzystać sytuację, na ile się tylko da. Wrócił na imprezę i ze słodziutkim uśmiechem zbliżył się do głupiutkiej Rozy, ale dziewczyna zmarszczyła ładny nosek i parsknęła:

- No dalej, ruszaj do kuchni i podaj mi herbatę, czuj się jak u siebie w pracy!

Wienia, widząc, że udawać studenta MGIMO w tym towarzystwie już nie może, zabrał się i poszedł.

Iraida Lwowna na wieść o wpadce tylko westchnęła.

- Cóż, wyjątkowy pech. Słowo daję, tę dziewczynę taniej byłoby zabić niż oderwać od niej Tolika.

Wienia obawiał się, że baba zażąda zwrotu tysiąca dolarów, ale Iraida Lwowna nawet nie wspomniała o forsie; ubrania, buty, paski, zapalniczkę, komórkę i nawet luksusową walizkę też mu zostawiła. Zabrała tylko oczywiście mercedesa z kierowcą.

- Daj mi telefon tej pani - zażądałam.

- Nie mam go!

- To jak się z nią kontaktowałeś?

- Ona do mnie dzwoniła na komórkę.

- Gdzie mogę ją spotkać?

- U nas, w "Pomarańczowej Kaczce" - szybko poinformował chłopak.

- Przychodzi codziennie o pierwszej. Punkt trzynasta zero zero.

Wtedy w banku jest obiad, ale szefom nie wypada jadać razem z podwładnymi...

- Okej - powiedziałam. - Możesz iść!

Wienia szarpnął za klamkę, drzwi nie ustąpiły. Znów nacisnęłam breloczek, szcęknęło. Kelner otworzył drzwi i raptem pobladł.

- Co ci jest? - spytałam. - Nagle zachorowałeś?

- Wychodzi, że to ta pani zabiła Polinę - wybełkotał Wienia.

Powiedziała przecież, że taniej będzie ją załatwić, niż rozłączyć z jej synem... Może wynajęła killera... Mając takie pieniądze, można wszystko...

- Nie mów nikomu ani słowa o swoich przypuszczeniach - poprosiłam łagodnie. - Bo jeszcze, nie daj Boże, ciebie też znajdą gdzieś w rowie. Jasne?

Wienia przytaknął, roztrzęsiony.

- I jeszcze jedno - ciągnęłam. - Jutro przyjadę do restauracji dokładnie o pierwszej, żeby pogadać z Iraidą Lwowna. Nie wąż się ze mną witać! Rozumiesz?

Wienia kiwnął głową i dał dyla. Spojrzałam na zegarek i wolno pojechałam do domu. Strasznie mi się nie chciało wracać do Łóżkina. W domu na pewno kłębnią się ci okropni filmowcy, pełno ludzi, gwar, hałas... A ja lubię ciszę, spokój, lubię poleżeć z książką na kanapie pod kocykiem. Mam takie same nawyki jak Hootchuś, ubóstwiałam leniuchować w ciepłe i zaczynam warczeć, jeżeli ktoś próbuje mnie wyrzucić z przytulnego gniazdka. Gwoli sprawiedliwości muszę jednak dodać, że domownicy nie zwracają na warczenie Hootcha żadnej uwagi i bez ceremonii spychają go na podłogę; ze mną postępują tak samo. Wystarczy, żebym się umościła w swoim pokoju na kanapie i pograżyła z głową w pasjonującej książce, a już dzieci zaczynają co chwila do mnie wpadać i zadawać idiotyczne pytania; niedawno, na przykład, Mania zainteresowała się nagle:

- Mamo, gdzie jest rower? Najniezbędniejsza rzecz zimą. Arkady zaś z ponurą miną zapytał:

- Czy możesz mi powiedzieć, gdzie się podziała walizka z moimi rzeczami z dzieciństwa, taka kraciasta, jeszcze w Miedwiedkowie stała na pawlaczu?

Cisnęłam książkę na kanapę i zasyczałam:

- Słuchaj, czy nie mógłbyś mnie zostawić w spokoju przynajmniej wieczorem?

- W dzień też nic nie robisz - odparł mój syn. - Gdzie jest walizka?

- Czyś ty zwariował?

- Dlaczego?

- Po Miedwiedkowie zdążyliśmy dwa razy się przeprowadzić, pomieszkać w Paryżu, zbudować dom w Łożkinie... I ty uważasz, że powinniśmy byli wszędzie taszczyć ze sobą kompletnie niepotrzebne bambette? To śmieszne...

- Tam było pudełko z moimi żołnierzykami! To rozzłościło mnie do reszty.

- Na litość boska, jeżeli chcesz się bawić, kup sobie nowe i zdalnie sterowanego robota na dodatek!

- Były mi potrzebne moje stare żołnierzyki - ponuro odrzekł Kiesza i wyszedł.

Do tej pory nie wiem, czy się wygłupiał, czy naprawdę tak go dotknęła strata ołowianych figurek.

Z wyżej wymienionych powodów postanowiłam zjawić się w Łożkinie jak najpóźniej. Najpierw znów pojechałam do księgarni "Młoda Gwardia", gdzie stwierdziłam ze smutkiem, że w dziale kryminałów nie przybyło żadnych nowości. Potem powłóczyłam się po innych działach i wyruszyłam do domu.

Trumna nadal stała w holu i, tak jak wczoraj, spokojnie spał w niej Bundy. Dzielny pitbull, kupiony wyłącznie po to, by pełnił funkcje obronne, ani drgnął, kiedy weszłam do środka. Zapewne nawet nie słyszał kroków. Natomiast Snap, Cherry i Julie przyleciały pędem i zaczęły radośnie popiskiwać. Z jadalni wyjrzał Borys.

- O, Daszeńka! Jak to dobrze, czekam na panią i czekam...

Zastanawiałem się, gdzie się pani podziewa. Komórka nie odpowiadała!

To prawda, wyłączyłam ją, żeby rozmaite osoby nie dzwoniły z wrzaskiem: "Przyjeżdżaj szybko na zdjęcia".

Borysowi jednak oczywiście tego nie powiedziałam; bąknęłam tylko, zdejmując kurtkę:

- Tak? To dziwne. Może się rozładowała?

- Bardzo możliwe - zgodził się reżyser. - No, jest pani gotowa?

- Do czego?

Borys uśmiechnął się odrażająco:

- Daszo, jest pani wyjątkowo "kinogeniczna", ma pani taką wymowną twarz... Krótko mówiąc, postanowiłem dać pani rolę.

- Nie, dziękuję - zaprotestowałam słabo. - Żadna ze mnie aktorka...

- Proszę się nie denerwować. - Reżyser wyszczerzył zęby. - To tylko kilka epizodów, a grać niczego nie potrzeba, po prostu uwiecznimy panią jako gospodynię, sympatyczną damę...

Nie przestając trajkotać, wepchnął mnie do jadalni, gdzie siedzieli Fiodor i jakaś kobieta.

- Waleczko, do dzieła - rzucił Borys.

Kobieta pokiwała na mnie palcem.

- Słucham - powiedziałam.

- Niech pani usiadzie na krzesełku - poprosiła. - Podmalujemy buzię.

- Ja się w zasadzie nie maluję.

- Ale to jest film! - wykrzyknęła Waleczka i jęła wodzić po mojej twarzy ohydnie cuchnącą gąbką.

Moja babcia mawiała często: "Jeżeli zaatakował cię gwałciciel i nie możesz się obronić, powinnaś się odprężyć i starać się mieć z tego jakąś przyjemność".

Dlatego też nie próbowałam odpychać gniewnie ręki charakteryzatorki, tylko po prostu zamknęłam oczy.

Po jakichś dziesięciu minutach Borys powiedział:

- O, cudownie, wyglądasz ekstra, o dychę młodziej, zawsze powinnaś się malować!

Odnutowawszy w duchu, że facet przeszedł ze mną na "ty", spytałam nadaśana:

- Co mam robić?

- Posłuchaj - zaczął wyjaśniać reżyser. - Teraz jest wczesny

ranek. Wstałaś, jesteś wyspana, w doskonałym humorze. Siedzisz w jadalni, wchodzi pokojówka z talerzem płatków owsianych... Z apetytem jesz śniadanie. I to wszystko! Nic trudnego! Zrozumiałaś, o co chodzi?

Kiwnęłam głową.

- Ale niepokoją mnie szczegóły.

- Jakie?

- Po pierwsze, teraz jest wieczór, po drugie, rano zawsze jestem nastrojona ponuro, po trzecie, w zasadzie nigdy nie jadam śniadań, po czwarte, nienawidzę owsianki...

- Kotku! - Borys zamachał rękami. - To jest film! Tu nic nie jest prawdą. Bardziej niż w filmie kłamają tylko w dzienniku telewizyjnym. Dobra, najpierw zrobimy próbę. No, szybko, siadaj, poproszę uśmiech...

W twarz uderzyło mnie jaskrawe światło.

- No, zagraj radość - polecił mój oprawca. Wyobraziłam sobie, że reżysera atakuje rozwścieczona, głodna tygrysica i właśnie próbuje odgryźć mu głowę. Moje usta mimo woli zaczęły się rozciągać w uśmiechu.

- Wspaniale! - zawył Borys, klaszcząc w dłonie. - Ira, owsianka! Stuknęły drzwi i w kręgu światła ukazała się nasza gosposia.

Roześmiałam się na całe gardło.

Irka zazwyczaj chodzi po domu w wygodnych sztruksowych spodniach i swetrze. Wiem, oczywiście, że wielu bardzo zamożnych ludzi każe swej służbie nosić liberię, na przykład kierowca Syromiatników ubrany jest w czerwony surdut i czapkę ze złotym otokiem. U nas jednak wszystko wygląda zwyczajnie. Najważniejsze, aby Ira dobrze wykonywała swoją robotę, a w co jest przy tym odziana, zupełnie nas nie interesuje. Zresztą Irka jest patologicznie schludna, ubrania zawsze ma nienagannie wyprasowane, włosy doskonale ułożone... Bardzo o siebie dba. Dziś jednak wyglądała wręcz niewiarygodnie.

Jej zgrabna, niewysoka figurkę opinała wąska, czarna sukienka-futerał, uszyta z jakiegoś błyszczącego materiału. Króciutka spódniczka odsłaniała kolana, talię opasywał miniaturowy, biały koronkowy fartuszek rozmiarów chustki do nosa, na głowie sterczał "kokosznik" z takiej samej koronki. Malutkimi kroczkami Irina przydreptała do stołu, z hukiem postawiła na obrusie niklowane naczynie, podniosła pokrywkę i oznajmiła:

- Owsianka, madame!

O mało nie umarłam ze śmiechu. Nie dość, że Irka przypominała tancerkę ze striptizbaru trzeciej kategorii... Są takie lokale, w których dziewczęta wybiegają na scenę w strojach pielęgniarek, kelnerek, stewardes. Wszystkie te kostiumy uszyte są na jedno kopyto: krótkie, wąskie, wyzywające... W dodatku zaś Irina wygłosiła zdanie o owsiance, żywcem zaczerpnięte z serialu o Sherlocku Holmesie.

- Hej! - ryknął reżyser. - Tak nie można! Daszo, taką burzliwą radość na widok zwykłych płatków owsianych mogłaby okazywać jakaś wygłodniała bezdomna, a nie bogata dama. Przesadziłaś! Ira, jeszcze raz!

Sytuacja się powtórzyła. Tym razem powstrzymałam się od śmiechu i kiedy Irka, oznajmiwszy uroczystie: "Owsianka, madame!" podała talerz, utkwiałam wzrok w płatkach.

- No - popędził mnie Borys - dalej!

- Co "dalej"?

- Jedz z apetytem!

- Ale ja nie cierpię owsianki!

- Sztuka wymaga ofiar! - wykrzyknął patetycznie reżyser.

- Zaczynaj.

Wiem doskonale, że natura obdarzyła mnie zbyt miękkim, ustępliwym charakterem, a poza tym zawsze się boję kogoś obrazić, toteż w sytuacjach, w których na dobrą sprawę należałoby zacząć

wrzeszczeć i tupać nogami, zazwyczaj z westchnieniem dają za wygraną. Teraz także, zamiast posłać Borysa razem z owsianką do wszystkich diabłów, wzięłam łyżkę i zaczęłam przełykać śliską, przesłodzoną masę. Ponieważ jednak byłam dziko głodna, uporałam się z zadaniem pomyślnie.

- Dobra - zmiłował się Borys. - Ujdzie! Ucieszyłam się.
- To wszystko? Jestem wolna?

Reżyser popatrzył na mnie jak treser na głupią małpę.

- Oczywiście że nie, teraz zaczniemy kręcić!

- Ale ja już zjadłam owsiankę!

- To była próba, a teraz włączymy kamerę.

- I mam znów dławić się płatkami?!

- Dziwię się bardzo - rzekł z oburzeniem reżyser. - Olga obiecała, że wszyscy w domu będą nam pomagać, i tylko dlatego dałam jej rolę, a teraz zaczynają się kaprysy!

Przycichłam. Jeżeli Kicia straci szansę ukazania się na ekranie, moje życie aż do zgonu stanie się piekłem.

- Dobrze już, dobrze, zgoda. Tylko, Ira, nie nakładaj tak dużo! Gospościa kiwnęła głową i znikła.

- Ruszamy! - ryknął Borys.

Przywołałam na twarz kretyński uśmiech. I nagle, skądś z boku, wyłoniła się charakteryzatorka Wałeczka z tajemniczą czarną tabliczką w rękę. Podsunawszy mi ją pod sam nos, wrzasnęła:

- Dom rodzinny, ujęcie pierwsze! - I ogłuszająco czymś stuknęła.

- Oj! - zapiszczałam.

- Stop! - ryknął reżyser. - Co znowu?

- Nic, przestraszyłam się.

- W porządku, spoko, to klaps - odparł Borys. - Tak będą robić przed każdą sceną. Przecież to chyba nie boli, co?

I obaj z operatorem obrzydliwie zarżeli. Po pięciu minutach sytuacja się powtórzyła.

- Dom rodzinny, ujęcie pierwsze! - obwieściła Wałeczka.

Wyszczерzyłam zęby, pojawiła się Irka.

- Owsianka, madame!

Usiłując się nie zakrztusić, zeżarłam płatki.

- Gotowe - oznajmił reżyser.

- Niedobrze - powiedział operator i dodał zagadkowo: - Bliki.

- O, kurwa - rozżłościł się Borys. - No dobra, jeszcze raz.

- Znowu! - wyszeptalam ze zgrozą, czując, że mam dosyć owsianki na całą resztę życia.

- Okej, okej, potem będziesz się stawiać! - wrzasnął reżyser.

Jazda!

Znów, dławiąc się, przełknęłam zawartość talerza.

- Źle! - rozdarł się Borys. - Gdzie uśmiech? I dlaczego Irka chichocze? Wszystkich zwolnię, wywalę na zbity pysk! Idiotki! Jak nie potraficie wykonać poleceń reżysera, to nie pchajcie się przed kamerę!

Chciałam zauważyć słusznie, że wcale się nie rwałam, żeby zostać Sharon Stone, już otworzyłam usta, ale natychmiast je zatrzasnęłam. Owsianka chlupotała mi w gardle i zlekłam się, że zaraz wykonam ulubiony numer Hootchusia - puszczenie pawia w jadalni.

- Jeszcze raz - zapiszczał Borys. - Perfekcyjnie, dokładnie, no...

Podobno człowiek, długo i uporczywie torturowany, w pewnym momencie całkowicie przestaje odczuwać ból. Organizm, broniąc się, w rozpaczy wyłącza wszystkie systemy bodźców. Człowiek niby żyje, ale nie reaguje. Coś takiego stało się ze mną przy szóstym dublu. Pochłonełam owsiankę bez wysiłku.

- No - oznajmił z zadowoleniem Borys - nareszcie. A chodziło tylko o to, żeby zjeść płatki! Dziękuję wszystkim.

Wylazłam zza stołu i ostrożnie przeszłam do holu. Owsianka falowała mi w nosie, wydawało się, że chyba dotarła do zatok. Nie mając siły, by wejść na górę, dowlokłam się do toalety dla gości

i schyliłam nad muszlą klozetową. Brak mi słów, by opisać, jak się czułam. Powiem tylko, że jeśli biedny Hootchuś za każdym razem czuje się równie źle, to nigdy nie będę na niego krzyczyć z powodu zniszczonego dywanu.

Mniej więcej po godzinie do mojej sypialni wpadła Kicia.

- Co ty tu tak leżysz sama jedna?! - krzyknęła. - Chodź na kolację.

- Dziękuję, nie mam ochoty.

- Dość tych kapryśków - oburzyła się Olga, zapaliła górne światło, sięgnęła do szafy, wyciągnęła spodnie i sweter, odwróciła się do mnie i wrzasnęła: - O matko!

- Co się stało?

- Dawno się przeglądałaś w lustrze?

- No - odparłam po namyśle - jak się myłam...

- I co?

- Nic, w porządku.

- No to przejrzyj się teraz!

Musiałam się wygrzebać spod ciepłego pledu i pomaszerować do łazienki. Beznamiętne lustro ukazało mi bladą twarz i rozkudłane włosy. Nic dziwnego w tym nie było. Zazwyczaj mam twarz koloru zbieranego mleka, a mojej czupryny po prostu nie sposób ujarzmić, sterczy na wszystkie strony. Zdumiało mnie co innego. Czoło, policzki, nos, brodę pokrywało całe mnóstwo czerwonych plam, rozlewających się niżej, na szyję...

- Co ci się stało?! - darła się Olga.

Nie trzeba chyba dodawać, że głos moja synowa, jak przystało na profesjonalną "gadającą głowę", ma donośny... W jednej chwili zlecieli się wszyscy domownicy, za nimi naturalnie psy razem z kotami, dobrze chociaż, że chomiki zostały w swoim domku!

Dzieci natychmiast zaczęły wymieniać powody takiego stanu rzeczy.

- Komary ją pogryzły - oznajmiła Mania.

- W grudniu! - prychnął Kiesza. - Nie ma co, świetny z ciebie będzie weterynarz!

- Nie specjalizuję się w owadach - obrazila się Mania.

- To widać - zareplikował Arkady. - Prawdopodobnie to ospa wietrzna.

- Nie. - Borys pokręcił głową. - Mój syn ją przechodził, to świństwo nie wygląda na ospę, tam na środku każdej plamy jest taki pęcherz, a tu po prostu czerwone...

No proszę, a więc Borys ma dziecko! To i żonę pewnie też? I taki ktoś zaleca się do obcych kobiet!

- Nonsens! - zaoponowała Kicia. - Może to pluskwy?

- Co? - oburzyła się Irka. - Jak w ogóle coś takiego mogło ci przejść przez gardło? Codziennie czyszczę materace, coś ty? To już raczej pchły. Daria Iwanowna wiecznie trzyma Hootcha w łóżku zamiast termofora.

Teraz oburzyła się Mania:

- Hootch, jak zresztą żadne z naszych zwierząt, nie ma pcheł ani innych pasożytów. Jak ci nie wstyd, Ira!

- Nie ma się o co kłócić - powiedział Borys. - Jest mnóstwo chorób, przy których występuje wysypka: odra, szkarlatyna, łuszczycyca, trąd, syfilis, aids...

- Ojej - jęknęła Irka. - Mam włączoną pralkę, pójdę sprawdzić!

- Dość tego! - wrzasnęła Kicia. - Niech Daszka kładzie się do łóżka, wy wszyscy na dół, a ty, Arkady, idź i zadzwoń do Oksany.

- Może nie potrzeba - pisnęłam, drapiąc się. Czerwone plamy zaczęły niemiłosiernie swędzić.

- Ciebie nikt nie pyta - ucieła Kicia i wybiegła.

Gdzieś około północy do sypialni znów wdarł się tłum z moja najlepszą przyjaciółką Oksaną na czele. Oksana jest chirurgiem, specjalistką od operacji tarczycy, przyjaźnimy się tyle lat, że aż wstyd powiedzieć, ale mimo to staramy się wyglądać młodo.

Tak się już utarło, że Ksiuta leczy nas na wszystkie choroby.

Tryska energia, jej usta zdobi zawsze zaraźliwy uśmiech, chociaż

jej życie bynajmniej nie jest wesołe. Oksanka nie ma męża, ma natomiast dwóch synów, których wychowała wyłącznie własnymi siłami, bez babć, dziadków i niań, trzy psy i dwa koty. Nasze losy są w jakiś sposób podobne, tylko że mnie Bóg zesłał bogactwo, a Oksanka musi dużo pracować, żeby wykarmić swoją watahę. Mieszka w malutkim dwupokojowym mieszkanku. Już od dawna chce jej podarować mieszkanie z dużą kuchnią, ale się boję. Ksiuta jest bardzo dumna i za nic nie przyjmie takiego prezentu nawet ode mnie.

- No - wykrzyknęła teraz radośnie - aleś ty śliczna! Potem spojrzenie jej pięknych niebieskich oczu przeniosło się na moich domowników i pani doktor zarządziła kategorycznym tonem:

- Wynoście się stąd wszyscy! Cóż to, cyrk? Nigdy nie widzieliście alergii?

Kicia, Kieszka i Mania, którzy mnie absolutnie nie słuchają, Oksanie boją się sprzeciwić. Zrobili w tył zwrot i marszowym krokiem opuścili pokój. Masza nie wytrzymała jednak i pisnęła:

- A na co ona ma alergię?

- Zaraz ją przesłucham i ustalę - obiecała Ksiuta i zatrzasnęła drzwi.

- Słuchaj - odezwałam się nieśmiało - czy to może być od płatków owsianych?

Oksana parsknęła:

- Ogólnie rzecz biorąc, nie!

- A jak się zje dziesięć litrów?

- Pokaż mi idiotkę, która by się na to zdobyła - odparła moja przyjaciółka.

Milczałam, choć należało odpowiedzieć: "Masz ją przed sobą".

Rozdział 14

Zaaplikowany mi przez Oksanę hydrokortyzon podziałał cudownie. Rano po czerwonych plamach nie było nawet śladu. Umyłam się i zastygłam w zadumie przed szafą. W nocy obmyśliłam sobie, jaką komedię powinnam odegrać przed Iraidą Lwowną, żeby obudzić w babie współczucie i zaufanie. Teraz pozostawało mi tylko zrealizować ten pomysł.

Z czeluści szafy wyciągnęłam zabójczy komplet firmy Givenchy. Nie lubię go, bo składa się z żakietu i spódnicy. Ale we wrześniu, kiedy ostatni raz byliśmy w Paryżu, Kicia dosłownie zmusiła mnie do jego kupna, powtarzając w kółko:

- Przecież nie możesz wszędzie łązić w portkach.

No i teraz luksusowy ciuszek wreszcie się przydał.

Iraida Lwowna błyskawicznie się zorientowała, ile kosztuje mój strój, gdy tylko podeszłam do stolika. Przebiegła wzrokiem po supermodnej kurtce z jasnoblękitnych norek, pożyczonej od Olgi, zerknęła na brylanty babci McMayer, wyjęte na tę okazję z sejf... Najwyraźniej lustracja wypadła zadowolająco, bo baba się uśmiechnęła.

- Czy pani Iraida Lwowna? - spytałam.

- Tak - odparła ze zdziwieniem.

- Mogę się przysiąść?

- Naturalnie, proszę.

Odsunęłam krzesło, położyłam na stoliku maleńką torebkę od Lagerfelda i nerwowo wyłamując sobie palce, szepnęłam:

- Pozwoli pani, że się przedstawię. Angela Kurakina, żona Lwa Kurakina, właściciela firmy "Metalprom". Słyszała pani to nazwisko?

Iraida Lwowna rozpromieniła się.

- Oczywiście, a co więcej, zdaje mi się, że już się spotkałyśmy, na jubileuszu Jana Kisina...

Przytaknęłam:

- Tak, wtedy jego żona okropnie się wstawiła i zaczęła śpiewać

Kalinę czerwoną, absolutnie nie comme U faut, ale cóż, pochodzi z plebsu...

Przedstawiając się jako Angela Kurakina, zupełnie nic nie ryzykowałam. Lika to moja dobra znajoma i rzeczywiście jesteśmy do siebie podobne. Obie niewysokie, naturalne blondynki, bardzo szczupłe. Jej mąż Lowa, nagle się wzbogaciwszy, nie zmienił, jak wielu "nowych Rosjan", starej czterdziestoczteroletniej żony na dwie nowe po dwadzieścia dwa lata. Pobrali się jeszcze w czasach studenckich i są razem do dziś. W dodatku, Lika nie rzuciła swojej pracy nauczycielskiej, a w dodatku, będąc domatorką, rzadko pojawia się na imprezach towarzyskich. Nawet jeśli Iraida zetknęła się gdzieś z Liką, to mogły rozmawiać góra parę minut. A żona Kisina, Tatiana, zawsze się upija i wyśpiewuje ludowe hity... Widząc, z kim ma do czynienia, Iraida Lwowna zrobiła się wręcz słodziutka.

- Cóż za miłe spotkanie, droga pani! Wyszepiałam:

- Kochana Iraido Lwowno! Mam okropne kłopoty z synem, Nikitą, i bardzo, ale to bardzo potrzebuję pani rady! Zdaję sobie sprawę, że to nietakt z mojej strony, przecież nawet dobrze się nie znamy, ale wiem, że spotkało nas podobne nieszczęście. Wynajęłam prywatnego detektywa, pani wybaczy...

- Nie rozumiem - wybełkotała dama.

- Zaraz to wyjaśnię - odparłam krótko i rozpoczęłam opowieść: Mam syna Nikitę, miły, wspaniały chłopiec, nasza duma i radość. Wkrótce ma się żenić z dziewczyną z dobrej rodziny. Tata Alony jest właścicielem koncernu "Jakutałmazprom". Dzięki połączeniu dwóch fortun nasze wnuki i prawnuki nie będą się musiały martwić o chleb powszedni. Wszystko szło gładko, ślub planowaliśmy na marzec, ale stało się nieszczęście... Nikita poznał zupełnie nieodpowiednią dziewczynę, niejaką Polinę Żeleznową... Śpiewałam jak z nut. Iraida kiwała głową, a w jej zbyt mocno wymalowanych oczach błysnęło współczucie.

Kiedy moja solowa partia dobiegła końca, dama spytała:

- Jak mogę pani pomóc? Chwyciłam ją za rękę.

- Kochana pani Iraido, cała ta historia wydarzyła się w październiku. Żeby ustrzec Nikitę od pokusy, wyprawiliśmy go z mężem na trzy miesiące do Londynu. Mąż wymyślił jakąś pilną sprawę służbową... Byłam pewna, że ta latawica pod nieobecność Nikity nawiąże jakiś romansik; z oczu jej patrzy, że nie jest porządną dziewczyną, rozumie mnie pani?

Iraida kiwnęła głową. Ciągnęłam dalej:

- Jak tylko Nikitoczek wyjechał, wynajęłam prywatnego detektywa. No i właśnie on poinformował mnie o wszystkich jej numerach. I w ten sposób dowiedziałam się, że próbowała omotać pani syna Tolę. I z przykrością muszę pani donieść, że ta dziewczucha, romansując z Anatolem, nawiązała jednocześnie stosunek z bardzo podejrzanym młodym człowiekiem, który podaje się za chłopca z dobrej rodziny. Przedstawia się wszystkim jako student Instytutu Stosunków Międzynarodowych, a tymczasem, proszę sobie wyobrazić, jest kelnerem w restauracji, w której właśnie siedzimy, w "Pomarańczowej Kaczce". Szczerze mówiąc, najpierw nawet się ucieszyłam, że coś takiego wyszło na jaw. Wzięłam od detektywa sprawozdanie, zdjęcia. Mnóstwo zdjęć, i to mocno kompromitujących. Zapłaciłam za usługę, pewna, że to koniec kłopotów, a tu...

Umilkłam, wyjęłam z wytwornej torebki miniaturową chusteczkę z walansjeńskiej koronki i zaczęłam ostrożnie ocierać zupełnie suche oczy. Ów kawałeczek delikatnej koronki wartości rocznego budżetu niewielkiego państwa podarowała mi na urodziny Suzette. Suzie uwielbia dawać drogie, niepraktyczne prezenty w rodzaju okropnej, poobłukiwanej lalki, wykonanej w Chinach w piątym wieku naszej ery, albo glinianej miseczki, znalezionej w piramidzie Cheopsa. Tak że koronkowa chusteczka, za którą Rosja

spokojnie mogłaby wyremontować stację kosmiczną Mir, to jeszcze nie najkosztowniejszy jej pomysł.

- Kochanie, niech się pani nie denerwuje - zaczęła mnie uspokajać Iraida. - Proszę się napić wody.

- Jak mam się nie denerwować - chlipnęłam, chyba dość naturalnie - przecież Nikitoczka właśnie wrócił z Londynu. Zamiast do domu, pierwsza rzecz, polecił do tej dziewczuchy. Okazało się, że ta ścierka, szmata, łajdaczka, puszczając się z innymi facetami, nie zapomniała po kilka razy dziennie dzwonić do niego na komórkę i zapewniać o swojej miłości. Naturalnie, podetknęłam Nikicie pod nos sprawozdanie i zdjęcia, ale on na to, że sam chce usłyszeć od Poliny prawdę. Teraz próbuje się z nią spotkać, ale ta jakby się zapadła pod ziemię i, mówiąc między nami, Bogu dzięki. Telefonów nie odbiera, w domu też jej nie ma, pewnie złapała nowego jelenia i szlaja się gdzieś z nim. Ale Nikita po prostu niknie w oczach, jest wręcz chory... I wpadłam na pomysł, żeby zapoznać go z Tola...

- Nie potrzeba. - Iraida pokręciła głową. - Świetnie panią rozumiem, przydarzyła się nam dokładnie taka sama historia jak państwu... Wspomniała pani o kelnerze... To ja wynajęłam Wieniamina, żeby "odbił" Polinę Tolikowi. Ale nic z tego nie wyszło.

- Może jednak - zaczęłam nalegać - nasi głupi synowie porozmawiają, stwierdzą, że jednocześnie byli narzeczonymi tej wrednej dziewczuchy, i oczy im się otworzą...

- Nie potrzeba - cicho powtórzyła Iraida.

- Ale dlaczego?

- Po lina nie żyje.

- Chwała Bogu! - wykrzyknęłam, po czym, udając, że jestem na siebie zła za taką reakcję, dorzuciłam: - Och, przepraszam!

- Nie szkodzi, nie szkodzi. - Iraida machnęła ręką. - Sama ucieszyłam się jak szalona, kiedy się dowiedziałam, że ją zabito.

- Zabito? - wyszeptalam. - O Boże, jest pani pewna? Dama wyjęła papierosy, zapaliła i oznajmiła:

- Oficjalnie podano, że zginęła w wypadku samochodowym, ale zasięgnęłam informacji i wie pani, czego się dowiedziałam?

- No?

- Dziewczyna zginęła wcześniej rano na szosie o pięć kilometrów od moskiewskiej obwodnicy, prowadząc czerwonego fordą coupe, jeden z najnowszych modeli. W salonie taki wóz kosztuje około dwudziestu tysięcy. No i zadałam sobie pytanie, kto dał takiej latawicy pieniądze na ten samochód? Odpowiedź jest jasna - nowy facet, tak samo naiwny i głupi jak mój Tola czy, przepraszam, pani Nikita albo...

- Racja! - wykrzyknęłam. - Ale dlaczego zaraz ma to być zabójstwo? Zachodnie samochody trzeba umieć prowadzić, kieruje się nimi trochę inaczej niż krajowymi... Nie poradziła sobie i już.

Iraida westchnęła, zabębniła palcami po stole i powiedziała zniżonym głosem:

- Po prostu wiem, czyj to ford! I domyśliłam się, kto uszkodził układ kierowniczy, żeby ta łajdaczka rozbiła się w drobny mak! Wiem, kto miał taki nowy wóz.

- Kto? - zapytałam z nieudawanym przerażeniem. - Kto?

- No... - Iraida zawahała się. - Oczywiście, nie mam żadnych dowodów... To tylko domysły i hipotezy...

- Na miłość boską, niech mi pani powie, za kogo zapalić świeczkę?

- jęłam błagać, składając ręce. - Kto jest tym wybawcą, tym wspaniałym człowiekiem?

Iraida napiła się wody i po dłuższej chwili powiedziała:

- Droga pani, to tylko podejrzenia, nie mam żadnej pewności...

- Błagam, niech pani powie! Dama odparła ze smutkiem:

- Sofia postanowiła się zemścić za śmierć Laleczki.

- Kto? - nie zrozumiałam.

- Sonia Kristalińska - wyjaśniła Iraida. - Żona Daniły Kristalińskiego, właściciela holdingu wydawniczego KDK, słyszała pani o nim?

- Naturalnie, wydaje bardzo dużo, między innymi albumy poświęcone sztuce, które zbieram.

- Sonia i Dania mają syna Gienę - zaczęła opowiadać Iraida. - To bardzo miły młody człowiek mniej więcej w wieku Tolika. Dawniej mało się znaliśmy.

W zeszłym roku Sonia niespodzianie zaprosiła Iraidę na swoje urodziny. Między obu paniami nawiązała się spontanicznie nić sympatii. Iraida zaczęła bywać u Kristalińskich, nieczęsto, ale co najmniej raz w miesiącu. Poznała też żonę Gieny.

- Laleczka była uroczym stworzeniem - powiedziała z westchnieniem Iraida. - Prowincjonalna panienka, wykształcona za miedziaki biednej matki.

Nie bez kozery jednak się mówi, że kultury nie da się kupić za żadne pieniądze, to nie wykształcenie, nie bogactwo, ale stan duszy. Można się wykształcić w Cambridge i Oksfordzie, a pozostać chamem. A można się urodzić w zabitej dechami wiosce i być człowiekiem szlachetnym, subtelnym... Właśnie taka była Laleczka. Dobra, cichutka, niekonfliktowa, nie lubiła

hałaśliwych imprez, na spotkaniach towarzyskich rzadko zabierała głos. Gienę wprost ubóstwiała. Nie mieli w domu ani kucharki, ani służącej, chociaż sytuacja materialna Kristalińskich była taka, że mogliby sobie pozwolić na wszystko. Laleczka jednak sama chciała usługiwać mężowi. Potrafiła zerwać się o siódmej rano i pognać na Bazar Centralny po świeży twaróg, żeby podać Gienocze na śniadanie gorące naleśniki z serem. Sonia przepadała za Laleczką. Ich relacje przypominały stosunek matki i córki. I przez dość długi czas, całe trzy lata, rodzina żyła szczęśliwie. Kłopoty zaczęły się pod koniec maja. Laleczka poślizgnęła się, przewróciła i złamała prawą rękę. Przykry wypadek, ale nie śmiertelny.

Sonia natychmiast zawiozła siną z bólu synową do kliniki Sklifosowskiego. W drodze Laleczka zaczęła płakać.

- No, no - mruzczała teściowa - wytrzymaj, zaraz dostaniesz zastrzyk.

- Ból to głupstwo - szepnęła Laleczka.

- To dlaczego płaczesz?

- Nie zdążyłam zrobić kolacji - jęknęła synowa - i nie posprzątałam. Giena przyjedzie do domu, a tam bałagan i surowe mięso! Biedaczek, wraca taki zmęczony.

Sonia przyhamowała i po raz pierwszy skrzyczała dziewczynę:

- Przestań w tej chwili! Choć raz w życiu pomyśl o sobie! Gienka waży sto kilogramów! Nic mu się nie stanie, jak raz nie zje kolacji. Jeśli chcesz wiedzieć, to w ogóle powinien przez miesiąc głodować!

- Giena nie jest gruby, tylko duży - zaprotestowała cicho Laleczka, kurczowo przyciskając do siebie zwisającą bezwładnie rękę.

Widząc, że nie przekona synowej, Sonia umieściła ją w szpitalu, po czym szybko rozwiązała problem, przyjmując kucharkę Maję i pokojówkę Polinę Żeleznową.

- Kogo? - zdziwiłam się tak, że o mało nie spadłam z krzesła. Polinę Żeleznową? Nie myli się pani?

- Nie - odrzekła, wzdychając smutnie, Iraida. - Dowiedziałam się o tym wszystkim dopiero niedawno, w końcu listopada. Latem wyjeżdżałam, potem miałam urwanie głowy w pracy i nie dzwoniłam do Soni. Ona sama do mnie zatelefonowała, zaprosiła do siebie i opowiedziała, co się u nich stało! Polina dostała się do Kristalińskich przez agencję "Ognisko Domowe". Solidna firma, z długim stażem pracy na rynku usług. Sonia przyjechała do biura i spośród mnóstwa kandydatek wybrała Żeleznową. Rzec można, własnymi rękami ściągnęła na dom

nieszczęście.

Pierwszy miesiąc Laleczka spędziła w szpitalu, konieczna okazała się operacja, potem druga, wreszcie rękę umocowano na jakimś wyciągu. W końcu czerwca Lalę wypisano do domu, ale kierowca co dzień odwoził ją najpierw na gimnastykę rehabilitacyjną, potem na masaż, następnie na basen. W sumie wracała do domu około siódmej wieczorem, straszliwie zmęczona, i natychmiast szła spać. Sonia naturalnie codziennie wpadała do syna, sprawdzić, czy wszystko w porządku. Służba pracowała idealnie, dom był świetnie utrzymany i tu Kristalińska popełniła błąd. Uznawszy, że wszystko doskonale się układa, wyjechała w sierpniu na dwa tygodnie do Karlowych Warów, żeby się podleczyć.

Straszna wiadomość dotarła do niej, gdy po zabiegach wróciła do pokoju. Portier wręczył jej depeszę. Sonia otworzyła ją zdziwiona i nagle poczuła, że ziemia umyka jej spod stóp.

"Lala nie żyje, wracaj zaraz, Giena". Sonia, roztrzęsiona, zaczęła dzwonić do domu, ale nikt nie podnosił słuchawki, telefony komórkowe Dani i Gieny też milczały... Niemal tracąc rozum, Sonia popędziła na lotnisko. Okropną prawdę opowiedziała jej kucharka. Gienę z atakiem nerwowym zabrano do kliniki, Daniła siedział przy synu, którego nie można było ani na chwilę zostawić samego, nawet w strzeżonej sali. Giennadij kilka razy próbował ze sobą skończyć i lekarze zmuszeni byli dać mu silne środki nasenne.

Gruba Maja, ocierając łzy, opowiedziała zupełnie niewiarygodną historię.

Giena od dzieciństwa przepadał za węzami. Sonia nie podzielała miłości syna do gadów i wzdrygała się, kiedy ten brał do rąk żmiję. Niemniej pozwoliła synowi na założenie w domu serpentarium. Już jako dorosły mężczyzna Giena przeznaczył w swoim mieszkaniu cały pokój na "zoo". W specjalnych terrariach żyły tam rozmaite gady, wśród nich także rzadkie, jadowite egzemplarze.

Laleczce, która uważała, że mąż zawsze ma rację, udało się polubić wstrętne stwory, czasem nawet brała do rąk nieszkodliwego wężyka Jaszke...

Jaszka, który nikomu nie mógłby zrobić krzywdy, mieszkał sobie spokojnie w szklanym domku. Obok niego jednak znajdowały się apartamenty korbacza pospolitego, ogromnie niebezpiecznej jadowitej żmii...

Po co Laleczka pod nieobecność Gieny poszła do serpentarium, dlaczego postanowiła pobawić się z wężem, nie wiadomo. W każdym razie popełniła fatalny błąd: pomyliła terraria i wyjęła korbacza...

Znaleziono ją razem ze żmiją na podłodze, pod ścianą zastawioną szklanymi terrariami. Prawdopodobnie Laleczkę można było uratować, istnieje specjalna surowica, która neutralizuje jad, ale... Ale działo się to wieczorem. Kucharka i służąca dawno wyszły, a Giena został dłużej w pracy i wrócił do domu dopiero przed jedenastą. Laleczka do tego czasu zdążyła już ostygnąć.

Sonia, zalewając się łzami, pochowała ubóstwianą synową i zaczęła leczyć Gienę. Po jakimś czasie zorientowała się, że syn coś ukrywa, że ze śmiercią Lali wiąże się jakaś tajemnica...

Giennadij wciąż nie mógł przyjść do siebie, stracił wolę życia. Najpierw Sonia myślała, że gdy minie tradycyjne dziewięć dni, potem czterdzieści... Później jednak doszła do wniosku, że syn rozpacza przesadnie. Za życia Laleczki Giennadij wcale nie był takim znowu przykładnym mężem. Nie, broń Boże, nie bijał żony ani nie skapił jej pieniędzy... Skądże, ale jak to się mówi, w każdym małżeństwie jedno całuje, a drugie nadstawia policzek... No więc młody Kristaliński był tym, którego całowano. Parę razy zdarzyły mu się skoki w bok, o których, oczywiście, Laleczka nie miała pojęcia,

ale wiedziała Sonia. Matka uważała, że mężczyzna jest stworzeniem

poligamicznym, że najważniejsze to zgoda w rodzinie, a drobne zdrady - paradoksalnie - umacniają tylko małżeńskie więzi. Młodzi ludzie, a są takich setki, już nazajutrz po zdradzie widzą, że żona jest o wiele lepsza niż kochanka, że z nią jest po domowemu, zwyczajnie, spokojnie i nie trzeba udawać Bóg wie kogo. Dlatego też Sonia nie miała skrupułów. Jakkolwiek dziwnie to zabrzmiało, kochała Laleczkę nawet bardziej niż Gienę i pilnie ukrywała grzeszki syna, żeby nie zranić synowej. Poza tym zaś po prostu nie wyobrażała sobie kobiety zdolnej rozbić to stabilne małżeństwo. A zdrada? Nonsens! Sonia była mądra, praktyczna i przebiegła. Szczerze mówiąc, po pogrzebie przygotowała się na to, by przypominać Gieni o przestrzeganiu żałoby. Sądziła, że syn szybko się pocieszy i znajdzie sobie nową damę serca, a tymczasem nic z tych rzeczy.

Wreszcie Sonia nie wytrzymała i zapytała wprost:

- Kochanie, wydaje mi się, że nie jesteś ze mną szczery. No, powiedz mi, jak to było z Laleczką?

Giena początkowo próbował się wykręcać, ale potem nieoczekiwanie wypalił:

- Ona popełniła samobójstwo! Sonia padła na kanapę i wykrztusiła:

- Co?

Giena zaczął gorączkowo wyrzucać z siebie prawdę, którą ukrywał prawie dwa miesiące.

Rozdział 15

Tamtego dnia przyjechał do domu późno i znalazł żonę w domowym serpentarium. Wezwani milicjanci nie mieli żadnych wątpliwości: młoda kobieta zginęła wskutek nieszczęśliwego wypadku. Giena starannie podtrzymywał tę wersję, opowiadając, że Laleczka bardzo lubiła węża Jaszkę i często wyjmowała go z terrarium, ale teraz się okazało, że sprawa wyglądała nieco inaczej...

- Tam leżał list - spowiadał się Giena. - Na stole, pod lampą.

- Gdzie on jest? - spytała Sonia, z trudem poruszając ustami.

Gdzie?

Syn rzucił się do niewielkiego sejfu i wyciągnął złożony we czworo papier. Sonia rozłożyła kartkę.

"Kochany Giena, wiem wszystko o Tobie i Polinie. Przepraszam, nie mogę Ci wybaczyć, a rozwodu nie chcę, nie mogłabym tak żyć.

Dziękuję Ci za szczęśliwe lata, odchodzę, kochając Cię. Lala".

- I nikomu nie pokazałaś tego listu?! - krzyknęła Sonia. Giena stał w milczeniu ze spuszczoną głową.

- To prawda? - spytała z furją Sonia.

- Co? - Giena aż podskoczył.

- O tobie i służącej? Giennadij przytaknął.

- Jak mogłeś? - Matka niemal rzuciła się nań z pięściami. - Jak śmiałeś?!

Syn zaczął się głupio tłumaczyć:

- No, tak wyszło, ona była cały miesiąc w szpitalu, a potem skarżyła się, że ją boli ręka... Spała w pokoju gościnnym, bo się bała, że ją w nocy urażę... A Polina...

Umilkł.

Sonię zalała dzika wściekłość.

- Nawet ptak nie sra we własnym gnieździe! - wrzasnęła. Giena milczał, nie miał nic na swoją obronę.

- Nie licz na to - wyskandowała Sonia - że pozwolę ci nadal zadawać się z tą szmatą. Ta osoba wejdzie do domu po moim trupie.

- Mamo, nie mam już pięciu lat - odrzekł Giena. - A Polina jest

bardzo ładna, zobaczysz, przyzwyczaisz się do niej jak do Lali.

I tu Sonia zrobiła coś, czego nie robiła nigdy dotąd. Z całej siły uderzyła syna w twarz i zasyczała:

- Ty draniu! Nie zapominaj, że wszystko, co masz, dostałeś ode mnie i ojca, to my cię utrzymujemy. Wystarczy nam kiwnąć palcem i wszystko się urwie.

Giena pobladł i wyszedł.

- Z Sonią nie rozmawia do tej pory - rzekła z westchnieniem Iraida. - A, nawiasem mówiąc, po Moskwie już dawno krążyły plotki o tym, że Lala umarła jakoś dziwnie. Wyobraża więc pani sobie, jak się przelęknłam, słysząc, że Tola związał się z tą Poliną Żelaznową?

- Ale jeżeli Giena dla Poliny zerwał nawet z rodzicami, to czemu nie zalegalizował tego związku? - zdziwiłam się.

- Droga pani, to ona z nim, zerwała. Sonia przestała dawać synowi pieniądze. Giena pracował w firmie ojca. Danila natychmiast zaczął płacić krnąbrnemu synowi tylko gołą pensję, tysiąc dolarów miesięcznie. Oczywiście, jest to zupełnie wystarczająca suma dla każdego innego młodego człowieka, ale nie dla Gieny, który nie przywykł do liczenia się z każdą setką rubli. A co do tego, czemu nie poślubił tej łajdaczki... To całkiem jasne. Żelaznowa polowała na bogatego męża. Chłopak, który przestał dostawać apanaże od rodziców, nie był jej potrzebny, a poza tym z pewnością zdawała sobie sprawę, że gdyby nawet Giena pogodził się z matką i ojcem, nigdy się nie ośmieli wprowadzić jej do rodzicielskiego domu... No i zostawiła go, podłapała sobie innego. Biedna, biedna Sonieczka, jej najbardziej mi żal! Żeby się zdecydować na coś takiego!

- Co pani ma na myśli? - zapytałam ostrożnie. Iraida zapaliła kolejnego papierosa.

- Wie pani, kiedy usłyszeliśmy z mężem, że Tola zerwał z narzeczoną i związał się z tą Poliną, kiedy zasięgnęłam o niej informacji...

Urwała, po czym dodała cicho:

- Natychmiast przyszło mi do głowy: żeby tak zabić tę łajdaczkę!

- Kochana! - krzyknęłam, chwytając Iraidę za upierścienione palce. - Kochana, bałam się przyznać, ale miałam wielką chęć wynająć killera. Tylko strach mi było pozbawić kogoś życia, nawet cudzymi rękami.

- I mnie też - ze smutkiem odrzekła Iraida. - Chciałam załatwić sprawę prościej, wynajęłam "amanta"... A Soni widać starczyło determinacji. Kochała Lalę bardziej niż Gienę... No i zemściła się na Polinie za wszystkie cierpienia synowej. Tak przypuszczam.

O mało nie spytałam: "Ale dlaczego nie poszła pani na milicję i nie powiedziała, że zna zabójcę?" - lecz w porę ugryzłam się w język. Ludzie pokroju Iraidy za nic nie zwróciliby się do organów ścigania, do jakiegoś tam komisariatu dzielnicowego, a tym bardziej nigdy nie zadzwoniliby pod 02. Gdyby wydarzyło się jakieś nieszczeście, na przykład zabito by kogoś w domu, gospodarz zadzwoniłby na komórkę do samego ministra spraw wewnętrznych albo jego najbliższego współpracownika. Ta koteria rządzi się własnymi prawami i Iraida była ze mną tak szczerą tylko z jednego powodu. Bo byłam osobą z jej kręgu, z tej samej klasy społecznej i finansowej, no i "żoną" Kurakina! Gdyby z tą samą sprawą przysiadła się do jej stolika kulturalna, miła, nobliwa nauczycielka młodszych klas Maria Iwanowna, Iraida bardzo grzecznie by ją spławiła. Dobrze znam obyczaje osób bogatych, bądź co bądź, już od kilku lat jestem jedną z nich. Dziwiło mnie tylko jedno: dlaczego Sonia zwierzyła się Iraidzie.

Pożegnałam się z moją rozmówczynią, pojechałam z "Pomarańczowej Kaczki" do McDonalda, kupiłam potępianego przez lekarzy cholesterolowego cheeseburgera i wbiłam weń zęby.

Im więcej dowiadywałam się o Polinie, tym mniej córka Niny mi się podobała. A jak kłamała! W maju powiedziała nam, że jedzie do Stanów do matki, a tymczasem, jak się okazuje, wcisnęła się jako pokojówka do domu Kristalińskich. I zdrowy rozsądek podpowiadał mi, że zrobiła to nie tylko po to, by sobie dorobić. Nie, została służącą tylko w jednym celu - aby zdobyć Giennadija. Nie mogłam tylko zrozumieć, po jakiego czorta postanowiła rozbić małżeństwo.

Czyż mało jest w Moskwie bogatych kawalerów?

Zjadłam cheeseburgera, napiłam się wody mineralnej i francuskim zwyczajem zanosłam tacę z resztkami do kosza. Moskwianie żywiący się w McDonalddie zostawiają niedojedzone resztki na stołach w przekonaniu, że odwiedzili restaurację, w której ze stołów sprząta obsługa. Paryżanie zaś uważają, że przychodząc do McDonalda, przekraczają próg taniego baru, w którym należy samemu odnosić puste opakowania do pojemnika na śmieci. A tak w ogóle to prawdziwy Francuz pójdzie do lokalu przedsiębiorczego Ronalda tylko wówczas, gdy wybuch atomowy unicestwi całą resztę okolicznych knajpek. Po pierwsze, Francuzi nie cierpią Amerykanów, a po drugie, big maki i cała reszta asortymentu to saletel W przekładzie słowo to znaczy "świństwo", ale warto zobaczyć, jak, krzywiąc się z obrzydzeniem, wymawiają je moi przyjaciele znad Sekwany. W Paryżu nie mam odwagi się przyznać, że przepadam za cheeseburgerami. Kierownictwo McDonalda zresztą świetnie wie o "sympatii" większości Europejczyków do swego przedsiębiorstwa, toteż w paryskich filiach można dostać różne sałatki, na przykład z tuńczyka czy kapusty z marchewką, a w Moskwie nie. No bo po co się wysilać dla moskwian, którzy i tak walą tłumnie na hamburgery?

Wsiadłam do renówki, złapałam telefon i już po pięciu minutach wiedziałam, gdzie się mieści agencja "Ognisko Domowe". Iraida zapewne ma rację, że to właśnie Sonia wynajęła zabójcę, ale nie chciałam jechać od razu do pani Kristalińskiej, postanowiłam najpierw dokonać zwiadu. Razem z Poliną w domu pracowała kucharka Maja. Należało wypytać najpierw ją. Jak wiadomo, służba wie o państwu wszystko albo prawie wszystko. Jest to odwrotna strona bycia bogatym. Nie chcąc dłużej spędzać czasu między kuchenką, zlewozmywakiem a odkurzaczem, zatrudniacie obcych ludzi i natychmiast tracicie możliwość biegania nago z sypialni do łazienki, siedzenia w klozecie przy otwartych drzwiach i kłócenia się na cały głos z ukochanym małżonkiem. Nie, teraz musicie nad sobą panować, jeżeli, oczywiście, nie chcecie zobaczyć kiedyś w kiosku gazety "Megapolis" ze zdjęciem własnej wykrzywionej gęby... Prasa brukowa świetnie płaci za intymne zdjęcia możnych tego świata, ten i ów spośród służby daje się skusić. Znaleźć dobrą kucharkę, pokojówkę czy nianię jest bardzo, ale to bardzo trudno. Niektórzy próbują zwabić służbę od znajomych, inni rzetelnie zwracają się do agencji. Ale nawet po otrzymaniu w odnośnym biurze referencji, świadectwa zdrowia i dyplomu przyszłej gosposi, kobieta nigdy nie może być pewna, że dziewczyna nie zacznie uwodzić jej męża lub syna.

Nawiasem mówiąc, wiek nie ma tu nic do rzeczy. U Syromiatnikowów pracuje już od dwóch lat uroczą Lenoczka, która właśnie skończyła dwadzieścia lat. Lenusia zupełnie nie interesuje się męską częścią rodziny, domownicy za nią przepadają i chyba nawet zaczęli ją uważać za kogoś w rodzaju kuzynki. Za to przedtem zatrudniali pięćdziesięcioletnią Kławdię Lwownę, która nie przepuszczała żadnej okazji, by otrzeć się kościstym biodrem o pana domu.

Do "Ogniska Domowego" wpadłam jak bomba i już od progu krzyknęłam bez ceregieli:

- No, niech mi pani powie, potraficie znaleźć przyzwoitą kucharkę?

Siedząca przy biurku chuda dziewczyna w surowym ciemnozielonym kostiumie odpowiedziała z profesjonalnym uśmiechem:

- Bez problemu, uwzględnimy nawet życzenia dotyczące wyglądu: blondynka, brunetka, kolor oczu...

Usiadłam na krześle, założyłam nogę na nogę, widząc, jak wąska spódnica podjeżdża mi do góry, cisnęłam na biurko przed urzędniczką kluczyki od samochodu, wytworną torebkę i oznajmiłam:

- Twarzą się nie gotuje, moja miła, ja potrzebuję siły roboczej, a jak wygląda, nieważne! Może być nawet zezowata!

- Ależ proszę pani! - Dziewczyna podniosła obie ręce. - Nasze kandydatki wszystkie są bardzo miłe. Może na początek ustalmy wiek.

- Kotku - zaszczebiotałam, machając jej przed nosem dłonią przystrojona w pierścionki babci McMayer - złotko, mam całkiem konkretne pytanie!

Dziewczyna zagapiła się na pierścioneł na moim środkowym palcu. Cóż, nic dziwnego. Brylant jest po prostu cudowny. Nigdy u nikogo nie widziałam kamienia takiej wielkości i czystości. Jean, zmarły mąż Nataszki, mawiał ze śmiechem, że babka nazywała ten pierścień "Koszmarem McMayera". A kiedy naiwni pytali: "Dlaczego, madame? Dlaczego koszmar?" - babcia odpowiadała ze spokojem: "Bo do tego klejnotu przywiązany jest na stałe sam McMayer!".

Z trudem odrywając wzrok od iskrzącego się kamienia, dziewczyna spytała:

- Jakie pytanie?

- U mojej przyjaciółki Sofii Kristalińskiej pracowała kobieta imieniem Maja. Właśnie ją chcę zatrudnić.

- Sekundeczkę - odrzekła urzędniczka i włączyła komputer.

Parę minut upłynęło w ciszy, po czym dziewczyna oznajmiła:

- Maja Władimirowna Gierasimowa, lat trzydzieści dziewięć, kucharka... Jest jedno "ale"...

- Jakie?

- Nie potrafi przyrządzać egzotycznych potraw; tylko kuchnia

rosyjska i europejska. Sushi ani sznycła z rekina Maja nie zrobi!

- I nie potrzeba - rzuciłam niedbale.

- No to jeszcze chwileczkę - rzekła dziewczyna z uśmiechem i zaczęła gdzieś wydzwaniać.

Czekałam cierpliwie. Proszę, proszę, co za wytworności: sushi, sznycle z rekina... Jak tylko wrócę wieczorem do domu, zamówię u Katieriny consomme z ropuchy! Ciekawe, co na to powie moja kucharka?

- Przepraszam - przerwała moje myśli dziewczyna. - Gierasimowa pyta, kiedy i dokąd ma przyjechać.

- Gdzie teraz jest?

- Na ulicy Rewolucji 1905 roku. Spojrzałam na zegarek i poleciłam:

- Niech przyjeżdża na adres Bolszaja Nikitska 53. Mieści się tam Dom Literatów, będę czekać w holu. I jeszcze jedno!

- Tak?

- Potrzebuję pokojówki Poliny Żelaznowej. Dziewczyna poszperała w komputerze.

- Żelaznowa?

- Tak.

- Przykro mi, ale nie mam jej w komputerze.

- Jest pani pewna?

- Absolutnie.

Ruszyłam do wyjścia. Dziwne; gdzież ta Sonia znalazła Polinę?

Rozdział 16

Maja była tęgą kobietą, wyglądającą starzej niż na swoje lata. Nigdy bym nie pomyślała, że nie ma jeszcze czterdziestki, dałabym jej raczej pięćdziesiąt z okładem. Niewątpliwie praca przy kuchni sprzyja nadwadze.

Na parterze Domu Literatów mieści się wspaniała restauracja, ale ja zaprowadziłam Maję do podziemi, do taniego bufetu. Kucharka czuła się skrępowana, widać było, że stara się przypodobać przyszłej chlebodawczyni.

Usiadłyśmy przy stoliku i rozpoczęłam przesłuchanie. Przez jakiś czas Maja starannie wyliczała poprzednie miejsca pracy, opowiadała o swojej kuchni... Muszę powiedzieć, że robiła jak najlepsze wrażenie. Gdyby rzeczywiście przyszło mi do głowy pozbyć się Katieriny, bez wahania zatrudniłabym Maję.

- A więc - przystąpiłam ostrożnie do realizacji strategicznego zadania - ostatnio pracowała pani u Giennadija Kristalińskiego. Jak długo była pani w tej rodzinie?

- Około trzech miesięcy. Uniosłam brwi.

- Tak krótko? Czemu pani odeszła? Pokłóciła się pani z chlebodawcami?

- Nie - odrzekła spokojnie Maja. - Żona Giennadija zmarła tragicznie, a on sam dokądś wyjechał.

- No dobrze - powiedziałam wolno. - A właśnie, w agencji powiedziano mi, że razem z panią u Kristalińskich pracowała pokojówka Polina Żeleznowa. Oprócz kucharki potrzebuję też służącej. Co pani na to, żeby znów pracować z nią w parze? Dziewczyna zrobiła na mnie korzystne wrażenie, ale wiem, że niekiedy w kuchni rozgrywają się między służbą całe batalie. No więc, nie życzę sobie szturmu Groźnego nad zlewem i dlatego spytam otwarcie: jakie były pani stosunki z Żeleznową?

Maja wzięła głęboki oddech.

- Jeżeli postanowiła pani zatrudnić Polinę, to ja poszukam sobie chyba innej posady.

- Dlaczego?

- No... Żle by się nam razem pracowało.

- Czemu? Żeleznowa wygląda sympatycznie.

- Nie odpowiadają mi niektóre jej nawyki.

- A konkretnie?

Maja zawahała się, po czym bąknęła:

- Ona dużo pali, a mnie dym drażni. Spodobało mi się, że kucharka wymyśliła tak delikatny pretekst odmowy, więc wyjęłam z portmonetki parę zielonych papierków i podsunęłam kobiecie.

- Co to? - zdziwiła się.

- Wyciągnęłam panią z domu, oderwałam od pracy - odparłam. Proszę to przyjąć za fatygę.

- To nie był dla mnie żaden kłopot tu przyjechać - odrzekła spokojnie Maja.

- Nie, nie, proszę to wziąć - powiedziałam. - Zadzwoń do pani jeszcze dzisiaj i powiem, jaką decyzję podjęłam. Przepraszam, ale teraz nie mogę o niczym zadecydować, muszę jeszcze naradzić się z synem.

- Ma pani syna? - spytała z nagłym napięciem Maja.

- Tak, nie powiedziałam pani o naszej rodzinie. Syn Arkady, dwadzieścia osiem lat, jego żona Olga i ja. Niezbyt dużo pracy. Maja gwałtownie się zaczerwieniła.

- Coś nie tak? - zdziwiłam się.

Kucharka poczerwieniała jeszcze mocniej, po czym stanowczo odsunęła od siebie banknoty i powiedziała:

- Wie pani co, Dano Iwanowno, bardzo mi się pani spodobała, ale umówmy się od razu: nie będę u państwa pracować.

- Dlaczego?

- Dlatego, że wtedy będę mogła mówić po prostu jak pani znajoma, a nie przyszyły pracownik. Rozumie pani, istnieje określona etyka stosunków między pracodawczynią a służbą. Jako przyszła kucharka muszę teraz milczeć, ale, powtarzam, bardzo mi się pani podoba. I dlatego proszę: niech pani zabierze pieniądze.

W milczeniu schowałam banknoty i wymamrotałam:

- Słucham.

- Proszę nie brać do domu Poliny.

- Ale dlaczego? To taka miła dziewczyna, pogodna, grzeczna, uprzejma... Bardzo się spodobała Arkademu.

- Właśnie dlatego - przerwała mi Maja.

- Nie rozumiem - rzekłam, starannie udając idiotkę. Maja znów nabrała powietrza i wreszcie się zdecydowała:

- Polina to wstrętna osoba. Przez nią popełniła samobójstwo moja poprzednia pani, Lala. To była taka miła dziewczyna! Tak się spłakałam!

- Proszę to wyjaśnić dokładnie.

Maja zapuściła się w szczegóły. Najpierw Polina nawet przypadła jej do serca. Miła, zawsze uśmiechnięta... Co prawda, widać było, że nigdy wcześniej nie pracowała jako pokojówka...

- Państwo niezbyt się w takich sprawach orientują - zwierzała się Maja - ale ja domyśliłam się od razu, że to jej pierwsza posada. Pewnie oszukała urzędniczki w agencji, kiedy przedstawiała referencje. Niektóre osoby czasem tak robią, proszą znajomych, żeby im napisali opinię. Że niby je zatrudniali, rozumie pani? Kiwnęłam głową. Rzeczywiście, to proste jak drut.

- Ale bardzo się starała - ciągnęła Maja. - Dopiero potem zaczęłam to i owo zauważać.

Po tygodniu Maja była już pewna: Polina ma romans z Giennadijem.

- Zachowywali się bezczelnie - mówiła kucharka, wzruszając ramionami. - Zupełnie się mnie nie krępowali albo uważali za skończoną idiotkę, no, niech pani sama powie!

Gdy tylko Lala rano wyjeżdżała na zabiegi, Giena głośno wołał:

- Polina, wyprasuj mi koszulę i garnitur.

Pokojówka natychmiast zniknęła w pokoju pana domu. Maja tylko kręciła głową. Deska do prasowania stała w składziku. Polina nawet nie próbowała udawać, że zamierza prasować. Po prostu wślizgiwała się za drzwi i już. Raz Maja nie wytrzymała i powiedziała z wyrzutem:

- W ten sposób nigdy nie zostaniesz dobrą pokojówką. Pierwsza zasada w naszym zawodzie to nigdy nie spoufalać się z państwem. Im od nich dalej, tym lepiej!

Delikatna Maja nie nazwała wprawdzie rzeczy po imieniu, ale Pola od razu się połapała, o co chodzi, i odcięła się ostro:

- Wcale nie zamierzam przez całe życie ścierać kurzów po cudzych domach! Mam inne plany.

- To po co tu przyszedłeś do pracy? - zdziwiła się szczerze kucharka.

Polina pogardliwie wydeła usta.

- Co ci do tego? Gotuj zupę, trzymaj język za zębami i pamiętaj, że jakby co, to wylecisz razem ze mną.

Maja zamilkła i więcej nie robiła Polinie uwag; stosunki między pokojówką i kucharką się popsuły, teraz kobiety rozmawiały ze sobą tylko w razie konieczności. Kucharka zresztą, uważając, że państwo i służba znajdują się po przeciwnych stronach barykady, ani myślała donosić o czymkolwiek Lali. Przeciwnie, raz, kiedy Laleczka niespodziewanie wróciła o dwie godziny wcześniej, Maja, która przypadkiem spojrzała w okno, widząc znajomy samochód, krzyknęła:

- Polina, leć do drzwi, pani zaraz zadzwoni! Czerwona, rozczochrana pokojówka wyskoczyła z sypialni

Giennadija i burknęła:

- Dzięki.

Maja nie odezwała się. W rzeczywistości wcale nie chciała przysłużyć się Polinie, żal jej było tylko uwielbiającej męża Laleczki.

Któregoś dnia Maja stała się świadkiem dziwnej sceny. Skończyły jej się liście bobkowe, więc wyskoczyła do sklepu, ale po drodze spostrzegła, że zostawiła pieniądze w przedpokoju. Przeklinając własne roztargnienie, wróciła do domu. W całym mieszkaniu słychać było odgłosy awantury. Najwyraźniej Pola, myśląc, że w domu nikogo nie ma, odrzuciła wszelki wstyd.

- Masz się z nią rozwieść - wrzeszczała - rozumiesz?! Odpowiedzi Giennadija kucharka nie usłyszała, ale widać

jego słowa ostatecznie rozjuszyły bezczelną dziewczuchę, bo rozdarła się na całe gardło:

- Mam gdzieś jej uczucia! Jeżeli nie zrobisz tego, co ci mówię, powiem całemu światu prawdę o Soni, i co wtedy? Masz pojęcie, jaki się zrobi skandal? I w ogóle jesteś tu nikim, zapomniałeś? Tutaj wszystko jest moje! Jak nie chcesz skandalu, wyrzuć Lalę

na cztery wiatry, teraz masz jedną żonę - mnie! Wstrząśnięta bezwstydnym zachowaniem służącej kucharka cicho wzięła portmonetkę i chyłkiem wyszła.

- Skończyło się to wszystko bardzo źle - ciągnęła Maja. - Lala dowiedziała się o amorach męża z Poliną i popełniła samobójstwo. Straszna tragedia. Gdzie się podziała Polina, nie wiem, tego samego dnia, kiedy umarła Lala, zniknęła z domu, ale milicja nie miała do niej żadnych pytań, więc jej nie szukała. Mnie też zwolniono, Giennadij zaczął strasznie pić... Teraz pani rozumie, dlaczego proszę, by nie zatrudniać Poliny? Co innego, gdyby nie miała pani dwudziestoosmioletniego syna...

Umilkła gwałtownie. Zapytałam cicho:

- A gdzie jest Gienia Kristaliński?

- Nie wiem - trochę za szybko odrzekła Maja.

Ten pośpiech wydał mi się podejrzany. Pomyślałam sekundę i powiedziałam:

- Majeczko, obiecuję pani solennie, że niedługo dostanie pani dobrą posadę; jeżeli nie wezmę pani do siebie, umieszczę panią u moich znajomych.

- Dziękuję - z godnością odparła Maja. - Bardzo potrzebuję pracy.

- Mam tylko jedną prośbę...

- Jaka?

- Proszę mi podać adres Gieny, wiem, że go pani zna. Kucharka zrobiła się czerwona, wręcz buraczkowa.

- To naprawdę był przypadek... Szłam do metra i spotkałam go! To chory człowiek! Byłam u niego w domu, o Boże, jak mi go żal!

- Proszę mówić.

- Zaułek Czapaiewa 59, mieszkania 2 - wykrztusiła Maja. Szybko zerknęłam na zegarek. Kucharka była nie tylko delikatna, ale i mądra. Zauważyła, gdzie patrzę, i powiedziała:

- Ale teraz nie ma po co do niego jechać. Ma ciąg pijacki, po południu leży jak trup. Rano jeszcze się jakoś wygrzebuje na plac przed metrem i zarabia na flaszkę, niewiele mu trzeba do szczęścia. Wychła pół litra i gotowe, śpi pijany jak bela. Jeżeli chce pani z nim porozmawiać, to lepiej przyjechać rano, koło ósmej. Wtedy zwleka się z łóżka i zastanawia, gdzie ustrzelić parę rubli na gorzałę.

W tej sytuacji pojechałam do Łóżkina.

Przed wejściem do domu działo się coś nie do opisania. Wszędzie stały reflektory, oświetlające silnym blaskiem front budynku. Na dole, na niewielkiej przestrzeni, gdzie zazwyczaj stawiamy samochody, jeśli nie chcemy ich wprowadzać do garażu, klębił się tłum ludzi. Dostrzegłam w tej masie Borysa w nieodłącznej bejsbolówce, zrośniętego z kamerą Fiodora, charakteryzatorkę Waleczkę... Wszyscy gapili się w górę. Też popatrzyłam w tym kierunku i omal nie zawyłam.

Na pierwszym piętrze jest długi i dość szeroki balkon. Teraz stali na nim wszyscy domownicy. Maruśka, zatykając rękami uszy, dziko trzęsła głową i tupała nogami. Kicia w rozchełstnym szlafroku, bez słowa, ale z furją poszturchiwała Arkadego, ryzykownie wychylonego przez balustradę. Ręce mojego syna bezwładnie majtały w powietrzu, głowa kołysała się z boku na bok. Kieszka miał na sobie cytrynowo-żółty sweter i ta jaskrawa plama koloru natychmiast rzucała się w oczy.

Nie spodobało mi się, że Kicia z taką energią okłada męża.

Oczywiście, trzeba grać realistycznie, ale nie należy szarżować, bo łatwo o wypadek, proszę, jak okropnie Arkaszka jest przegięty...

Nie zdażyłam krzyknąć: "Kiciu, ostrożnie!" - kiedy Olga z całej siły walnęła męża w plecy.

W tej samej sekundzie nogi Arkaszki poderwały się w górę i ciało z szeroko rozpostartymi rękami zaczęło spadać z pierwszego piętra. Z przerażenia wydało mi się, że czas się zatrzymał.

Kieszka spadał przez całą wieczność, potem rozległo się okropne

chrupnięcie i na moich oczach cytrynowy sweter zrobił się czerwony.

- Aaaa - poniósł się nad przycichłym tłumem przeraźliwy krzyk Marusi - aaa, ratunku!!!

- Dobrze mu tak - zagłuszył ją grzmiący głos Olgi. - Tak się karze niewierność!

Zrobiłam parę kroków do przodu, zobaczyłam w kręgu światła nienaturalnie wykręconą ciemnowłosą głowę, zakrwawione ubranie, i bez słowa runęłam na ziemię.

Nagle po twarzy zaczęła mi jeździć jakaś mokra, śmierdząca szmatka.

- Co to jest? - jęknęłam, odpychając ją.

- Chusteczka skropiona perfumami Escada - rozległ się spokojny głos Kici.

Rozlepiłam powieki. Tak, leżę w salonie na kanapie, przy oknie stoi Borys, na lewo od niego Fiodor, a w fotelu... Niemożliwe! W swoim ulubionym fotelu absolutnie spokojnie siedzi Arkaszka, na oko zupełnie cały i zdrowy.

Spróbowałam oderwać kamiennie ciężki język od zębów, ale nie zdołałam, i udało mi się tylko wymamlać:

- Mmmm...

- No właśnie mówię - natychmiast podchwyciła Kicia. - Escada to tak ohydne perfumy, że trupa podniosą z martwych.

- A szczególnie te, które ostatnio dostałaś od Kieszy - wtrąciła Mania. - Te w pomarańczowym flakonie. Ależ to świństwo!

Rzygowiny!

- Tego się nie pije - odgryzł się starszy brat - tylko wacha.

- Kieszeńka - stęknęłam, próbując usiąść. - Ty żyjesz!

- A czemu miałbym umierać? - parsknął syn.

- Ale dopiero co... Na balkonie...

- Aha! - krzyknęła Maruśka. - Mówiłam, musieńka się przestraszyła, a wy nic, tylko: spadek ciśnienia, spadek ciśnienia!... No i kto miał rację? Powiedz, mamusku, myślałaś, że to Kieszka zleciał, prawda?

Nie mogąc wydobyć z siebie głosu, kiwnęłam tylko głową.

- No wiesz, matka - rzekł z westchnieniem mój syn - jak można być taką idiotką? To przecież film! Tu wszystko jest udawane!

- Ale widziałam człowieka bardzo, wprost niesamowicie podobnego do ciebie... Zaraz, kto wobec tego spadł?

- Maksim Iwanowicz - wyjaśnił spokojnie Boria. - Pod balkonem zginął męczeńską śmiercią Maksim Iwanowicz.

Usiadłam gwałtownie.

- To straszne! Wezwaliście milicję?

- Po co? - spytał ze śmiechem reżyser.

- Jak to? Zginął człowiek!

- Maksim Iwanowicz to bałwan - powiedziała ze spokojem Kicia.

Tylko do tego się nadaje!

Czując, że zaraz znowu zemdleję, szepnęłam:

- Wiesz, Olgo, nie przypuszczałam, że jesteś taka cyniczna!

Rozległ się ogłuszający śmiech.

- Czy mogę pokazać musieczce Maksima Iwanowicza? - zapytała

Mania,

podskakując w miejscu.

- Jasne - odparł Borys.

Maruśka rzuciła się do wyjścia. Wcisnęłam się w kanapę i zamknęłam oczy. Nie, tylko nie to! Co oni wszyscy powariowali i chcą mi pokazać szczątki zepchniętego z balkonu nieszczęśnika?...

- No, musieńko, otwórz oczka...

Posłusznie spełniłam rozkaz. Na podłodze leżała... kukła.

- Więc to jest...

- Manekin - z triumfem oznajmiła Maruśka.

- Filmowcy mówią na to "bałwan" - dodał Fiodor. Maruśka terkotała bez chwili przerwy:

- O, popatrz, no patrz... Tu się przyczepia woreczek ze sztuczną krwią, kapujesz? Maksim Iwanowicz spada, woreczek pęka, frrr... i wszędzie czerwone bryzgi.

- Dlaczego nadaliście mu imię? - udało mi się zapiszczeć.

- No jak to? - odparł z uśmiechem Borys. - Jest przecież aktorem! Tyle już wycierpiał! Biedny Maksim Iwanowicz; rzeczywiście można powiedzieć, że oddaje życie dla sztuki! Wszyscy znów wybuchnęli śmiechem. Czując się jak kompletna idiotka, powlokłam się na górę i zaryłam w łóżku. Sen powoli zaczynał mnie wsysać w swoje grzaskie błoto. Już miałam ostatecznie zatonać w objęciach Morfeusza, kiedy raptem pomyślałam: "Jak dziwnie zachowała się ta Sofia Kristalińska! Wyrzuciła z domu własnego syna".

Wybiłam się ze snu. Usiadłam na łóżku, potem wstałam, podeszłam do drzwi balkonowych i zapaliłam papierosa. Ależ byłam przerażona, widząc spadające w dół ciało, ubrane w sweter Arkaszki! Ciekawe, co bym zrobiła, gdyby, nie daj Boże, wydarzyła się u nas taka historia jak u Kristalińskich?

Wzdrygnęłam się i wróciłam do łóżka. Czasem nie należy sobie zadawać pewnych pytań...

Naciągnęłam kołdrę na głowę i leżałam bezsennie. Potem znów wstałam i zapaliłam, starannie wydmuchując dym w stronę lufcika. Mam nadzieję, że Bóg nigdy mnie tak nie doświadczy. Chociaż gdyby Kieszka zdradzała Kicię, zrobiłabym wszystko, żeby ukryć przed nią przykrą prawdę...

Niedopałek poleciał w dół. Drżąc z zimna, zanurkowałam pod kołdrę. No, Daszutka, z sobą samą powinnaś być szczerą. Nigdy nie zdobyłabym się na wyrzucenie syna z domu, w żadnym wypadku, to absolutnie wykluczone, i postępowanie Sofii Kristalińskiej wydaje mi się w najwyższym stopniu dziwne.

Rozdział 17

Rano obudziło mnie głośnie szczekanie Bundy'ego. Zegarek wskazywał siódma. Przypomniawszy sobie, że mam dziś jechać do Gieny Kristalińskiego, z jękiem i stękaniem zlazłam na parter, gdzie natknęłam się na trumnę. Obok niej stał Borys i gniewnie sztorcował pitbulla:

- Słuchaj, stary, mam już tego naprawdę dość!

- Co się stało? - zapytałam. Reżyser zawołał śpiewnie:

- O, Daszeńka, dzień dobry. Przepraszam, obudziłem cię.

- Nie szkodzi, i tak miałam wyjść.

- Ciągle uciekasz... - Facet przysunął się bliźiutko. - Nie chcesz nawet rozmawiać.

I nieoczekiwanie objął mnie za ramiona.

- No coś ty! - Spróbowałam się wywinąć z chwytnych objęć. - Po prostu mam pracę!

- A Mania mówiła, że już nie uczysz.

Zła na gadatliwą córkę, odpowiedziałam szybko:

- Rzeczywiście, na jakiś czas porzuciłam kaganek oświaty, ale teraz znów prowadzę lektorat.

Borys przybliżył twarz do mojej.

- Chociaż jeden wieczór posiedź w domu, pozwól sobie ponadskakiwać...

- Przepraszam. - Wiłam się jak robak pod obcasem. - Boję się, że to by się nie spodobało mojemu przyjacielowi.

Borys wypuścił mnie z objęć.

- Masz kochanka?

Aby zmienić niebezpieczny temat, spytałam szybko:

- Co zmalował Bundy?

- Ciągle śpi w trumnie - rzekł z oburzeniem reżyser. - To obrzydliwe!

- Jeszcze dzisiaj każe Iwanowi porąbać trumnę na kawałki

obiecałam.

- W żadnym wypadku! - przeraził się Borys. - Chyba oszalałaś!

- Mam już tego pogrzebowego rekwizytu po dziurki w nosie odparłam. - Mało, że zajmuje mnóstwo miejsca i okropnie wygląda, to jeszcze Bunduś uznał, że to wspaniałe legowisko, a ja sobie kategorycznie nie życzę, żeby pies spał w trumnie!

- Daszeńko - rzekł błagalnie reżyser - jeżeli naprawdę nie masz gdzie podziąć tego mebla, podaruj go nam.

- Po co?

- Jesteśmy tylko biednymi filmowcami, wiecznie musimy oszczędzać. Serial, który teraz kręcimy, trudno nawet nazwać niskobudżetowym, jest mikroskopijnie budżetowy, mamy żalosne kopiejki. Szczerze mówiąc, spadłście nam jak z nieba, dzięki kręceniu w Łóżkinie udało się mnóstwo zaoszczędzić. Wykorzystaliśmy wasze wnętrza, samochody... Będziemy kręcić sceny ze zwierzakami... No i największy fart mieliśmy z tą trumną. W scenariuszu jest scena wytwornego pogrzebu, kapujesz?

- Dobra - kiwnęłam głową - ale po zakończeniu zdjęć tak czy owak trzeba ją spalić.

- Zabierzemy trumienkę ze sobą - obiecał reżyser i nieoczekiwanie znów mnie objął. - No to jak będzie? Przyjedziesz dziś wcześniej? A zresztą, jeżeli chcesz, możemy się spotkać na mieście.

- A co na to twoja żona?

- Ależ ja nie mam żony! - zdumiał się Borys.

- A mówiłeś coś o synu...

- Już dawno rozwiedliśmy się z żoną, jestem człowiekiem absolutnie wolnym, bez żadnych zobowiązań...

- A ja nie... Mam od dawna kochankę, można powiedzieć, męża...

- Tak? - nieufnie spytał reżyser. - Ale jakoś się tu nie pojawia...

- Dzisiaj go zobaczysz - obiecałam i naciągając w biegu kurtkę, wyskoczyłam na dwór.

Było okropnie zimno, panowała ogłuszająca, przenikliwa cisza, która zdarza się tylko w pogodne, mroźne, wczesne poranki na wsi. Do garażu wpadłam kompletnie przemarznięta. Trzeba było wziąć futro, a i kawy też warto by się napić... Tymczasem przez tego wstrętnego, nachalnego chłopca muszę uciekać z własnego domu. Ciekawe, jak długo Borys zamierza tu kręcić swój kretyński serial? Ile czasu to zazwyczaj trwa? Nigdy nie oglądałam mydlanych produkcji, a raczej nie włączam telewizora, kiedy lecą seriale "familijne" i "o miłości". Ubóstwiam natomiast historie kryminalne. Porucznika Columbo, policjantów z Miami i Lochę Nikołajewa znam jak własnych pięć palców.

Od razu z garażu zadzwoniłam do Diegtiariowa.

- Halo - wymamrotał senny głos.

- Cześć, to ja.

- Daria? - zdziwił się Aleksander Michajłowicz, na chwilę umilkł, po czym zapytał ze zgrozą: - Zepsuł mi się budzik? Która godzina?

- Wpół do ósmej.

- Co się u was stało?! - prawie krzyknął pułkownik.

- Ależ nic, wszystko w najlepszym porządku.

- To czemu dzwonisz tak wcześnie? - spytał już ciszej

Diegtiariow.

- Wpadnij do nas dzisiaj na kolację...

- I zerwałaś się o bladym świetle, żeby mnie zaprosić?

- Oczywiście. Bałam się, że polecisz do pracy!

- Niepotrzebnie się tak wysiliłaś - rzekł z westchnieniem

Diegtiariow. - Dzisiaj jest piątek, tak czy owak miałem do was wpaść.

- To może po ciebie podjadę?

- Dobra.

Umówiwszy się z pułkownikiem, pognałam na zaułek Czapaiewa. Zegar wskazywał ósmą piętnaście, kiedy renówka zatrzymała się posłusznie pod właściwym budynkiem. Modląc się w duchu, żeby

Giennadij był jeszcze w domu, wbiegłam na pierwsze piętro i nacisnęłam dzwonek. Dało się słyszeć jakieś szuranie i drzwi się otwarły.

Wiem, że pijaństwo nikogo nie upiększa. Mój ostatni mąż był zdeklarowanym alkoholikiem i właśnie dlatego się z nim w swoim czasie rozwiódłam. Niektórzy potrafią pić latami, ale jakoś im się udaje wyglądać przyzwoicie, inni w ciągu miesiąca zamieniają się w żalosa karykaturę człowieka. Mój były mąż i stojący teraz w progu Giena Kristaliński należeli do tej drugiej kategorii. O ile się orientowałam, jeszcze wczesną jesienią Giennadij elegancko się ubierał, strzygł w ekskluzywnym salonie fryzjerskim, jeździł nowiutkim zachodnim wozem i mógł sobie pozwalać na wszelkie zachcianki. Teraz miałam przed sobą stracha na wróble.

W ciemnym przedpokoju, oparty jedną ręką o obłazającą tapetę na ścianie, stał, chwiejąc się, stwór odziany w podarte, brudne dżinsy i dawno nieprana, wyszmelcowaną koszulę. Jego ciemne, tłuste włosy przypominały sierść nieczesanego perskiego kota, pod czerwonymi, zaognionymi powiekami pływały mętne oczka. Przez parę sekund wymiętoszony typ patrzył na mnie tępo, potem otworzył wąskie usta, ginące w trzydniowej szczecinie, i wychrypiał:

- Co jest?

W nos buchnął mi zapach przetrawionego alkoholu i niemytych zębów. Starając się nie oddychać, wyjęłam z torebki butelkę piwa i zakołysałam nią przed nosem pijaka.

- Chcesz?

- Dawaj - ożywił się menel.

Nie wypuszczając butelki z ręki, weszłam do mieszkania i postanowiłam się na wszelki wypadek upewnić:

- Ty jesteś Giennadij Kristaliński?

- Teraz już nie wiem. - Młody człowiek westchnął. - Dawniej rzeczywiście tak się nazywałem, ale teraz na imię mam "Nijak", a nazywam się "Nikt".

Każdy Rosjanin to urodzony filozof. Francuski kloszard jest wesołym stworzeniem, całkowicie wolnym od posepnych refleksji. Latem nocuje pod mostami, ciesząc się z każdej butelki wina, jaka wpadnie mu w ręce. Zimą kryje się przed chłodem i wilgocią w jakiejś komunie, gdzie mieszkają podobne mu indywidua. Francuski menel nie udaje Sartre'a i Camusa "w jednym". Najczęściej uczciwie się przyznaje: tak, piję, bo uwielbiam taki styl życia. Wolę spędzać czas w kartonie po lodówce nad brzegiem Sekwany niż zanudzać się jako tępy burżuj. Kloszard jest zadowolony z siebie i ze świata. O datek prosi wesoło, bez jęków i narzekań...

Nawiasem mówiąc, nieliczni paryscy nędzarze, których zresztą nigdy nie spotkacie na Wielkich Bulwarach czy na Polach Elizejskich, nigdy nie stoją po prostu z wyciągniętą ręką.

Starają się choć trochę zakamufłować swoją żebraninę. Udają, że sprzedają zapałki, albo usiłują grać na gitarze.

Natomiast rosyjski alkoholik od razu zaczyna tłumaczyć, że na ohydny drogę pijaństwa pchnęła go potworna tragedia, która mogłaby posłużyć za temat Fiodorowi Dostojewskiemu. Nasz pijący rodak zadreca się, cierpi na kompleks winy, jęczy, płacze, narzeka, zatruwając życie nie tylko sobie, ale wszystkim naokoło. Taki typ, dygocząc z kaca pod budką z piwem, szarpie was za rękaw i bełkocze:

- Błagam, jednego rubelka, na lekarstwo dla śmiertelnie chorego dziecka, jestem weteranem wojny afgańskiej, straciłem połowę wnętrza...

Nie wierzycie w to, naturalnie, ale po chwili robi się wam nieprzyjemnie; a nuż to prawda, co mówił o dziecku? Kloszard po obaleniu flaszki taniego wina czuje się szczęśliwy. Nasz menel po walnięciu klina zadreca się wyrzutami sumienia i wstydem aż do następnej lufy. Gienie też zebrało się z samego rana na filozofowanie. By zdusić tę chęć w zarodku, wręczyłam mu piwo.

- No, do dzieła!

Kristaliński błyskawicznie zerwał kapsel o klamkę u drzwi. Zaczekałam, aż całe pół litra napoju zniknie mu w przełyku, i podjęłam dalsze kroki. Tym razem z torebki wyłoniła się butelka wódki. Nie wypuszczając jej z rąk, zagadnęłam:

- Chcesz?

Pozbawiony resztek ludzkiej godności typ skinął głową.

- No to chodźmy do kuchmi.

Nie będę opisywała stanu tego pomieszczenia, nie chcę wywoływać u ludzi procesu odwrotnej perystaltyki. Powiem tylko, że aromat całkowicie harmonizował z pejzażem. Znalazły się tu też zwierzątka domowe, wielkie, wyjątkowo upasione karaluchy, które bezczelnie siedziały wszędzie i nawet nie drgnęły, gdy weszłam. Ze wstrętem strząsnęłam je z kulawego krzesła i usiadłam.

- Jak mogłeś się doprowadzić do podobnego stanu? Syn takich porządnych rodziców...

- Nie twoja sprawa - burknął Giena.

Najwyraźniej jednak coś mu zaświtało w mózgowicy, bo spytał z nadzieją:

- To oni cię przysłali?

- Kto?

- No, ci... - zawahał się, po czym bardzo cicho dodał: Rodzice...

- Nie, oni mnie wynajęli, żebym zbadała okoliczności śmierci Poliny Żelaznowej.

- Co? - spytał chłopak ze zdumieniem. - Czyjej śmierci?

- Poliny Żelaznowej - powtórzyłam wyraźnie. - Twojej kochanki... Giena zaniósł się nagle idiotycznym śmiechem. Tak rechoch debil, patrząc na cierpienia przejechanego przez samochód psa.

- Polina nie żyje! Oj, nie wytrzymam! Więc Bóg tę szmatę skarał, niedługo była córeczką bogatych rodziców. A tak się rwała do forsy... - Nagle uspokoił się i dodał: - Dziwka!

Sądząc, że chłopakowi z pijaństwa pomieszało się w głowie, postanowiłam wyjaśnić sytuację. Pokazałam mu jeszcze raz butelkę, po czym pomachałam przed nosem pięćsetką.

- To dla mnie? - ożywił się Giena.

- Dostaniesz to, jak mi dokładnie wyjaśnisz, o co tu chodzi.

Jakich bogatych rodziców masz na myśli? Swoich?

- Nie - rzekł przeciągle Giena. - Kristalińskich...

- We łbie ci się pomieszało z pijaństwa - rozzłościłam się.

- Sonia i Danila to twoi rodzice, a Polina miała tylko matkę, Ninę. Co prawda, Nina mieszka teraz w Stanach, ale trudno ją nazwać bogaczką!

Giena parskała i zaskakująco wyraźnie, jasno i całkowicie przytomnie oznajmił:

- O w mordę jeża, ale z ciebie detektyw! Jak z koziej dupy trąba! O niczym nie masz pojęcia! Polina jest córką Kristalińskich, a ja, jak się okazało, jestem nikim i nijak się nie nazywam. Z zaskoczenia o mało nie upuściłam butelki.

- Kłamiesz!

- Ej ty, uważaj z tą flaszką - powiedział niespokojnie chłopak

- bo, nie daj Boże, stłuczesz.

- No, opowiadaj, szybko!

- A co? - zwrócił się sam do siebie Giena. - Z jakiej racji mam chronić ich dobre imię? Wypędzili mnie jak psa. To i ja nie mam żadnych zobowiązań. Posłuchaj, skoro chcesz, to bardzo ciekawa historia.

Polina zjawiała się w domu Giennadija w dwa dni po tym, jak Lala złamała rękę. Ten przykry wypadek przydarzył się żonie Kristalińskiego na bazarze. Przechodziła koło straganów z mięsem, kiedy nagle wpadł na nią jakiś chłopak i zbił ją z nóg. Co prawda, chuligan zatrzymał się i zaczął podnosić Lalę, ale ta podziękowała za pomoc i z płaczem pojechała do domu. Natychmiast po umieszczeniu synowej w klinice Sonia zatrudniła służbę, żeby syn miał zawsze gorący posiłek i porządek w mieszkaniu. W ten

sposób w rodzinie Kristalińskich pojawiły się Maja i Polina. O ile kucharka nie budziła u młodego człowieka żadnych emocji: gruba, brzydka baba, cały dzień tkwiąca przy garach, o tyle Polina spodobała mu się nadzwyczajnie. I po trzech dniach znalazła się w jego łóżku.

Giena już przedtem miał skoki w bok. Nie, nie, żonę traktował bardzo dobrze, życzliwie przyjmował jej nadskakiwania... Ale Laleczka była beznadziejnie prowincjonalna, wychowana w kompletnej głuszy przez babkę nauczycielkę, i miała równie niedzisiejsze podejście do życia. Miła, przyzwoita, niebrzydka, ale strasznie nudna, niewiarygodnie zasadnicza. Nie miała w sobie tego pieprzyka, który nawet brzydka dziewczynę czyni atrakcyjną dla mężczyzn. Przy tym okazało się, że Laleczka jest daleką krewną Kristalińskich. Giena nie bardzo się w tym orientował: czy jego pradziadek poślubił siostrę prababki Lali, czy cioteczny brat dziadka siostrę babki... W każdym razie kilka lat temu Lala przyjechała ze swej głuszy, by zwiedzić Moskwę, zatrzymała się u Kristalińskich i natychmiast podbiła serce Soni.

Giena nie mógł się nadziwić. Jego matka była osobą niezbyt serdeczną, o ostrym języku, nieliczącą się z nikim. Wszelkie problemy zwykła załatwiać za pomocą pieniędzy. W dzieciństwie Giena miał dosłownie wszystko. Danila i za komuny świetnie zarabiał, był dyrektorem fabryki, czyli należał do nomenklatury i posiadał wszystkie dobra z tym związane: służbową dachę, czarną wołgę z kierowcą, przydziały żywnościowe i specjalną opiekę zdrowotną... Tak więc pokój Gieny aż pękał od zabawek, a chłopiec miał dwie nianie. Sonia nie żałowała synowi niczego. Giena jeździł nad morze, otrzymał świetne wykształcenie, nauczył się angielskiego... Ale żadnych czułości w tej rodzinie nikt nikomu nie okazywał. Mama nie śpiewała synkowi kołysanek, nie pieściła chłopca, nie obsypywała pocałunkami. Gienie zresztą niespecjalnie na tym zależało i gdyby go spytano, co woli: posłuchać bajki w wykonaniu mamy, czy dostać samochodziak, bez wahania wybrałby to drugie.

Dlatego też chłopak był zdumiony, widząc, jak gwałtowne emocje wywołało u zawsze powściągliwej Soni pojawienie się Lali.

- Zawsze marzyłam o córce - wzdychała Sonia, zabierając ze sobą dziewczynę wszędzie, dokądkolwiek się wybierała. - Poczekaj, wydam cię za męża...

Ale Laleczka od pierwszego wejrzenia zakochała się w Giennadiju. Chłopak, widząc, że stał się obiektem ognistych uczuć, nie zastanawiał się długo. Serce miał wolne, Laleczka była ładna, a w dodatku zakochana jak pensjonarka. No i matka wprost za nią przepadała! Kilku przyjaciół Gieny niedawno się ożeniło i Kristaliński słyszał, że teściowe są na noże z synowymi. W wypadku Lali taka ewentualność była wykluczona, toteż Giena z radością powiódł dziewczynę do ołtarza. Był szczerze przekonany, że kocha Lalę i jest dobrym mężem. Zdarzające mu się czasem skoki w bok uważał za głupstwa bez znaczenia. No, spodobała mu się dziewczyna z butiku Versacego, no, przeleciał fryzjerkę z salonu "Vella Dolores", no, spędził weekend ze śliczną pielęgniarką z przychodni stomatologicznej... Te wszystkie kobitki nie należały przecież do ich kręgu towarzyskiego - ot, takie epizodziki dla odprężenia. Swoich przelotnych kochanek Giena pozbywał się z łatwością. Kupował im futro z norek albo żiguli, finansowo wychodziło to na jedno. Ale we własnym domu nawiązał romans po raz pierwszy. Oczywiście, nie należało tego robić w rodzinnych czterech ścianach, ale Polina była piękna jak majowy poranek, Lala leżała w szpitalu, a matka siedziała przy łożu synowej. Sam diabeł popychał Gienę i Polinę ku sobie, choć trzeba przyznać, że żadne z nich specjalnie się temu nie opierało.

Miesiąc przeleciał jak z bicza trzaski; w przeddzień powrotu żony

z kliniki Giena zawołał do siebie pokojówkę i rzucił na jej toczone ramiona futro z błękitnych norek.

- Podoba ci się?

- Bardzo - odrzekła radośnie Polina - chociaż to chyba raczej nie sezon, jest lato. Lepiej by było, gdybyś mi te norki podarował zimą, od razu mogłabym je nosić!

- Zima przecież nadejdzie. - Giena machnął ręką. - Zdażysz poszpanować. A co do mnie... Jesteś dorosłą kobietą, więc będę z tobą szczery. Jutro wraca Lala, wybacz, ale będziesz musiała odejść.

Widząc, jak kochanka zmienia się na twarzy, chłopak dodał pośpiesznie:

- Znalazłem ci świetne miejsce, u Morozowów. Dwoje starych ludzi, roboty mało, pensja wyższa niż u nas...

Polina zdjęła futro, starannie przewiesiła je przez oparcie fotela i spokojnie wyszczebiotała:

- Dzięki za troskę. Ale ja mam szczególny charakter: chcę albo wszystko, albo nic. A futerko podaruj Lali, żeby nie zmarzła, jak się stąd wyniesie.

- Przepraszam cię, nie rozumiem... - powiedział Giena. - Co ty za brednie wygadujesz? Zabieraj futro i zasuważ do Morozowów.

- O nie, mój drogi - odparła Polina. - Zostanę tu na zawsze. Myślisz, że znalazłam się w waszym domu przypadkiem? No, skąd się wzięłam?

- Matka wyszukała cię przez agencję.

- To kucharkę, a mnie gdzie?

- No, gdzie?

- Warto, żebyś się tym zainteresowała; zapytaj Sonię, kto jej kazał mnie przyjaść.

- Kazał? - spytał zaskoczony Giena i roześmiał się. - Nie pieprz głupot! Mojej matce nikt niczego nie może kazać, nie pozwoliłaby na to.

- Mylisz się - z triumfem odrzekła Polina. - Jest ktoś, kto może z nią zrobić, co chce.

- Kto taki?

- Kiryłł Olegowicz Mołokow!

- Kto? - zdumiał się Giena. - Jaki znów Mołokow? Nie znam nikogo takiego.

- A co ty w ogóle wiesz o Soni? - odpowiedziała pytaniem na pytanie dziewczyna.

Kristaliński speszył się.

- Jest moją matką!

- Niesamowite - uśmiechnęła się Polina. - A co poza tym? Kim są jej rodzice, gdzie przyszła na świat, jak poznała twojego ojca, co robiła przed ślubem?

Giena poczuł niepokój.

- Chyba jest sierota. W każdym razie żadnych babć czy dziadków nigdy nie miałem. Chyba poznała tatę w szpitalu, gdzie leżała po operacji wyrostka... Tak, chyba tak!

- Tak, tak! - Pola zachichotała. - Ale z ciebie głupek! No dobra, więc posłuchaj opowieści o szlachetnej damie z mroczną przeszłością!

Rozdział 18

Historia, którą usłyszał Giena, była tak niewiarygodna, że chłopak w pierwszej chwili utracił dar mowy.

Sonieczka Kristalińska była prostytutką rajzerką. Jedną z tych dziewcząt, które rozjeżdżają po całym kraju w kabinach wielkich ciężarówek. Nie należy jednak sądzić, że ten rodzaj prostytucji narodził się wraz z rozkwitem demokracji. Nie, owe kapłanki miłości istniały zawsze, i w czasach radzieckich, i w czasach pierestrojki. A zresztą rajzerki należałoby przyrównać raczej do gejsz niż do prostytutek. Jest to bardzo szczególny rodzaj

sprzedajnych kobiet. Wielkie amatorki przygód, uwielbiające drogę, coraz to nowe wrażenia, nowe miasta, nowych ludzi. Są mało wymagające, nie zależy im na komforcie, zgadzają się nocować w kabinie i żywić się konserwami. Dziewczynka rajzerka to wspaniały kumpel i wierny przyjaciel. Kierowcy chętnie biorą je do samochodów, żeby nie usnąć w czasie długiej jazdy. Niektórym nudno jechać samotnie, inni się boją. Wesoła dziewczyna to świetny kompan. Przy tym zaś z zasady nie domaga się żadnej zapłaty za swe usługi. Zadowolona jest tym, co dostanie: ciepłym noclegiem, obiadem, parą rajstop czy szminką. Chociaż jeśli zaproponować jej pieniądze, weźmie, nie będzie się certować. Alkoholu dziewczyny prawie nie używają, wiedząc, że kierowcy nie lubią podwozić pijanych, a śmierć z pobicia lub z powodu brutalności klienta to w ich środowisku rzadkość. Kierowcy traktują dziewczęta po koleżeńsku i ręce trzymają przy sobie. Uprawianie seksu dla rajzerki to nie przykry obowiązek, ale przyjacielska przysługa, wyświadczona facetowi. I zazwyczaj mają z tego nie mniej przyjemności niż mężczyzna. Rozpoczynają ten proceder na ogół bardzo wcześnie, w wieku około czternastu lat. Uciekają od nudy prowincjonalnych miast, od wiecznie pijanych rodziców, od beznadziei i braku wrażeń. Jak Cyganie, przemierzają wielkie przestrzenie Rosji... "Kariere" kończą najczęściej w dwudziestym piątym roku życia. Osiadają w jakimś mieście, zakładają rodziny. Podobno są wspaniałymi żonami, troskliwymi, wiernymi... Zdażywszy się do woli wyszumieć, później prowadzą się nienagannie.

Taka właśnie była Sonieczka. Dwadzieścia cztery lata temu przywiózł ją do Moskwy kierowca, którego imienia Sonia nie zapamiętała. Była w siódmym miesiącu ciąży. W drodze zaczął się poród. Kierowca, klnąc w żywy kamień, zdażył ją dowieźć na porodówkę i natychmiast zwiął, przeklinając dzień i godzinę, kiedy na trasie Leningrad-Moskwa, pod Obuchowem, wziął do kabiny sympatyczną grubaszkę.

Sonieczka bez szczególnego wysiłku wydała na świat dziewczynkę i, naturalnie, rzekła się praw rodzicielskich. Los dziecka niezbyt ją obchodził, nawet się nie zainteresowała, czy niedonoszona córeczka wyżyje. Poza tym zaś lekarze stwierdzili u Soni rzeżączkę, więc rodziła w specjalnym boksie dla zakaźnie chorych.

Po dwóch tygodniach całkiem przyszła do siebie i zaczęła wychodzić na spacer do parku. Oddział położniczy, na którym leżała, był częścią ogromnego, starego szpitala. Pawilony chirurgii, neurologii, onkologii tworzyły olbrzymi krąg. Chorzy spacerowali po gigantycznym terenie... No i tam Sonieczka spotkała Danilę, miłego młodzieńca, który właśnie rozpoczął karierę inżyniera w wielkiej fabryce.

Dziewczyna zorientowała się błyskawicznie, że los zesłał jej bajeczną szansę, i opowiedziała chłopakowi rozzierającą historię. Rodziców nie ma, przyjechała do Moskwy, żeby się uczyć na aktorkę, ale na dworcu ją okradziono, straciła walizkę i pieniądze. Z rozpaczycy dostała ataku serca, no i przywieziono ją tutaj...

Gdyby Danila był trochę mądrzejszy, zakwestionowałby pewnie prawdziwość opowieści. Ale Sonieczka była bardzo ładna, a Danila znał się tylko na silnikach. On też nie miał rodziców, posiadał za to własny pokój w mieszkaniu komunalnym.

Pobrali się i Danila nigdy nie żałował tej decyzji. Jedyną czarną plamą w ich małżeństwie był brak dzieci. Po kilku latach wspólnego życia zdecydowali się na adopcję. Nie mieli ochoty nianńczyć niemowlaka, wybrali więc gotowego czteroletniego Giene... I od tej pory ich życie zmierzało tylko w górę, jakby w nagrodę za szlachetny uczynek.

- I tyś jej uwierzył? - spytałam.
Giena przytaknął.

- Wielkie rzeczy! - parsknęłam. - Nie ta jest matka, która urodziła, ale ta, która wychowała. A poza tym dziecko adoptowane ma takie same prawa jak rodzone, więc prawnie jesteś spadkobiercą Kristalińskich. Moim zdaniem, powinieneś skończyć z tym piciem i wrócić do rodziców. Ale ta Polina, co za świnią! Z jakiej racji uznała, że musisz się z nią ożenić?

Giena ponuro popatrzył w okno, potem podszedł do zlewu, odkręcił wodę, napił się prosto z kranu i odpowiedział niechętnie:

- Bo ja naprawdę nie miałem się gdzie podziać.

- Dlaczego?

- Widzi pani, ja kocham Sonię i Danilę, i chociaż teraz znam prawdę o swoim pochodzeniu, i tak uważam ich za swoich rodziców...

- No i co?

- Polina zagroziła, że jeżeli nie wyrzucę Lali i nie ożenię się z nią, to ona ujawni całą prawdę o matce. Najpierw opowie ojcu, a potem zawiadomi prasę bulwarową... Pewnie blefowała, bo to by przecież było wbrew jej interesom... Rozumie pani, Polina jest córką Soni.

Tym razem jednak upuściłam butelkę, która z bynajmniej niemelodyjnym dźwiękiem upadła na linoleum. Ostro zapachniało alkoholem.

- Kim? - spytałam oszołomiona. - Kim?

- Rodzoną córką Soni - powtórzył Giena i rzucił w kałużę wódki kilka starych gazet. - Matka zrzekła się Poli, a ta specjalnie wkręciła się do niej jako służąca.

Z trudem przetrawiając tę informację, wybełkotałam:

- No więc kto dzwonił do Kristalińskiej, żeby przyjęła dziewczynę do pracy?

- Mówiłem pani, Mołokow! Kirył Olegowicz!

- A kto to jest?

- Nie powiedziała, oświadczyła tylko, że Sonia na sam dźwięk tego nazwiska umiera ze strachu.

- A więc Polina jest porzuconą córką Soni - mruknęłam. - Ale czemu

miałaby się domagać ślubu z tobą? Po co takie komplikacje? Mogła pójść do matki, powiedzieć, co i jak...

Nagle w Gienie obudził się zblazowany, bogaty młodzieniec.

Kristaliński zmierzył mnie ironicznym spojrzeniem i wycedził:

- No, profesjonalistką to pani raczej nie jest. Przecież to oczywiste...

- Więc wytłumacz mi, z łaski swojej.

- No, opowiedziałaby wszystko Soni i co? Jak matka wytłumaczyłaby tę sytuację Danile? Gdyby dowiedział się prawdy, w try miga by ją wyrzucił z domu. Może mi pani wierzyć, świetnie znam ojca, wyrzuciliby ją nie za to, że rozkładała nogi na szosie, ale za to, że przez tyle lat go okłamywała. I co by z tego wynikło? Polina nie dostałaby pieniędzy, a na tym zależało jej najbardziej, aż się do tego trzęsła. No i wymyśliła, co zrobić. Ja wyrzucam Lale i żenię się z nią. A Polina milczy jak głaz na temat przeszłości Soni...

Stał przez chwilę, kołysząc się na piętach, po czym dodał:

- Kocham matkę i nie chciałem, żeby miała kłopoty.

- I uwierzyłeś Polinie na słowo? - zdumiałam się.

- Miała papier - cicho odparł Giena. - Metrykę...

- Metrykę?

- No tak, i to starego typu, taką jasnozieloną, ze znakami wodnymi, teraz wydają inne. Od razu było widać, że blankiet jest z lat siedemdziesiątych. I napisane było czarno na białym: Polina Iwanowa, matka Sofia Iwanowa, a w rubryce ojca kreska.

- No to jak się przeobraziła w Żelaznową?

- Mówiła, że adoptowała ją niejaka Nina, jeszcze w szpitalu. Po prostu miała szczęście. A ja zupełnie nie pamiętam sierocińca...

- To dlaczego po śmierci Lali się nie pobraliście? Giena

westchnął ciężko.

- Któregoś dnia, gdy pojechałem do pracy, Polina opowiedziała wszystko Lali. Taka suka! I pokazała jej zdjęcia.

- Jakie?

- Okazało się, że zamontowała w moim pokoju kamerę szpiegowską i sfilmowała wszystkie nasze barabara... Polina później płakała, mówiła, że nie myślała, że Lala się zabije. Tylko że odejdzie, wystąpi o rozwód, rodzice kupią jej mieszkanie, dadzą kasę, ale żeby coś takiego!

- I co było dalej?

- Koszmar! Polina poszła jednak do Soni, a ta ją przepędziła, szczegółów nie znam! Najpierw wywaliła z domu ją, a potem mnie. Po prostu cisnęła na stół klucze od tej chałupy i powiedziała: "Kupiłam ci mieszkanie, i to jest ostatni prezent, jaki dostajesz ode mnie i ojca. Wynoś się, nigdy ci nie wybaczę śmierci Lali!". Sama pani widzi! Kochała ją bardziej niż mnie. A mieszkanie! Jak to zobaczyłem, o mało nie padłem trupem. Nawet nieodnowione! Proszę, dokaż mi wykwaterowali, brud, karaluchy, ohyda. Forsy nie dali...

Chlipnął.

- I z czego żyjesz?

- Są tu koło metra takie pawilony - wyjaśnił Giena. - Achmet przyjął mnie do roboty. Noszę skrzynki, zgrzewki z butelkami... Wyszedłam na ulicę, wsiałam do wozu i zagapiłam się na przechodniów. Co za obłęd? Pola córką Kristalińskiej? Ależ to po prostu niemożliwe. Nina urodziła córkę w Ameryce, mówiła o tym cała Moskwa, była to historia w latach tak zwanego zastoju bardzo egzotyczna. Chociaż...

Po plecach spłynęły mi kropelki potu. A jeżeli Ninoczka nas wszystkich okłamała? Nie była w żadnym Nowym Jorku, adoptowała nowo narodzoną dziewczynkę i podała ją za swoją córkę... Patrzyłam tępo na padający za oknem śnieg. Ależ coś takiego jest po prostu niemożliwe. Po pierwsze, osobiście odprowadzałam Ninę na Szeremietiewo. W tamtych czasach wyjazd do Stanów był uważany za wyjątkowy fart, niezwykły uśmiech losu. Przyjaciółki się cieszyły, a nieżyczliwi zgrzytali ze złości zębami. Nina zrobiła ze swego wyjazdu całą uroczystość, zleciało się pół Moskwy, żeby zobaczyć jej odlot do USA. Nie, Nina na pewno była w Stanach. Tylko z powrotem przyleciała osobno, nie z grupą, i o dwa miesiące później.

Oczyrna duszy ujrzałam wyraźny obraz. Stoję z bukietem kwiatów w pobliżu bramki, z której, popychając przed sobą wyładowane bagażem wózki, wychodzą szczęśliwcy, przybyli zza kordonu. Jest ich wielu, ale Niny nie ma. Wreszcie strumień pasażerów wysycha. Niespokojnie spoglądam na tablicę. Lot SU242, Nowy Jork-Moskwa... Gdzież ta Nina?

I nagle ktoś trąca mnie w ramię. Odwracam się i widzę przyjaciółkę, trzymającą w rękach niewielkie zawiniątko.

- Cześć! - krzyczy radośnie Żeleznowa. - Wypuścili mnie z dzieckiem przejściem dla VJPów!

- Gdzie twój bagaż? - pytam zdziwiona.

- Tu. - Nina ze śmiechem pokazuje sportowy neseser.

- To wszystko?

- Reszta przyjedzie za tydzień.

- Dlaczego? - naciskam.

- Z dzieckiem i bambetlami byłoby mi za ciężko - tłumaczy Ninusia. - A poza tym nie byłam pewna, czy po mnie przyjedziesz... No więc umówiłam się z facetem z ambasady, że przytarga moje kłamoty. On ma paszport dyplomatyczny, może przewieźć, co chce, swoje upominki dostaniesz dwunastego. I rzeczywiście podarowała mi potem okropną figurkę Statuy Wolności i breloczek do kluczy z napisem Love...

Po raz pierwszy od kilkunastu lat przyszła mi do głowy pewna prosta jak drut myśl. A może Nina wcale nie przyleciała z Nowego

Jorku? Może po prostu przyjechała na Szeremietiewo taksówką? A jeżeli... Fakt, że Nina rodziła za granicą, mogliby potwierdzić tylko muzycy, członkowie orkiestry z Leningradu czy z Kijowa, a ci, nie zatrzymując się dłużej w stolicy, wrócili do domu... Całą historię znamy tylko z relacji Niny...

A więc to tak! Oto dlaczego na "powitanie" na lotnisku zostałam zaproszona tylko ja! Nie było ani Lenki Goworowej, ani Tani Kostomarowej, ani Igora Łarionowa, ani Siergieja Bodrowa...

Dlaczego wtedy mnie to nie zastanowiło? Teraz już rozumiem. Ja zawsze wierzę ludziom bez zastrzeżeń, ale innym wyjście Niny z sali dla VIPów mogłoby się wydać podejrzane...

Moja Maruśka ma takie powiedzonko: "Powolutku, z cichym zgrzytem, przestawia się pod sufitem". Czując, że pod moim sufitem wszystko przestawia się z niewiarygodną szybkością, zaczęłam się bez celu miotać po mieście, kompletnie

nie mając pojęcia, dokąd i po co jadę. Nie wiem, jak dotarłam do supermarketu, nakupiłam z rozpaczy kupę niepotrzebnych rzeczy i artykułów spożywczych, wypiłam na drugim piętrze kawę z drożdżówką i poszłam do sali kinowej. Tylko nie pytajcie, jaki film akurat szedł. Absolutnie nie pamiętam ani tytułu, ani treści.

Gdzieś koło piątej po południu odzyskałam rozsądek i poczułam dziką chęć doprowadzenia zaczętego dzieła do końca. Pełna determinacji wsiadłam do renówki i pojechałam po Diegtiariowa. Cóż, dzisiaj się trochę pogubiłam, rozgrzebawszy cudze tajemnice i dowiedziawszy się nagle, że jedna z najlepszych przyjaciółek przez całe życie mnie okłamywała... Ale teraz całkowicie nad sobą panuję. Nie należy się złościć na samą siebie za to, że okazało się słabość. W końcu jestem przecież tylko kobietą, kruchą, delikatną istotą, stworzoną do spokojnego, unormowanego życia... A poza tym po prostu nie potrafię się na siebie złościć, zbyt lubię niejaką Daszę Wasiljewą.

Rozdział 19

Diegtiariow wyszedł z bramy i zaczął się bezradnie rozglądać. Potem spojrzął na zegarek i poruszył ustami. Siedząc w renówce, nie mogłam oczywiście słyszeć jego słów, ale dobrze wiedziałam, co mamrocze.

- Ach, ta Daria, znów się spóźnia, po prostu nie potrafi przyjść punktualnie...

To nieprawda. Zawsze i wszędzie zjawiam się przed czasem, a jeśli zdarza mi się niekiedy spóźnić, to wyłącznie z powodu potwornych korków. Wtedy myślę sobie, że powinienam kupić helikopter, który potrafi startować pionowo w górę.

Diegtiariow zrobił się czerwony. Jak można tak się wściekać na niewinną kobietę? Powinien się zająć autotreningiem, bo inaczej zacznie mieć kłopoty z ciśnieniem. Rozśmieszyło mnie to. No, popatrzmy, co też on robi dalej?

Aleksander Michajłowicz wyjął komórkę. Po chwili zadzwonił mój siemens.

- Słucham.

- Gdzie cię nosi?

- Jestem o dwa kroki od ciebie.

- Na Pietrowce?

- Nie.

- Na Twerskiej ?

- Nie.

Jak można być takim głupkiem?

- Gdzie?! - wrzasnął mój przyjaciel, przybierając barwę dojrzałego bakłażana. - Gdzie?! Gadaj!

No tak, światło w oczy, "gadaj mi tu zaraz samą prawdę, i tylko prawdę, bo inaczej postaram się dla ciebie o najdłuższy wyrok". Otaczają mnie sami histerycy, i w rodzinie, i wśród przyjaciół.

Ale nie ze mną takie milicyjne numery. O, o, jak się wściekł. A są przecież kawalerowie, którzy cierpliwie czekają na damę nawet godzinę, a potem jeszcze dają jej kwiaty. Ale Aleksander Michajłowicz zamiast kwiatów miał w ręku teczkę.

- No, gdzie cię nosi? - pytał ze złością. - Marznę tutaj! Postanowiłam się zlitować nad grubasem i powiedziałam ugodowo:

- Nie rozumiem, czemu się tak żołądkujesz! Siedzę za tobą w ciemnozielonym renaulcie. Po co te awantury?

Aleksander Michajłowicz podskoczył, odwrócił się i spojrzał na samochód. Pomachałam do niego zza kierownicy. Pułkownik wsiadł i burknął:

- Idiotyczny dowcip!

- Sądziłam, że zastosujesz metodę dedukcji i wykryjesz, gdzie jestem.

- Skąd mogę wiedzieć, jaki masz akurat samochód - rzekł z westchnieniem przyjaciel.

- Dobrze chociaż, że nie pomyślałeś, że przyleciałam latającym dywanem - zażartowałam.

- Do ciebie bardziej pasuje miotła - odgryzł się pułkownik.

- No już, nie gniewaj się, zobacz, w schowku leży puszka piwa. Diegtiariow prychnął, otworzył schowek i wyjął millera.

- Strasznie drogie!

- Ale za to dobre.

Pułkownik raz-dwa opróżnił puszkę i od razu poprawił mu się humor.

- A więc renault... Ale raczej nie nowy. Skąd go masz?

- Pożyczyłam od Kariny Syromiatnikowej; muszę pojechać do salonu i kupić sobie nowy samochód.

- Jaki byś chciała?

- Peugeotota 206 - odparłam. - Srebrny metalik. To bardzo fajny wozik, dwudrzwiowy, ale w razie czego zmieści się i pięć osób. Ma duży bagażnik, jest zwrotny, ładny, bezpieczny... I w ogóle lubię francuskie marki. A do peugeotota kupię sobie nowe futro pod kolor, srebrzyste norki.

- Ta twoja kurtka też jest niezła - powiedział w zamyśleniu pułkownik.

- Bardzo krótka i już dawno nienowa... Pomyśl, jak to będzie pięknie wyglądało! Wsiadłam ze srebrzystego samochodu w srebrzystych norkach...

- Aha - mruknął Diegtiariow - zamykasz drzwiami, przytrzaszujesz sobie te norki i wywalasz się nosem w błoto. Już ja cię znam, nie ma w twoim życiu ani dnia bez przygód!

Zamilkłam urażona i resztę drogi przejechaliśmy, słuchając idiotycznych ryków didżejów "Naszego Radia". Wyobraźcie sobie, że ci młodzi ludzie nazywają się Blondynka Tania i Kola MacClowt. Pierwszą osobą, którą zobaczyliśmy w holu, był Borys.

- Daszeńka! - zaczął natychmiast tokować. - Jak to dobrze...

Ale tu jego wzrok padł na Diegtiariowa i reżyser ugryzł się w język.

- Poznajcie się panowie - rzuciłam.

Mężczyźni skłonili się sobie. Aleksander Michajłowicz powiesił kurtkę na wieszaku, zrobił krok naprzód i wrzasnął:

- Co to?!

- Trumna - odparłam spokojnie.

- Po co tu stoi? - drżącym głosem zapytał pułkownik. Coś podobnego, a więc nasz komisarz Maigret boi się pogrzebowych akcesoriów.

- Potem ci wytłumaczę - rzekłam wymijająco. - Idź do jadalni, na pewno chce ci się jeść.

Aleksander Michajłowicz, wielki amator dobrego jedzenia, zrobił jeszcze jeden krok i z prawdziwą zgrozą jęknął:

- Rany boskie! - Co?

- Tam leży Murzyn.

Kto by pomyślał, że jesteśmy z Diegtiariowem tak do siebie podobni, że jednakowo reagujemy na widok Bundy'ego na koronkowej poduszce.

- Ale numer! - zachichotał Borys. - To przecież ten cholerny pitbull. Strasznie lubi tu spać. Robiłem, co mogłem, żeby go odzwycząić, ale bez skutku!

- Aha - zrozumiał wreszcie Diegtiariow. - Normalka. U Daszutki wszystko jak zwykle. Pitbull śpiący w trumnie... A nie macie jeszcze krokodyla, który by robił w fotelu skarpetki na drutach? Nie otrzymawszy odpowiedzi, Aleksander Michajłowicz zniknął w jadalni.

- To właśnie jest twój boy friend? - zainteresował się Boria. Przytaknęłam.

Ale reżyser nie dawał się łatwo zbyć.

- No, kochanie, to raczej dziad friend - roześmiał się. - Po co takiej młodej i pięknej kobiecie stary, robaczywy grzyb? Może jednak go rzuć i zainteresuj się mną, co? Nie jestem, co prawda, młodziutkim efebem, ale też nie matuzalemem.

- Serce nie sługa - oznajmiłam i aby mu unaocznic cały ogrom swojej miłości, złapałam kaptcie Arkadego i rzuciłam się do jadalni, piszcząc: - Kochanie, twoje papucie!

Diegtiariow tak się zdumiał, że upuścił widelec, którym sięgał po kawałek soczystej polędwicy. Mało, że nigdy nie nazywałam go pieścizotliwie "kochaniem", to jeszcze w naszym domu nikt z gości przy żadnej okazji nie zmieniał obuwia. A propos, nigdy nie podobał mi się moskiewski zwyczaj proponowania gościom rozdeptanych kapci bez pięt. Przychodzisz wystrojona, wymakijażowana i wyperfumowana, a tu bęc, dają ci obrzydliwe łapcie i potem przez cały wieczór czujesz się jak kretynka, w wizytowym stroju i obszytych futrem papuciach.

Kiedy mieszkaliśmy w Miedwiedkowie i oczywiście nie mieliśmy służby, spokojnie wręczałam gościom wilgotną ścierkę, aby wytarli sobie podeszwy. Teraz większość naszych znajomych ma samochody i problem brudnego obuwia sam się rozwiązał. Ale Kieszka, Mania i Kicia naturalnie chodzą po mieszkaniu w wygodnych domowych pantoflach, więc teraz potrzasałam przed osłupiałym pułkownikiem kaptkami Kieszki.

- Chcesz, żebym je włożył? - zdumiał się Diegtiariow.

- Oczywiście, skarbie, po całym dniu pracy na pewno masz zmęczone nóżki.

Aleksander Michajłowicz zakrztusił się.

- Cóż, skoro nalegasz...

I wstał, chcąc wyjść do holu.

- Nie, kochanie, nie fatyguj się, zdejmij buty tutaj, a ja je wyniosę...

- Jesteś chora? - zapytał nagle pułkownik, rozsznurowując okropne kamasze produkcji zakładów "Komuna Paryska".

Ciekawe, dlaczego nawet teraz, kiedy wszędzie naokoło pełno jest eleganckiego i wygodnego obuwia, Diegtiariow z uporem kupuje coś, co Kicia w swoim niewyparzonym języku nazywa "gównochodami"? A może donasza stare zapasy?

Pułkownik, nic nie rozumiejąc, posłusznie wsunął stopy w przyniesione klapki. Ostrożnie, w dwóch palcach wyniosłam jego buciory do holu, a potem zaczęłam na użytek Borysa odgrywać troskliwą kochankę.

- Kochanie, nałożyć ci marchewki?

- Nie, dziękuję.

- Zjedz, skarbie, dobrze ci zrobi na wątrobę.

- Nie chcę. - Pułkownik, który nie cierpiał uwag na temat swoich dolegliwości, aż spurpurowiał.

- No to zjedz trochę brukselki, ma mnóstwo żelaza.

- I zrobisz się cały jak pomnik - zachichotała Kicia. - Żelazny Diegtiariow. Nieźle brzmi, prawda? No i mieliśmy już kiedyś

Żelaznego Feliksa.

Jako jeden z kadrowych pracowników MSW pułkownik miał bardzo złe zdanie o ludziach z resortu KGB czy, jak to się nazywa obecnie, FSB. Teraz z kolei kolorem twarzy upodobił się do proponowanej mu marchewki, ale nic nie powiedział.

Ja nie przestawałam gdakać jak kwoka:

- Skoro nie chcesz brukselki, to zjedz kanapeczkę. Aleksander Michajłowicz wziął kromkę chleba i sięgnął po maselniczkę. Czujnie przytrzymałam go za rękę.

- O nie!

- Dlaczego? - spytał gniewnie pułkownik.

- Tylko nie masło, to czysty cholesterol, i chleb też jest niewskazany, tuczacy.

- No to jak mam zrobić kanapkę? - zapytał kompletnie ogłupiały.

- Pojapońsku!

- Jak?!

- Zamiast chleba listek sałaty, prawdziwe masło zastąp roślinnym, a kiełbasę rzodkiewką.

- To jest dieta przygłupiego królika - oznajmiła Mania.

- Musieńko, czego ty się go czepiasz? Diegtiariow lubi mięso!

Niech sobie je.

Pułkownik z wdzięcznością spojrział na Manię i przysunął sobie talerz z pieczenia wieprzowa, ale wyrwałam mu go energicznie i oznajmiłam:

- Aleksander Michajłowicz dotychczas w ogóle nie dbał o zdrowie, ale nie pozwolę, by nadal skracał sobie życie, potrzebuję go żywego. Jedz brukselkę!

Biedny grubas nie wytrzymał:

- Daria! Czyś ty na głowę upadła?

- Nie, złotko - odparłam, czule obejmując go za ramiona i gładząc po ciemieniu. - Ależ zarosłeś. Musisz pójść do fryzjera.

Zapadła cisza. Po chwili Kicia odezwała się cichutko:

- Chyba raczej do pucybuta.

- Co masz na myśli? - spytałam.

- A co Diegtiariow miałby robić u cyrulika? - zachichotała Kicia.

- Przecież jest łysy jak kolano. A pucybut wypastuje mu łysinę szczotką i wyglansuje flanelką. Coś ty się do niego dzisiaj tak przyczepiła? Pozwól człowiekowi zjeść kolację!

Tu wszedł Arkady i już od progu rzucił, patrząc na Aleksandra Michajłowicza:

- Dlaczego wlałeś w moje kapcie? Zdejmuj, ale to już.

Przestraszona, że Borys się połapie, co jest grane, potroiłam czule zabiegi. Po kolacji usadowiłam pułkownika w fotelu, okryłam mu nogi pledem, przyniosłam Hootcha w charakterze poduszki elektrycznej, podsunęłam podnóżek pod stopy, wręczyłam gazetę, podałam pilota od telewizora, lampkę koniaku, nabiłam fajkę, dałam zapalniczkę i w końcu usiadłam na dywanie u stóp kompletnie ogłupiałego Diegtiariowa w otoczeniu Snapa, Cherry i Julie.

- Musieńko, zachowujesz się całkiem jak wierny pies - zauważyła Mania.

Udałam, że nie słyszę docinka, i wbiłam wzrok w ekran telewizora. Szedł dreszczowiec, nie wiadomo czemu nazywany przez naszą telewizję programem informacyjnym "Dzisiaj". W Czeczeniu zabito dziesięć osób, w Ufie nastąpił wybuch gazu, siedmioro dzieci zginęło w wypadku na przejeździe kolejowym. Jakiż trzeba mieć system nerwowy, żeby spokojnie oglądać coś takiego? To już lepiej włączyć TV6, gdzie nadają program rozrywkowy "33 metry kwadratowe". Każdego innego dnia bez zastanowienia pstryknęłabym pilotem, ale nie dziś. Czyż kochająca kobieta może się tak zachować? Jakaż to jednak trudna rola! Mam nadzieję, że za te wszystkie męki zostaną stokrotnie wynagrodzona i Borys się ode mnie odczepi.

- Musiu, do ciebie! - krzyknęła Maszka i rzuciła mi słuchawkę. Udało mi się ją złapać; zapominając wyjść z roli zakochanej kretynki, powiedziałam pretensjonalnie:

- Helou.

- Pani Daria? - spytał ostry kobiecy głos. - Daria Wasiljewa?

- Tak.

- Czy jeździ pani obecnie wozem marki Renault, należącym do Kariny Syromiatnikowej?

- Tak, a o co chodzi?

- Muszę koniecznie z panią porozmawiać. Pilnie, najlepiej zaraz. Spojrzałam na zegarek: piętnaście po dziesiątej.

- Już późno.

- Nie szkodzi. Czy zna pani restaurację "Rosyjska Baśń"?

- Oczywiście, to niedaleko Łożkina, dosłownie o kilometr.

- Będę tam za pół godziny, czy to pani odpowiada?

- Ale kto mówi?

- Sofia Kristalińska - przedstawiła się kobieta. - Czekam za pół godziny.

Rozłączyłam się i ostrożnie zerknęłam na Diegtiariowa. Pułkownik spokojnie spał, Hootch posapywał na jego kolanach. Mania z Kicią grały w tryktraka, a Kiesza i Borys z ożywieniem o czymś dyskutowali, oglądając globus na podstawce, który Arkasza niedawno przytargał do salonu. Aha, wszyscy zajęci, mogę spróbować niepostrzeżenie się wymknąć. Ale jak tylko wstałam, Aleksander Michajłowicz otworzył jedno oko.

- Dokąd się wybierasz?

- Śpij, kochanie, pójdę do siebie, jestem bardzo zmęczona.

Pułkownik opuścił powiekę. Poszłam na górę do sypialni, zamknęłam się od środka, wyjęłam z szafy wygodne adidas, kurtkę i otworzyłam drzwi balkonowe. Niech wszyscy myślą, że grzecznie leżę w łóżku. Moje krótkie futerko i ciepłe botki są w holu, więc nikomu do głowy nie przyjdzie, że matki nie ma w domu. A ja wyjdę tak, jak robię to zawsze, gdy chcę się ukradkiem wyślizgnąć - po ogrodowej drabinie, stojącej pod moim balkonem.

Rozdział 20

W restauracji "Rosyjska Baśń" było pełno. Dopiero po wejściu na zatłoczoną salę pomyślałam z opóźnieniem: "Jak ja poznam tę madame Kristalińską?".

- Zamawiała pani stolik? - usłużnie zapytał maitre d'hotel.

- Nie.

- Bardzo mi przykro, ale u nas obowiązuje rezerwacja.

- Czy zna pan panią Kristalińską? Jestem tu z nią umówiona.

Ober uśmiechnął się.

- Pani Daria, czy tak?

- Tak.

- Proszę za mną.

Weszłam do małej salki, tak zwanego gabinetu, w którym stał dwuosobowy stolik. Siedziała przy nim kosztownie i krzykliwie ubrana kobieta. Wszystko w niej było przesadne. Zbyt czarne włosy, krwawoczerwone usta, nienaturalnie różowe policzki i ogromne brązowe oczy, przypominające krowie. Dłonią, na której błyszcząły i migotały niezliczone pierścionki, zrobiła niedbały gest i szef sali wycofał się z ukłonem.

- Niech pani siada - rzuciła rozkazująco Sonia. Popatrzyłam na nią i zmarszczyłam nos. Ze mną się takim

tonem nie rozmawia. W ten sposób niech wydaje polecenia swojej służbie. Kristalińska najwyraźniej zrozumiała swój nietakt, bo po sekundzie dodała zupełnie innym tonem:

- Cieszę się, że pani przyszła, Daszo. Proszę usiąść. Może koniaczku?

- Dziękuję, prowadzę.

- Ale dwadzieścia gramów wolno.

- Wyciągnęła mnie pani z łóżka, żeby mnie upić? - spytałam z uśmiechem.

Sonia zaśmiała się krótko.

- No dobrze, więc przejdźmy od razu do rzeczy. Proszę mi powiedzieć, dlaczego pani dziś wypytywała mojego nieszczęsnego syna Giennadija? Dlaczego podała się pani za prywatnego detektywa? Tylko niech pani nie próbuje kłamać! Wiem o pani prawie wszystko. Mieszka pani w Łożkinie, ma syna Arkadego, córkę Maszę, synową Olgę i dwoje wnuków. Jest pani doskonale sytuowana i nie musi pani pracować zarobkowo... Mam mówić dalej?

- Nie trzeba - odparłam. - Istotnie rozmawiałam z mężczyzną imieniem Giennadij, tylko że, o ile zrozumiałam, nie jest on pani synem. A skoro już o tym mowa, interesują mnie okoliczności śmierci pani córki Poliny! Przez wiele lat myślałam, że urodziła ją moja przyjaciółka Nina Żeleznowa, ale...

- Proszę popatrzeć - przerwała mi nagle Sonia i położyła na stole książkę w pięknej skórzanej oprawie.

- Co to jest?

- Album fotograficzny.

Otworzyłam okładki. Wesoła młoda kobieta trzyma na rękach owinięte kocykiem niemowlę. Sonia przytyła od tamtej pory i zmieniła uczesanie, ale twarz było łatwo rozpoznać. Obok z bukietami kwiatów stoją chłopiec i dziewczyna.

- To dzień, kiedy zabieraliśmy Giinę ze szpitala - rzuciła Sonia. Przewracałam kolejne strony, migaly zdjęcia. Goluteńki, drobny chłopczyk rósł. Zaczęły się zdjęcia grupowe, robione w przedszkolu, potem w szkole; ekspozycję zamykała fotografia ślubna.

- Pewnie powiedział pani, że wzięliśmy go z sierocińca, kiedy miał cztery lata - rzekła z westchnieniem Sonia.

- Ale jak to? - wybełkotałam. - Nic nie rozumiem!

- Mój syn jest ciężko chory - odpowiedziała Kristalińska. - Chory psychicznie, a Polina Żeleznowa, chociaż jest córką pani przyjaciółki, to w rzeczywistości, za przeproszeniem, cwana łajdaczka, która postanowiła wykorzystać sytuację.

Oszołomiona mrugałam oczami.

- Ale...

- No dobrze. - Sonia uderzyła dłonią w stół. - Niech pani słucha. Giennadij urodził się zupełnie zdrowy. Był wesołym, krzepkim chłopczykiem. Do dwunastego roku życia rozwijał się normalnie, ale jakoś tak w siódmej klasie zrobił się ponury, małowówny, zaczął łapać dwóje. Wszystkie pytania rodziców najpierw ze złością zbywał, a potem w ogóle przestał się odzywać. Następnie położył się do łóżka i przespał prawie tydzień, budząc się raz na dobę. Przestraszeni rodzice wezwali lekarza. Ten rozłożył ręce i poradził, by zwrócili się do psychiatry.

Przez jakieś dwa miesiące zasypiającego na stojąco Giinę ciągnano po różnych lecznicach. Diagnoza była mrożąca krew

w żyłach: choroba psychiczna. Lekarze nie stwierdzili schizofrenii, ale dopatrzyli się niewątpliwych objawów paranoi. Sonia zrezygnowała z pracy i poświęciła się ratowaniu syna.

Uruchomiono kontakty w najwyższych kręgach. Matka walczyła o dziecko jak lwica. Znalazła jakichś znajomych za granicą i mimo że władze komunistyczne krzywo patrzyły na tych, którzy mieli konszachty z cudzoziemcami, zaczęła sprowadzać potwornie drogie lekarstwa.

Trzeba było sprzedać wolgę, daczę, zamienić trzypokojowe mieszkanie na mniejsze... Bóg, widząc te wysiłki, zlitował się nad Sonia. W wieku czternastu lat Gięna znów stał się zwykłym nastolatkiem, może trochę zbyt spokojnym. Sonia modliła się codziennie, by choroba nie powróciła. Ale Giennadij dorastał, stawał się młodzieńcem... Nawrót nastąpił w dwudziestym roku życia. W dodatku Gięna wbił sobie do głowy dziwna, okropna

fantazję: że nie jest rodzonym synem Kristalińskich, ale przygarniętym znajdującym bez imienia i nazwiska. Coś bardziej idiotycznego trudno sobie wyobrazić, zwłaszcza że cała chmara przyjaciółek Soni mogła zaświadczyć, jak witała Kristalińskich u bram szpitala. Ale na tym właśnie polega choroba, że do dotkniętego nią człowieka nie docierają żadne logiczne argumenty. Gienna okropnie cierpiał, ubóstwiał rodziców i z bólem myślał o tym, że urodziła go jakaś nieznaną kobietą. Zaostrzenie choroby następowało w maju, punktualnie jak w zegarku, trwało przez całe lato, a jesienią wszystko wracało do normy. Kiedyś pewien doświadczony psychiatra podpowiedział matce, że ataki można złagodzić albo nawet zupełnie zlikwidować, umożliwiając chłopcu kontakty seksualne. Mężczyźni chorzy psychicznie często mają zwiększony popęd płciowy i regularne współżycie z kobietą może sprawić cuda.

Sonia zaczęła działać natychmiast. W domu zjawiała się młodziutka służąca. I Gienna przeżył całe dwa lata bez zaostrzenia choroby. Fatalny okazał się dzień, kiedy Lenoczka zwolniła się z pracy. Nastąpił nawrót. Tylko teraz do obsesji na punkcie adopcji doszło jeszcze pijaństwo. Chłopak wręcz tonął w alkoholu. Sonia w pierwszej chwili straciła głowę, ale potem zrozumiała, że Giennę trzeba ożenić. W ten sposób

w domu pojawiła się Lala, dziewczuszka z prowincji, uboga i niedokształcona.

- Po prostu zawarłam z nią umowę - tłumaczyła mi Sonia.

- Małżeństwo to miała być jej praca. Zawsze musiała być w domu, obsługiwać Giennę i nigdy nie odmawiać mu współżycia. A ja jej za to płaciłam.

Lala uczciwie wywiązywała się z umowy, uważając, że nadzwyczajnie jej się powiodło. Mieszka w luksusowym domu, ubiera się jak królowa, szasta forsa, zaspokajając wszystkie swoje zachcianki, a w dodatku odkłada co miesiąc okragłą sumkę.

- Podobała mi się - mówiła Sonia - chociaż znalazłam ją właściwie w rynsztoku, wykupiłam od sutenera.

- I nie bała się pani wziąć do domu prostytutki? Sonia się uśmiechnęła.

- Nie. Lala była młoda, zdrowa, naturalnie najpierw kazałam jej zrobić wszystkie badania. Charakter miała akurat odpowiedni, a poza tym strasznie się bała znów wrócić na ulicę.

- Ale przecież mogła pani znaleźć synową w swoim kręgu.

- Nie. - Sonia pokręciła głową. - Wszyscy nasi znajomi wiedzą o problemie Gienny, a nie chciałam brać jakiegokolwiek jego koleżanki z uczelni. Połazczy się taka na forsa, jesteśmy przecież bardzo zamożni, a potem wystąpi o rozwód. Rozwód zresztą to jeszcze nic, ale choroba Gienny zaostrza się zawsze w wyniku stresu. Nie, z Lalą było mu dobrze, i chociaż miał przygody na boku, nikomu to nie wadziło. Przez cały czas trwania małżeństwa ani razu nie doszło do nawrotu choroby; Laleczka umiała nim pokierować, a ja bardzo ją polubiłam. Nawiasem mówiąc, nie miałam też nic przeciw dziecku, z radością wychowywałabym wnuka, ale Lala nie zachodziła w ciążę.

No i tak sobie żyli, w dodatku nadspodziewanie szczęśliwie. Po raz pierwszy od wielu lat Sonia się odprężyła i jej czujność osłabła. Pojechali we dwoje z Danilą do Paryża i Hiszpanii. Do tej pory nie mogli sobie pozwolić na wspólny urlop, zawsze był z nimi Gienna, matka bała się zostawiać go samego. Teraz jednak Gienną opiekowała się Lala. Sonieczce zaczęło się nawet wydawać, że syn jest już zdrowy. Pracował w firmie ojca i uważano go tam za dobrego fachowca.

Potem zaczęły się kłopoty. Lala złamała rękę, w dodatku bardzo niefortunnie, w trzech miejscach, z przemieszczeniem. Kość była pokruszona, obojczyk pęknięty. Sonia naturalnie natychmiast umieściła dziewczynę w klinice. Wszystko to stało się we wtorek, a już w środę matka przyłapała syna z butelką. Nie wahając się

długo, podjęła decyzję. W domu zjawily się Maja i Polina.

- Znała pani Żeleznową? - nie wytrzymałam. - Co do Mai, wszystko jasne, wzięła ją pani z "Ogniska Domowego", a dziewczynę skąd? Sonia wyjęła paczkę papierosów, obróciła ją w rękach, po czym, nie zapaliwszy, schowała do torebki i spytała:

- Mówi pani, że była córką pani bliskiej przyjaciółki?

- Tak.

- I dobrze ją pani znała?

- Dostyc. Przez jakiś czas utrzymywałyśmy ścisłe kontakty, potem widywałyśmy się rzadziej, ale Polina dość często do nas przyjeżdżała.

- Więc niech pani nie nalega na odpowiedź.

- Nie rozumiem...

- Nie powiem pani, kto mnie poznał z Poliną, bo ta informacja nie byłaby dla pani zbyt przyjemna.

- Proszę jednak powiedzieć!

- Zapewniam panią, to nie ma sensu!

- Niech pani powie!

- No dobrze. - Sonia westchnęła. - Tylko proszę pamiętać:

uprzedzałam, że to niezbyt miła informacja... Mam przyjaciółkę,

której mąż to nie mężczyzna, ale prawdziwy ogier. Jeżeli

przynajmniej raz dziennie kogoś nie przeleci, uważa, że był to

dzień zmarnowany. Żony oczywiście nie liczy. No i ta moja

przyjaciółka obawia się paru rzeczy naraz. Jakiejś choroby

rzeżączka i syfilis to jeszcze nic, ale jest przecież aids.

Najbardziej jednak boi się tego, że pewnego pięknego dnia mąż po

prostu odejdzie do innej, toteż w jej domu zmieniają się co

chwilka młode, ładne pokojówki. Alisa uważa, że najlepiej, jeśli

sama będzie kontrolować te sprawy. Dziewczyn dostarcza jej

niejaki Mołokow.

- Kto?

- Kirył Olegowicz Mołokow - spokojnie powtórzyła Sofia. - To

sutener, który zatrudnia mnóstwo najróżniejszych dziewcząt.

Dzięki niemu znalazłam Lalę. W swoim czasie poprosiłam Alisę o

pomoc, powiedziała, że chce podstawić Gienie dziewczynkę, a

Alisa poznała mnie z Kiryłem, skądinąd bardzo sympatycznym

facetem.

Sonia wyjaśniła mu, o co chodzi: potrzebna jest młoda, jeszcze

niezupełnie zepsuta dziewczyna, z doświadczeniem i pewnymi

uzdolnieniami aktorskimi. I Mołokow stanął na wysokości zadania.

Dlatego właśnie Kristalińska zwróciła się do niego powtórnie,

uprzedzając, że sprawa jest pilna.

Kirył nie zawiódł i tym razem. Sonia spotkała się z nim rano,

a wieczorem w domu zjawiała się Polina.

- Była jedną z jego dziewczynek - wyjaśniła Sonia, starając się nie patrzeć mi w oczy.

- Polina prostytutka?! To niemożliwe! Sonia rozłożyła ręce.

- Rozumiem, że trudno w to uwierzyć, ale to prawda!

- Proszę mi dać telefon tego Mołokowa! - zażądałam. Kristalińska wyjęła z torebki malutkiego eriksona i nacisnęła kilka guziczków.

- Niech pani pisze. I proszę się powołać na mnie. Nabazgrałam

numer na serwetce i wpatrzyłam się w Sonię. Ta powiedziała cicho:

- Mówiłam, że nie warto się wdawać w szczegóły; co za różnica,

skąd ją wzięłam? O wiele istotniejsze jest to, co się zdarzyło

później.

Sonia była zmuszona powiedzieć Polinie prawdę. Uprzedziła, że

wynajmuje ją tylko na czas choroby Lali. Żeleznowa spokojnie

ustaliła warunki i już dwa dni później Sonia z zadowoleniem

stwierdziła, że "pokojówka" przystąpiła do wykonywania

obowiązków. Po kilku następnych dniach Sonia odetchnęła z ulgą,

widząc, że zastępczyni Lali przypadła synowi do gustu. Przestał

sięgać po butelkę.

Miesiąc później wróciła Lala, ale Polinę trzeba było zatrzymać.

Giena nie chciał sypiać z żoną, co wyjaśnił jej następująco:

- Laleczko, masz pół ciała w gipsie, seks nie sprawi nam żadnej przyjemności, zaczekajmy, aż całkiem wyzdrowiejesz. Jednak kiedy zdjęto opatrunki, okazało się, że Lala nie może ruszać ręką. Jednym słowem, Polina nadal mieszkała w domu. Zaczęła się w nim czuć jak gospodyni, po czym obmyśliła, co zrobić, żeby zająć ciepłe miejsce Lali.

- Sama jestem wszystkiemu winna - mówiła ze smutkiem Sonia. Ostrzegano mnie, że choroba syna jest nieuleczalna, że mogą następować remisje, ale nigdy nie dojdzie do pełnego wyzdrowienia. Wszystko jednak układało się tak dobrze, że straciłam czujność.

A tu w dodatku zaczęła Soni dokuczać wątroba, kamienie żółciowe, no i Kristalińska beztrudno wyjechała do Karlowych Warów. A zresztą czegoż miała się obawiać? Lala w domu, Polina na każde zawołanie. Giena był pod podwójną opieką.

Niestety, Sonia nie wiedziała, jak bardzo Polinie zależy, by zająć miejsce Lali...

- Znając obsesję Gieny, wymyśliła potworną historię - opowiadała monotonnym głosem Sonia - a on uwierzył w każde słowo tej łajdaczki. Nagadała mu o mnie niestworzonych rzeczy! Że byłam prostytutką... wstyd powtarzać. A jak sprytnie wszystko wyliczyła! Gienoczek nie miał cienia wątpliwości. Bojąc się, że matka okryje się hańbą, poszedł do Lali i powiedział:

- Musimy się rozwieść. Nie pytaj dlaczego. Oczywiście zabezpieczę cię finansowo do końca życia.

Ale Laleczka odparła:

- Nigdy.

Sonia kurowała się w Karlowych Warach, synowa nie miała się kogo poradzić. I wtedy stało się to, co się stało.

- Dlaczego miałyby popełnić samobójstwo? - wybuchnęłam. - Nie widzę żadnego powodu.

- A kto powiedział, że to było samobójstwo? - smutno spytała Sonia.

- Giena i jeszcze pewna pani...

- Milicja uznała to za nieszczęśliwy wypadek ucięła Sonia. Kiwnęłam głową.

- W porządku. Tylko dlaczego wyrzuciła pani Polinę? To nielogiczne. Boi się pani zostawić syna bez kobiety, a jednocześnie wyrzuca pani jego flamę za drzwi... Coś mi się tu nie zgadza...

Sonia milczała.

- A więc pani kłamie - oznajmiłam. - Pytanie, dlaczego? Może sama pani wynajęła zabójcę, żeby usunąć Polę, a teraz się pani wykręca?

Kristalińska zagryzła wargę i zapatrzyła się w okno.

- Proszę pamiętać - powiedziałam - że nawet największe bogactwo nie daje prawa do decydowania o ludzkim życiu. Mam bliskiego przyjaciela, pułkownika MSW; poproszę go, żeby zbadał tę poplątaną sprawę, żeby w niej pogrzebał jak należy. Cała prawda wyjdzie na jaw!

- Oczywiście, nie ma sensu proponować pani pieniędzy - rzekła powoli Sonia.

- Za co? - zdziwiłam się.

- Żeby pani przerwała swoją ożywioną działalność.

- Naturalnie! Sama mogę pani dać ładnych parę tysięcy! Interesuje mnie prawda - oświadczyłam patetycznie.

Zapadła ciężka cisza, po czym Sonia mruknęła:

- Dobrze, powiem prawdę, tylko niech pani obieca, że wszystko pozostanie między nami.

- Oczywiście - przyrzekłam natychmiast. - Słucham.

- Żeby uratować matkę od hańby, Giena postanowił ożenić się z Poliną - oznajmiła Sonia. - Ale Lala nie zgadzała się na rozwód i mój syn ją zabił.

- Co?! - Aż podskoczyłam.

Kristalińska nerwowo obracała w palcach kieliszek.

- Podsunął jej żmiję. Lala nie cierpiała gadów, za nic w świecie nie wzięłaby do ręki żmii, co dopiero korbacza... Nie, to zrobił Giena. Sam mi się przyznał. Lala spała w swoim pokoju, a mąż przyniósł to jadowite draństwo, rozdrażnił i położył dziewczynie na piersi. Giena umie się obchodzić z tymi stworzeniami, wie, jak się je hoduje i co zrobić, żeby "uruchomić" taką gadzinę.

Upewniwszy się, że Lala nie żyje, Giennadij przeniósł ciało do serpentarium i upozorował samobójstwo.

- Nie wyobraża sobie pani, ile pieniędzy kosztowało zatuszowanie tej sprawy - rzekła z westchnieniem Sonia. - Musiałam dać w łapę wszystkim: śledczemu, technikowi, no i, oczywiście, Polinie. Nie mogłam pozwolić, żeby Giennadija postawiono przed sądem. Przecież z pewnością uznano by go za niepoczytalnego i zamknięto w domu dla obłąkanych. Większej tragedii niepodobna sobie wyobrazić.

Jak zwykle, stres wywołał nowy atak choroby. Giena zupełnie wymknął się spod kontroli. Teraz do obsesji "podrzutka" i pijaństwa doszło kolejne nieszczęście. Chłopak za wszelką cenę chciał się wyrwać z domu. Sonia skonsultowała się z jednym z najlepszych rosyjskich psychiatrów i to on właśnie poradził:

- Droga pani, rozumiem, że to trudne, ale będzie pani musiała ustąpić synowi. Im bardziej zacznie go pani zatrzymywać, tym usilniej on będzie uciekać, choroba się pogłębi, a wtedy nie da się uniknąć leczenia w zakładzie zamkniętym. Najlepiej będzie, jeśli pani wyrzuci go z domu. Po jakimś czasie atak osłabnie, a na razie niech pani wyszuka mu nową "żonę".

- Sam pan oszalał! - rozzłościła się Sonia. - Każe mi pan wyrzucić na ulicę chorego człowieka!

- Droga pani - rzekł z uśmiechem lekarz. - Trzeba będzie znów odegrać przedstawienie.

Pośpiesznie, w jeden dzień, kupiono mieszkanie. Sonia porozumiała się z cwaniakiem Achmetem, który przyjął Gienę do "roboty".

Płacił chłopakowi wódką i jedzeniem. W wódce rozpuszczone było lekarstwo.

Po trzech dniach Sonia wysłała na plac młodziutką Swietkę.

Achmet posadził ją w budce i polecił Gienie pomagać ekspedientce.

- Teraz, dzięki Bogu, ten ciąg alkoholowy się kończy - wyjaśniła Sonia. - Swieta chyba się Gienie podoba...

- Jak się pani dowiedziała, że u niego byłam? Sonia uśmiechnęła się.

- Mieszkanie Gieny obserwuje jednocześnie kilku ludzi. Boję się, żeby mu się nie stało coś złego. Ochrona dyskretnie odprowadza go na plac i tam pilnuje. Mieszkańcy tej okolicy powinni mi być bardzo wdzięczni. Moi ludzie dla bezpieczeństwa przepędzili spod stacji metra cały podejrzany element, jedynym "menelem" jest tam teraz Giena. No i naturalnie błyskawicznie mnie powiadomiono, że mojego syna odwiedziła jakaś pani w samochodzie marki Renault. A dalej to już sprawa czysto techniczna. Ustalono według numeru, że auto należy do Kariny Syromiatnikowej, a ona mi powiedziała: "Wóz jest mój, ale używa go sąsiadka, Daria Wasiljewa". Bardzo miło sobie pogawędziłyśmy, opowiedziała mi o pani...

Próbowałam zebrać myśli, ale te rozpełzały się jak robaki na widok łopaty.

- Nie prościej było zatrzymać Polinę? - spytałam wreszcie.

- Nie - odparła ostro Sonia. - Po pierwsze, to Żeleznowa nawarzyła tego piwa. Nie potrzebuję w domu kogoś takiego. A poza tym... Sama uciekła, kiedy się dowiedziała, że Giena jest mordercą. Pewnie się zlekła, że wyjdzie za chłopaka za mąż, a ten ją także...

- I pani tak po prostu ją puściła?

- Dałam jej kupę forsy.

- Nie bała się pani, że zacznie was szantażować? Sonia zacisnęła

usta.

- To jeszcze pytanie, kto kogo mógłby szantażować. Powiedziałam jej bez ogródek: spróbuj tylko pisnąć, to roztrąbię po wszystkich gazetach całą prawdę o Mołokowie, który gorliwie udaje szanowanego obywatela, a kiedy Kiryłł do mnie zadzwoni, powiem, że to ty wypaplałaś wszystko dziennikarzom. Zobaczysz, nie pożyjesz nawet dwóch dni! Zresztą i sprawę śmierci Lali też można odpowiednio przedstawić i okaże się, że winna jesteś ty!

Rozdział 21

Do domu wróciłam w stanie groggy. Czułam się zupełnie tak, jakbym wypila setkę wódki. W głowie mi się kręciło, źle widziałam, uszy miałam zatkane, nogi mi się trzęsły, a plecy były całe mokre... Żeby nie robić hałasu, postanowiłam nie wprowadzać renaulta do garażu. Przeszłam przez podwórze, wlałam po drabinie na balkon, stamtąd do pokoju i usłyszałam natarczywe pukanie do drzwi.

- Hej, Daria, otwórz - cicho, ale stanowczo dudnił Diegtiariow.

- No, czemu nie odpowiadasz?

- Kto tam? - zachrypiałam sztucznie zaspanym głosem. - Kto?

- Otwórz.

- Czego chcesz? - chrypiałam dalej, szybko ściągając sweter.

- Pogadać.

- O matko, zaczekaj chwilę, już wstaję - obiecałam, szarpiąc nerwowo sznurowadła.

Te jednak, jak na złość, zasupłały się ostatecznie; nie mam w pokoju ani nożyczek, ani noża, a żeby rozerwać takie pęta, jestem za słaba. Diegtiariow nie może mnie zobaczyć w adidasach, džinsów też zdjąć nie mogę, pozostaje więc tylko jedno wyjście...

Podeszłam do drzwi.

- Słuchaj, nie chce mi się ubierać, zaraz otworzę, a ty wejdz, odczekaj parę chwil i dopiero wtedy wejdz, tak żebym zdążyła wrócić do łóżka.

- Dobra - zgodził się bez oporów Diegtiariow. Przekręciłam klucz, po czym błyskawicznie, w adidasach i džinsach, dałam nura pod kołdrę.

- Już się przestraszyłem - mruknął pułkownik, wchodząc do sypialni - pukam, pukam, a ty nic. Zastanawiałem się, czy ci się aby coś nie stało.

Omiotłam wzrokiem pokój i wskazałam buteleczkę waleriany.

- Zażyłam krople i usnęłam, głowa mnie bolała... Nie myślałam, że komuś strzeli do głowy łomotać do drzwi, i to - podkreślałam zamkniętych. Czy tak trudno się domyślić, że skoro człowiek nie otwiera, to znaczy, że śpi albo jest zajęty? Nie mam chwili spokoju!

- No, nie gniewaj się - rzekł z uśmiechem pułkownik - już dobrze. Po prostu chciałem ci coś powiedzieć.

- Mów - rzuciłam, zmuszając się do ziewnięcia. - Wal!

Aleksander Michajłowicz usiadł w fotelu, wyjął fajkę i zapytał:

- Mogę?

- Proszę.

Pułkownik starannie nabił fajkę, popykał w skupieniu i zagadnął:

- Ile lat się znamy? Zastanowiłam się.

- Dwadzieścia pięć.

- No właśnie, moglibyśmy już obchodzić srebrne wesele!

- Dawno byśmy się rozwiedli! - Zaśmiałam się. - A tak to się przyjaźnimy. Zresztą nigdy nie pałaliśmy chęcią nawiązania intymnego związku.

- Fakt. - Diegtiariow odchrząknął. - Wiesz, że boję się bab, przeraża mnie perspektywa oglądania w kuchni jakiejś obcej osoby, która będzie smażyła kotlety i mówiła do mnie "Szurik". A poza tym wystarczy się tylko rozejrzeć! Każdy ma nie żonę, ale jędzę z piekła rodem!

- I nie czujesz się samotny bez rodziny?
- Od dawna uważam za swoją rodzinę was - zaczął się wywnętrzać Diegtiariow. - Ty jesteś dla mnie jak siostra, a Kieszka i Maszka jak siostrzeńcy. Przecież spędzam z wami każdą wolną chwilę.
- No, i mógłbyś się wreszcie wprowadzić na stałe zaproponowałam.
- Dom jest ogromny, pomieścimy się.
- Cóż - rzekł z wahaniem Aleksander Michajłowicz - bardzo bym nie chciał, żeby między nami coś się zmieniło, i dlatego przyszedłem porozmawiać.
- Coś się stało?
- Hm, tak w ogóle, to nie tylko chciałbym, żebyś mnie właściwie zrozumiała, i wybaczyć, jeżeli coś wypadnie nie tak... - zaczął się jękać pułkownik.
- Zakochałeś się?
- Oszalałaś - zachnął się grubas. - W moim wieku?
- Co ma do tego wiek? I w ogóle "miłości każdy wiek pokorny", jak powiada klasyk.
- No dobra - zdecydował się wreszcie pułkownik. - Jeżeli uważasz, że po tylu latach niczym niezakłóconej przyjaźni powinniśmy się pobrać, to proszę, spełnię twoje idiotyczne życzenie, chociaż już przewiduję, jakie plotki rozleżą się po ministerstwie o niektórych gliniarzach, co to polecili na bogatą babę. Ale skoro chcesz, proszę bardzo. Tylko nie gniewaj się, mój stosunek do ciebie jest czysto braterski i boję się, że nie będę mógł...
Zapominając, że mam na sobie tylko koronkowy stanik, usiadłam gwałtownie w łóżku, ciągle z nogami pod kołdrą. Pułkownik odwrócił się dyskretnie. Chwyciłam wiszący na oparciu łóżka podkoszulek, wciągnęłam go i palnęłam:
- A po jaką cholere?! Aleksander Michajłowicz podskoczył.
- Ale przez cały wieczór... Kieszka mi powiedziała: idź do matki i oświadczyć się.
- O Boże - jęknęłam. - Nie mam dla ciebie żadnych uczuć oprócz siostrzanych, po prostu musisz dbać o swoje zdrowie.
- I to wszystko?
- I to wszystko.
- Dobra, no to idę spać - rzekł pułkownik. Wyraźnie poweselał. Wstał i nagle przyjrzał się bacznie kołdrze na moich nogach.
- Co się tam majta?
- Gdzie? - spytałam leniwie.
- Tu, zwisa spod kołdry, coś jakby brudny sznurek.
Nie zdążyłam zebrać myśli, kiedy Aleksander Michajłowicz gwałtownie się pochylił. W następnej sekundzie wyszarpnął spod kołdry moją prawą nogę.
- Sypiasz w dżinsach i brudnych adidasach? - wykrzyknął, marszcząc brwi.
- Słuchaj - powiedziałam ze złością, chowając kończynę pod kołdrę - każdy człowiek ma jakieś nawyki. Jeden lubi dłubać w nosie, inny jada w łóżku i wyciera ręce w prześcieradło, a ja sypiam w adidasach, tak, sypiam w adidasach, uwielbiam spać w adidasach, nie zasnęłabym bez nich! Jeżeli chcesz wiedzieć, to wszyscy czterej mężowie rzucili mnie właśnie z tego powodu, nie podobała im się żona, która wchodzi do łóżka w sportowych butach. A przecież na dobrą sprawę nie ma w tym nic złego! Niewinne dziwactwo!
- Ale dlaczego sypiasz w adidasach? - wykrztusił z wysiłkiem Diegtiariow.
- Bo jest mi zimno! Okropnie marzną! Odczep się!
- No, no - zamruczał Aleksander Michajłowicz. - Cóż, dobranoc. I wyszedł. Wyczerpana opadłam na poduszkę. Dlaczego, u licha, stale przydarza mi się coś takiego? Wiecznie pakuję się w głupie sytuacje.
Sen zupełnie mnie odbiegł, a właściwie nawet nie musiał odbiegać, bo go nie było. Złamałam dwa paznokcie, ale jakoś udało mi się rozluźnić sznurowadła, ściągnęłam dżinsy i spróbowałam zetrzeć

ślady błota z prześcieradła. Wyobrażam sobie, jak się Irka jutro rozzłości na widok tych plam. Najlepiej powiem, że wieczorem znalazłam pod kołdrą Snapa, który wczołgał się tu z zabłoconymi łapami. Ira lubi rottweilera, więc zaraz się uspokoi. Usiadłam w fotelu, włączyłam telewizor i patrząc na ekran, po którym miotali się dwaj faceci z drabiną, zaczęłam się zastanawiać.

Przecież to można oszaleć. Polina prostytutką! Dziewczyna na telefon! Nie, to po prostu niemożliwe. Sonia na pewno mnie okłamała, żeby się wykręcić... A jeżeli nie? Co wtedy? Siedziałam, czując w głowie absolutną pustkę, i gapiłam się na aktorów. Teraz obrzucali się tortami. Najwyższy czas przyznać, że nie wiem, kto zabił Polinę, a co więcej, nie rozumiem dlaczego lub raczej po co. Komu mogło zależeć na jej śmierci?

Moje ręce same sięgnęły po telefon. Nie bardzo wypada dzwonić do nieznanego faceta o trzeciej nad ranem, ale Mołokow to sutener, czyli teraz jest w samym środku roboczej dniówki. Takiego kogoś należy łapać w nocy, rano i w dzień śpi. Numer telefonu komórkowego, który dała mi Sonia, zaczynał się od trzech takich samych cyfr jak mój - 792.

"Bip, bip, bip" - dobiegało ze słuchawki. Pewnie facet nie słyszy, ileż to razy sama znajdowałam potem w okienku informację o nieodebranych telefonach.

- Halo - burknął wreszcie ochrypli głos - kto mówi?

- Dobry wieczór, Kirille Olegowiczu - odezwałam się

energicznie. - Dostałam pański numer od Soni Kristalińskiej...

- O Boże - jęknął facet - to koszmar, ząb mnie boli jak diabli, dopiero co usnąłem...

- Przepraszam - powiedziałam zmieszana. Ale Mołokow najwyraźniej wziął się w garść.

- Nie szkodzi, słucham.

- Muszę porozmawiać z panem osobiście, kiedy mogę przyjechać?

- Teraz.

- Teraz? O trzeciej w nocy?

- A co w tym dziwnego? - prychnął Mołokow. - Pani nie śpi, a mnie pani już obudziła... Gdzie pani jest?

- Osiedle willowe Łożkino...

- A, Łożkino, wiem, obwodnicą będzie do mnie pięć minut jazdy, niech pani zapisze adres.

Ciekawe, kto z naszych sąsiadów zamawia u tego faceta dziewczynki?

Wiedząc, że i tak bym nie usnęła, zaczęłam się ubierać. Następnie wyszłam na balkon i już zaczęłam przełazić przez balustradę, kiedy nagle usłyszałam z tyłu jakiś szelest. Okropność! Pewnie ktoś z domowników jeszcze nie śpi i postanowił mnie odwiedzić. Obejrzałam się i zobaczyłam, że do pokoju powoli wchodzi Snap.

- O cholera, aleś mnie przestraszył! Rottweiler zaczął kręcić zadkiem.

- Kładź się i śpij.

Snap usiadł przy łóżku. Zamknęłam drzwi od środka i wylazłam na dwór. Było straszliwie zimno. Szczękając zębami, dopadłam do renówki i cichutko, na pierwszym biegu, ruszyłam. Nacisnęłam brelok, automatycznie otwierający skrzydła bramy, i dopiero wtedy się obejrzałam. Dom był pogrążony w ciemnościach, tylko w mojej sypialni paliła się lampka nocna, zapomniałam ją zgasić.

Mołokow mieszkał w sympatycznym ceglany domku, ukrytym za żelazną bramą. Ochroniarz, najwyraźniej przyzwyczajony do nocnych gości, przepuścił renaulta w milczeniu.

Podjechałam pod wejście i nacisnęłam dzwonek. Drzwi się otworzyły.

Na progu stanął sam gospodarz, w dżinsach i niebieskim podkoszulku. Nie kłamał, kiedy mówił o bolącym zębie. Jego prawy policzek był wyraźnie bardziej pyzaty niż lewy.

- Pani jest Daria? - spytał, krzywiąc się. - Proszę wejść.

W elegancko urządzonej salonie Mołokow zapytał, otwierając barek:

- Zapewne nie chce pani koniaku?
- Nie, dziękuję, wolałabym wodę mineralną...
Kiryłł otworzył butelkę wody Perrier, pociągnął ze swojego kieliszka i znów się skrzywił.
- O Boże!
- Tak boli?
- Okropnie - jęknął Mołokow. - Nie mogę już wytrzymać...
- Dlaczego nie poszedł pan do dentysty?
- Boję się - odparł facet. - Umarłbym na sam widok bormaszyny.
- Tak czy owak, będzie pan musiał pójść.
- Za nic w świecie!
- Może się wywiązać zakażenie krwi...
- Nie, nie, to już nie pierwszy raz - rzekł z westchnieniem Kiryłł. - Poboli pięć dni i przestanie.
- Zachowuje się pan jak jaskiniowiec - oburzyłam się. - Teraz stosuje się wspaniałe środki znieczulające...
- Nie - upierał się przy swoim Mołokow. - Za żadne skarby. Może by i nie bolało, ale umarłbym ze strachu. Te wszystkie narzędzia, haczyki, kleszcze... Jak w izbie tortur. Wolę pocierpieć!
Westchnęłam ze zrozumieniem: jeżeli się czegoś boję, to właśnie dentystów. Przemiała Tanieczka Rudych, której pozwalałam czasem zajrzeć sobie do ust, powiedziała kiedyś:
- Uwielbiam, kiedy siadasz na fotelu!
- Dlaczego? - zdziwiłam się.
- Taksie drzesz, tak wrzeszczysz...
- I to ci się tak podoba? Przepraszam, ale nie mogę się powstrzymać. A przecież wcale nie boli! Wrzeszczę ze strachu.
- Wiem - śmiała się Taniusza - ale pacjenci w poczekalni nie wiedzą i myślą, że obcęgami wyłamuję nieszczęsnej babie szczękę. Jak po twoim wyjściu wyglądam z gabinetu, nie ma już żywej duszy! Wszyscy uciekają. Mogę spokojnie napić się herbaty. Ekstra! Przychodź częściej.
Dlatego też świetnie rozumiałam Kiryłła. A może spróbować mu pomóc?
- Wierzy pan w czarowników? Mołokow napił się koniaku.
- Oczywiście, że nie, czy ja wyglądam na idiotę? Czemu pani pyta?
- Widzi pan, miałam babkę, bardzo szczególną kobietę. Wszystko w niej było niezwykłe, poczynając od imienia. Miała na imię Afanasja. Paliła, nie wylewała za kołnierz, uwielbiała towarzystwo, do samej śmierci chodziła na obcasach, słowem, zachowywała się wcale nie jak starsza pani. Co więcej, babcia namiętnie grywała w karty, w preferansa. Muszę jej oddać sprawiedliwość, że robiła to świetnie, odznaczała się bowiem wspaniałą pamięcią i potrafiła logicznie myśleć. Niekiedy szczęście ją opuszczało; na przykład, musieliśmy się przeprowadzić z centrum do Miedwiedkowa, bo Fasięńka przegrała akurat kolosalną sumę... Najczęściej jednak wygrywała. Była doskonale znana we wszystkich moskiewskich domach, w których uprawiano hazard. Widzi pan ten pierścień?
Mołokow przytaknął.
- Babcia oskubała kiedyś niejakiego Wanię Barona, znanego stołecznego szulera. Ten, kompletnie oszołomiony takim obrotem sprawy, zdjął z palca pierścień i podarował go damie. Po śmierci babci dostał się on mnie i prawie nigdy się z nim nie rozstaję, to mój talizman. No więc, babcia umiała "zamawiać" zęby...
- Niewiarygodne - wybełkotał Kiryłł. - Takie rzeczy się po prostu nie zdarzają. Niech mi go pani pokaże.
Zdjęłam sygnet z palca. Kiryłł obejrzał go i powiedział:
- Aha, o ile pamiętam, to tutaj.
Coś nacisnął i pierścień... się otworzył.
- Oj! - wykrzyknęłam. - Coś takiego! Nie miałam pojęcia, że tu jest skrytka. Babcia nic o tym nie mówiła...
- Pewnie sama nie wiedziała. - Kiryłł uśmiechnął się. - Widzi pani, w środku jest fotografia, bardzo malutka.

Przyjrzałam się pożółkłemu, niewyraźnemu zdjęciu.

- Kto to jest? Mołokow uśmiechnął się.

- Czasem życie wyczynia takie wygibasy, że żaden pisarz by nie wymyślił... To portret mojej matki. Dziadek bardzo ją kochał.

- Nic nie rozumiem - wymamrotałam, patrząc na pierścień.

- Wania Baron był moim dziadkiem - wyjaśnił Kiryłł. - Uwielbiał pani babkę, chyba nawet mieli romans.

- Niemożliwe!

- Dlaczego? Ile pani miała lat, kiedy Afanasja dostała ten pierścień?

- No... Chyba około dziesięciu.

- A babka?

- Myślę, że sześćdziesiąt... sześćdziesiąt trzy...

- No widzi pani, to jeszcze nie wieczór! I dziadek miał mniej więcej tyle... Świetnie pamiętam, jak się złościła moja babka na sam dźwięk imienia Afanasja. A propos, to bardzo rzadkie imię, nigdy więcej się z nim nie zetknąłem.

- Bo ono nie istnieje - odparłam. - Jest tylko forma męska

- Afanasij. Pradziadek pokłócił się z popem, w czymś się tam nie zgadzali, i kiedy urodziła się babcia, złośliwy klecha oznajmił: "Dziś jest świętego Afanasija, i tak też ochrzczimy dziecię. A jak nie chcesz, to jedź do miasta". Do najbliższej osady było siedemdziesiąt kilometrów bezdrożami, październik. No i stąd takie imię.

- Ale za to łatwe do zapamiętania - powiedział z uśmiechem Kiryłł. - Proszę chwileczkę poczekać.

Wstał i wyszedł. Obróciłam pierścień w rękach. Cóż za dziwny traf!

- Niech pani patrzy - rzekł gospodarz, wracając do pokoju.

Wzięłam od niego fotografię. Popatrzyłam i aż krzyknęłam: babcia!

Nie jestem z natury sentymentalna i nie oglądam w każdy weekend rodzinnych fotografii. Afanasja zmarła już dawno i w mojej pamięci pozostała drobniutką, chudą staruszką o niewyblakłych z wiekiem, intensywnie niebieskich oczach.

Z tej fotografii jednak uśmiechała się niemłoda, lecz świetnie się trzymająca kobieta, z nieodłącznym papierosem Biełomorkanał w ręku. Sfotografowano babcię w restauracji przy stole zastawionym talerzami i karafkami. Obok Fasi, obejmując ją ramieniem, siedział postawny, nobliwy mężczyzna w dwurzędowej marynarce o niewiarygodnie szerokich klapach.

Zdjęcie było przedarte na pół, a następnie sklezione.

- W tamtych latach - rzekł z uśmiechem Kiryłł - po eleganckich lokalach, takich jak "Metropol", "Praha" czy "Inturist", chodzili fotografowie i proponowali gościom zdjęcia. No i dziadek zamówił zdjęcie na pamiątkę, a żona je znalazła i podarła... Była okropna awantura.

- Niech mi pan podaruje tę fotografię - poprosiłam.

- Mam tylko jedną, ale mogę zrobić odbitkę.

Jeszcze przez jakieś dziesięć minut zdumiewaliśmy się tym nieprawdopodobnym kaprysem losu, po czym Kiryłł zapytał:

- Co to ma wspólnego z zębami?

- Afanasja umiała je zamawiać i nauczyła mnie. Chcesz, żebym spróbowała?

- Wal - zgodził się Mołokow - ale ja nie wierzę w takie rzeczy.

- Lepiej przynieś wodę, zwykłą, niegazowaną, nieprzegotowaną...

Gospodarz przyniósł filiżankę wody. Posadziłam go na krześle, wzięłam porcelanową czarzkę i zaczęłam szeptać:

- Zza wyspy Bujana, zza sinego tumanu, zza morza modrego leci biały ptak. Prawe skrzydło ma czarne, lewe białe. Ptak sikora nigdzie nie przysiada, do raba bożego Kiryłła podfruwa, ból usuwa. Jako ten ptak precz ulatuje, tak niechaj chorość też ustępuje. Jak woda będzie wypita, zdrowie na powrót zawita. Pij, rabie boży Kirille, i więcej nie choruj.

Mołokow opróżnił filiżankę.

- Wciąż boli.

- Zaczekaj, nie tak prędko - odparłam. - Przejdzie za pół godziny. Jeśli chcesz wiedzieć, to zakłęcie działa zawsze i na wszystkich. Moja babcia miała jeszcze jeden sekret. Przez długie lata, prawie do samej śmierci, Afanasja zachowała niezwykle piękną karnację, bez starczej żółtości i plam wątrobianych. Zmarszczek też miała wyjątkowo mało. Zawsze przy myciu Fasieńka nabierała w dłonie zimną wodę i powtarzała:

- Aniele wody, daj urodę, zdrowie, siły. Zabierz zmarszczki. Wierzcie lub nie, ale ten środek działał. Sama go stosuję i często nieznajomi biorą mnie nie za matkę Arkadego, ale za jego żonę. Spróbujcie, a przekonacie się!

- A więc jesteśmy prawie rodziną - podsumował Kiryłł. - Proponuję, żebyśmy przeszli na "ty".

- I tak już przeszliśmy - odparłam z uśmiechem. - Pokaż mi, jak działa zameczek przy pierścieniu.

- Jaka miałaś do mnie sprawę? - zapytał Mołokow, kiedy opanowałam już sekret mechanizmu.

Tak w ogóle, to zamierzałam mu nałgać o chutliwym mężu, którego chcę utrzymać w domu, angażując ładną pokojówkę... Ale nie wiem czemu powiedziałam coś zupełnie innego:

- Słuchaj, wydarzyła się bardzo dziwna historia!

Rozdział 22

Kiriłł w milczeniu wysłuchał mojej opowieści, po czym zabębnił palcami po stole.

- Zanim odpowiem na twoje pytania, pozwól, że zadam ci swoje...

- No?

- Nie przeszkadza ci, że utrzymuję się z kupczenia kobiecym ciałem?

Wzruszyłam ramionami.

- Jakoś nie, chociaż, oczywiście, stręczycielstwo trudno zaliczyć do szacownych profesji. Wydaje mi się jednak, że ty nie przywozisz dziewczyn na ulicę samochodem i nie bijesz pejcem, przymuszając je do uwodzenia klientów. Masz pewnie klub albo bar ze striptizem, zgadłam?

- Zgadłaś - przytaknął z uśmiechem Kiryłł. - Moja rodzina tradycyjnie żyje w niezgodzie z prawem. Dziadek otrzymał ksywkę Baron w łagrze, ojciec, dopóki go nie zabili, był jednym z bossów świata przestępczego.

Teraz jednak nadeszły inne czasy, toteż Kiryłł zupełnie otwarcie prowadzi lokal pod nazwą "Nocna Rozmowa". Restauracja, bar ze striptizem... Nic szczególnego, ale interes zyskowy, ludzie wala do klubu drzwiami i oknami. Mołokow jednak ma jeszcze jeden biznes, o którym wiedzą tylko nieliczni. Dostarcza dziewczynki elicie.

- Nie mogę wymienić nazwisk - powiedział - ale moimi klientami są ludzie z samej góry!

Dziewczęta Mołokowa są więc na odpowiednim poziomie. Nikt nie ośmieliłby się nazwać ich dziwkami. Na ogół wszystkie mają wyższe wykształcenie albo studiują. Znają obce języki, mają doskonałe maniery, prowadzą samochód, swobodnie rozmawiają na każdy temat, są nienagannie ubrane, uczesane... Wynajęcie takiej dziewczyny kosztuje koszmarnie drogo. Kiryłł bardzo dba o zdrowie "kapłanek miłości" i nie przyjmuje byle kogo. Jak do każdej porządnej pracy, do jego klubu można się dostać tylko z czyjegós poręczenia, dziewczyny łowiące klientów na ulicy nie mają tu wstępu. U niego pracują na ogół po dwa, trzy lata.

- Później tracą urok nowości - tłumaczył Mołokow. - Opatrują się klientom, a klientów mam stałych. Daję więc dziewczuchom odprawę i zwalniam je. A właśnie, większość moich "pracownic" zdaża sobie składać niezły kapitalik. Ja biorę od facetów kasę i odliczam dziewczynom procent, ale jeśli ktoś daje im jakiś prezent proszę

bardzo. Prezentów nie potrzebuję. Laski dostają i mieszkania, i samochody, i futra, że już nie wspomnę o perfumach, kosmetykach, biżuterii. Wiesz, jaki się tu robi lament, kiedy któraś zwalniam?

Kiriłł wymaga przestrzegania pewnych prostych zasad. Żadnego pijaństwa ani narkotyków, broń Boże, ukraść klientowi choćby chustkę do nosa, i co dwa tygodnie marsz na badania do ginekologa. To wszystko. Bajeczne warunki. Dziewczyny są tego świadome i bardzo się starają.

- Polina trafiła do mnie rok temu - oznajmił Kiriłł.

- Jak się o tobie dowiedziała?

Mołokow wyjął złoty portcygar, z niego cienkie cigarillo i spytał z galanterią:

- Dym nie będzie ci przeszkadzał?

- Sama palę - odparłam, wyciągając gauloise'y.

- Polinę poleciła mi Waria Chomienko, jedna z dziewcząt, zresztą już dawno zwolniona.

Waria zadzwoniła i spytała:

- Nie potrzebuje pan pracownik, Kirille Olegowiczu?

- Ale tylko dobrych! - odparł Mołokow. Nazajutrz zgłosiła się Polina.

- Spodobała mi się - opowiadał Kiriłł. - Atrakcyjna, nobliwa, bezpruderyjna... Był tylko jeden szkopuł: Żelaznowa miała męża, a ja nie lubię się wdawać z mężatkami. Nie życzę sobie, żeby mężowie urządzali mi awantury.

- Co? - krzyknęłam. - Polina? Zameężna?

- A cóż w tym dziwnego? - Kiriłł podniósł brwi. - Młoda dziewczyna, miała chyba jakieś dwadzieścia trzy lata, tak?

- Tak...

- Najlepszy wiek do małżeństwa, chociaż, o ile pamiętam, z dokumentów wynikało, że jest zameężna od prawie sześciu lat. Czyli wyszła za męża, mając osiemnaście.

- Nie wierzę!

- Dlaczego? Bywa i tak.

Milczałam. Nie miałam powodu nie wierzyć Kiriłłowi. On przecież nie wie nic o tym, jak Pola usiłowała łapać bogatych chłopaków.

- Dlaczego więc złamałeś swoje zasady i przyjąłeś ją do pracy?

Kiriłł westchnął.

- Bo przyszła razem z mężem, a ten powiedział, że nie ma nic przeciwko kontaktom żony z klientami.

- Patrzcie państwo! To dopiero mężus! Pozwolił żonie być prostytutką.

Mołokow wzruszył ramionami.

- Nie takie rzeczy się zdarzają, jak bym ci opowiedział, tobyś spadła z krzesła.

- A jak się nazywał ten facet o nowoczesnych poglądach?

Kiriłł zmarszczył czoło.

- Imię jakieś idiotyczne... Mmm, Dormidont... nie, zaczekaj, Kallistrat... nie, nie, mam: Bonifacy! Tak jest! Pamiętam, że tam było "f"! Bonifacy!

- I długo Pola u ciebie harowała?

- Ależ do tej pory jej nie zwolniłem. W maju poszła do Kristalińskiego, przez czerwiec i lipiec jej nie było, w sierpniu pojechała na wakacje, chyba do matki, do Stanów... We wrześniu wróciła do roboty.

- Te twoje dziewczyny są zajęte codziennie?

- Jak wypadnie. Czasem raz w miesiącu. To zależy od klientów. Mam wielu przyjezdnych, wpadają do Moskwy, zabierają dziewczynę na trzy, cztery dni, a potem jest wolna.

- To znaczy, chcesz powiedzieć, że Polina miała dużo wolnego czasu?

- Do diabła i trochę! Moje dziewczyny mają czas i na studia, i na wypoczynek.

Wsadziłam palce we włosy i zaczęłam je tarmosić. Ach, Pola,

Polinka... Tytan pracy! Ze wszystkim zdążała. I pracować dla Kirilla, i obskakiwać bogatych chłopaczków...

Mołokow odprowadził mnie do samochodu i zaproponował:

- Może zjemy kiedyś razem kolację? Słuchaj, ten ząb przestał mnie boleć!

- Byłam tego pewna. Niech tylko zakończę dochodzenie, to się zabawimy - obiecałam.

- Może chcesz przyjechać do "Nocnej Rozmowy"?

- Jestem trochę za stara na jedną z twoich dziewczynek.

- Zapraszam cię jako gościa, naturalnie na koszt firmy. Program jest wprawdzie dość szczególny, ale kuchnia doskonała... A co do tej starości, to nie masz racji. Mam paru klientów, których interesują wyłącznie panie w eleganckim wieku. Gdybym ci powiedział, jakie osoby zatrudniam, tobyś padła trupem na miejscu. Oprócz młodych lasek mam też kobiety w wieku, powiedzmy, balzakowskim... Więc gdybyś chciała dorobić, to zapraszam...

- Dzięki, zastanowię się - obiecałam i odjechałam. Zegar wskazywał w pół do jedenastej przed południem, kiedy zaparkowałam pod kafeterią "Delifrance". W środku zamówiłam koktajl kawowy i dwa croissanty.

Kocham to miejsce koło stacji metra Majakowska, równie czule i mocno, jak McDonalda. Tutaj czuję się jak w Paryżu, patrząc na przebiegający za oknami moskiewski tłum. A i croissanty podają tu zupełnie takie same jak we Francji. W innych lokalach tej sieci zamiast delikatnych rogalików z francuskiego ciasta wpychają klientom gumowate buły.

Spałaszowałam croissanty i pozwoliłam sobie jeszcze na kawałek tortu gruszkowego. Jak się waży tylko trochę więcej niż pies, można sobie poszaleć. Chociaż zależy jaki pies. Snap i Bundy są ode mnie o wiele większe. Ja mieszczę się gdzieś między mopsami a pitbullem. Hootch waży czternaście kilo, Bundus osiemdziesiąt dwa, ja zaś równiutko czterdzieści osiem. Czyli, gdyby dodać do siebie Hootchusia i Bundy'ego, a potem podzielić przez dwa, wyszłabym ja. Do usług łaskawych państwa - średnia arytmetyczna z dwóch psów.

Tort gruszkowy zniknął równie szybko, jak się pojawił. Oblizując się, zerknęłam łakomie na suflet truskawkowy, ale po chwili powiedziałam sobie jednak: dosyć. Ważę istotnie niewiele, ale może mi się rozszaleć wątroba, chcąc się na mnie zemścić za objadanie się tłustym ciastem. A w ogóle najwyższy czas skończyć z obżarstwem i zająć się dochodzeniem. Najpierw wybrałam otrzymany od Kirilla numer Warii Chomienko, ale nikt nie podniósł słuchawki. Pewnie dziewczyna pracuje albo włóczy się po sklepach. No nic, zajmiemy się następną sprawą.

Ponaciskałam szybko parę klawiszy i usłyszałam dziarskie "słucham".

- Żenka, podaj mi hasło!

- Akurat, już się rozpędziłem - odparł gniewnie przyjaciel. - Ani mi się śni!

- Żeneczka - zaćwierkałam - pamiętasz, opowiadałeś mi o takim nadzwyczajnym skalpeli, angielskim, w aksamitnym futerale? No, chodzi o ten potwornie drogi, który mają w sklepie ze sprzętem medycznym i którym tak świetnie się pracuje.

- I co? - zapytał ostrożnie Żenia.

- Jest twój.

- Odbiło ci czy co?

- Ale przecież muszę dać ci prezent na 25 grudnia.

- A co to za święto?

- Skarbie, ta robotka kompletnie cię otępia. Boże Narodzenie!

- Ale przecież nie nasze, tylko katolickie! Westchnęłam. Nie będę się wdawać w dysputę teologiczną

o tym, kiedy i ile razy Chrystus przyszedł na świat.

- Oj, Żeneczka, pół roku spędzam w Paryżu i oczywiście tam obchodzę Boże Narodzenie. Więc ciesz się, że masz taki fart!

Skalpel jest twój, a teraz bądź kumpłem i podaj mi hasło.

- Zaczekaj - burknął Żeńka i położył słuchawkę na biurku.

Czekałam cierpliwie.

- Lipa - powiedział przyjaciel.

- Co?

- No takie hasło, lipa.

- Dzięki, kotku.

- Na zdrowie - burknął Żeńka.

Znów zaczęłam maltretować siemensa. Przyjaźniąc się wiele lat z Aleksandrem Michajłowiczem, poznałam parę sekretów. Między innymi ten. Kiedy pracownicy organów ścigania chcą ustalić czyjś adres domowy, milicjant wykreca tajny numer, podaje swoje nazwisko, hasło i uzyskuje dostęp do informacji. Nazwisko to drobiazg, w MSW pracuje kupa ludzi, dziewczęta z biura adresowego na pewno wszystkich nie znają! Ale hasło! Zmienia się je codziennie, to skandal!

Kobieta przy telefonie, słysząc słowo "lipa" powiedziała uprzejmie, ale zimno:

- Słucham.

Pośpiesznie przedstawiłam sprawę.

- Bonifacy? - powtórzyła urzędniczka. - Ani nazwiska, ani imienia ojca, ani daty urodzenia?

- A co, uważa pani, że co drugi mieszkaniec Moskwy ma tak na imię?

- Proszę czekać - odparła sucho baba.

W słuchawce zapadła cisza. Patrzyłam w okno. Właśnie zaczął padać śnieg. Na ziemię sypały się wielkie płatki. Prawda, przecież Nowy Rok już za pasem. Trzeba pomyśleć o prezentach. Co kupić Kieszy? Czym można zadziwić człowieka, który ma wszystko?

- Pani pisze - warknęła słuchawka. - Bonifacy Julianowicz

Bortniański, urodzony w 1907 roku...

- W którym?

- 1907 - powtórzyła baba z irytacją. - Zameldowany pod adresem zaułek Komarowski 7, mieszkania 1.

- Jest tylko jeden o takim imieniu?

- Tak.

Wymamrotałam w oszołomieniu:

- A gdzie jest ten zaułek Komarowski?

- To już nie do mnie - burknęło ze słuchawki i rozległ się sygnał.

Co za nieuprzejma osoba! Zajrzałam do planu i znalazłam poszukiwaną uliczkę w samym centrum. Zaułek Komarowski mieścił się między Nowosłobodzką a Twerską. I nagle mnie olśniło. O cholera! Wredny babus nie podał mi numeru telefonu; co prawda, nie pytałam o to, ale mogła przecież sama o tym pomyśleć!

Znów wybrałam jej numer.

- Lipa.

- Już nie "lipa" - warknęło po tamtej stronie.

- Dlaczego?

- Popatrz na zegarek - odpyskowała megiera. - Jest po dwunastej. Cisnęłam komórkę do schowka. Co za ludzie, pewnie siedzą tam same stare panny, złe jak psy. Chociaż, na przykład, nasze psy to sama serdeczność! Trudna rada, trzeba jechać do tego Bonifacego. Może staruszek ma wnuka, nazwanego tak samo na jego cześć. Co prawda, skoro dziadek liczy sobie prawie sto lat, to wnuczek musi być po pięćdziesiątce.

Zaułek Komarowski, wąski i krzywy, biegł zygzakiem. Domy świetnie pasowały do uliczki - koślawe, pochylone, jak pijane. Numer siedem wyglądał chyba najgorzej. Można by w nim kręcić serial o okropnościach wojny. Kamienica

spoglądała na świat wybitymi oknami klatki schodowej. Była dwupiętrowa, potwornie brudna, z odpadającym tynkiem. Drzwi do bramy stały otworem, ani śladu kodowego zamka czy domofonu.

Wewnątrz było zimniej niż na dworze i ostro cuchnęło kocim

moczem. Numer jeden był oczywiście przy samym wejściu. Dzwonka nie zauważyłam. Załomotałam do drzwi nogą, rozległo się ciche szczekanie, szurające kroki, po czym drzwi otwarto bez żadnych pytań. Spojrzałam na gospodarza i zatkało mnie.

Na progu stała mumia, okutana w jakieś szmaty. Do obutych w walonki nóg tulił się stary bolończyk o brudnej i pozlepianej sierści, a na rękach mumia trzymała prawie лыsego kota z bielmem na jednym oku.

- Pani do mnie? - zaskakująco dziarskim głosem zapytał starzec. Piesek obwąchał moje buty i cieniutko zaskomlał.

- Poszedł! - rzekł surowo gospodarz.

- Do pana - odpowiedziałam. - Bonifacy Julianowicz, tak?

Dziadek przytaknął.

- Pani z opieki społecznej?

Nie chcąc straszyć staruszka, skwapliwie potwierdziłam.

- Tak.

- A gdzie Tanieczka?

- Zachorowała.

- No dobrze - zlitował się dziadek. - Wejdz, dziecko, prosto korytarzykiem do kuchni.

Dotarłam do ciemnego pomieszczenia i usiadłam na twardym wiedeńskim krześle z giętym oparciem. Coś takiego, więc jeszcze tu i ówdzie się te krzesła zachowały! Pamiętam, że podobne były w komunalce przy ulicy Kirowa, obecnie Miasnickiej, gdzie spędziłam dzieciństwo.

Piesek znów przypadł mi do nóg i zaskomlał. Schyliłam się, pogłaskałam płaczące stworzenie i poczułam, że pod sfilcowaną sierścią nie ma ciała, są tylko cieniutkie, kruche kosteczki; zwierzę było wygłodzone do ostatnich granic. Zresztą także gospodarz i kot wyglądali po prostu jak szkielety, jeden obciągnięty skórą, a drugi futrem...

- Niepotrzebnie przyszedłeś, dziecko - odezwał się z westchnieniem dziadek.

- Dlaczego?

- Emerytura skończyła mi się trzy dni temu, a następna będzie nieprędko, więc nie musisz iść po zakupy. Ruszaj dalej.

Obrzuciłam wzrokiem całe towarzystwo.

- A co pan je?

- Przedwczoraj mieliśmy owsiankę na wodzie.

- A wczoraj i dzisiaj?

Bonifacy Julianowicz poruszył bezgłośnie ustami.

- Wybrałem się do "Azazela", ale tam zamknięte.

- Dokąd?

- Była tu taka knajpa, "Azazel", właściciel dawał mi dla Kruszyny i Waśki torbę odpadków, dobry z niego człowiek. Przyznam ci się, że sam je jadłem. Dlaczego nie? Świeże były... Ale zakład splajtował. Ja tam jedzenia nie potrzebuję, tylko żał mi Kruszyny i Waśki.

Wręcz odebrało mi mowę.

- Waśka jeszcze jakoś się trzyma - ciągnął Bonifacy, otulając się czymś, co kiedyś było kocem - ale Kruszyna płacze i płacze, serce się kraje.

- Dziadku - wrzasnęłam - zaraz wracam, raz, dwa, tylko zaczekaj! Wybiegłam na ulicę, wpadłam do najbliższego supermarketu i zaczęłam gnać od stoiska do stoiska.

Mniej więcej po półgodzinie owsianka była gotowa.

- Ależ z ciebie rozrzutnica - trząsł głową Bonifacy - na mleku ugotowałaś, z cukrem... A to co?

- Kiełbasa szynkowa.

- No, no! - Dziadek pokręcił głową i zaczął ostrożnie jeść owsiankę.

Postawiłam na podłodze dwie miski. Kruszyna i Waśka rzuciły się na jedzenie. Nigdy nie myślałam, że kot może z takim zapałem zmiatać płatki owsiane. Fifina i Kleopatra nawet by nie tknęły

takiej potrawy. Zresztą nasze kotki kręcą nosem nawet na mięso, jeżeli, ich zdaniem, jest niezbyt świeże. Tymczasem nieszczęsny Waśka błyskawicznie pochłoniął poczęstunek, wylizał miskę do czysta i siadł przy niej, patrząc na mnie okrągłymi żółtymi oczyma. Bonifacy Julianowicz i Kruszyna też dzielnie dotrzymywali kroku kotu. Dziadek błyskawicznie opróżnił talerz i sięgnął po garnuszek.

- Teraz nie - wykrztusiłam. - Może panu zaszkodzić, zbyt długo był pan głodny.

- Masz rację, dziecko - westchnął starzec. - Chciwy się zrobiłem i nie pomyślałem.

- Mieszka pan tu sam jeden?

- Jak palec.

- Nikogo pan nie ma? Ani dzieci, ani wnuków? Bonifacy pokręcił głową.

- Syn umarł, miałem jeszcze wnuczkę, tylko że już dawno wyjechała, obiecała pisać, ale widać się nie złożyło...

- Nikt panu nie pomaga?

- A przychodzi kobieta od was z opieki, dwa razy w miesiącu, zresztą częściej nie potrzebuję... Emerytury mi starcza akurat na dwa pójścia do sklepu.

Najwyraźniej spostrzegł moją minę, bo szybko dodał:

- Niczego mi nie brakuje, dobrze sobie żyjemy, tylko w tym miesiącu zrobiło się krucho, bo trzeba było naprawić telewizor.

- Puknął palcem w mały, czarnobiały odbiornik. - Nie mogę żyć bez wiadomości o świecie, zaczekaj, zaraz ci coś pokażę...

To mówiąc, ruszył do drzwi.

- Jak się nazywali pana bliscy? - spytałam.

- Syn miał na imię Jegor, a wnuczka Katia - odrzekł Bonifacy i dodał: - Miałem jeszcze żonę, Jelizawietę Andriejewnę, wieczne jej odpoczywanie... A poza tym nikogo.

Wyszedł. Siedziałam w zimnej kuchni, oglądając zniszczone graty i szczątki naczyń. Z odrapanego karnisza zwisała brudna firanka, nie było tu nawet karaluchów, tej plagi starych domów w śródmieściu. Sprytnie stworzenia zapewne nie zaglądały do mieszkania, wiedząc, że niczym się tu nie pożywią.

Nagle Kruszyna podeszła i usiadła przy moich nogach, z oddaniem patrząc mi w oczy.

W tej chwili dał się słyszeć kaszel i do kuchni wkroczył Bonifacy Julianowicz z dumnie podniesioną głową. Popatrzyłam na niego i poczułam, jak do gardła podchodzi mi ciężka, gorąca kula. Dziadek miał na sobie stareńką, spraną wojskową bluzę, na której błyszcząło mnóstwo orderów i medali.

- O, proszę - rzekł z dumą Bonifacy. - Nie zawiodłem w ciężkich czasach, walczyłem z wrogiem, potem całe życie do emerytury przepracowałem w jednym miejscu, na poczcie, byłem kierownikiem działu, nie piłem, nie paliłem, łapówek nie brałem, tylko pracowałem dla dobra naszej socjalistycznej ojczyzny. Przeżyłem życie uczciwie, mam się czym pochwalić! Widzisz, jestem kawalerem Orderu Sławy, a nie dawano go tchórzom i draniom!

Obejrzałam kolekcję odznaczeń dziadka, potem rzuciłam okiem na śłaniające się z osłabienia Kruszynę i Waśkę, jeszcze raz powiodłam wzrokiem po kuchni... Nagle kula w gardle stoczyła się w dół i jak kamień zaciążyła mi w żołądku. Dziadek jest kombatantem, ma tyle orderów. Tacy ludzie otrzymują niezłą emeryturę. A więc pracownica opieki społecznej, korzystając z tego, że staruszek jest samotny, ordynarnie go okrada. Wiem, to się zdarza. Niedawno Arkady odmówił bronienia oszustki, pielęgniarki środowiskowej. Przychodziła do samotnych, chorych ludzi i łągała, że kilogram masła kosztuje dwieście rubli, a staruszki, które nie były w stanie wyjść z mieszkania, wierzyły jej. I ta łajdaczka przynosiła swoim podopiecznym paragony ze sklepu, pewnie zbierała je na podłodze przy kasach; większość kupujących przecież je wyrzuca.

- Dziadku - powiedziałam. - Nie gniewaj się, nie chciałam cię przestraszyć tą nowiną, myślałam, że powoli cię przygotuję...
- Co się stało? - zapytał Bonifacy.
- Jestem twoją prawnuczką Daria, córką Kati, przyjechałam zabrać cię do siebie.

Rozdział 23

- Co? - wymamrotał dziadek, cofając się. - Jak to?
W obawie, że mi nie uwierzy, zaczęłam pośpiesznie zmyślać nieprawdopodobną historię.
- Jak to zabrać? - stękał Bonifacy. - Tak od razu? A Waśka i Kruszyna?
- Oczywiście je też.
- Ale rzeczy!
- Zaraz spakujemy!
- A emerytura... Przynoszą mi do domu.
Chciałam już powiedzieć: "Na co nam te twoje kopiejki, nie martw się" - ale w porę ugryzłam się w język.
- Arkasza pojedzie do zakładu ubezpieczeń i załatwi, żeby przesyłali na nasz adres.
- Meble... Kredens, krzesła...
- Zamówimy furgonetkę i przewieziemy.
- Ale jakże to tak, na miłość boską, skąd się tu wzięłaś?
- Mówię ci przecież, Katia jest we Francji...
- Ona pojechała do Niemiec, w siedemdziesiątym drugim, na staż z uniwersytetu, i już tam została...
- Z Niemiec przeniosła się do Francji!
Kompletnie skołowany dziadek zaczął poruszać ustami, najwyraźniej próbując przypomnieć sobie daty, ale szybko dał spokój.
- Właśnie tak myślałem, że kogoś mi przypominasz - rzekł powoli - a teraz widzę: wykapana Lizoczka. O, popatrz.
Wyjął z szuflady zdjęcie gdzieś z lat czterdziestych. Uśmiechała się z niego pulchna szatynka. Byłam do niej podobna jak wieża w Pizie do masztu telewizyjnego w Ostankinie, ale Bonifacy powtórzył jeszcze raz: "wykapana Lizoczka" - i nagle się rozplakał.
Resztę dnia spędziliśmy na pakowaniu. Co prawda, w końcu się okazało, że nie ma co pakować. Dziadek był praktycznie nagi i bosy. Wrzuciliśmy do dużej walizy jakieś łachy, fotografie, dokumenty, bluzę z orderami i Biblię. Ulokowałam dziadka na tylnym siedzeniu, posadziłam mu na kolanach Waśkę i Kruszyne, i pojechałam do Łożkina.
Było koło dziewiątej, kiedy renault wpadł na podwórze i zahamował przy wejściu. Uprzedzeni telefonicznie domownicy wyskoczyli na dwór. Zaczęła się ceremonia powitań. Potem Arkaszka zaprowadził Bonifacego do łazienki, a Maruśka zabrała do kąpieli Kruszyne i Waśkę. Nasze zwierzaki obiegały gości naokoło, ale ci byli zbyt słabi, by reagować na bodźce zewnętrzne. Umieściliśmy Bonifacego na parterze, w pokoju gościnnym. Zajrzałam do niego koło jedenastej. Staruszek spał, ubrany w piżamę Kieszy. Przy łóżku na nocnym stoliku leżały dwa banany i czekoladka. Pewnie prezent od Mani. Śnieżnobiała, uczesana Kruszyna słodko posapywała na kołdrze, obok spał Waśka. Po kąpieli okazało się, że wcale nie jest łyśy, tylko błękitnoszary i bardzo ładny.
Cicho zamknęłam drzwi, ruszyłam korytarzem w stronę jadalni i wpadłam na Borysa.
- Czy ktoś ci już mówił, że jesteś wariatką? - zainteresował się reżyser. - Żeby wykręcić taki numer! Przywlec do domu dementywnego dziadygę!
- A co, miałam go zostawić, żeby zdychał z głodu?
- Wszystkim i tak nie pomożesz!
Odwrociłam się i bez słowa ruszyłam w kierunku schodów. To prawda, wszystkim pomóc nie sposób.

- A jeśli on cię okłamał? - ciągnął Borys. - Może ma kupę krewniaków?

- No więc ci krewniacy stracili dziadka!

- Ale...

- Bądź tak dobry - powiedziałam - i zamknij się, okej? Co ci do tego? Przywiozłam Bonifacego do swojego domu.

- I słusznie zrobiłaś - oznajmiła Olga, stając w drzwiach jadalni. - Mamy przecież całe mnóstwo okropnych babek, a ani jednego dziadka.

- Ale jak można tak po prostu wziąć i wywieźć człowieka? - nie ustępował Boria. - Mieszkanie, emerytura...

- Ależ ty jesteś nudny - powiedziałam i pobiegłam na górę.

Z dołu doleciał głos Kici:

- Arkaszka wszystko załatwi, jutro pojedzie, gdzie trzeba, i popyta.

Uśmiechnęłam się. To prawda, w naszym domu nigdy nie ma spokoju, Mania z Kieszką kłóca się co wieczór przy kolacji, a Kicia gotowa mnie zagadać na śmierć, kiedy tylko poczuje zapach papierosów, ale... ale mam absolutną pewność, że nadajemy na tej samej fali. Czując ogromne zmęczenie, dotarłam do swojej sypialni i zaczęłam szarpać za kłamek, ale drzwi nie ustępowały. Już chciałam wrzasnąć: "Irka, co to za kretyn zamknął pokój?" - kiedy dotarło do mnie, dlaczego dzisiejszy dzień wydał mi się tak długi. Nie spałam przecież całą noc, a dom opuściłam przez balkon. Moja sypialnia jest zamknięta od środka!

Chyłkiem, żeby nie nawinać się nikomu na oczy, wyszłam na dwór, obiegłam dom naokoło i stwierdziłam, że drabiny nie ma. Zadarłam głowę, obejrzałam pierwsze piętro i zobaczyłam na balkonie Snapa z mordą opartą na balustradzie. Pies, który do tej pory siedział cicho jak myszka, jeżeli w ogóle można porównywać prawie dziewięćdziesięciokilogramowego rottweilera z gryzoniem, teraz na mój widok rozdziawił paszczę i zaniósł się głośnym, nerwowym szczekaniem.

- Cicho - zasyczałam, wymachując rękami. - W tej chwili się zamknij!

Ale Snap ani myślał się uspokoić. Nasz rottweiler przy całej swojej potężnej i wręcz groźnej posturze w istocie jest bardzo poczciwy, delikatny i grzeczny. Ma się wrażenie, jakby jego rodzice nie byli złymi psami obronnymi, ale profesorami Uniwersytetu Moskiewskiego. Snap nigdy się nie złości, nie ujada, nie rzuca się państwu na pierś, gdy tylko przekroczą próg. Jak gdyby zdawał sobie sprawę, że prawie kwintal nabitych mięśni może zwalić z nóg nawet silnego Kieszę. Snapuś jest też cierpliwy. Kiedy kolejne kocięta Fifiny czy Kleopatry łażą po nim, traktując go jak górkę do wspinaczki, leży spokojnie, chociaż kocie dzieci mają ostre, kłujące pazurki. Nie zwraca też uwagi na Julie, która robi awantury z byle powodu. Kiedy jorkszyrska terierka o wadze pięćdziesięciu deka i wielkości imbryka do herbaty zaczyna atakować Snapa i wściekle szczekać, ten po prostu zamyka oczy i zasypia. Nie złości się też na Bundy'ego, który często kradnie "braciszkwowi" zabawki:

kości z wołowych żył i gumowego konika. Nie drażni go na pół ślepa i właściwie całkiem głucha Cherry, która bezczelnie wyrzuca Snapusia z ciepłego miejsca przy kominku. Rozwydrzona pudlica po prostu gryzie go w ucho i rottweiler z westchnieniem odstępkuje jej legowisko przy ogniu. Tylko Hootchuś potrafi wyprowadzić Snapa z równowagi, ale też mops, który wiecznie poszukuje ciepła, ma dość niemiły obyczaj. Gdy tylko Snap uśnie spokojnie w przytulnym kąciku, natychmiast się zjawia i rozwala na rottweilerze jak na żywej, ciepłej podściółce. Czasem Snapik zręcznie go spycha, ale mops, sapiąc z oburzeniem, znów na niego włazi. Wszystko byłoby w porządku, gdyby Hootchuś kładł się Snapowi na grzbiecie, szerokim niby łóżko. Ale nie, mops włazi rottweilerowi na łeb i mości się między uszami. I dopiero wtedy

Snap zaczyna cicho warczeć.

Dzisiaj jednak biedaczysko nacierpiał się za wszystkie czasy. Prawie przez całą dobę nie jadł, nie pił, nie był na spacerze... Naturalnie, swoim zwyczajem, nie czekał. Gdyby w takiej sytuacji znaleźli się inni członkowie stada, zrobiliby się wrzask pod niebiosy! Snap milczał, ale teraz, widząc swą podłą panią, która zamknęła go w sypialni, nie wytrzymał.

Hau, hau, hau - niosło się po okolicy.

Bezradnie rozglądałam się dokoła. No gdzie się podziała ta głupia drabina? Zaraz wychyla się z okien wszyscy domownicy! I rzeczywiście! Z sąsiedniego pokoju wyjrzała Mania.

- Musieńko! - wrzasnęła swoim zwyczajem. - Co się stało?

- Ciszej - szepnęłam błagalnie.

- Co? Nie słyszę?! - darła się moja córka.

- Znowu jakiś kłopot? - dał się słyszeć głos Kici. Westchnęłam udręczona. No to przepadło, teraz się zacznie.

Pięć minut później domownicy dreptali w śniegu, zadzierając głowy do góry.

- Więc mówisz, że wyszłaś rano, zamykając pokój, i nie zauważyłaś tam Snapa? - rzekł przeciągle Kiesza.

Przytaknęłam.

- Ale przecież ty nigdy nie zamykasz swojej sypialni - zdziwiła się Kicia.

- To prawda, w naszym domu wszystko stoi otworem, jedyna dziurka, w której klucz jest zawsze przekreślony, to zamek w sejfie w gabinecie. Pokoju nikt nigdy nie zamyka. Musiałam zaimprovizować jakieś wytłumaczenie.

- Sama nie wiem, jak to się stało, zamyśliłam się i zatrzęsłam, a klucz został w środku!

- A dlaczego balkon jest otwarty? - naciskała Kicia.

- No... pewnie wiatr go otworzył!

- Wiatr - wycedził Arkady. - To musiałyby być jakiś potworny huragan, żeby wyłamał grube mosiężne zasuwki, i to na dwóch parach drzwi!

- Co zrobimy? - pytała, podskakując Mania.

Wszyscy znów zagapili się na górę, gdzie płakał Snap. I moja pomysłowa córka krzyknęła:

- Nad czym się tu zastanawiać? Zaraz przystawię drabinę, wleżę i otworzę drzwi...

- Gdzie ty tu widzisz drabinę? - spytałam z westchnieniem. Zawsze stoi przy ścianie, a dzisiaj znikła.

- Jak to, przecież jest - ze zdziwieniem odrzekła Mania, wskazując przed siebie palcem z zielonym paznokciem.

Powiodłam wzrokiem za jej niezbyt czystą ręką i osłupiałam.

Drabina! Stoi sobie na dawnym miejscu! Głowę bym dała, że jeszcze przed chwilą jej tu nie było! Skąd się wzięła?

Marusia szybko wdrapała się na drabinę i po pięciu minutach Snap wypadł na dwór i zadarł nogę przy schodkach. Nigdy nie pozwala sobie robić kałuż koło wejścia, ale teraz nie wytrzymał. Wszyscy powlekli się spać.

- Musieńko - odezwała się dziewczęcym szeptem Mania, kiedy Kicia i Kiesza się oddalili. - Nie wydałam cię!

- Co masz na myśli?

Córka przebiegle zmrużyła oczy.

- Dziękuj Bogu, że to ja wlażłam do pokoju, a nie Kiesza albo Kicia!

- Dlaczego? Mania zachichotała:

- Bo drzwi nie były zamknięte na klucz!

- Jak to? - zdziwiłam się. - Naciskałam klamkę i nic.

- Aha - przytaknęła Maruśka. - Bo w środku była zasunięta zasuwka. I powiedz mi teraz, jak ci się udało wyjść, zamykając drzwi od środka, co? Milczałam.

- Jak święty Mikołaj, przez komin? - spytała ze śmiechem córka.

- W moim pokoju nie ma kominka - zaoponowałam głupio.

- Ale za to jest balkon! - prychnęła Mania. - Ciekawe tylko, czemu nie chciałaś skorzystać z głównego wyjścia.
- Bądź tak dobra, nie opowiadaj o tym nikomu!
- Czy ja cię kiedyś wysypałam? - oburzyła się Maniusza. - Śpij spokojnie, możesz na mnie liczyć.

Rano wszyscy zajęli się swoimi sprawami. Borys, Fiodor, Waleczka i jeszcze jakieś osiem nie znanych mi osób przeniosło się do stróżówki, gdzie zaczęto kręcić scenę z życia drugorzędnej bohaterki, którą grała pretensjonalna dziewczyna z obrzydliwie długimi paznokciami. Ciesząc się w głębi duszy, że aktorka nie zechciała poznać gospodarzy, około jedenastej rano zasiadłam przy kawie. Była niedziela, ale domownicy gdzieś się rozbiegli. Maruśka wybrała się do Instytutu Weterynarii, Arkaszka podrzucił ją do miasta, a potem miał spotkanie z klientem. Kicia, pokonawszy słaby opór Bonifacego, upchnęła dziadka w volkswagenie i odjechała. Miała zamiar zabrać staruszkę do fryzjera, a potem kupić mu jakieś ciuchy. Nasz świeżo upieczony dziadek mógł, co prawda, spać w piżamie Arkadego, ale nie chciał chodzić w jego rzeczach. Mój syn dogonił we wzroście Piotra I - metr dziewięćdziesiąt dziewięć - a Bonifacy był o dziesięć centymetrów niższy. Podczas gdy Irka pomstowała głośno na piętrze: "A cóż to znowu, Dano Iwanowno? Prześcieradło czarne, utyłane, jakby bezdomny z dworca na nim spał", ja sięgnęłam po telefon i wystukałam numer Warii Chomienko, który dostałam od Kirilla Mołokowa.

- Słucham - rozległ się aksamitny, zmysłowy głos.
- Chciałabym mówić z Warią.
- Słucham - zamruczała kobieta.
- Dostałam pani telefon od Kirilla Mołokowa...

Głos natychmiast zmienił barwę, stał się zimny i twardy jak stal.

- Od kogo?

- Od Kirilla Mołokowa.

- To pomyłka - ucięła dziewczyna i odłożyła słuchawkę. Z uporem wystukałam numer powtórnie. Ale na drugim końcu przewodu nikt nie podnosił słuchawki. Najwyraźniej niesympatyczna Waria miała identyfikator numerów i postanowiła nie odbierać mego telefonu.

Nalałam sobie pół filiżanki kawy i zamyśliłam się. Skoro pani Chomienko nie chce ze mną gadać, to bez łaski. Mając jej numer telefonu, bez trudu ustalę adres i pojedę do nierozmownej dziewczuchy. Muszę tylko znaleźć dojście do centrali telefonicznej. Wzięłam słuchawkę, ale nie zdążyłam nacisnąć guzików, kiedy telefon zadzwonił.

- To pani do mnie telefonowała? - zapytała nerwowo Waria.

- Tak.

- Czego pani chce? Co za impertynentka!

- Porozmawiać.

- O czym?

- O Polinie Żelaznowej.

- Nie znam.

Głupota i chamstwo tej młodej kobiety zaczęły mnie irytować, więc zaszczebiotałam słodko:

- Kotku, dostałam twój telefon od Kirilla. Czy mam ci przypomnieć, skąd go znasz?

- Nie trzeba - burknęła Waria. - Ale nie mogę teraz rozmawiać.

Teściowa jest w domu.

- No to spotkajmy się gdzieś na mieście...

- Zna pani kawiarnię "Delifrance" na Majakowce?

- Oczywiście.

- Będę tam o pierwszej.

- Chwileczkę, a jak cię poznam? Waria zaśmiała się.

- Niech pani śmiało podejdzie do stolika, przy którym będzie siedzieć najładniejsza kobieta!

Cóż, nie brak dziewczynie tupetu i bynajmniej nie cierpi na

kompleks niższości.

Do francuskiej cukierni przyjechałam pięć minut po umówionym terminie, powiodłam wzrokiem po sali i zatrzymałam spojrzenie na zgrabnej, świetnie ubranej młodej damie, siedzącej przy dużym oknie. Wyglądała, jakby zeszła z okładki "Elle". Bujne, proste, jasne włosy kaskadą opadały jej na ramiona. Duże, lekko skośne oczy były umiejętnie podkreślone, dzięki czemu wydawały się wręcz bezdenne, brwi unosiły się lekko ku skroniom; uroczego obrazu dopełniał delikatny nos o subtelnie zarysowanych nozdrzach i duże, zmysłowe usta. Na stoliku przed dziewczyną leżała elegancka torebka. Zbliżyłam się.

- Czy pani Waria Chomienko?

Dziewczyna przytaknęła i królewskim gestem wskazała mi krzesło.

- Niech pani siada.

- Dostałam pani namiary od Kirilla - zagaiłam.

Waria bez pośpiechu otworzyła torebkę, wyjęła elegancką papierośnicę, potem pstryknęła złotą zapalniczką i spokojnie oznajmiła:

- Moja pani, jeżeli chciała mnie pani naciągnąć na parę bagsów, to źle pani trafiła, nie płacę szantażystom, nic z tego, niech pani sobie poszuka innego obiektu!

- Czy ja wyglądam na naciągaczkę?

- Właśnie naciągacz powinien się dobrze prezentować - odparowała Chomienko. - Bo inaczej nic nie zarobi.

Kipiąc ze złości, oznajmiłam:

- Prawdę mówiąc, jestem z milicji i chcę z tobą pogadać nieoficjalnie, bez protokołu.

Dotychczas każdy, słysząc o protokole, zaraz robił się uprzejmy, ale nie pani Chomienko. Na jej rasowej twarzy nie odbiło się ani zdziwienie, ani strach, ani ciekawość. Powiedziała spokojnie:

- Proszę pokazać legitymację służbową. Zmieszałam się.

- No... zapomniałam jej w domu! Waria zaśmiała się cicho.

- Złotko, przecież ci mówiłam, poszukaj sobie innego obiektu, na mnie już ładnych parę osób połamało sobie zęby. Jedyne, co możesz dostać, to filiżanka kawy, masz ochotę?

Przytaknęłam z rezygnacją.

Waria wstała i podeszła do kontuaru. Figurę miała, tak samo jak twarz, bez zarzutu, poruszała się niczym baletnica, lekkim krokiem, z wyprostowanymi plecami, wysoko unosząc głowę na długiej szyi. Postawiła przede mną filiżankę i rzuciła:

- No, a teraz za poczęstunek przyznaj się, skąd wzięłaś mój telefon?

Upiłam łyk gorzkiego płynu. Waria pewnie dba o linię i dlatego zamówiła mokkę bez cukru.

- Numer naprawdę dał mi Kirill. Prowadzę dochodzenie...

- Tylko znów nie zaczynaj - przerwała mi ze śmiechem Waria.

- ...w sprawie śmierci Poliny Żelaznowej - dokończyłam jak gdyby nigdy nic. - Nazywam się Daria Wasiljewa, jestem prywatnym detektywem. Wynajęła mnie matka Poliny, żeby rozwiązała zagadkę śmierci jej córki. A Mołokowa znam bardzo dobrze, jeszcze jego dziadek i moja babka się przyjaźnili. Zresztą zadzwoń do Kirilla i zapytaj o mnie. Jest teraz w domu, ząb go boli.

Waria przez sekundę patrzyła w okno, potem wyjęła śliczny telefonik komórkowy w srebrzystym etui i zaczęła naciskać guziki.

- Porozmawiaj sobie spokojnie - powiedziałam - a ja wybiorę ciastka.

Stojąc przy ladzie, obserwowałam dziewczynę kątem oka. Ze zmarszczonymi brwiami słuchała, co mówi Kirill. Widząc, że chowa komórkę do torebki, wzięłam talerzyk z dwoma kawałkami ciasta i wróciłam do stolika.

- Polecam, deser gruszkowy, żadnych kalorii...

- No dobra, przepraszam - powiedziała Waria. - Powinna być od razu do niego zadzwonić. Po prostu w zeszłym roku pewien dawny klient rozpoznał mnie na imprezie i postanowił sobie dorobić...

A więc Pola umarła...

- Zginęła w wypadku samochodowym, wpadła na drzewo, prowadząc z dużą prędkością.

- Dziwne, zawsze jeździła ostrożnie i nigdy nie siadała za kółko po alkoholu.

Rozłożyłam ręce.

- Mimo to poniosła śmierć za kierownicą. Dobrze znałaś Polinę? Waria uśmiechnęła się.

- Naturalnie.

- Można wiedzieć skąd?

- Byłyśmy w jednej grupie.

- Na studiach? - zdumiałam się.

- A co w tym dziwnego? - zareplikowała Waria.

- Oczywiście, nic, ale...

- Myślałaś, że luksusowa prostytutka nie może studiować? - Waria uśmiechnęła się.

- W jaki sposób trafiłaś do Mołokowa? Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Zwyczajnie.

Rozdział 24

Warieczka wychowywała się w środowisku cyganerii. Jej rodzice grali w zespole muzycznym. Ojciec na gitarze, matka na klawiszach. Zespół nazywał się "Czerwony Słoń". Nie był zbyt popularny, w Moskwie występował mało, przeważnie rozjeżdżał po prowincji, dając w trasie po trzy, cztery koncerty dziennie. Całe dzieciństwo Warieczka spędziła w pociągach i autobusach, podróżując od miasta do miasta.

Aktorskie dzieci to zupełnie szczególna bajka. Jeżeli nie mają kochających babć albo cioć, śpią za kulisami, jedzą, co popadnie, i nie ma mowy o jakiegokolwiek dyscyplinie. Rodzice Warii byli młodzi, lekkomyślni i dziewczynka rosła jak chwast w przydrożnym rowie. Kładła się spać o czwartej rano, wstawała, kiedy inne dzieci siadały do obiadu. Nikt nie zabierał jej na spacer, nie prowadził do muzeów i na wystawy. W domu wiecznie kłębili się goście, a zresztą rodzina w mieszkaniu bywała rzadko. Kiedyś Warieczka spróbowała policzyć, ile miast odwiedziła w ciągu miesiąca, i aż nie mogła uwierzyć - było ich dwadzieścia. Do szkoły posłano ją, gdy miała dziewięć lat. Lekkomysłni rodzice po prostu zapomnieli o tym, że dziecko powinno się uczyć. Ale akurat w roku, kiedy Warieczka poszła do pierwszej klasy, tata i mama osiedli w Moskwie. Stali się popularni i zaczęli występować w stolicy. Przyjęto opiekunkę, która miała się zajmować Warią. Ale pomoce domowe zmieniały się w domu jedna za drugą. Żadna nie wytrzymywała cygańskiego trybu życia. Warieczka nie zawsze zdążała zapamiętać imię kolejnej gosposi, gdy ta już się zwalniała.

Przyzwyczajona, że nikt jej nie kontroluje, dziewczynka uczyła się źle. Nie potrafiła wstawać o siódmej rano. Zazwyczaj kładła się spać grubo po północy, toteż na dwóch pierwszych lekcjach zawsze była nieobecna. Pod koniec roku w dzienniczku figurowały same dwójki. W maju mama łapała sakiewkę i leciała do szkoły. Dwójki czarodziejskim sposobem zamieniały się w trójki i Warieczka przechodziła do następnej klasy. W dziewiątej klasie stało się jasne, że jest niewiarygodnym tępakiem i nieukiem. Chociaż to niezupełnie ściśle określenie. Waria nie miała praktycznie żadnych wiadomości z matematyki, fizyki, chemii, geografii, ale rosyjski i angielski szły jej dobrze. W klasie maturalnej ze względu na stan zdrowia została zwolniona z egzaminów. Matka i ojciec proponowali, by poszła do szkoły cyrkowej na wydział estradowy, ale dziewczyna stanowczo odmówiła. Nie była idiotką i zdawała sobie sprawę, że głosik ma słabiutki,

brak jej warunków, a nie chciała tułać się po prowincji tak jak rodzice. Wielu młodym dziewczętom scena wydaje się krainą z baśni... Wielu, ale nie Warii, która dobrze poznała życie za kulisami.

Chcąc jednak zdobyć jakieś wykształcenie, Waria złożyła papiery na wyższą uczelnię i nieoczekiwanie dla samej siebie została przyjęta, co prawda, na płatne studia. Życie zaczęło się do niej uśmiechać, ale wtedy tata i mama, jadąc na tournée, zginęli w autobusie, Waria została sama jak palec i bardzo szybko pojawił się problem, skąd brać pieniądze.

Rodzice świetnie zarabiali i dziewczyna nigdy dotąd nie myślała o sprawach finansowych.

Nie zdażyła się jednak przestraszyć czekającej ją nędzy, kiedy zagadnęła ją Lusja, piękna dziewczyna z piątego roku. Właśnie Luska przyprowadziła ją do Mołokowa. Waria nie widziała nic złego w propozycji, by została prostytutką.

Dziewictwo straciła jeszcze w ósmej klasie, a dorastanie wśród bohemy też zrobiło swoje - dziewczyna podejście do seksu miała bardziej niż racjonalne.

Dwa lata "przechałturzyła" u Kirilla, a potem trafiła jej się wielka szansa. Jeden z bogatych klientów tak się w niej zakochał, że zaofiarował jej rękę i serce. Kirill bez problemów zwolnił swoją "dziewczynkę", życząc jej szczęścia na nowej drodze życia. Warieczka z wdzięczności za ten gest w rok po wyjściu za mąż i porzuceniu studiów dla życia rodzinnego poleciła Mołokowowi Polinę.

- Rzuciłaś studia?

- Oczywiście! - przytaknęła Waria. - Po co mi teraz dyplom?

- Przyjaźniłyście się, bywałyście u siebie w domu?

- Nie - odparła. - Nie widziałyśmy się przez cały rok.

- No to skąd ci przyszło do głowy, żeby wysłać Żeleznową do Mołokowa? - zdziwiłam się.

Waria zaśmiała się sucho.

Mniej więcej rok temu zajrzała właśnie do cukierni "Delifrance" i zobaczyła przy stoliku Polinę. Była zima, pochmurny dzień, ale Żeleznowa miała na nosie ciemne okulary. Waria, ucieszona spotkaniem - bądź co bądź, przez jakiś czas razem studiowały przysiadła się do Poliny. Zaczęły rozmawiać. Waria pochwaliła się nowym futrem, samochodem, udanym związkiem małżeńskim.

Polina siedziała milcząca.

- A co u ciebie? - szczebiotała Waria, zdziwiona ponurą miną zawsze wesołej koleżanki.

Żeleznowa bez słowa zdjęła okulary i położyła na stoliku. Waria aż jęknęła. Pod lewym okiem Poli widniał olbrzymi, czarnoczerwony siniec.

- Kto ci to zrobił?

- Mąż - odrzekła cicho Żeleznowa.

- Wyszłaś za mąż? - zdziwiła się Waria.

Pola wybuchnęła płaczem. Przestraszona Waria zaciągnęła ją do swego samochodu i próbowała uspokoić. Ale Pola szlochała histerycznie, szarpiąc głową na wszystkie strony.

Wreszcie atak minął i dziewczyna, odzyskawszy dar mowy, zalała Warię potokiem nieprawdopodobnych informacji.

Jest zamężna od dawna, chajtnęła się, mając osiemnaście lat, w tajemnicy, z wielkiej miłości. Męża ubóstwa do szaleństwa. Ale on jest biednym studentem, a sama Polina też ma niewiele forsy. I mąż każe jej trzymać małżeństwo w tajemnicy.

- Dlaczego? - zdziwiła się Waria. Pola chlipnęła.

- Chce, żebym sobie znalazła kogoś bogatego, wyszła za niego, a potem się rozwiodła...

- Po co? - nadal nie mogła zrozumieć Waria.

- No, dostałabym mieszkanie, samochód... i w ogóle - wyjąkała Pola - mogę się nawet rozwodzić!

Waria, nic nie rozumiejąc, tylko mrugała oczami.

- Kompletnie mnie skołowałeś - rzekła w końcu. - Jak możesz wyjść za mąż, skoro już jesteś mężatka?

- Mam dwa dowody osobiste - wyjaśniła Pola. - Jeden z wpisem, a drugi bez.

- Skąd go wzięłaś?

- Proste - burknęła Pola. - Zgłosiłam na milicji, że zgubiłam stary, i wydali mi nowy.

- Bez adnotacji o małżeństwie? Polina westchnęła.

- Tak, pieczętkę załatwia się później, trzeba iść do urzędu stanu cywilnego, a ja, oczywiście, nie poszłam. Mój mąż uważa, że jeśli dobrze wyjdę za mąż, to wtedy się zastanowimy, jak będzie lepiej. Czy wyrwać facetowi majątek, czy po prostu brać pieniądze, żebyśmy mogli spokojnie żyć.

- Żeby on mógł spokojnie żyć! - wykrzyknęła z oburzeniem Waria.

- Czy ty chociaż zdajesz sobie sprawę, jaki drań z tego twojego ślubnego?

- Ja go kocham - wyszeptwała Pola.

- Idiotka! - wściekła się Waria. - Natychmiast od niego odejdz! Cóż to, nie masz gdzie mieszkać? Przecież jesteś stąd, z Moskwy!

- Ale my i tak nie mieszkamy razem - zaszemrała Polina. - Ja u siebie, on u siebie...

Waria załamała ręce.

- O Boże! Przecież to sutener! I widzę, że w dodatku cię bije!

- To pierwszy raz - usiłowała bronić faceta Żeleznowa. - Po prostu okropnie mi się nie wiedzie. Za każdym razem kłapa. Nie przynoszę żadnej kasy.

- A to ścierwo!

- Ja go kocham - jęczała Pola.

- Jesteś masochistką?

- Kocham go - upierała się Polina - a on jest bardzo przystojny, mądry, dziewczyny latają za nim stadami.

- To dlaczego sam nie ożeni się z jakąś nadzianą laską?

- Nie - krzyknęła przerażona Polina - tylko nie to! Nie oddam go nikomu, zabiję się, nie, już lepiej ja sama... Tylko nie to!

I znowu zaniosła się płaczem. Waria westchnęła ciężko.

- Chcesz, to spróbuję ci pomóc.

- Znasz nadzianego facia, który chce się ożenić?

- Niezupełnie - odparła Waria i opowiedziała Poli o Mołokowie.

Polina chwyciła ją za rękę.

- Zaproteguj mnie. Proszę cię, błagam.

- Zdajesz sobie sprawę - spytała Waria - że to zwykła prostytutka? Może i elitarna, z przyzwoitymi ludźmi, ale chodzi o kupczenie ciałem za pieniądze.

- Tak, tak, tak - powtarzała Pola - zgadzam się. Sama myślałam już o czymś takim, ale nie wiedziałam, jak znaleźć opiekuna. Teraz wreszcie zarobię jakąś kasę. On chce mieć samochód, zobaczy, że jestem najlepsza ze wszystkich!

- Jak się nazywał ten śmieć? - zapytałam. Waria wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Pola ciągle mówiła o nim "on".

- I co było dalej?

- Nic. Zaprowadziłam ją do Kirilla i cześć.

- Cześć?

Waria przytaknęła.

- I nie widywałyście się? Dziewczyna znów wyjęła papierośnicę.

- Nie. Mam nadzieję, że była szczęśliwa. Że też trafiają się tacy podli dranie! Wysłać na ulicę zakochaną w nim do szaleństwa kobietę...

- I ani razu już się nie spotkałyście?

- Tylko raz, przypadkowo, w listopadzie.

- Gdzie? - spytałam czujnie.

- Na dziesięciolecie Kosmobanku - odparła Waria. - Była tam straszna kupa ludzi i zobaczyłam Polinę. Wiecznie pakowałam się

przez nią w głupie sytuacje!

- Dlaczego?

- No, najpierw musiałam dzwonić do Mołokowa, myśli pani, że to przyjemne?

- Myślę, że nie.

- A potem musiałam się jeszcze użerać z tym Wytrychem.

- Z kim?

Waria uśmiechnęła się.

- Anatol Koczergin, ksywka Wytrych. Wredny typ, sporo się o nim gada, i to nic dobrego. Okropnie się zdenerwowałam, kiedy go zobaczyłam z Pola. No, myślę sobie, nieźle. Dawniej klientami Kiriłła byli tylko porządni ludzie, politycy z prowincji, różni dyrektorzy i prezesi, wojskowi wysokiej rangi. Mołokow nigdy nie zadawał się z przestępcami, a tu nagle Wytrych!

Polina zamachała do Warii i przez parę minut dość miło gawędziły. Potem Anatol szybkim krokiem podszedł do dziewczyny i rzucił rozkazująco:

- Zbieraj się!

Pola, usiłując robić dobrą minę do złej gry, powiedziała:

- Pozwól, Tola, to moja serdeczna koleżanka Waria Chomienko.

- Cześć - burknął facet i wypuszczając dym z papierosa prosto w twarz swojej damy, zapytał: - Długo mam jeszcze czekać? Rusz się, bo będziesz zasuwać piechota, nie mam czasu.

Warieczka tylko westchnęła. Polina niby magnes przyciągała do siebie drani.

- No i niech pani sobie wyobrazi, jaka byłam zła - ciągnęła swą opowieść - kiedy mniej więcej dwa tygodnie później ten cały

Wytrych zadzwonił do mnie i polecił:

- Przyjeżdżaj zaraz do Domu Filmowca!

- Co za bezczelność! - oburzyła się Waria. - Czy pan wie, do kogo pan mówi?

- No, no, nie udawaj dziewczicy - zarechotał Wytrych. - Wiadomo, że chętnie rozkładasz nogi. Przyjeżdżaj do Domu Filmowca, bo jak nie, to przyślę swoich chłopaków i przywloką cię za tyłek.

- A dlaczego miałabym się z panem spotkać? - spuściła z tonu Waria.

- Dlatego, że masz kłopoty - odparł Wytrych.

Waria, nic nie rozumiejąc, popędziła na Briestska. Bezczelny Anatol siedział w restauracji. Nawet nie zaproponował zadyszanej damie kawy czy wody, tylko warknął:

- Gdzie jest to ścierwo, twoja kumpela?

Waria z początku nie zrozumiała, o co chodzi. Znajomych miała mnóstwo, i to najróżniejszych.

- Kto? - zdumiała się.

- No ta, Polina!

- Nie mam pojęcia.

Wytrych chwycił delikatny, kruchy nadgarstek Warii swoją krótkopalcą łapą, podobną do łopaty, ścisnął z całej siły i wycedził:

- No, no, nie ściemniaj mi tu, koteczku, nie ze mną takie numery! Wiesz, co zrobię?

Waria próbowała uwolnić rękę z żelaznego uchwytu, ale z równym powodzeniem mogłaby walczyć z niedźwiedziem grizzly. Wytrych, uśmiechając się ohydnie, ciągnął:

- Jeszcze dzisiaj powiem twojemu mężulkowi, czym się jego małżonka zajmowała przed ślubem, jak szeroko rozkładała nogi.

Więc gadaj szybko, gdzie Polina.

Warii zrobiło się zimno. Czasem na imprezach natykała się na dawnych klientów, zresztą niezbyt często, jakieś trzy czy cztery razy. Ale Mołokow miał do czynienia tylko z ludźmi wysoko postawionymi, którym przyznawać się do kontaktów z prostytutką było zdecydowanie nie na rękę, a poza tym w ogromnej większości byli to ludzie świetnie wychowani i doskonale sytuowani. Widząc Warię w nowym charakterze - żony bogatego człowieka, wcale nie

byli zdziwieni. Bez żadnych poufanych gestów kłaniali się tylko z oficjalnym, dyplomatycznym uśmiechem. Warwara zupełnie się nie spodziewała, że kiedyś może wybuchnąć skandal związany z jej przeszłością. Po pierwsze, mąż wszystko wiedział. Jak już wspomniałam, był kiedyś jej klientem. Po drugie, wcale nie zamierzał odgrywać wybitnej roli na politycznym olimpie. Nie kandydował na deputowanego, nie pchał się na gubernatora, nie pretendował do żadnych stanowisk w rządzie, toteż dla mediów był postacią zupełnie nieinteresującą. Waria żyła sobie spokojnie aż tu proszę, Wytrych skądś się o wszystkim dowiedział. A skąd, Waria natychmiast się domyśliła na pewno wygadała mu się Polina. Warwarze zrobiło się słabo, gdy się zorientowała, jakich szkód może narobić rozeźlony Wytrych. Mąż wie o niej wszystko, w towarzystwie poplotkują i zapomną, zresztą w przeszłości bardzo wielu żon można by się dogrzebać nawet gorszych rzeczy! Ale była teściowa, zgorzkniała, złośliwa baba, mieszkająca razem z młodymi. Mąż Warii, wytrawny, trzeźwy biznesmen, był kochającym, posłusznym, wręcz potulnym synem. "Tak, mamusiu. Dobrze, mamusiu. Jak sobie życzysz, mamusiu". Strach pomyśleć, jakim piekłem stanie się życie Warii, jeżeli teściowa dowie się o niej całej prawdy! Przerażenie dodało jej sił. Wyrwała rękę z łapy Wytrycha i oświadczyła twardo:

- Proszę bardzo, nie krępuj się, opowiadaj, komu chcesz! Możesz to nawet ogłosić w telewizji! Ależ z ciebie głupek!

Wytrych, który nie spodziewał się podobnej reakcji i myślał, że dziewczyna wybuchnie płaczem i zacznie go błagać, osłupiał i wyjąkał:

- Dlaczego?

- Dlatego - prychnęła Waria - że mój mąż o wszystkim wie, był moim klientem, rozumiesz, tępaku? I nigdy nie ukrywałam swojej przeszłości. Czego miałabym się wstydzić? Ty przecież też nie robisz tajemnicy ze swoich wyroków, co? Prawda? Wszyscy wiedzą, ile razy kiblowałeś!

- No i co z tego? - zapytał całkiem ogłupiały Wytrych. - Jak można coś takiego ukryć? Wszędzie pełno znajomych! Z jednym kiblowałem na Butyrkach, z innym w łagrze, z jeszcze innym we Władimirce... Gdyby wiedział o tym jeden, góra dwóch, to jeszcze, a tak! Głupio ludziom kit wciskać, a wszystkim gęby i tak nie zatkasz!

Waria roześmiała się i starannie ukrywając strach, skłamała:

- W tej sali, na przykład, siedzi trzech moich klientów, ja też nie mam co udawać niewinnej liliżki. Jak chcesz sam się znaleźć w głupiej sytuacji, to proszę bardzo, odsłaniaj tajemnicę poliszynela. Ale się ludziska uśmieją: wszyscy dawno już przestali o tym mówić, a do Wytrycha dopiero teraz dotarło, no, czy nie głupek?

Anatol powiódł wzrokiem po sali i powtórzył już innym tonem:

- Powiedz, gdzie jest Polina.

Widząc, że odniosła zwycięstwo, Waria odparła spokojnie:

- Powiedziałabym ci, gdybym wiedziała, ale ostatnio nie miałam z nią kontaktu. Mogę ci tylko dać jej domowy telefon.

- Nie potrzeba, mam. - Koczergin machnął lekceważąco ręką. - A to suka, to ścierwo!

- Co ci takiego zrobiła?

- Kasę mi zwinęła - rzekł facet.

- Dużo?

- Sporo.

- Jak jej się to udało? - zdziwiła się Waria. - Nie masz ochrony, czy jak?

- Mam, jasne, że mam - rzekł z westchnieniem Wytrych. - Ale ta dziwka wszystkich sobie owinęła dookoła palca.

- I ciebie też? - Waria zachichotała.

- No, a ze mnie zrobiła wała jak z jakiegoś małolata!

- Ale w jaki sposób? - Dziewczyna wciąż się śmiała. Koczergin nalał sobie koniaku z karafki, opróżnił kieliszek i powiedział:
- No to słuchaj, opowiem ci, co i jak, a ty poszukaj tej swojej kumpeli i powiedz jej, że jak nie odda szmalu, to Tolik będzie musiał ją zabić. W zasadzie tę forszę mam gdzieś, chociaż trochę szkoda. Ale nie mogę pozwolić, żeby na mieście gadali, że Wytrych dał się obrobić zwykłej dziwce.

Rozdział 25

Koczergin zobaczył Polinę na jubileuszu Piętki Wołkowa. Piętka, znany w stolicy gej, piosenkarz estradowy i tancerz, szumnie obchodził swoje pięćdziesięciolecie. Koczergin nienawidzi pedałów, odzywa się tu jego więzienna przeszłość. Obyczaj w zakładach penitencjarnych są brutalne. Pederasty, czyli cioty, mają oddzielne naczynia, łyżkę z dziurką, miejsce pod ikonką koło kibla i oczywiście żadnego poważania. Jeżeli człowiek użyje jakiegokolwiek szmatki takiego chłopaka albo, nie daj Boże, poda mu rękę na powitanie, natychmiast może się stać taką samą ciotą. Wytrychowi to oczywiście nie groziło, ale i tak omijał z daleka "Maruśki", wcale nie dlatego, że się bał czy tak starannie przestrzegał więziennych reguł. Po prostu się brzydził. Na wolności jednak wszystko wygląda inaczej! Tola z elementu kryminalnego stał się legalnym biznesmenem, który potrzebuje najróżniejszych znajomości. No i musiał, zgrzytając zębami, iść na przyjęcie i nawet uściskać Piętkę.

Poklepał jubilata po plecach, wręczył mu prezent i otrzymawszy w rewanżu, jak to jest przyjęte w środowisku artystycznym, słodkiego całusa, wyruszył na poszukiwanie toalety, bo chciał po tym wszystkim umyć ręce.

Okazało się, że "ustronny kącik" jest wspólny dla chłopów i bab. Koczergin szarpnął drzwi i zobaczył ładną dziewczynę, poprawiającą rajstopy.

- Zajęte - odezwała się spokojnie. - Zamknij drzwi z tamtej strony.

Ale Wytrych się nie śpieszył; jest wielkim amatorem kobiet, a dziewczyna wyglądała bardzo ponętnie.

- Co się gapisz? - ciągnęła nieznajoma. - Nóg nie widziałeś?

- Takich nie - odparł szarmancko Koczergin. - Śliczne nóżki.

- Cała reszta jeszcze ładniejsza - oznajmiła spokojnie dziewczyna, opuściła spódniczkę i przeszła obok Tolika tak, jakby w drzwiach stała babcia klozetowa, a nie facet w smokingu.

Wytrych był pod wrażeniem. Jak każdy mężczyzna, zwracał uwagę na niekonwencjonalne zachowania. Dziewięć dziewcząt na dziesięć, gdyby je zastano w toalecie przy podciąganiu rajstop, zaczęłoby wrzeszczeć wniebogłosy: "Wynoś się, won stąd, ratunku!".

Ta zaś nie omieszkała zademonstrować smukłych bioder i najspokojniej wyszła, ignorując Koczergina jak karalucha. Chociaż nie, na widok karalucha mogłaby się wzdrygnąć ze wstrętem, porównanie zdawało się niewłaściwe, dziewczyna przemknęła obok Wytrycha, jakby ten był mopem do podłóg.

Koczergin wrócił do salonu, kiwnął palcem na swojego ochroniarza i polecił, wskazując mu Polinę:

- Szybko dowiedz się wszystkiego o tej lasce.

Chłopak należycie wywiązał się z zadania i pod koniec wieczoru Anatol otrzymał wyczerpującą informację.

Polina Żeleznowa, studentka wynajęta przez Pietię do pełnienia funkcji gospodyni przyjęcia. Piosenkarz starannie ukrywał przed publicznością swoje preferencje seksualne, udając normalnego faceta w obawie, że utraci olbrzymie damskie audytorium, które nie zechce słuchać geja. Dlatego właśnie Pietusik pozował fotoreporterom, obejmując ramieniem Polinę.

Wytrych zachichotał i przystąpił do natarcia. Z przyjęcia wyszli razem i Koczergin spędził z Żelazną cały tydzień. Dziewczyna "wyegzekwowała" program od a do zet: bukiety, czekoladki, pierścionki, knajpy, perfumy i futro. Ale Tola był nadziany, a Polina okazała się wspaniałą laską, wesołą, towarzyską i, w odróżnieniu od wszystkich innych cór Koryntu, z którymi Wytrych dotychczas miał do czynienia, wcale niewulgarną. Anatol zaczął nawet przemyśliwać, czyby nie wykupić dziewczyny od Mołokowa i nie zatrzymać do własnego, wyłącznego użytku. Ale tu nagle Polina zachowała się bardzo głupio. Wieczorem, po kolejnej imprezie, podpiła, zaczęła wyznawać Anatolowi miłość.

- Szaleję za tobą - przemawiała śpiewnie, zerkając chytrze w bok.
- Zakochałam się od pierwszego wejrzenia. Jesteś sam, ja też, czemu nie mielibyśmy się pobrać?

Wytrych natychmiast utracił wszelkie zainteresowanie babą. Przez całe życie miał słabość do wrednych suk, zimnych, wręcz złych, o ostrym języku i niezależnych. Jeżeli dama nie okazywała mu żadnego zainteresowania, ciskała słuchawką i krzywiła się na jego widok, Tolik z miejsca zaczynał intensywne zaloty. I im bardziej nieprzystępny był obiekt, tym bardziej Wytrych go pożywał, Polina początkowo całkowicie odpowiadała ideałowi, a tu nagle taki obciach! Koczergin zmuszony był oznajmić bez ogródek:

- Przykro mi, ale ja ciebie nie chcę.

Wybuchła histeryczna awantura z płaczem i szlochami, potem burzliwe godzenie się i... Wytrych zasnął jak zabity. Nazajutrz obudził się z koszmarnym bólem głowy. Spojrzał na zegarek: punkt trzecia. Nie mogąc pojąć, jakim sposobem przespał tyle czasu, zaczął szukać Poliny, nie znalazł jej i wezwał ochroniarza. Ten oznajmił:

- Pola wyjechała o ósmej rano.

Dziewczyna pożegnała się uprzejmie z ochroniarzem i jak gdyby nigdy nic, powiedziała:

- Do wieczora, Kola, śpieszę się na zajęcia, każ Łosce zawieźć mnie na uczelnię.

Nikołaj wezwał kierowcę, Polina ruszyła do auta i nagle się zatrzymała.

- Byłabym zapomniała! Anatol Nikołajewicz kazał, żeby go nie budzić, trochę za dużo wczoraj wypił, bolała go głowa i mówił, że chce się wyspać.

Ochroniarz nie dopatrywał się w tej sytuacji niczego niezwykłego, uważał Polinę za kolejną zabawkę szefa, więc spokojnie siedział w holu, czytając kryminał. Wytrych z początku też nie podejrzewał nic złego. Ponieważ jednak głowa rzeczywiście potwornie go bolała, wręcz pękała z bólu, wezwał swego lekarza.

Ten przede wszystkim zmierzył mu ciśnienie i spytał zdumiony:

- Anatolu Nikołajewiczu, zażywa pan clopixon?

- Nie - zdumiał się Wytrych. - Skąd ci to przyszło do głowy?

Lekarz przygryzł dolną wargę.

- No bo takie ciśnienie u osób pańskiej budowy zdarza się tylko po olbrzymich dawkach tego leku.

W tym momencie Koczerginowi coś zaświtało w głowie. Wyprosił lekarza, rzucił się do umieszczonego w sypialni sejfu, otworzył drzwiczki... Trzysta tysięcy dolarów wyparowało.

Tolikowi z wściekłości pociemniało w oczach. Suma była duża, dla większości ludzi wręcz fantastyczna, ale dla Wytrycha bynajmniej nie straszna, nic nadzwyczajnego. Rozwścieczyło go co innego. On, Tolan Koczergin, został nabrany niczym ostatni dureń, który dał się oskubać dworcowej prostytutce. Najpierw napojono go clopixonem, a potem ograbiono jak kompletnego kretyna, śliniącego się na widok pierwszej lepszej baby. Takiej hańby Wytrych nigdy jeszcze nie przeżył. Tak bezpiecznie czuł się w domu, że był absolutnie pewien swej nietykalności. Podła suka, napoiwszy kochankę końską dawką specyfiku, miała mnóstwo czasu na

poszukiwanie pieniędzy. A Tola, który miał słabą pamięć do liczb, zanotował szyfr do sejfu na kartce i wrzucił ją do szkatułki z rozmaitymi drobiazgami, stojącej na nocnym stoliku. Pola najwidoczniej tam grzebała i domyśliła się, co to za numer zapisał na skrawku papieru. A sejf był prymitywnie ukryty za jednym z obrazów. Wytrychowi nawet do głowy nie przyszło, że ktoś mógłby go obrobić w domowych pieleszach. Musiał działać natychmiast. Powstrzymując chęć nakładzenia głupiemu ochroniarzowi po mordzie, kazał jednemu ze swoich ludzi jechać na uczelnię, gdzie pobierała wiedzę Polina, a drugiemu do mieszkania, w którym była zameldowana.

- Macie zaraz przywieźć tę dziwkę - syczał.

Nie wyjaśnił chłopakom, co się stało. Nawet jako legalny biznesmen Koczergin nie mógł sobie pozwolić, by wyjść na głupka. W jego sercu poruszyło się coś na kształt szacunku dla Poliny. Czegoś takiego nie zrobił mu nikt ani w zonie, ani na wolności. Koczergina wszyscy się bali, a tu nabrała go bezczelna, lekkomyślna dupa. Myślała, że Tolik nie zauważy straty, czy co? Chłopcy wrócili z niczym. Żelaznowej nie było w domu, nie pokazała się też na uczelni. Kiriłł Mołokow też nie potrafił powiedzieć, gdzie dziewczyna może się podziewać. Pola jakby się zapadła pod ziemię. Koczergin w pierwszej chwili chciał obciążyć odpowiedzialnością Mołokowa i zażądać odeń pieniędzy ukradzionych przez jego "pracownicę", ale się rozmyślił. Nie chciał, żeby po Moskwie rozeszły się plotki. Zostawił więc Kiriłła w spokoju i zaczął szukać Poliny sam. Ponieważ zaś nie znał żadnych znajomych dziewczyny poza Warią, właśnie ją ściągnął na spotkanie.

Ta w milczeniu wysłuchiwała opowieści i spytała jadowicie:

- Nie chciałeś robić szumu, odpuściłeś sobie Kiriłła, tymczasem mnie wszystko opowiedziałeś. Dlaczego? A jeżeli zacznę rozpuszczać plotki?

Wytrych uśmiechnął się.

- To nie leży w twoim interesie. Ty opowiedziałabyś o mnie, a ja o tobie, i co? Powiedz mi lepiej, gdzie jest Polina.

Waria puknęła się palcem w czoło.

- Z choinki się urwałeś? Mówię ci, że nie wiem. - I patrząc na zakłopotaną twarz Wytrycha, dodała: - Powiem ci, a ty ją gdzieś przydusisz; ale naprawdę nie wiem. Z taką kasą mogła prysnąć wszędzie. A właśnie, Żelaznowa ma amerykańskie obywatelstwo, nie potrzebuje wizy. Ty jej szukasz tutaj, a ona już dawno jest w Stanach! Trzysta tysięcy doków to niezła sumka. Daj sobie z Polą spokój, nie bierz na sumienie kolejnego grzechu.

I tu Wytrych powiedział coś zupełnie niepojętego:

- A kto by ją chciał zabijać?

- Sam groziłeś pięć minut temu!

- Tylko tak mi się powiedziało - odparł bagatelizująco Tola. - Ta dziewczucha cholernie mi się podoba! Co za suka! W sam raz dla mnie, mamy takie same charaktery! A jakie przedstawienie odegrała, niczym prawdziwa aktorka. Naprawdę uwierzyłem w jej łzy. Coś takiego! Ze mnie zrobić balona! To jest laska jak się patrzy. Jeżeli ją znajde, to się z nią ożenię.

Warii opadła szczeka.

- Mówisz serio?

- Tak, kurde, jak najbardziej. - Wytrych walnął pięścią w stół.

- Nigdy nie byłem bardziej poważny. Całe życie szukałem takiej wredziuchy, żebym niczego nie musiał w domu udawać, a to i owo obgadać... Od razu mi się spodobała i miałem nosa. Ale suka, ale żyleta, ale cwana sztuka! Kobita z mojej krwi. A tak w ogóle, Waria, już cię nie zatrzymuję. Jedź do niej i powiedz: Tolik czeka, żebyś wróciła, no, da ci parę razy po mordzie za ten clopixon, a potem dostaniesz pierścionek z brylantem. Tylko niech nie przetrąci tych trzystu kawałków, niech odda, to w prezencie ślubnym dam jej milion. Zapamiętałaś?

- O Boże... - Waria przewróciła oczami. - Ile razy mam ci powtarzać...

- Jak mi znajdziesz Polinę - powiedział ostro Tolan - to dostaniesz sto kawałków...

- A pani co na to? - nie wytrzymałam. Waria wzruszyła ramionami. - Nic. Pieniędzy nie potrzebuję, nie chciałam się wplątywać w tę historię, po prostu sobie poszłam.

Obróciłam w palcach lepka łyżeczkę. A więc przebiegły Wytrych wynajął płatnego zabójcę... Biedna Polina, oto do czego prowadzi chciwość. Takiemu człowiekowi jak Koczergin nie wolno było ukraść nawet sucharka. Gdzież ta dziewczyna miała głowę? Podprowadzić trzysta tysięcy dolarów! Wprost nie do wiary! Aby postawić kropkę nad "i", spytałam:

- A kiedy Koczergin z tobą rozmawiał?

- Wczoraj - z całym spokojem odrzekła Waria i widząc moją osłupiałą minę, dodała: - A co? Spotkaliśmy się wczoraj koło południa.

Z trudem zbierając myśli, wsiadłam do renówki i zagapiłam się na deskę rozdzielczą. Powinnam pojechać do salonu i kupić sobie samochód, jak długo można jeździć wozem Syromiatnikowów, ale wciąż nie mam czasu, proszę, jak się wszystko gmatwa i supła!

Teraz jednak sporo rzeczy staje się zrozumiałych. Po pierwsze, przyczyna, dla której postanowiono sprzątnąć Polę. Poza tym już wiem, co za ludzie wprowadzili śmiertelnie wystraszonego Kostię, zakochanego w Polince. To byli ludzie Koczergina. Zapewne Wytrych wdrożył własne śledztwo i wyszło mu, że Kostik wie, gdzie się ukrywa jego przyjaciółka z lat dziecińczych. A on rzeczywiście wiedział, jako że parę razy dzwonił do nas, do Łóżkina.

Ze zdenerwowania, zamiast zapalić, rozkruszyłam dwa papierosy na pył. No dobrze, odtwórzmy historię od samego początku.

W drugiej dekadzie listopada w Łóżkinie niespodzianie zjawia się Polina z walizeczką. Na moje pytanie, co się stało, łże bez mrugnięcia okiem:

- Stało się coś okropnego! W moim domu nawalił kocioł centralnego ogrzewania i ciepłej wody, zimno jak diabli. Aż się przeziębiam. Mogę u was tydzień przekoczować?

I pociągnęła nosem. Nie widziałam w tej prośbie nic dziwnego, więc powiedziałam:

- Jasne, czuj się jak u siebie w domu!

Pola przez tydzień nie wyściubiła nosa z Łóżkina i nie jeździła na zajęcia, tłumacząc:

- Jestem koszmarnie przeziębiona. Jak można w takie zimno pozbawiać ludzi gorącej wody!

Dwudziestego dziwiątego listopada rano Pola pojechała na uczelnię, a wieczorem "zmarła" na atak serca... Dlaczego postanowiła wrócić do siebie? Myślała, że Wytrych zaprzestał poszukiwań?

A więc pierwszy raz usiłowano ją zabić w domu. Czy sama otworzyła drzwi mordercy? Czy się włamano? Może killer od dawna czekał na nią w mieszkaniu, ukryty w ciemnym kącie... Chociaż teraz już i tak wszystko jedno. Jasne jest tylko, że Wytrych polecił upozorować całą rzecz na nieszczęśliwy wypadek, atak serca. Nie życzył sobie rozgłosu. Tak, taki sposób zabójstwa na zlecenie kosztuje drogo. Żeby wszystko było gładziutko, nie budziło żadnych podejrzeń. O wiele prościej wynająć tradycyjnego zabójcę z pistoletem albo garotą.

Koczergin jednak postanowił nie żałować pieniędzy. Ale zamach się nie powiódł, może dawka była zbyt mała, może organizm Poli zbyt silny, w każdym razie dziewczyna najpierw zapadła w śpiączkę, którą niedbali lekarze wzięli za śmierć, a potem, leżąc w lodowatej kostnicy, jakoś się ocknęła.

Po zmartwychwstaniu Polina znów znalazła się u nas. Ale dlaczego pojechała na uczelnię? Co ją podkusiło? Czyżby nie zdawała sobie sprawy, jakie jej grozi niebezpieczeństwo?

Z przejścia złamałam jeszcze parę papierosów. Nie, naturalnie, że o wszystkim wiedziała. Widziała mordercę ze strzykawką... Ale dlaczego, kiedy udało jej się w cudowny sposób zmartwychwstać, nie poleciała na milicję i do Aleksandra Michajłowicza, którego zna od dzieciństwa i nazywa wujkiem Saszą?

Nie, nie mogła się zwrócić do organów ścigania. Przecież wtedy musiałaby opowiedzieć całą prawdę o sobie, Mołokowie i trzystu tysiącach dolarów!

Wyobrażam sobie, jak się miotала po naszym gościnnym pokoju, myśląc, co z nią dalej będzie! I mimo to wybrała się na uczelnię! Dlaczego?! Zdawać kolokwium? Nie do wiary. I przecież właśnie tego dnia próbowano ją zabić, najpierw podkładając do samochodu bombę, a potem strzelając w przymierzalni.

Pola wyglądała na okropnie wystraszoną, kiedyśmy wróciły do Łożkina. Mimo to nazajutrz rano znów wsiadła do auta, tym razem do mojego czerwonego forda, i... wpadła na słup. Ale w jaki sposób ją zmuszono, by zrobiła coś takiego? Może zabrała mordercę po drodze? Machał na samochody w lesie, Pola wpuściła go do wozu, on zrobił jej zastrzyk, rozpędził nieszczęsnego forda i w biegu wyskoczył!

Nie, to śmieszne. Killer kaskader z trucizną w kieszeni, wytaczający się z rozpędzonego wozu na oczach milicjantów z drogowki. Przecież wypadek zdarzył się przy samym posterunku, sierżant Misza widział praktycznie wszystko od początku do końca! Głupszą hipotezę trudno wymyślić.

Ale dlaczego Polina znów pojechała do miasta? A zresztą do diabła z tymi spekulacjami, o wiele ciekawsze jest co innego. Dlaczego Wytrych wczoraj rozmawiał z Waria? Przecież ona nie ma żadnego interesu w tym, by mnie okłamywać! A więc, jeżeli Koczergin zabił Polinę, to z jakichś niepojętych przyczyn postanowił rżnąć głupa przed Waria. Kompletnie bezsensowne, idiotyczne posunięcie... A jeśli naprawdę szukał Poli, to... To znaczy, że nic nie wiedział o jej śmierci. A może jednak wiedział?

Czując lekki zawrót głowy, wyrzuciłam przez okno pustą paczkę, potem połapałam się, co zrobiłam, wysiadłam, wrzuciłam ją do kosza i pojechałam do Łożkina. Był tylko jeden sposób, by poznać prawdę. Ale przed wejściem na ten śliski i cienki lód należało porządnie ruszyć głową.

Rozdział 26

Nie zdążyłam jeszcze wejść do holu i, jak zwykle, wpaść na trumnę, kiedy z salonu wyjrzał Borys i wrzasnął:

- O, cudownie, właśnie ciebie potrzebuję!

Na wspomnienie niekończących się dubli z jedzeniem owsianki aż się wzdrygnęłam. Spytałam ostrożnie:

- Do czego?

- Chodź, chodź - powtórzył z chytrym uśmieszkiem Borys, wpychając mnie do pokoju zalanego niemilościernie jaskrawym światłem. Siadaj na kanapie.

Przelazłam między reflektorami. Wyobrażam sobie, ile po tym wszystkim trzeba będzie zapłacić za światło.

- Musimy sfilmować zwierzęta - wyjaśnił Borys.

- A ja tu po co? Chyba nie jestem podobna ani do psa, ani do kota. A może bierzesz mnie za świnkę morską?

- Nie - warknął Borys, najwyraźniej przyzwyczajony, że na planie zdjęciowym mówi tylko on. - Ale one nie chcą nas słuchać. Więc bądź tak dobra i każ im.

- Co? - zdziwiłam się.

- No, na przykład, każ mopsowi usiąść!

- Hootch, siad - powiedziałam.

Ale Hootchuś, jak zresztą należało oczekiwać, nawet uchem nie zastrzygł. Mówiąc między nami, świetnie zna komendy, ale po prostu nie lubi ich wykonywać. Hootch jest kapryśny i uparty.

Mówieniem nic się u niego nie osiągnie, ale Borys przecież o tym nie wie.

- No, jeszcze raz - poleciał reżyser.

- Siad - powtórzyłam. Oczywiście, bez rezultatu.

- Skandal! - zapienił się Borys. - To coś okropnego! Dlaczego on nie wykonuje poleceń?

- To nie jest szkoła tresury cioci Nataszy Durowej - odparłam spokojnie. - Hootchuś chce spać.

- Ale ja potrzebuję, żeby usiadł, a potem przeszedł po dywanie!

- No więc daj mu zadanie aktorskie - powiedziałam złośliwie.

Wyjaśnij cel, przedstaw sytuację, może to coś pomoże.

Borys prychnął i wyszedł z pokoju. Siedzący za kamerą Fiodor zachichotał.

- O rany, nie ma nic gorszego niż filmowanie zwierząt!

- Tak? - zdziwiłam się. - Przecież są takie miłe!

- Aha. - Operator pokiwał głową. - Na ekranie.

- Myślę, że pan nie ma racji - zaprzeczyłam z westchnieniem.

Pamięta pan film o owczarku collie, chyba Lassie, wróc?

Występował tam wspaniale wytresowany pies, bardzo mądry. Robił niesamowite rzeczy. Przecież na pewno nie zapomniał tych sztuczek po zakończeniu zdjęć.

Fiodor popatrzył na mnie z politowaniem.

- Dasza, jesteś potwornie naiwna. O ile wiem, to w Lassie, wróc występowało osiem czy dziewięć psów!

- Naprawdę?

- Oczywiście. Dobrano podobne do siebie tresowane zwierzęta, jeden umiał skakać przez ogień, drugi biegał po drabinie, trzeci pływał. A poza tym sama pomyśl, serial trwał pięć czy sześć lat, a pies ciągle był młody...

No tak, racja. Mój Boże, sztuka filmowa to jedno wielkie oszustwo.

- Ale nawet praca z tresowanymi zwierzętami to prawdziwy koszmar - zwierzał mi się Fiodor - a już ze zwyczajnymi... Niedawno kręciłem z Wagramowem, słyszałaś o nim?

- Nie. - Pokręciłam głową.

- Poważnie? - zdumiał się operator. - Tengiz Wagramow, autor horrorów, od dwóch lat leca w telewizji jego Baśnie z grobu.

- Przykro mi, ale nie oglądałam takich rzeczy.

- A szkoda - dobił mnie Fiodor. - Adrenalina aż kipi! Ale nie o to chodzi. Trzeba tam było nakręcić taką jedną scenę. W kieliszku siedzi mysz. Główna bohaterka, nie patrząc, chwytając kieliszek, podnosi go do ust i wtedy dopiero spostrzega gryzonia.

- Jest niewidoma? - zainteresowałam się.

- Kto? - zdziwił się Fiodor.

- Główna bohaterka! Niesie do gęby kieliszek i nie widzi myszki?

- Oj, przestań - zniecierpliwiał się operator. - Nie o to chodzi.

- A o co?

- No, jak zmusić mysz, żeby spokojnie siedziała w kieliszku?

Zastanowiłam się, po czym uczciwie przyznałam:

- Nie wiem!

- No właśnie, mnie też nic nie przychodziło do głowy, ale potem wymyśliłem - z triumfem oznajmił Fiodor.

- No i jak? - zainteresowałam się.

- Dałem jej chleba namoczonego w koniaku - poinformował radośnie operator - i zaraz się zalała.

- I nakręciłeś? Fiodor machnął ręką.

- Mówię ci, kompletny koszmar. Najpierw aktorka dostała histerii.

Wyła jak wiertarka udarowa: nie dotknę zdechłej myszy! Tłumaczę jej: mysz jest pijana... Nie, ani rusz! Całą godzinę ją namawiałem! Julia Roberts dla ubogich! Ledwie udało mi się ją przekonać!

- Czyli nakręciliście?

- Mowa! - pisnął Fiedia. - Wyobraź sobie! Jak tylko ta idiotka uniosła kielich do nosa, myszka wytrzeźwiała, zobaczyła mordę

gwiazdy koło swego pyszczka, zlekła się, przy czym trudno mieć do niej pretensje, ja też bym skonał ze strachu, gdyby babie strzeliło do łba przybliżyć się do mnie z gębą, i...

- Co?

Fiodor wybuchnął śmiechem.

- Ale były jaja, myszka jej za nas wszystkich odpłaciła! Ta nasza gwiazda, Nadźka Połujanowa, to straszna żoźła. Wszystkie te filmowe laseczki mają poprzewracane w głowach i robią z siebie Bóg wie co, ale Nadźka to wyjątkowa cholera, wszystkich zadręczała na śmierć. A to pędzel charakteryzatorki zalatuje rybą, a to partner cuchnie potem, ona wcześniej niż o dziesiątej na plan nie przyjdzie, w południe życzy sobie kawy, wody mineralnej bez gazu, i to wyłącznie Perriera!... Zajeździła nas wszystkich jak łyse konie, a tu taki numer! Przynęła jaśniepani mordę do kieliszka, a myszka cap ją za nos. Ale było wrzasku!

Krzyku! Ludzie popadali jak muchy ze śmiechu. Nadźka wyje, a mysz wisi

jej na nozdrzu! Tengiz wymachuje rękami, tylko ja nie straciłem głowy i wszystko nakręciłem... I tak weszło do filmu, najlepsza scena!

Popatrzyłam z powątpiewaniem na zebrane w salonie nasze psy i koty. Niestety, nie potrafię ich zmusić, żeby ugryzły wrednego Borysa... Chociaż... Nie zdążyłam obmyślić, jak wytłumaczyć Julie, jedynej ze wszystkich psów, zdolnej do puszczenia w ruch zębów, że musi chapnąć faceta za nogę, kiedy reżyser wrócił do pokoju. W rękach niósł głęboki talerz, napełniony kawałkami żółtego sera.

- No - oznajmił z triumfem - dobrze, że wspomniałaś o Durowie! Czego nas uczył ten genialny treser? - Obrzucił wzrokiem milczące audytorium. - Właśnie, zwierzęta trzeba zachęcać, smacznie karmić i dopieszczać! Hootchuś, Hootchuś, chodź tu, mój słodziutki, chcesz sera?

Na widok sera edamskiego mops od razu staje się posłuszny.

- Siad!

Hootchuś natychmiast usiadł na tłusciutkiej pupce i z oddaniem spojrział Borysowi w oczy.

- Aha - ucieszył się reżyser - jesteś sprzedajny jak wszyscy. Wspaniale! Zaczynamy.

Przez następne pół godziny mops posłusznie wprowadzał w życie pomysły reżysera. Siadał, wstawał, kładł się, chodził. Ilość sera malała i kiedy została tylko połowa, ostrożnie przestrzegłam Borię:

- Lepiej uważaj z tym serem!

- Dlaczego? - Reżyser opędził się ode mnie niecierpliwie. - Nie przeskadzaj!

- Hootchowi nie wolno dawać tyle tłustego jedzenia - psom to szkodzi na żołądek.

- Nonsens - odparł Borys. - Patrz, jak mu smakuje! Westchnęłam i położyłam się na kanapie, czekając na efekt.

Nastąpił dosłownie po sekundzie. Obżarty mops czknął i położył się na dywanie.

- Ej, Hootch! - rzucił z niezadowoleniem reżyser. - No, jeszcze parę razy od okna do drzwi i koniec!

Ale mopsikowi było wyraźnie niedobrze. Hootchuś nie ma w środku sygnału stop. Na widok smakołyków nasza psina traci nad sobą kontrolę i zmiata wszystko, co jej się da. Na szczęście żołądek mopsa jest rozsądniejszy niż głowa i kiedy napełni się po brzegi, następuje proces opróżniania.

- Hootchuś, rusz się. - Reżyser kucnął przed pieskiem. - O, zobacz, serek!

- Nie dawaj mu więcej - zaszemrałam cichutko - już dosyć!

- Dlaczego?

- Bo nie.

- Głupstwa gadasz - rozżłościł się Borys i podsunął psu pod nos

kolejny kawałek. - No, Hootchuś, do dzieła!

Mops spojrział osowiałym wzrokiem na kołyszący się przed jego pyszczkiem ser, czknał i wszystko, co wcześniej zjadł, znalazło się nagle na butach Bori.

- A cóż to ma być? - wrzasnął reżyser.

- Przeżuty przez Hootcha ser edamski - oznajmiłam spokojnie. Mówiłam ci, żebyś mu więcej nie dawał!

- No trudno - mamrotał Borys, patrząc jak Irka sprząta nieporządek - zaczniemy od początku.

Przypomniałam sobie, jak źle się czułam po zjedzeniu potwornej ilości owsianki, i oświadczyłam stanowczo:

- O nie, biedny Hootch ma już dość sztuki filmowej!

- Nie to nie - niespodzianie pokornie zgodził się reżyser. -

Teraz zajmujemy się kotem, o tym - i pokazał palcem trójkolorową Kleopatę.

Najpierw przygotowano ujęcie. Posadzono mnie w fotelu i kazano głośno głąskać Kleopatę. Starannie wykonywałam wszystkie polecenia, ale Borysowi ciągle się coś nie podobało. To nie tak się uśmiecham, to za bardzo wymachuję rękami, to odwracam głowę nie w tę stronę... Kleopatra najpierw siedziała cicho, ale potem napięła się całym ciałkiem, a z gardła wyrwał jej się gniewny warkot.

- O mój Boże kochany! - kolejny raz wykrzyknął reżyser. - Czyż to takie trudne? Proszę o elementarne rzeczy, daj tutaj kota.

Wyrwał mi Kleopatę z rąk.

- Nie rób tego - ostrzegłam. - Nie ruszaj kotki!

Borys uniósł brwi.

- Dlaczego?

- Jest zdenerwowana.

- Wielkie rzeczy! - zaśmiał się reżyser. - Niech sobie będzie!

A poza tym mylisz się, kicia mruczy.

Oczywiście, Borys nigdy nie miał kotów, jako że każdy, kto ma kota w domu, wie, że te zwierzęta pomrukują nie tylko w chwilach zadowolenia. Bardzo często wydają podobny odgłos, gdy są bardzo rozdrażnione.

- Proszę - rzucił gniewnie Borys - patrz, jak to powinno wyglądać.

Klapnął na fotel. Kotka próbowała się wyrwać, ale reżyser z całej siły ją do siebie przycisnął.

- No, no, leż!

- Puść ją - poradziłam życzliwie. - Jest zła!

- Wcale nie, merda ogonem!

Westchnęłam. Borys się myli, to pies merda ogonem z radości i dla okazania sympatii, a kot wtedy, gdy jest rozdrażniony, i Boria zaraz się o tym dotkliwie przekona.

- O, tak - oznajmił z triumfem reżyser - łebek na lewo, łapki na prawo, ogon do góry i świetnie... Oj, co to?

Ukryłam uśmiech. Nasza Kleopatra to kot niezwykle. Pojawiła się w domu najwcześniej ze wszystkich zwierzątek. Jeszcze nam się nawet nie śniło o Cherry, Bundym, Snapie, Hootchu i Julie. Nie wzięliśmy też jeszcze Fifiny i, szczerze mówiąc, nie zamierzaliśmy brać żadnego zwierzęcia. Ale pewnego razu, będąc jeszcze ubogą lektorką francuskiego, w zimny grudniowy wieczór wlokłam się do domu po kolejnym dniu pracy. A dokładnie, gdzieś około dziesiątej wieczorem wyszłam z mieszkania jednego z uczniów i natknęłam się na malutkiego kotka, leżącego na schodach.

Nieszczęsne stworzonko głośno płakało, było zmarznięte i głodne. Myśląc, że kotek wymknął się jakoś z mieszkania sąsiadów mojego ucznia, zadzwoniłam do drzwi. Wyjrzała jakaś kobieta, za nią wypłynął zapach tłustego kapuśniaku na wieprzowinie, nie zupka, ale prawdziwy cios dla organizmu.

- O co chodzi? - spytała spokojnie kobieta. - Szukasz kogoś?

Był rok 1987 i moskwianie zdążyli się już zrobić strasznie podejrzliwi.

- To pani kotek?

Baba pokręciła głową i wskazała palcem do góry.

- U Rajki wynajmowali mieszkanie lokatorzy z dzieckiem. Dzisiaj wyjechali, pewnie kociak im się znudził i wyrzucili go.

- No to co robić? - spytałam niepewnie.

- A nic. - Baba potrząsnęła trwałą ondulacją. - Wynieść na śmietnik!

- Jest mróz, zamarznie.

- No i pies z nim tańczył - odparła baba, ziewając. - Kogo to obchodzi?

- Może pani by go wzięła, jest taki ładny - szepnęłam. Babsko zamachało rękami.

- Coś ty? Dopiero co zrobiłam remont! Pozdziera tapety, wszystko zasika...

- Ale inaczej nie przeżyje...

- To sama go weź, jakieś taka litościwa - burknęła baba i zatrzasnęła drzwi.

Popatrzyłam w rozterce na nieszczęsne stworzonko. Teraz już nie płakało, miało czkawkę, chudziutkie ciało dygotało drobno, cienkie łapki spoczywały bezwładnie na brudnej podłodze.

Szybko podniosłam kociaka, potem ściągnęłam z głowy włóczkową czapkę i włożyłam do niej biedną znajdkę. Remontu nie mamy w planie, a na podłogach jest linoleum. Nawet gdyby kotek miał siusiać, to niewielki kłopot.

Do metra leciałam biegiem, goła głowa natychmiast mi zmarzła.

Przy samym wejściu do podziemia zatrzymała mnie nagle Cyganka.

- Hej, ładna pani, gdzie tu można kupić chleb?

Wiem, że uliczne wróżki zawsze zaczynają rozmowę od jakiegoś niewinnego pytania, i chciałam się prześlizgnąć do środka, ale czarnowłosa dziewczyna przytrzymała mnie za rękaw.

- Hej, do ciebie mówię, Daszo. Zatrzymałam się zdziwiona.

- Skąd wiesz, jak mi na imię?

- Jakżebym miała nie wiedzieć? - Dziewczyna uśmiechnęła się. Na czole masz napisane. Szczęściara z ciebie, chcesz, to ci powrózę?

- Może bym i chciała, ale nie mam pieniędzy, przykro mi, poszukaj innej klientki.

- Powrózę ci za darmo. Zdziwiłam się jeszcze bardziej.

- Dlaczego?

- Taki dziś masz dzień.

- Jaki?

- Dobrego losu - odparła spokojnie Cyganka. - Widzę bogactwo, wielki dom, murowany, ty cała w złocie, dzieci przy tobie, duża rodzina, i wnuki będą, chłopiec i dziewczuszka... Bieda przeminie, i przez resztę życia, a żyć będziesz sto cztery lata, szczęście cię nie opuści. Wiesz dlaczego?

- Nie - wykrztusiłam oszołomiona, przyciskając do siebie czapkę z milczącym kociakiem.

- Swój los znalazłaś dzisiaj na schodach - odpowiedziała Cyganka i odeszła szybkim krokiem, nie wzięwszy ode mnie ani kopiejki.

Możecie wierzyć lub nie, ale sprawdziło się wszystko, co mówiła.

W rok po przybyciu do naszego domu kotki, nazwanej Kleopatry, Nataszka wyszła za mąż za Francuza.

Klepcia okazała się wyjątkowym stworzonkiem, spokojnym, pieśczośliwym, inteligentnym. Nasłuchiwałam się mnóstwa historii o złośliwości kotów i oczekiwałam, że w końcu kiedyś kotka pokaże swój wredny charakter. Ale nie, nie drapała, nie darła się po nocach, nie wyskakiwała przez lufcik i nie kradła masła ze stołu. Szybko nauczyła się załatwiać w toalecie, przy czym korzystała z sedesu, a nie z kuwety wyłożonej starą gazetą. O żwirku dla kotów w owych latach w Moskwie nie słyszano. W odróżnieniu od wielu kotów Kleopatra była wszystkożerna i z jednakowym apetytem jadła mięso, rybę, biały ser i kaszę. Sypiała ze mną w łóżku, jestem chyba patologicznie nieobrzydliwa, a potem została pełnoprawnym członkiem rodziny. Właśnie ona wychowała wszystkie

nasze pozostałe zwierzęta, przy czym robiła to z całą powagą. Bundy nieraz oberwał od niej za niewłaściwe zachowanie, toteż nasz zębaty pitbull nieprzytomnie się boi wszystkich kotów. Jedynym psem, który nigdy nie dostał klapsa od Kleopatry, jest Julie. Jorkszyrska terierka przysłała do naszego domu razem ze swoją panią, Serafimą Iwanowną, niańką bliźniaków. Julie miała zaledwie kilka miesięcy i chociaż teraz też jest rozmiarów kieszonkowego wydania kryminału, wtedy w ogóle była okruszynką. Kleopatra, która wychowała w życiu całe mnóstwo kociąt, najwyraźniej uznała Julie za nową, nie wiadomo skąd przybyłą córeczkę i zaczęła ją piastować. Lizala Julie, póki mogła, nosiła po całym domu, trzymając za kark, ogrzewała w nocy i fukała na Snapa, gdy ten usiłował się z terierką pobawić... Julie dorosła, ale nie zapomniała przybranej mamy. Suczkę łączy z Klepcią serdeczna przyjaźń, często można je widzieć, jak śpią przytulone na kanapie. A kot - to nie człowiek. Nigdy nie położy się spać przy kimś, kto budzi w nim negatywne emocje.

Ale i na słońcu są plamy. Klepcia nie lubi, kiedy się ją zmusza do robienia czegoś, na co nie ma ochoty. My zresztą nigdy jej nie zmuszamy, wiedząc, że Kleopatra potrafi się zemścić na dręczycielu. Nie, nie będzie się wyrwać, drapać i wyć! To poniżej jej godności. Klepcia po prostu obsusła człowieka, który ciągnie ją za ogon.

- Co to? - powtórzył Borys, z niedowierzaniem patrząc na mokre spodnie. - Co?

- Mówiłam ci przecież - zachichotałam - żebyś zostawił kotkę w spokoju. No i masz za swoje!

- Fuj, wstręciuchu! - wrzasnął reżyser i cisnął Klepcie na fotel.

- Ależ śmierdzi, uee!

Kotka, spadając na poduszkę, krótko miauknęła. W tej samej chwili Julie, widząc, że krzywdzą jej mamę, rzuciła się na Borysa i niewiele myśląc, wbiła mu drobne, ale ostre zęby w nogę nad kostką.

- Oj, oj, oj - zajęczał napadnięty, wierzgając - poszła won, głupia!

Ale Julie nie puszczała zdobyczy i groźnie warczała; gdyby mogła, rozszarpałaby napastnika na strzępy. Klepcia najspokojniej myślała na fotelu, ale terierka chciała się zemścić jak należy.

- Won! - ryknął Boria i oderwał od siebie Julie.

Ta zaskomliła. Teraz zdenerwował się zawsze spokojny, nawet apatyczny Hootch. Julie, jego ukochana żoneczka, płacze z bólu! Z bojowym szczeniakiem mops rzucił się na Borię i szturchnął go w nogi. Reżyser, który już się nie spodziewał napaści, zarzyczał: - To dom wariatów!

Namacał ręką stolik, złapał pismo "Cztery Pory Roku", luksusowe, grube, eleganckie wydawnictwo, rozsyłane zamożnym klientom, i z trzaskiem grzmotnął nim mopsa. Hootch przewrócił się i zawył.

Boria zaczerpnął tchu i spytał:

- Szaleju się nażarły?

Nie zdażyłam odpowiedzieć, bo nagle przed reżyserem, szczerząc żółte, ale dość spore zęby, stanęła stara, ślepa i głucha Cherry.

- Ej, ej - ostrzegł Boria, podnosząc rękę z pismem - uważaj no! Jego głos zabrzmiał ostro i nieprzyjemnie. I to był błąd. Cherry wcale nie zamierzała gryźć, chciała tylko nastraszyć faceta. Ale Snap, który uważał starą pudliczkę za swoją przyjaciółkę, podskoczył do Borysa, wydając głośne: "Rrr".

- Zabieraj je wszystkie - jęknął reżyser. - Ale już!

Przestraszony Fiodor zrejterował na korytarz.

- No, Snap - powiedziałam.

Rottweiler jednak nadal warczał. Wpada w gniew bardzo rzadko, za mojej pamięci zdarzyło się to tylko raz, kiedy Katierina wylała mu na grzbiet kubek gorącego kakao. Najwidoczniej jednak Borysa Snap miał już powyżej uszu. Krzykliwy, hałaśliwy, wiecznie ze śmierdzącym papierosem w zębach...

- Rrr.

- Przestań, Snap - rozkazałam, świetnie wiedząc, że pies nie ugryzie faceta.

Ale w tej chwili Julie znów się rzuciła na Borysa, ten zaczął się bronić czasopismem, trafił Hootcha, mops wpił mu się w drugą nogawkę. W trakcie szamotaniny walczący nadepnęli na artretyczne łapy Cherry, ta natychmiast rozdarła się histerycznie. Snap warknął jeszcze głośniejszy, podskoczył do Borysa i pchnął go swym potężnym łbem pod kolana. Cios był jak najbardziej fachowy. Reżyser machnął rękami i runął na dywan. Upadając, zawadził o stolik z pismami, na którym oprócz prasy znajdowało się jeszcze mnóstwo różnych rzeczy, między innymi olbrzymi zszywacz do papierów. Zszywacz spadł na podłogę tuż obok tylnej łapy Snapa. A raczej noga rottweilera znalazła się akurat w miejscu, gdzie wsuwa się arkusze papieru, by je zszyć. Skomląca Cherry zrobiła krok do przodu, nacisnęła łapą dźwignię, rozległo się szcęknięcie i ostra, stalowa zszywka wbiła się Snapowi w łapę.

- Uuu! - zawył rottweiler.

Słyszając wycie, cała wataha z wściekłością jęła szarpać spodnie Borysa; próbowałam odciągnąć Hootcha, Julie i Cherry, ale na próżno. Wyrwały mi się z rąk i znów wczepiały w to, co jeszcze parę minut temu było szerokimi, modnymi sztruksami. Snap skowyczał, próbując wygryźć zszywkę z łapy, Kleopatra i Fifina syczały ze zjeżoną sierścią... W tym momencie otwarły się drzwi i wpadł Bundy. Widząc kłębowisko na podłodze, uznał, że odbywa się tu jakaś wspaniała zabawa, na którą zapomniano go zaprosić, i rzucił się w samo centrum wydarzeń. Borys leżał na podłodze i pitbull nadepnął mu pazurzystą łapą na brzuch. Ostatecznie rozjuszony reżyser ryknął jak pędząca przez mgłę lokomotywa:

- Won stąd, potwory!

I to był jego drugi fatalny błąd. Nasz Bundy od szczenięcych lat panicznie się boi głośnych dźwięków i zawsze jednakowo reaguje na hałas. Rozległo się ciurkanie.

-! - wrzasnął Borys.

Usiłowałam zachować poważny wyraz twarzy, ale szczerze mówiąc, niezbyt mi się to udawało. W tym momencie znów otwarły się drzwi, w progu stanęła Kicia i powiedziała:

- Wynocha stąd wszyscy!

Psy w jednej chwili zostawiły ofiarę i wyniosły się na korytarz. Borys usiadł.

- O matko - jęknął. - Chciały mnie pożreć.

- Nasze psy nie jedzą ludzkiego mięsa - oburzyła się Maruśka, która właśnie przybiegła. - Fuj, co za zapach! Kto tak śmierdzi?

- Borys - wyjaśniłam, cofając się ku drzwiom - rozdrażnił Klepcie i oto rezultat.

Olga zacisnęła usta, po czym rzuciła:

- Wielkie rzeczy, pójdzie i się umyje!

Reżyser wyskoczył za drzwi. Zobaczyłam, że wraz z Kicią i Manią wszedł jakiś nieznamy mężczyzna, więc powiedziałam uprzejmie.

- Dobry wieczór.

- Witaj, Dariuszko - odrzekł facet znajomym głosem. Zagapiłam się na niego z otwartymi ustami. To jest Bonifacy?! Niemożliwe.

Rozdział 27

U fryzjera zgolono staruszkowi brodę i ładnie go ostrzyżono. Kicia kupiła mu ciemnobrazowe sztruksy i pulower. Strój dość młodzieżowy, ale dziadkowi bardzo w nim do twarzy. Od razu widać, że mimo swych niemal stu lat Bonifacy jest jeszcze wcale, wcale. Plecy proste, oczy błyszczące, żadnej łysiny. Trochę za chudy, ale to żaden problem. Waśka i Kruszyna też były elegancko wystrojone. Kot szpanował nową obróżką, piesek miał na sobie jaskrawoczerwony kombinezonik. Na mój widok bolończyk zapiszczał

radośnie i zaczął co sił wymachiwać ogonkiem.

- Co z kolacją? - krzyknęła Mania. - Głodna jestem!

- Po siódmej nie powinnaś w ogóle otwierać gęby - dobiegło z korytarza i do pokoju wszedł Kiesza.

- Glista w skafandrze! - wrzasnęła Mania.

Spokojnie poszłam na górę, żeby się przebrać w wygodny szlafroczek. Kiedy w domu nie ma nikogo obcego, z przyjemnością chodzę w piżamie lub szlafroku. Dziś jednak też włożę ulubiony ubiór, gwizdzę na konwenanse. Borysa i spółki mam po dziurki w nosie i jeżeli przy stole będzie ich krępował widok damy w negliżu, to ich zmartwienie, nie moje.

- Nie objadaj się tak, bo wkrótce będziesz ważyć tyle samo co hipopotam - dobiegało z dołu.

- Ty małego zielona! - darła się Mania.

Spokojnie poszłam do łazienki. Dzięki Bogu, w domu wszystko jest jak zawsze, w całkowitym porządku.

Rano obudziła mnie cisza. Zegar wskazywał dziesiątą. Narzuciłam szlafrok i nieумыta, ziewająca, pomaszzerowałam do kuchni. Zaraz poproszę Katierinę, żeby naląła mi kawy, i zabiorę filiżankę na górę.

Ale kucharki nie było. Na lodówce wisiała kartka: "Irka!

Śniadanie na kuchence, podgrzej i podaj. Pojechałam na bazar po mięso, bo kupiłaś takie g..., że nawet Hootch nie chciał go zjeść". Obok widniał drugi liścik: "Kątka! Pozmywaj naczynia, zmywarka nawaliła; pojechałam z rzeczami do pralni".

Przeniosłam wzrok na zlewozmywak, zapchany talerzami, filiżankami i garnkami. Nasze służące same rozwiązują swoje konflikty, ja nigdy się w to nie wtrącam. Pogrzebałam na półkach, znalazłam kawę, nasypałam do filiżanki, zalałam wrzątkiem, złapałam parę tostów z serem i wróciłam do sypialni.

I co teraz robić? Ach, ta Polina! Kto by pomyślał, że pod maską spokojnej, miłej, kulturalnej dziewczyny kryła się prostytutka i łowczyni bogatych facetów. Poza tym, jak się okazuje, Pola od dawna była żoną gościa o idiotycznym imieniu Bonifacy. Co prawda, to dziwne, że nie ma go w Centralnym Biurze Adresowym. Chociaż, jak się zastanowić, to nie ma w tym nic szczególnego. Pewnie mieszka w Moskwie bez meldunku, no i wypadł z pola widzenia odnośnych organów. To przecież nieprawda, że w stolicy każdy człowiek figuruje w ewidencji, w rzeczywistości przebywa tu mnóstwo osób ukrywających się przed milicją, jako że najłatwiej zatrzeć za sobą ślady w wielkiej metropolii, gdzie niekiedy nawet najbliżsi sąsiedzi nie znają się nawzajem z imienia i nazwiska. Więc co robić? Przyłapawszy się na tym, że chodzę w kółko, zbliżyłam się do okna i nagle podjęłam decyzję. Dość tych głupstw, trzeba zadzwonić do Wytrycha.

Wyciągnęłam otrzymaną od Warrii karteczkę i spojrzałam na numer - 792... Pewnie komórkowy.

- Tak! - odezwał się ordynarny głos.

- Czy mogę prosić Wytrycha?

- Kogo? - warknął facet. - Kto mówi?

Rozłączyłam się szybko. Pewnie znowu palnęłam głupstwo.

Jeszcze raz wybrałam numer i zapiszczałam:

- Dzień dobry, poproszę pana Koczergina.

- Słucham.

- Tu prywatny detektyw Daria Wasiljewa.

- Kto? - zdumiał się Anatol.

Postanowiłam jednak nie dawać za wygraną i, jak gdyby nigdy nic, powtórzyłam:

- Daria Wasiljewa, prywatny detektyw.

- Czego?

Ach tak! No dobrze.

- Tego, że wiem, gdzie jest Polina Żeleznowa. Jeśli interesuje pa...

- Interesuje - uciał Wytrych. - O pierwszej, klub "Czerwony

Trzewiczek", przy wejściu powiesz ochronie, że przyszedł do mnie. Nie zdażyłam zapytać o adres, a już zadzwieczyły mi w uchu nerwowe buczki. No, poczekaj, Wytrych!

Całe dwie godziny spożytkowałam na to, żeby powalić chłopca na kolana. Z bogatej garderoby Kici wyłowiłam czerwony kostium od Diora. Nie przepadam za tą firmą i uważam taki płomienny kolor za wyzywający, ale na dzisiaj ten strój był w sam raz. Nie nadają się do niego moje ulubione pantofle na praktycznym "nauczycielskim" słupku, włożyłam więc króciutkie botki na dziesięciocentymetrowej szpilce.

Wbrew swemu zwyczajowi postanowiłam się też umalować i użyć pianki do włosów. W natchnieniu stworzyłam na głowie artystyczny nieład, obwiesiłam się złotymi łańcuszkami, na palce wsunęłam ze sześć pierścionków, przyjrzałam się swemu dziełu, po czym udałam się do pokoju Marusi, rozgarnełam leżące na biurku papierki po cukierkach, pisma, skórki od mandarynek, opakowania po lodach i odgrzebałam flakonik lakieru. Nakłada się go na paznokcie i te natychmiast pokrywają się pęknięciami. Wygląda okropnie, ale to ostatni krzyk mody. Do Moskwy ten gadżet jeszcze nie dotarł. Na zakończenie wylałam na siebie pół flakonu nowości firmy Givenchy pod nazwą Eternite.

Muszę przyznać, że wyglądałam wręcz powalająco. W każdym razie ochroniarz siedzący przy wejściu do klubu zerwał się na równe nogi, by otworzyć przede mną drzwi.

- Dziękuję, kochany - wyszczebiotałam, rozpinając najelegantsze futro Kici z depilowanych norek. - Bądź aniołem, powiedz mi, gdzie Koczergin.

- A pani kim jest? - spytał czujnie goryl.

Szybkim gestem damy przywykłej do tego, że wierzchnie okrycie odbierają od niej albo mężczyźni, albo służba, rzuciłam nieważkie futro na ręce kłaniającej się szatniarki, podeszłam do lustra, poprawiłam z lekka przypłaszczoną fryzurę i wyskandowałam:

- Prywatny detektyw Daria Wasiljewa!

Chłopak wytrzeszczył oczy, ale ja odwróciłam się szybko i zapytałam przeciągłym, rozkapryszonym głosem:

- Co jest, złotko? Tolan zapomniał uprzedzić, że przyjdę?

Młodzieniec odzyskał głos.

- Proszę do restauracji - bąknął. - Do sali kominkowej.

- Dzięki, skarbie. - Uśmiechnęłam się miło i rzuciwszy szatniarce dziesięć dolarów, ruszyłam we wskazanym kierunku.

W zastawionym stolikami pomieszczeniu było zaskakująco dużo osób, głównie mężczyzn, siedzących pojedynczo przy stolikach. Jakieś pięć sztuk wyglądało mi na Wytrycha. Właśnie tak wyobrażałam sobie byłego bandziora: tęgawy, morda czerwona, krótko ostrzyżone włosy, obrzydliwie gruby kark.

Zatrzymałam kelnera z tacą.

- Przepraszam, który to Anatol Koczergin?

- O tam, w samym rogu, przy kominku - odrzekł z szacunkiem fagas. Spojrzałam w prawo i zobaczyłam zażywnego faceta w nienagannym, wyraźnie szytym na miarę garniturze. Rosjanie noszą na ogół marynarki o obwisłych ramionach, a na nim wszystko leżało jak trzeba. Miał wypielęgnowaną twarz o regularnych rysach, włosy ładną falą sięgały mu do płatków uszu. Podobną fryzurę nosi Konstanty Ernst z telewizji ORT. Mężczyzna, elegancko jedzący homara, zupełnie nie wyglądał na kogoś o ksywce Wytrych.

- Nie mylisz się? - spytałam kelnera.

- Nie. - Pokręcił głową. - To Anatol Nikolajewicz Koczergin we własnej osobie.

Szybkim krokiem zbliżyłam się do stolika i warknęłam:

- Dzień dobry.

Anatol podniósł oczy i upuścił szczypczyki, którymi właśnie skubał homara. Jeśli nawet spodziewał się ujrzeć damę, to z pewnością nie taką. Pamiętając, że Wytrych zwierzył się Warrii ze swego upodobania do wrednych suk, zmarszczyłam nos i wycedziłam

wyniośle:

- Ładne rzeczy, pan siedzi, a dama stoi. Rozumiem, oczywiście, że swoje najlepsze lata spędził pan na pryczy, ale chyba już czas najwyższy nauczyć się dobrych manier!

Zdumiony Koczergin wskazał mi krzesło.

- Proszę! Uniosłam wysoko brwi.

- Właściwie powinien pan wstać, odsunąć krzesło i dopiero wtedy poprosić damę, by usiadła, ale z uwagi na pańskie wyjątkowe nieobycie, przymknę na to oko.

Na policzki Wytrycha wypłynął blady rumieniec. Facet wyraźnie się zastanawiał, co zrobić: dziabnąć bezczelną babę nożykiem do ryb, czy po prostu huknąć ją w czerep ciężką kryształową karafką?

Usiadłam, nonszalancko rzucając na stół torebkę i poleciłam:

- Proszę mi zamówić kawę z cytryną bez cukru! Koczergin ani drgnął.

Zmarszczyłam nos.

- Niech mi pan tylko nie mówi, że w tej tandetnej garkuchni trzeba samemu chodzić do bufetu, chociaż biorąc pod uwagę niski standard lokalu, coś takiego wcale by mnie nie zdziwiło.

Tego już Wytrych nie wytrzymał.

- To jest drogi klub!

- Spelunka - odparłam spokojnie. - Już od progu człowieka odrzuca.

- Dlaczego? - zdziwił się szczerze Koczergin.

- No dobrze - zlitowałam się - może nie spelunka, ale nie powinno się tutaj odbywać spotkań biznesowych, bo partnerzy pomyśla, że interesy Wytrycha bardzo źle stoją, skoro umawia się w takim nędznym lokalu!

- A co tu jest nie tak? - wycedził Anatol, świdrując mnie przenikliwym wzrokiem.

- Mam wszystko wyliczyć?

- Wal!

Wyjęłam papierosa i popatrzyłam wyczekująco na Koczergina. On bez słowa patrzył na mnie.

- No?

- Co - no? - Tola był już kompletnie ogłupiały.

- Zapalniczkę!

Koczergin podał mi złotego ronsona. Z westchnieniem odłożyłam go na stolik i kiwnęłam palcem na kelnera. Podbiegł w te pędy.

- Pani sobie życzy?...

- Proszę o ogień.

Chłopak pstryknął tandetną plastikową zapalniczką, wyjętą z kieszeni służbowego stroju.

- Anatolu Nikołajewiczu - oznajmiłam grzecznie - dama mojego pokroju i poziomu nigdy sama nie zapala sobie papierosa. A co się tyczy klubu, jeśli chce pan poznać zdanie osoby światowej, to proszę bardzo. Po pierwsze, parking.

- Co w nim złego? - spytał Wytrych. - Trzech ochroniarzy, szlaban, budka, mysz się nie prześlizgnie.

- Phi - parsknęłam - w przyzwoitym lokalu o bezpieczeństwie aut nawet się nie wspomina, to rzecz zupełnie naturalna. Ale w normalnym, podkreślam, normalnym klubie ludzie podjeżdżają bezpośrednio pod wejście i oddają kluczyki portierowi. Reszta ich nie obchodzi. Panie na wysokich obcasach, ze świeżą fryzurą i makijażem nie muszą się przebijać przez śnieg od strzeżonego parkingu do wejścia. Poza tym ochroniarz przy wejściu spokojnie czytał książkę, a szatniarka robiła na drutach. Całkiem jak w jakimś kółku zainteresowań. Lustro niedbale oczyszczone, a na stoliku pod nim leży zostawiony przez kogoś grzebień. Widać wyraźnie, że oszczędza się tu na sprzątaczkach. Mam mówić dalej? Koczergin kiwnął głową.

- Kelnerzy wyglądają fatalnie. Każdy ma inną fryzurę i chociaż ubrani są jednakowo, noszą buty w różnych kolorach. A ten kretyn, o, w ogóle jest w adidasach. Dalej: siedzimy przy kominku:

- I co? - burknął Wytrych.

- Popiół niewybrany, na gzymsie kurz, krata matowa, a powinna lśnić jak lustro! Idźmy dalej. Obrusy są wyraźnie przekładane.

- Jak to? - nie zrozumiał Tola.

- To bardzo proste. Powinny być prane codziennie, ale ktoś, pewnie skąpy właściciel, który liczy każdą kopiejkę, kazał zdjąć obrus, strzepnąć i odwrócić na drugą stronę, oszczędzając na pralni. Serwetki są papierowe, a nie lniane, sztucze z taniego metalu, talerze ordynarne, kupione w sklepie, a nie robione na zamówienie, kieliszki okropne, jakby je nabyto przy drodze.

- Gdzie? - bąknął oszołomiony Wytrych.

- Na szosie. - Uśmiechnęłam się milutko. - Pod Moskwą, w pobliżu miasteczka GuśChrystalnyj, na poboczu stoją ludzie sprzedający kieliszki i szklanki. Nawet przyzwoite, nie przeczę, doskonale się nadają do użytku w kuchni. No, wie pan, kiedy kucharka zechce na przykład wypić kieliszeczek albo wpadnie hydraulik, żeby naprawić kran, albo dozorca, wypada chłopą poczęstować! Ale żeby stawiać coś takiego w klubie na stołach! Pan wybaczy!

- To ręczna robota - bronił się Wytrych. Roześmiałam się.

- Genialny argument! A widział pan kiedy kieliszki zrobione nogami? Chociaż, moim zdaniem, taka szklanka powinna by kosztować dziesięć razy drożej niż wyrób "ręczny". Dajmy jednak pokój drobiazgom, w końcu nie każdy zauważy, że ściany są dawno niemyte, a listwy nigdy nieodkurzane, ale jedzenie!

- Co jedzenie?

- Homar!

- Homar jak homar - wzruszył ramionami Wytrych.

- Jaki mamy teraz miesiąc?

- Grudzień.

- I homar! Podano panu w grudniu homara!

- No i co z tego? - spurpurowiał Tolik. - W grudniu jest zakaz jedzenia tego skorupiaka?

- Otóż to - przytaknęłam z całym spokojem. - Langusty, homary, raki, ostrygi, wszystko prócz krewetek, ośmiornic, muli i kalmarów, należy jeść tylko w tych miesiącach, które w swych francuskich nazwach nie mają litery "r". A więc w maju, czerwcu, lipcu, sierpniu, a już we wrześniu nie.

- Dlaczego?

- Mój drogi, a mógłby pan publicznie zepsuć powietrze?

- Nie - odrzekł oszołomiony Wytrych. A dlaczego?

- No, bo to nie wypada...

- Widzi pan, ostryg też nie wypada jeść w grudniu.

- Ale są w sprzedaży! I wszyscy je jedzą!

- Pestki z dyni też się sprzedaje i ludziska je łuskają. Ale elitarny klub rządzi się swoimi prawami. A właśnie podano panu do homara czerwone wino.

- Nie pasuje?

- Jak walonki do baletnicy. I w dodatku nalano je do karafki.

- A nie wolno?

- Wino należy podawać w butelce i otwierać w obecności gościa. Do karafki nalewa się tylko wódkę, a i ta wsiowa elegancja też już wyszła z mody. Przy okazji, nie radzę na wizycie pić alkoholu nalanego z karafki.

- Dlaczego?

- Prawdopodobnie gospodarze, jeżeli oczywiście nie są nagle wzbogaconymi handlarzami drobiem, wstydzili się postawić na stole napoczętą butelkę, niedopitą przez wczorajszych gości, i przelali resztkę do karafki. Przyzwoicie i oszczędnie. Radzę panu przestać bywać w tym klubie.

Purpurowy Wytrych przez chwilę szczerkał szczypcami do homara, po czym rzucił:

- Proszę sekundę zaczekać - i zniknął.

Odprężyłam się. W poszukiwaniu adresu klubu "Czerwony Trzewiczek" zadzwoniłam do Lenki Abdułowej. Lenka prowadzi agencję wynajmu

obsługi restauracyjnej.

Naturalnie od razu podała mi adres i nazwisko właściciela lokalu: Anatol Nikołajewicz Koczergin. Wyobrażam sobie, jak teraz rozstawia wszystkich po kątach!

Po sekundzie na sali rozpoczęła się gorączkowa krzątanina. Do stolika podleciało od razu trzech kelnerów. Błyskawicznie zmienili obrus, ułożyli płócienne serwetki, ustawili srebrny dzbanek z kawą, filiżanki...

Siny ze złości Wytrych wrócił na swoje miejsce i zapytał:

- Przyszła tu pani, żeby mi powiedzieć o klubie?

- Nie, mój drogi! Doszły mnie słuchy, że szuka pan Poliny Żeleznowej...

- To prawda.

- Mogę wskazać miejsce jej pobytu.

- Ile?

Wyjęłam z torebki platynową kartę kredytową i postukałam nią w stolik.

- Drogo, moje usługi kosztują drogo! Wytrych zerknął na kartę i powtórzył:

- Ile?

- Sto tysięcy.

- Oszalała pani?

- Jak nie, to nie - odrzekłam z godnością i schowałam kartę. Żegnam.

- Niech pani zaczeka, pięćdziesiąt kawałków i umowa stoi powiedział szybko Anatol.

Uśmiechnęłam się.

- Szanowny panie, nie handluję rybami na bazarze i szczerze mówiąc, nigdy nie zamierzałam. Do widzenia!

- Dobrze - pośpiesznie rzucił Wytrych. - Ale najpierw informacja, a potem kasa!

- Przecież to śmieszne!

- Ile czasu będę potrzebował, żeby znaleźć Polinę?

- Jak tylko dolary znajdą się na moim koncie, powiem, gdzie ona jest.

- Jedziemy - rzucił krótko Tola.

- Dokąd?

- Do mnie. Dam gotówkę.

- Nie, mój drogi, co to, to nie.

- Dlaczego?

- Zbyt długo uprawiam mój zawód, żeby ufać komuś takiemu jak pan.

Wzmem pieniądze, powiem, co wiem, a jak wyjdę, dwa osiłki wszystko mi odbiorą. Nie, tylko na kartę kredytową.

- Za kogo mnie pani uważa? - zaczął Tola. Machnęłam ręką.

- No, no, przede mną nie musi pan udawać, to bez sensu. Czy mam wyliczyć wszystkie pańskie wyroki? Opowiedzieć, jak wynajął pan Polinę od Mołokowa? Przypomnieć o trzystu tysiącach? I na przyszłość z całego serca radzę nie kłaść papierka z szyfrem do sejfku w widocznym miejscu, a jeżeli chce się pan napić w towarzystwie prostytutki, nawet ekskluzywnej, niech pan zawsze zajrzy najpierw do kieliszka. Clopixon tworzy na powierzchni każdego alkoholu prawie niedostrzegalną błonkę. Wyjątkiem jest szampan, ale coś mi się zdaje, że pan nie pił szampana! Koczergin nie wytrzymał.

- Chyba za dużo o mnie wiesz! Takie jak ty długo nie żyją, uważaj. Skąd się dowiedziałeś o clopixonie? Waria ci wygadała? Wzruszyłam ramionami.

- Kto? Jaka Waria? Nie znam. A skąd się dowiedziałam? Ha! Kobiety mają swoje tajemnice. No, czyż nie mam racji? A poza tym beze mnie nie znajdzie pan Poliny; przecież dotychczas jej pan nie wytropił, prawda? A ja nie jestem gadatliwa, sam pan rozumie, że w tym zawodzie długi język nie popłaca. Więc w pańskim interesie jest nie usuwać mnie, ale strzec jak oka w głowie. Poza tym potrafię rozwiązywać delikatne sprawy, bywam w takich domach,

gdzie pana za próg by nie wpuścili, tak że znacznie lepiej mieć mnie w charakterze znajomej, trup nie pomoże panu w drażliwej sytuacji, a detektyw Dana Wasiljewa może bardzo wiele.

- Niech pani da kartę - burknął Wytrych.

Wręczyłam mu ją. Koczergin wyciągnął komórkę i warknął:

- Chodź tutaj.

Pojawił się młody człowiek w eleganckim ciemnym garniturze.

Koczergin podał mu moją kartę.

- Trzeba natychmiast wpłacić tu sto tysięcy, jedź osobiście, szybko.

Chłopiec skinął głową i zniknął. Następne półtorej godziny spędziliśmy, rozmawiając o klubie. Opowiedziałam mu, kto to jest sommelier i co należy do obowiązków maitre d'hotela, omówiliśmy też program estradowy... Słowem, czas przeleciał prawie niepostrzeżenie, i chociaż próbując kawy, skrzywiłam się, muszę przyznać, że zaparzone arabikę prawie dobrze, a i ciastka okazały się świeże, z delikatnym, lekkim kremem.

Za oknem pociemniało, na miasto opadł wczesny grudniowy wieczór, kiedy komórka Wytrycha zadzwoniła.

- Pieniądze na koncie - zameldowano.

Wyjęłam mój telefon, spokojnie wystukałam numer banku i słysząc głos dyrektora, spytałam:

- Andriej Jewgienijewicz? Dzień dobry, tu Dasza.

W bankach niewiele jest takich klientów jak spadkobiercy

McMayera, toteż mój rozmówca wykrzyknął z entuzjazmem:

- Dario Iwanowno, jakże się cieszę, słysząc pani miły głosik!

Trudno, żeby się nie cieszył.

- Czym mogę pani służyć? - płaszczył się dyrektor.

- Niech pan będzie tak dobry i poprosi swoich urzędników o sprawdzenie naszego konta, niepokoję się, czy wpłynęła ostatnio wpłata, i kiedy?

- Dla pani, droga Dario Iwanowno - zaćwierkał Andriej Jewgienijewicz - zrobię to osobiście. Niestety, to musi sekundkę potrwać.

- Dobrze!

Koczergin bez słowa bębnił palcami po stole, ja, również w milczeniu, patrzyłam na jego rękę.

- Dosłownie dziesięć minut temu wpłynęło sto tysięcy z anonimowego źródła - oznajmił wreszcie dyrektor. - Właściwie nie wolno nam podawać takich informacji telefonicznie, ale dla pani robię wyjątek.

- No? - burknął Koczergin. - Upewniłaś się. To gadaj.

- Ona nie żyje - oznajmiłam spokojnie. - Niech pan każe podać jeszcze kawy.

Rozdział 28

- Co?! - wybuchnął Wytrych. - Jak to nie żyje?

- Zginęła w wypadku samochodowym, wbiła się w słup przy wyjeździe na szosę w pobliżu chronionej osady Łożkino.

Koczergin złapał za telefon i wychrypiął:

- Siemion, sprawdź mi szybko...

Spokojnie rozglądałam się po sali. Nagle poczułam się głodna. Pewnie ze zdenerwowania, bardzo mnie zestresowało odgrywanie nieustraszonej damy. Plecy miałam mokre, nogi dygotały mi okropnie, ale musiałam ciągnąć to dalej.

- powiedział Wytrych, rozłączając się. - Jak to się stało?

Była pijana, czy co?

- Wypadek wydarzył się wczesnym rankiem - przypomniałam. - Rzadko kto upija się o siódmej rano; została zamordowana, a co więcej, ktoś od dawna na nią polował.

- Mów po kolei! - warknął Koczergin.

Opowiedziałam wszystko, co wiedziałam o Polinie, starannie przemilczając własną rolę w tej historii. Tola stękał. Potem

nalał sobie prawie pełny kieliszek koniaku, opróżnił go i powiedział:

- ...! Niech tylko znajdę tego, kto to zrobił, nogi mu powyrywam...

Zaśmiałam się.

- Mało to prostytutek? Wystarczy podjechać pod hotel "Metropol" albo "President". Jest ich tam do wyboru, do koloru. Oczywiście, szkoda dziewczyny, ale żeby aż tak?!

- Słuchaj uważnie - zasyczał Koczergin. - Jeżeli znajdziesz zabójcę, dostaniesz dwa razy więcej, dwieście patyków, jasne? Ryj nosem, drap pazurami, ale dopadnij tego sukinsyna.

Postanowiłam oszczędzić mu kolejnej uwagi na temat manier i tylko spytałam:

- Co pan? Takie wydatki z powodu dziewczyny lekkich obyczajów?

- Nie twoja sprawa - sapnął Wytrych. - A może nie zależy ci na zleceniach?

- No dobrze - ulitowałam się. - Niczego nie obiecuję, ale będę próbować!

Na ulicy odetchnęłam głęboko i odjechawszy jak najdalej od "Czerwonego Trzewiczka", zaczęłam szukać miejsca, w którym mogłabym spokojnie posiedzieć i pomyśleć. Wpadł mi w oko plakat z gigantycznym zielonym kangurem, reklamujący znaną sieć supermarketów. Wspaniale. Mają tam całe mnóstwo kafejek i strzeżony parking.

Z tacą zastawioną sałatkami ulokowałam się w cafe "Sbarro".

Wygląda na to, że Wytrych jest niewinny. Facet naprawdę chciał wiedzieć, gdzie się ukrywa Polina, nawet przelał na moje konto nieprawdopodobnie wysoką sumę, a wiadomość o śmierci Poliny strasznie nim wstrząsnęła. Widocznie Pola naprawdę mu się spodobała, skoro postanowił nawet pomścić jej śmierć! Świadczy to o poważnym uczuciu, prawie miłości. Tak, tak, człowiek nigdy nie wie, gdzie znajdzie, a gdzie zgubi! Polina, która szukała bogatej partii, zupełnie nie wzięła pod uwagę Koczergina i jeszcze go okradła... Ale kto by pomyślał, że taki postępek wpławi go w zachwyt i że Koczergin zechce zaproponować dziewczynie rękę, serce i sakiewkę?

Odsunęłam niedojedzoną sałatkę. Ciekawe, gdzie się podziało tych trzysta tysięcy? Przez parę minut siedziałam spokojnie, potem podskoczyłam na krześle. Pieniądze! To dlatego Pola wybrała się na uczelnię. Najpierw mieszkała cały tydzień u nas, ukrywała się, a potem postanowiła przekazać forszę swemu mężowi, no, temu Bonifacemu, który wysyłał żonę na ulicę... Chociaż nie, to by było głupie. Najprawdopodobniej spotkali się gdzie indziej. Ale to też się nie zgadza! Dziewczyna wyjechała od Wytrycha rano i zjawiła się u nas z trzystu tysiącami dolarów w kieszeni! Nie, zaraz... Zjawiła się w Łóżkinie około trzeciej. Nagle wpadłam na myśl, od której zrobiło mi się gorąco. Boże, jakaż ze mnie idiotka! Wszystko jest bardzo proste. W tej historii możliwe są tylko dwa warianty. Albo mąż Poliny przyłapał ją po drodze i zabrał forszę, albo Pola ukryła dolary. Gdzie? I jak mam znaleźć tego męża, skoro nie znam ani jego imienia, ani nazwiska? No nie, imię akurat znam, ale co z tego? Bonifacy! Ale to nieprawda! Pewnie jakaś ksywka!

W kompletnej beznadziei skubnęłam jeszcze odrobinę sałatki, a potem spojrzałam na zegarek: szósta! W głowie zaczął mi się układać pewien plan. Zdecydowanie odsunawszy tacę, zeszałam na dół, wsiadłam do auta i pojechałam na uczelnię Poliny.

Mimo dość późnej pory na korytarzach kłębił się tłum ludzi.

Trwały zajęcia dla studentów wieczorowych. Przy wejściu nie było żadnej ochrony i bez przeszkód dostałam się do środka. Ależ tutaj można przemyścić wszystko i nikt nawet okiem nie mrugnie! W zamyśleniu przespacerowałam się tu i tam. Pomyśl, który wpadł mi do głowy, był idiotyczny, ale mimo to warto go sprawdzić. Tak, najpierw trzeba odrzucić miejsca, do których Polina nie miała

dostępu. Chyba nie próbowała schować torby czy paczki z pieniędzmi w stołówce. Kręci się tam za dużo ludzi, a poza tym zakłady żywienia zbiorowego są pod koniec dnia starannie sprzątane. Mało prawdopodobne jest też umieszczenie "skarbu" w bibliotece czy punkcie medycznym. Rektorat, pomieszczenia wydziałów, pokoje asystentów też odpadają. Cóż więc pozostaje? Audytoria, toalety, korytarze... Zajrzałam do sal zajęciowych. Były do siebie bliźniaczo podobne. Na jednej ścianie tablica, obok stół wykładowcy i rzędy miejsc dla studentów. Budynek był niedawno remontowany, stoły nie miały szuflad, nie zamontowano żadnych szaf ściennych, a kaloryfery w kształcie cienkich harmonijek przylegały do ścian tak ciasno, że nie dałoby się tam niczego wsunąć. Nie, na pewno nie schowała pieniędzy, tylko oddała je mężulkowi!

Tracąc resztki nadziei, odwiedziłam damską toaletę i westchnęłam ze smutkiem: wszędzie glazura i lśniące chromem krany. Mimo przekonania, że tam raczej nic nie znajdę, weszłam na strych, ale żelazne drzwi okazały się zamknięte i wisiała na nich tabliczka: "W razie konieczności proszę się zwrócić do prorektora d/s administracji". Taka sama informacja zdobiła żelazne drzwi, prowadzące do piwnicy. Trzeba przyznać, że na uczelni panował idealny porządek; pewnie rektor codziennie smaga biczem swych podwładnych, jako że dobrocią u profesury i pracowników naukowych niczego się nie uzyska. Wiem to po sobie. Kiedy byłam lektorką, nieustannie nakłaniano nas, żebyśmy nie palili w toaletach.

- Zmiłujcie się - błagał administrator - tak nie można, idźcie na parter, wydzielono tam specjalną palarnię. Nikomu jednak nie chciało się biegać po tyłu piętrach i na błaganie administratora nikt nie zwracał uwagi. Wszystko skończyło się za jednym zamachem, jak dziś pamiętam, w kwietniu. Nagle otrzymałam mniejszą pensję. Nie osiemdziesiąt rubli, jak się spodziewałam, ale sześćdziesiąt. To samo przytrafiło się jeszcze kilku kolegom. Wściekli, poleciliśmy do rektoratu, gdzie nam spokojnie wyjaśniono, że wszyscy palacze zostali ukarani grzywną. Jeśli nadal będziemy dymić w toaletach, to następna pensja będzie jeszcze niższa, grzywna urośnie, a poza tym rektor postanowił zastosować zasadę odpowiedzialności zbiorowej. Jeżeli w toaletach zostanie znaleziony chociaż jeden niedopałek, to ukarani zostaną wszyscy palacze! Czyż trzeba dodawać, że w tej sytuacji wszyscy palacy przenieśli się do palarni, a studentom zapowiedziano surowo: "Jeżeli zauważymy na piętrze kogoś z papierosem, możecie się pożegnać z zaliczeniem"?

- Szuka pani kserografu? - odezwał się za mną cieniutki głosik.
- Co? - nie zrozumiałam.
- Chce pani coś skserować? - powtórzyła prześliczna dziewczyna w skórzanych spodniach. - Nic z tego. Romy nie ma.

I wskazała ręką drewniane drzwi przy wejściu do piwnicy. Podniosłam wzrok i przeczytałam: "Czynne 10.00 - 15.00, jedna stronica A4 - 50 kop., zeszyty taniej".

- Kto to jest Roma? - spytałam odruchowo.

- Ja panią znam - nieoczekiwanie oznajmiła dziewczyna. - Jest pani

ciocią Poliny Żelaznowej, jeździ pani takim ładnym wozem. Oj, biedna Pola, co za straszna tragedia!

- Znała pani Polinę?

- Oczywiście - potwierdziła z uśmiechem dziewczyna. - Byłyśmy w tej samej grupie, a tego dnia, kiedy się spalił samochód Poliny, pani tu była, bardzo dobrze pamiętam. Strasznie mi szkoda Poli, to okropne, okropne! Że też tak ją zabili!

- Jak pani na imię?

- Lusiu.

- Czemu pani uważa, Lusiu, że Polinę zabito z premedytacją? To był wypadek, wjechała na słup.

Lusia pokręciła głową.

- Jakoś nie bardzo w to wierzę. Dlaczego nagle miałyby się pakować na słup? Nie piła, jeździła ostrożnie. Raz jechałyśmy razem na daczę. Ja, Polina, Lenka i Sonia. I dziewczyny zaczęły ją podpuszczać: dodaj gazu, wleciesz się jak zółw. Pola wtedy powiedziała:

- Tu jest ograniczenie prędkości do czterdziestu kilometrów.

- Ale nikogo nie ma - zachichotały studentki. - Ani ludzi, ani milicji, gazu, Pola!

- Nie - odmówiła. - Trzeba przestrzegać przepisów, wymyślono je dla naszego bezpieczeństwa.

- Dziewczyny się z niej nabijały - ciągnęła Lusia - ale ona nie reagowała i nie przyśpieszyła. Dlatego właśnie nie wyobrażam sobie, żeby gnała jak szalona. Nie, ktoś ją zabił. Najpierw chciał ją wysadzić w powietrze w samochodzie, a jak mu się nie udało...

- Zaraz, zaraz! - Postanowiłam wyciągnąć od Lusi wszystko, co wiedziała. - Jak to wysadzić w powietrze? Powiedziano mi, że w żiguli nastąpiło zwanie!

- Akurat - uśmiechnęła się studentka. - A po co tyle milicji najechało? Wszystkich przesłuchiwali po sto razy. Kto co widział, kto co słyszał! Po co tyle zachodu, skoro to zwykła awaria? No i Roman zniknął!

- Kto taki?

- Roma Sablin - wyjaśniła Lusia. - Studiuje na wieczorówce, a w dzień siedzi tu i obsługuje kserograf.

- Ale co to ma wspólnego z Polą? Może ten Roman po prostu zachorował!

Lusia pokręciła głową.

- Nie, myślę, że to jakaś podejrzana sprawa.

- Ale dlaczego?

- Po pierwsze, Romki nie ma w domu, mieszkamy niedaleko siebie, zaglądałam do niego, a po drugie, kochali się z Polą, tylko przed wszystkimi to ukrywali.

- Kochali się? Polina i Sablin mieli romans?

Lusia wzruszyła ramionami.

- Romka bardzo mi się podobał...

Sablin jednak udawał, że nie rozumie, dlaczego Lusia bez przerwy przybiega doń z zeszytami, obojętnie robił ksero i inkasował pieniądze. Lusia jest wyjątkowo ładna, większość chłopców bardzo chętnie by się z nią umówiła, ale wstrętny Roman wciąż pozostawał obojętny i dziewczyna poczuła się dotknięta. Takie zachowanie młodego człowieka można było wytłumaczyć tylko w jeden sposób: ma inną. Lusia postanowiła wysledzić rywalkę. Prędzej czy później kochanka Romana musiała się pojawić, jako że Sablin spędzał cały czas na uczelni: rano pracował, a wieczorem się uczył. Lusia pilnie go obserwowała, ale nie zauważyła nic podejrzanego. Już miała porzucić to niewdzięczne zajęcie, kiedy któregoś dnia, zupełnie przypadkowo, przebiegając obok kserografu, zobaczyła dziwną scenę. Przez lekko uchylone drzwi, rozglądając się, wślizgnęła się do środka Żelaznowa. Nie byłoby w tym nic szczególnego, do Sablina stale zaglądał ktoś spośród studentów, ale Lusi bardzo się nie spodobało, że Polina tak się nerwowo rozglądała.

Po chwili wahania wyjęła z torby zeszyt z konspektami i spróbowała wejść do Romana. Ale nic z tego. Drzwi okazały się zamknięte. Dziewczyna szarpała za klamkę, pukała, ze środka jednak nie dobiegł nawet najśłabszy dźwięk. Należało dać spokój, ale Lusia była uparta i łomotała do drzwi dopóty, dopóki Sablin nie wyjrzał na zewnątrz.

- Czego chcesz? - burknął z irytacją. - Nie widzisz? Zamknięte!

- Muszę skserować zeszyt - jęknęła Lusia.

- Przyjdź jutro.

- Ale Roma, proszę cię, to strasznie pilne!

Sablin jest młodzieńcem całkowicie niekonfliktowym. Zawsze zostaje dłużej, jeśli ktoś go prosi, bardzo często robi odbitki na kredyt, czeka do wypłaty stypendium... Lusia zakładała, że Roma powie, wzdychając: "No dobra, dawaj". Ale Sablin oznajmił: - Kserograf nawalił, idź do metra, tam koło piekarni też jest ksero, i ceny te same!

Lusia popatrzyła na drzwi, które zamknięto jej przed nosem, odeszła w głąb korytarza i stanęła przy oknie. Musiała czekać dość długo, około godziny czy nawet jeszcze więcej. Gdzieś przed dwunastą drzwi się uchyliły, z pokoju wyslizgnęła się Polina i wmieszała się w tłum studentów. Dosłownie po minucie wyjrzał Sablin i powiesił na drzwiach tabliczkę "Zamknięte z powodu awarii". I to wszystko, więcej Lusia go nie widziała.

- Polina na drugi dzień też nie przyszła - opowiadała. - Poszłam do starosty grupy i spytałam, co się z nią dzieje.

Starosta grupy Lena Rodionowa, do której obowiązków należało notowanie nieobecności, odpowiedziała spokojnie:

- Jest chora, mówiła, że to grypa. Lena, którą gryzła zazdrość, poprosiła:

- Daj mi jej telefon.

- A ty go nie masz?

- Nie. Jakoś nie był mi do tej pory potrzebny.

- Pisz - powiedziała Lena.

Lusia zaczęła wydzwaniać do Poli, ale nikt nie odbierał telefonu, a w mieszkaniu Romana słuchawkę podnosiła jego młodsza siostra i informowała:

- Romka śpi, ma gorączkę.

Przecucie podpowiadało jednak Lusi, że coś tu jest nie w porządku. Na pewno Romy nie ma w domu, spędza gdzieś wesoło czas razem z Poliną. Potem Pola zjawiała się na zajęciach, ale tego samego dnia spłonął jej samochód i cześć... Później rozeszła się wiadomość, że zginęła w wypadku. A Sablin nadal nie podchodzi do telefonu, tylko teraz Ritka, jego wredna siostrzyczka, cedzi przez zęby:

- Nie ma go, jest w szpitalu!

Słyszac to po raz pierwszy, Lusie spytała natychmiast:

- W którym?

- A co ci do tego? - zareplikowała Ritka. - Co cię to obchodzi?

- Chcę mu zanieść trochę owoców, pomarańcze...

- On ich do pyska nie bierze - odparła urocza siostrzyczka - i prosił, żeby nikomu nie podawać adresu szpitala.

- Dlaczego?

- Bo nie chce nikogo widzieć! Odczep się od człowieka! Chcąc, nie chcąc, Lusie musiała się rozłączyć. Ale zaczęła się niepokoić. Czy aby Romanowi nie przytrafiło się coś złego?

- Wiesz, gdzie mieszka Sablin? - spytałam.

- Jasne, znam i adres, i telefon.

- Daj mi je, proszę.

- A po co? - spytała podejrzliwie Lusie.

Zmieszałam się, ale już po sekundzie odzyskałam kontenans.

- Nie wiem, co ich łączyło, ale Polina chciała, żeby mu przekazać złotą bransoletkę. Właśnie przyjechałam, by spełnić ostatnią wolę zmarłej, a Sablina nie ma. Dobrze, że cię spotkałam.

- Niech pani pisze - powiedziała ze smutkiem Lusie. - Widać naprawdę się kochali. Ech, nie mam jakoś szczęścia, jak tylko ktoś mi się podoba, to na pewno jest zajęty!

Ściskając w ręku kartkę, popędziłam pod wskazany adres. Sablin mieszkał daleko, aż na Zagorjewskiej. Dotarłam tam około siódmej wieczorem, zmęczona, głodna i zła.

Zagorjewska jest przecznicą Szosy Dmitrowskiej. Pierwszy raz znalazłam się w tej okolicy i muszę przyznać, że wszystko wyglądało tu ohydnie. Wzdłuż wąskiej jezdni stały szpalerem strasznie brzydkie, ponure, jednakowe bloki. Słynne czteropiętrowki z czarnymi szwami na murach.

Błądziłam chwilę między budynkami, wreszcie jednak znalazłam właściwy i ruszyłam na górę. Zsypu tu nie było, a prawie pod każdymi drzwiami stała foliowa torba pełna odpadków, możecie więc sobie wyobrazić, jaki aromat unosił się w powietrzu. Za drzwiami mieszkania Romy panowała cisza. Z prawej strony dość głośno grał telewizor, z lewej zanosilo się płaczem niemowlę, z przeciwka słycać było kłótnię. Drzwi do mieszkań były tu zwykle, drewniane, gdzieś tam nawet bez metalowych okuć. Stalowych drzwi nie zauważyłam ani na pierwszym, ani na drugim piętrze. Widocznie mieszkańcy albo nie obawiali się złodziei, albo byli wyjątkowo beztroscy, albo po prostu nie mieli pieniędzy na "fortyfikacje".

- Kto tam? - usłyszałam w odpowiedzi na dzwonek.

- Czy tu mieszka Roman Sablin?

- A pani w jakiej sprawie? - dobiegło zza drzwi.

- Jestem z uczelni, polecono mi sprawdzić, co się dzieje z Romanem.

- To dlaczego pani nie zadzwoniła?

- Przecież u państwa nikt nie podnosi słuchawki! Zazgrzytała zasuwa i na progu ukazała się dwunastoletnia dziewczynka w taniutkich dżinsach, wymiętej kraciastej koszuli i kapciach.

- Zapomnieliśmy zapłacić - oznajmiła - no i masz ci los, wyłączyli! Ale niepotrzebnie się pani fatygowała. Romka jest w szpitalu.

- Ach jej! - Załamalam ręce i spróbowałam wejść do mieszkania, ale dziewczynka zagradała sobą drzwi.

- A co mu się stało?

- To coś zaraźliwego - skłamała rezolutnie mała. - Położyli go na oddziale zakaźnym, jest cały obsypany krostami. Poleży, jak nic, ze dwa miesiące, pewnie będzie musiał wziąć urlop dziekański.

- Podaj mi numer kliniki.

- Nie znam.

- Nie odwiedzasz brata?

- Mówię pani, że to zaraźliwe, nikogo do niego nie wpuszczają zmyślała w natchnieniu dziewczynka.

- Kiedy przyjdzie mama?

- Jest w delegacji. Postanowiłam podjąć ostatnią próbę.

- Cóż, to przykre, że zachorował, ale co robić, każdemu może się zdarzyć. Bądź tak miła, daj mi szklanke wody, bardzo się zmęczyłam, jadąc tutaj, mieszkacie na końcu świata, jak ten Roman codziennie dociera na uczelnię? Pewnie traci na dojazd ze trzy godziny!

Zakładałam, że po takiej oracji dziewczynka mruknie niechętnie:

"Proszę wejść", i wpuści mnie do kuchni. Myliłam się jednak.

- Pani zaczeka - rzuciła mała i zatrzasnęła drzwi. Po paru minutach znów się ukazała i wręczyła mi plastikowy jednorazowy kubeczek, w którym pluskała bezbarwna ciecz, lekko zalatująca chlorem. Najwyraźniej dziewczynka pożałowała nieproszonemu gościowi wody mineralnej i napełniła kubek pod kranem. A może oni zawsze piją kranową, nieprzefiltrowaną i nieprzegotowaną.

- Kubka może pani nie, oddawać - zezwoliła łaskawie dziewczynka.

- Niech pani wyrzuci do wiadra.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem, a ja zostałam na klatce schodowej, ściskając w ręku "poczęstunek". No cóż, zaczekamy. Ta podfruwajka może i jest sprytna, ale ja bardziej, i jeśli się nie mylę, zaraz usłyszę wszystko, co trzeba. O ile wiem, w tych pierwszych moskiewskich blokach nie ma przedpokojów. Jest tylko dwadzieścia czy trzydzieści centymetrów ściany, na których nieszczęśni lokatorzy przybijają miniaturowy wieszak, a dalej zaczynają się już pokoje i kuchnia, drzwi w drzwi, bez żadnego korytarzyka, rozdzielającego pomieszczenia. Ściany są tu z gipsu, a drzwi z dykty, wystarczy lekko podnieść głos i sąsiedzi

natychmiast są au courant wszystkich waszych problemów. A sanitariaty to w ogóle wstyd i hańba. Mało, że WC i łazienka są razem, to jeszcze na tak małej powierzchni, że o wstawieniu pralki nie ma co marzyć. Sama mieszkałam w takim apartamencie! Dlatego też postanowiłam poczekać pod drzwiami. I rachuby mnie nie zawiodły.

- Kto to był, Ritka? - dobiegł z mieszkania młody, basowy głos.
- Z twojej uczelni - odrzekła dziewczynka.

- Jak się nazywa?

- Nie powiedziała.

- To dlaczego nie spytałaś?

- Bo mi zabroniłeś.

- Głupia jesteś, Ritka.

- Jak jestem głupia - obraziła się siostrzyczka - to radź sobie sam. Napożył się kasy i teraz się ukrywasz, a ja muszę ze wszystkimi gadać! Mam tego dość!

- No dobra, dobra - złagodniał Sablin - nie złość się, dobrze zrobiłaś, chodź, obejrzymy film.

Z mieszkania dobiegły odgłosy strzelaniny i krzyki.

- Zabili go, dranie, zabili!

Brat i siostra zasiedli przed telewizorem. Wrzuciłam kubek do wiadra na śmieci i cicho zeszałam na dół. Nie musiałam podsłuchiwać dalej. Główny cel osiągnęłam. Teraz mam pewność: Roman jest w domu i tak bardzo się kogoś boi, że nie wysuwa nosa na ulicę. Dlaczego? Co go łączy z Poliną? I jak tu się dostać do mieszkania Sablina?

Po drodze do domu usiłowałam obmyślić jakiś plan działania, ale postanowiłam tylko, że próbę dostania się do domu Romana należy podjąć jutro rano. Siostrzyczka pewnie pójdzie do szkoły i chłopak zostanie sam. Jak go jednak skłonić, żeby otworzył drzwi? Telegram? Gazownia? Ślusarz? Kto u nas chodzi po domach bez uprzedzenia? Nie przyszło mi do głowy nic sensownego.

Rozdział 29

Wprowadziłam renaulta do garażu i pobiegłam do domu. W holu unosił się nieprzyjemny, wręcz wstrętny zapach. Taką upojną woń roztacza pałacy się plastik...

- Irka! - wrzasnęłam. - Co się stało? Gospoś, kaszląc, wyszła do przedpokoju.

- Obrzydlistwo, prawda?

- Co tu tak śmierdzi?

- To przez tych filmowców - powiedziała ze złością. - Owszem, to miło, kiedy człowieka filmują, ale jak okropnie brudzą! Cały dzień się kręcą w tę i w tę, wszystkie dywany zdeptali, obrusy wypaprali, a ile naczyń! W dodatku wypili roczny zapas kawy! Bo Olgę przypiliło, żeby zostać gwiazdą filmową!

W milczeniu zdejmowałam botki. Irka nie powinna się uskarżać, pilnowanie porządku w domu to jej praca, za którą zresztą bardzo dobrze jej płacimy. Ale w tym wypadku całkowicie się z nią zgadzałam. Borysa i jego ekipy miałam po dziurki w nosie, a jeszcze bardziej obrzydła mi stojąca na środku holu trumna. Oczywiście, to zabawne, że Bundy tak polubił spanie na jedwabnej pościeli, gotowa jestem nawet kupić mu mięciutką poduszeczkę z riuszkami, ale trumnę stanowczo trzeba stąd usunąć. I jeżeli zakład pogrzebowy nie chce zabrać swego luksusowego sprzętu, to nie! Sama zadecyduję, co z nim zrobić.

- Ira - powiedziała surowo - jutro każ Wani porządkować tę wstrętną skrzynię i spalić na podwórzu! Tylko wyjmijcie poduszkę, Bundy bardzo ją polubił.

- A dzisiaj - jakby nie słysząc mojego polecenia, trąkotała Irka

- przynieśli jakieś badziewie i podpalili! Co dymu było! Rozlaż!

się po całym domu.

- Po co?

- Kręcili pożar! Biedny dziadek okropnie się wystraszył, zebrał zwierzaki i wyleciał na podwórze. Ledwie go uspokoiłam. Hootch o mało się nie zatrzał, Julie do tej pory kaszle!

- Gdzie Borys?

- Wyjechał. - Irka rozłożyła ręce. - Naświnił i tyle go widzieli. Weszłam do jadalni. Pokój wyglądał koszmarnie. Wszędzie stały reflektory, dzięki Bogu, wyłączone, na środku kamera, troskliwie osłonięta pokrowcem. Na stole poniewierały się puste pudełka po papierosach, jakieś kartki, długopisy, czyjś zegarek, tandetna chińska puderniczka, pilot od telewizora. W kącie, obok mojego ulubionego welurowego fotela, stała skrzynka z dziwnymi długimi przedmiotami, przypominającymi buławy.

- Ira! - krzyknęłam. Gospościa zajrzała do pokoju.

- Czemu tu taki burdel? Popatrz na stół!

- Zabronili to do jutra ruszać.

- A niby dlaczego?

- Specjalnie tak naświnił. Usiadłam w fotelu.

- Po co?

- Jutro mają dalszy ciąg zdjęć do sceny "Po pożarze" - zaczęła wyjaśniać Ira. - Ten Borys, jak rozkładał te wszystkie śmieci na stole, to mówił: "Niech ktoś tylko coś ruszy, to zabiję". I jak wam się to podoba? Rządzi się tu jak u siebie w domu! Co za niesłychana bezczelność! Rozzłoszczona wstałam i jednym ruchem zgarnęłam wszystko na podłogę.

- Oj! - przestraszyła się Irka. - Ale Borys będzie jutro wrzeszczał!

- Nie będzie - zapewniłam ją kamiennym głosem. - Koniec zdjęć, mam tego dość!

- I bardzo dobrze - pochwaliła uradowana Irka. - Zaraz przyniosę wiadro.

- Co to za świństwo? - spytałam, wskazując skrzynkę.

- No, świece...

- Co?

- O, widzi pani, tu zwisa sznureczek...

- Tak.

- Podpala się go i kładzie się świecę na takiej żelaznej podstawie. I po paru minutach zaczyna walić dym.

Po tych słowach Irka wyszła. W zamyśleniu popatrzyłam na skrzynkę, po czym wyciągnęłam jedną buławę. Świeca dymna. Oto rozwiązanie mojego problemu. Podpalę sznurek i położę ją chłopakowi pod drzwiami. Na pewno wyleknie się pożaru i wyskoczy na schody, a wtedy bez trudu go złapię! Ciekawe, jak to diabelstwo działa?

Właściwie mogę najpierw wypróbować, świec jest tu sporo. Obejrzałam jedną, znalazłam lont i niewiele myśląc, podpaliłam. Dało się słyszeć lekkie potrzaskiwanie, mały płomyczek wesoło pobiegł po sznurku. No proszę, jakie to łatwe. Zaraz pewnie pokaże się pierwszy dymek. No dobra, wszystko jasne, trzeba tylko położyć świecę o, tutaj...

Nie zdążyłam dokończyć myśli, kiedy rozległo się ciche pyknięcie i górna część "buławy" wystartowała w górę. Żaden dym się nie pokazał. Lecząca pod sufit petarda rozsypała snop iskier. Chyba to nie świeca dymna, ale coś innego, bardziej niebezpiecznego. Nagle otworzyły się drzwi i weszła Irka z blaszonym wiadrem i ścierką. Na widok fajerwerku wrzasnęła:

- Oj, co to?

W tej samej chwili "buława" uderzyła o sufit, zasyczała, wypuściła snop migotliwych płomieni i runęła w dół.

- O matko! - pisnęła Irka i dała nura pod stół. Przerażona przykucnęłam za kanapą. Rakietka mknęła

w stronę podłogi, sycząc jak żmija i wydając jeszcze jakiś okropny dźwięk, coś niby ochrypiły świst. Cała rzecz trwała

sekundę. Rozpędzona petarda wbiła się w skrzynkę, pełną swych siostrzyc.

Na mgnienie zapadła cisza. Pomyślałam, że skończyło się na lekkim strachu, i ostrożnie wyjrzałam ze swego schronienia. I wtedy się zaczęło!

Ze skrzyni dobiegł chrobot, trzask, potem głuche wycie i huk eksplozji. Rakiety jedna za drugą wzbijały się w powietrze, uderzały o sufit i zaczynały miotać się po pokoju jak oszalałe kury, wbijając się w ściany, okna i meble. Całemu temu pandemonium towarzyszyły miliony rozsypujących się w powietrzu iskier.

Irka darła się bez chwili przerwy. Ponieważ jednak schroniła się roztropnie pod ciężkim, drewnianym stołem, nic jej nie groziło. Ja siedziałam po prostu za kanapą, starannie osłaniając rękami ciemię. W pewnej chwili mój wzrok padł na wiadro. Ręce chwyciły je i nasadziły na głowę. Dźwięki od razu zcichły, zrobiło się ciemno. Tak, już lepiej. Moja babcia zwykła mawiać: "W razie nieszczęśliwego wypadku chroń głowę. Ręce, nogi, kręgosłup... wszystko to głupstwo, ale bez mózgu żyć się nie da!".

Ośloniwszy najwrażliwszą część swego ciała, nieco się rozluźniłam. Świetnie, wiadro jest metalowe i doskonale zastąpi hełm. Teraz wystarczy tylko czekać, aż kanonada się skończy. Po jakimś czasie zrozumiałam, że siedzenie z wiadrem na głowie nie jest jednak zbyt przyjemne.

- Co się tutaj dzieje? - rozległ się gniewny głos. Zerknęłam w dół i przez wąziutką szczelinę zobaczyłam czarne, lśniące buty Arkadego.

- Co tu jest grane? - powtórzył syn. - Matka, zupełnie zgłupiałaś na stare lata? Bawisz się w żelaznego psa? No już, zdejmuj ten hełm. Co się znowu stało?

- Oj, Arkady Konstantinowiczu - uderzyła w lament Irka - cud, żeśmy zostały przy życiu! O matko kochana! O Jezu! Co to jest?

- To jest jadalnia - odrzekł Kiesza - a raczej jej szczątki, ruiny. No, matka, wyłaż, koniec balu, panno Lalo!

Wciąż siedząc w wiadrze na głowie, myślałam ze zgrozą, jak wytłumaczę ten pokaz zimnych ognii.

- No - popędzał mnie Kiesza - na co czekasz?

- Jak tam, już spokój? - pisnęłam.

- Mów głośniej!

- Nie mogę! - krzyknęłam i o mało nie ogłuchłam. Wewnątrz wiadra głos brzmiał jak w cerkwi - głucho i gromko.

- Dawaj to - polecił Kiesza i ściągnął ze mnie wiadro.

- Oj, oj, oj! - zajęczałam. - Boli! - I zacisnęłam powieki, żeby nie widzieć pobojowiska.

- Dlaczego ona to zrobiła? - odezwał się sopran Kici.

- A dlaczego ona robi wszystko, co robi? - zapytał Kiesza.

- Przestańcie się nade mną znęcać! - zawylałam.

- Złości się, czyli żyje - podsumowała Olga.

- Oj! - rozległ się krzyk Marusi. - Ja cię kręcę! Ale jaja, prawdziwy pożar w burdelu!

- Mania! - oburzyłam się. - Jak ty się wyrażasz?

- Matka, która obróciła dom w taką ruinę, nie ma prawa robić nikomu uwag - ucięła Kicia.

- Czemu ona się ubrała w wiadro? - zainteresowała się Mania.

- Chciała umyć włosy - odparł Kiesza.

- To jakieś głupie - zdziwiła się Mania. - Musieńko, jak coś

takiego mogło ci przyjść do głowy? Po co robić łaźnię w jadalni?

- Dość tych wygłupów! - krzyknęłam. - O mało nie wyleciałyśmy w powietrze, a wy nie macie ani krzty współczucia. Pomóżcie mi lepiej zmyć tę sadzę - dodałam, widząc swoje okopcone dłonie, którymi początkowo osłaniałam głowę.

- Marsz do łaźienki - zakomenderowała Olga. W łaźience połała mnie kopem, twierdząc, że żaden inny środek nie podziała.

Poddałam się temu z pokorą.

Szeroko rozreklamowany płyn do zmywania bardzo się pieni, a Olga go nie żałowała. Całe włosy, szyję i ramiona miałam pokryte zielonym żelem. Jakoś udało mi się otworzyć oczy, odkręciłam prysznic i stanęłam pod ciepłym strumieniem wody. Żeby się całkowicie doprowadzić do porządku, potrzebowałam prawie godziny. Wreszcie, otulona w szlafrok, w ręczniku na głowie, wślizgnęłam się do jadalni i odebrało mi mowę. To nie pożar w burdelu, nie, w tym pokoju Borys bez dodatkowych dekoracji będzie mógł nakręcić "Zdobycie Groznego przez wojska rosyjskie". Nie podejmuję się opisać tego widoku, brak mi słów...

- Wytlumacz mi teraz - zapytał Kiesza, wyjrzawszy z salonu - co to za wygłupy z wiadrem.

- Wybuchły petardy...

- Wiemy, Irka nam opowiedziała, dobrze jeszcze, że nie było tu zwierzaków.

- Włożyłam wiadro, żeby ochronić mózg. Arkaszka wydał usta, po czym gwizdnął przeciągle.

- Co ochronić?

- Mózg.

Syn popatrzył na mnie, westchnął ciężko i zapytał:

- A dlaczego petardy wybuchły?

- Nie wiem - zełgałam tchórzliwie. - Leżały sobie, leżały, a potem pyk i wybuchły. Pewnie samozapłon... Takie rzeczy się zdarzają...

- Aha. - Kiesza kiwnął głową. - Teraz wszystko jasne; po prostu przypadek, tak?

- Tak!

- Tak?

- Tak!

- No, no - mruknął mój syn. - Mam właśnie nowego klienta, straszny zgrywus!

- Jak to zgrywus? - zainteresowałam się, odwijając turban.

- Zabił żonę - wyjaśnił ze spokojem Kiesza. - Zadał babie osiemdziesiąt dwa ciosy nożem, podziurawił ją jak rzeszoto, i wiesz, co mówi?

- No?

- Rzekomo żona go poprosiła: "Kochanie, podaj mi nożyk, chcę ukroić chlebka". A on ten nóż rzucił i przypadkowo trafił ją prosto w szyję... A nożyk, figlarz jeden, zaczął skakać po nieszczęsnej babie, niby chciał upaść, leciał w dół i po drodze się wbijał, leciał i się wbijał!

- Idiotyzm!

- Też przypadek - zaśmiał się Kiesza - jak u ciebie z petardami. Pyk - i wybuchło! Zdarza się.

Zamknął drzwi. Spojrzałam w duże lustro. Coś podobnego, wydaje straszną forszę na drogie szampony, wcieram we włosy rozmaite pianki i zero efektu. Kosmyki wiecznie sterczą mi na wszystkie strony i trudno je rozczesać. A po kopie wyglądają po prostu wspaniale. Może w ogóle powinnam zawsze używać środka do mycia garów?

Uczesałam się i powlokłam do sypialni. Do salonu do dzieci nie pójdę, bobym się nasłuchiwała, że nie wiem. Za to przekonałam się, że nie mogę wywabiać Romana Sablina z mieszkania za pomocą świecy dymnej. Muszę wymyślić inny sposób.

Nazajutrz w samo południe zajęłam posterunek koło bramy na ulicy Zagorjewskiej i zaczęłam czekać na odpowiedniego kandydata. Nie minęło nawet pół godziny, kiedy poszukiwana osobistość się pojawiła. Z klatki schodowej wyszedł z psem dwunastolatek, wyraźnie na wagarach.

- Chodź no tu! - zawołałam. Chłopiec zbliżył się do renaulta.

- Mnie pani woła?

- Tak. Znasz Romana Sablina?

- Mieszkamy na tym samym piętrze.

- Bądź tak dobry, zadzwoń do niego do drzwi i krzyknij: "Roma,

to ja!". A jak otworzy, powiedz: "Zejdź na dół, tam siedzi w samochodzie Pola Zeleznowa. Nie może się do ciebie dodzwonić". A to za fatygę. Ale dzwoni długo, nawet kop w drzwi, on jest w domu, tylko że nie otwiera obcym.

Chłopiec spojrział na zielony papiererek, bez słowa złapał niewysiusianego pieska i zniknął w bramie. Nasunęłam czapkę na brwi, postawiłam kołnierz i wpatrzyłam się w okno. Po jakichś piętnastu minutach wyskoczył wreszcie na dwór chłopak w dżinsach i swetrze. Nacisnęłam klakson. Renault zatrząbił. Roman rzucił się do przednich drzwi, ja odsunęłam się jak najdalej w lewo. Sablin wsiadł do wozu i powiedział nerwowo:

- Co to za żarty! Cała uczelnia trąbi o twojej śmierci. Wyobrażasz sobie, jak się wystraszyłem? Gdzie moja forsa?
- Jaka forsa, Romeczku? - zapytałam i odwróciłam się do chłopaka twarzą.

Ten przez sekundę siedział z otwartymi ustami i chciał już wysiąść, ale szybko nacisnęłam breloczek blokady.

- Kim pani jest? - wykrzyknął Roma.
- Prywatny detektyw Darja Wasiljewa.
- Kto?
- Detektyw. Nina, matka Żeleznowej, wynajęła mnie bym znalazła mordercę jej córki.
- To Polę zamordowano? - wybełkotał Roma.
- Oczywiście - przytaknęłam.
- Za co?
- A jaką forszę ci obiecała? Sablin aż poszarzał.
- Żartowałem!
- Mimo to opowiedz...
- To był wygłup, jak Boga kocham!
- Więc dlaczego boisz się wyjść z domu i każesz siostrze kłamać?
- Jestem chory.
- Aha, masz straszną infekcję, zaraźliwą i nieznaną medycynie. Chłopak zachnął się gniewnie, ale milczał. Położyłam mu rękę na ramieniu.
- Roma, obawiam się, że nie zdajesz sobie sprawy w co się wplatałeś. Tych trzysta tysięcy, które postanowiliście ukryć, należy do bardzo niebezpiecznego człowieka.
- Do kogo? - wyjąkał Roma.
- Do wielokrotnego recydywisty Wytrycha.
- Kogo?
- Do Anatola Nikołajewicza Koczergina, pseudo Wytrych. Pola po prostu ukradła te dolce.
- To niemożliwe!
- Posłuchaj mnie, Romoczka - zamruczałam - wpakowałeś się w groźną sytuację. Po co ciągle wysyłałeś Polę na zarobek? Dlaczego jej wymyślałeś i dopuszczałeś się rękoczynów? A później kazałeś schować kasę, ale troszkę się przeliczyłeś. Wytrych to ostry i okrutny typ. teraz wyśle twoim śladem kilka swoich gończych psów. Po prostu masz szczęście, że ja dotarłam do ciebie pierwsza. Bo chłopcy Wytrycha nie będą negocjować, tylko wezmą lutownicę i wsadzą ci ją... A zresztą lepiej o tym nawet nie myśleć!

Sablin zrobił się żółty, nawet jego wargi utraciły wszelki kolor.

- Ależ co pani! Nigdzie Poliny nie posyłałem i nigdy jej nie biłem! Kolegowaliśmy się tylko przez Walę.
- A to kto znowu?
- Moja dziewczyna, Wala Iliuchina, jest w jednej grupie z Poliną. Sam się zląkłem, jak zobaczyłem tyle szmalu...
- Opowiedz mi wszystko po kolei.

Roman zaczął pośpiesznie wyrzucać z siebie informacje.

Tamtego dnia Polina przyszła do niego do pracy i szybko zamknęła drzwi na zasuwę.

- Co jest? - zdziwił się Sablin.

Żelaznowa wyjęła z reklamówki studolarówkę i spytała:

- Możesz to skserować?

- Jasne - prychnął Roma. - Ale od razu uprzedzam, że jeśli postanowiłaś w ten sposób zrobić z jednej stówy dwie, to szkoda zachodu, wiesz, ilu było takich mądrych, kiedy pojawiły się pierwsze kolorowe kserografy. Odbijali i ruble, i dolary, i funty... Ale takie fałszywki są łatwe do rozpoznania.

- Roma - spytała napiętym głosem Pola. - Chcesz dostać dziesięć tysięcy dolców?

- Skserowanych? - zarechotał chłopak. - A po kiego?

- Nie - ciągnęła cicho Żelaznowa - prawdziwych. Podsunęła Sablinowi pod nos reklamówkę. Roma, nadal

się uśmiechając, zajrzał do środka i oniemiał. Takiej kupy szmalu nie widział nigdy nawet w rosyjskich rublach, a co dopiero w bagsach.

- Są prawdziwe? - spytał głucho. Pola przytaknęła.

- Skąd? - zdumiał się Roma. - Skąd je masz?

- Znalazłam - odparła Pola.

- Znalazłaś?!

Żelaznowa raptem wybuchnęła płaczem. Sablin nie wiedział, co robić, znał Polę jako dziewczynę spokojną i opanowaną, nieskłoną do ataków hysterii. I nagle łzy? A poza tym Roma zawsze czuje się speszony, kiedy dziewczyny zaczynają przy nim płakać. Nie wie, jak je pocieszyć i czuje się jak kompletny głupek.

- No, no - zamruczał - no, już dobrze, czego ryczysz, uspokój się.

Ale w Poli jakby zerwały się wszelkie tamy:

- O mój Boże, Romka, tak mi ciężko! Wyssał ze mnie wszystkie siły, wycisnął jak cytrynę, a skórkę wyrzucił. Już dłużej nie mogę!

- Kto? - spytał zdziwiony Roma.

- Mój mąż - wyjaśniła Pola.

- Jesteś mężatka? - wykrzyknął Sablin. - Coś podobnego! Kiedyście się chajtnęli? Dlaczego nam nie powiedziałaś, co to za tajemnice? I żeby nie wyprawić wesela?!

- Romoczka, jestem mężatką już prawie sześć lat - odpowiedziała Pola.

Przestała płakać równie nagle, jak zaczęła, i teraz siedziała, tępo zapatrzona w kąt, zapomniawszy otrzeć chustką oczy.

- Ile? - jęknął Sablin. - No nie! Kłamiesz! Polina poszperała w torebce.

- Masz.

Roma otworzył szarą książeczkę "Świadeństwo zawarcia małżeństwa".

- O żeż ty!

- Romoczka - gorączkowo zaszepotała Pola - błagam cię, skseruj mi te pieniądze. Tylko w ten sposób będę mogła się uwolnić od mojego męża. Oddam mu fałszywe i ucieknę z prawdziwymi, pojedę do mamy do Stanów, proszę cię, ratuj! Inaczej nigdy się z tego nie wyplacę, błagam!

- Ale on od razu rozpozna fałszywki!

- Pokażę mu prawdziwe, on je weźmie, a ja później podmienię. Mam tylko jeden dzień, no, Roma! Sam rozumiesz, że nikogo poza tobą o coś takiego nie mogę poprosić.

Wyglądała jak szalona. Usta Poli drżały, oczy miała rozbiegane, ręce jej się trzęsły...

- No, kochany - powtarzała. - Dam ci dziesięć tysięcy. Proszę, zrób to, no, bierz!

- Dobra - zdecydował się Roman. - Okej! Tylko że to potrwa, będę musiał zamknąć budę. Bo wszyscy się tu pchają, słyszałaś, Luśka się dobijała, wścibska żoźła.

- Ja pójde na zajęcia - rzekła, wzdychając, Polina - a ty

działałaj.

- I wykonałeś zamówienie - powiedziała raczej twierdząco niż pytająco.

Roman kiwnął głową.

- Zabrała wszystko i obiecała, że mi zapłaci później. Sablin zapytał wprawdzie:

- Dlaczego nie wypłacisz mi teraz mojej doli? Ale Polina błagalnie złożyła ręce i jęknęła:

- Romoczka, zaczekaj! Muszę mu pokazać prawdziwe pieniądze i mógłby zauważyć, że części brakuje!

I Sablin znów ustąpił.

- Potem zniknęła na tydzień - opowiadał dalej. - Co prawda, zadzwoniła i powiedziała, że jest chora. Żebym się nie denerwował, niedługo się zjawi.

- I przyszła? Sablin przytaknął.

- Zjawiła się rano, wpadła do mnie i dała mi forszę, połowę, pięć kawałków.

Polina wręczyła Romanowi paczki i powiedziała:

- Masz, trzymaj, gdyby nie ten dług, za nic bym tu nie przyjechała, ale nie chcę, żebyś mnie uważał za oszustkę. Druga połowa jutro.

Chłopak zapytał zaintrygowany:

- No i jak? Udało się? Pola kiwnęła głową.

- Dzięki.

- Nie boisz się, że on się połapie? Polina uśmiechnęła się.

- Złożyliśmy je w skrytce bankowej, a przedtem, korzystając z nieuwagi mojego ślubnego, zamieniłam reklamówki. Teraz przez jakieś dwa miesiące on tam nie zajrzy, a ja do tego czasu będę już daleko. Zdobyłam sobie wolność za trzysta tysięcy. No, nareszcie koniec moich męczarni! Pojadę do Ameryki, do mamy. Za trzy dni dostaniemy rozwód, już złożyliśmy papiery, pójdzie szybko, bo nie ma dzieci ani żadnych sporów majątkowych.

- A potem co?

- Samochód jej się spalił - odrzekł Roma - i więcej Poliny nie widziałem.

- No to czego tak się wystraszyłeś? Na zajęcia nie chodzisz, ukrywasz się przed ludźmi.

- Pola mi tak kazała.

- Ach tak? A dlaczego?

- Wieczorem tego dnia, kiedy żiguli się sfajczył, zadzwoniła do mnie i mówi:

- Romka, chcą mnie zabić. Pomyliłam się, ten łajdak postanowił mnie sprzątnąć. Siedź w domu, nigdzie nie chodź, przyczaj się na jakiś czas, nie pokazuj się na uczelni.

- Dlaczego? - spytał zaniepokojony Roma.

- Mój sukinsyn znalazł kserokopie - chlipnęła Pola. - A nuż się domyśli, kto je zrobił?

Sablina przeszedł zimny dreszcz. Diabli nadali, miał rację, że nie chciał się w to wplątywać. Udało mu jednak się jako tako opanować strach i spytał:

- A moich pięć tysięcy? Obiecałaś mi dziesięć, a dałaś tylko połowę!

- Rany boskie, Roma - rozżłościła się Polina - tu chodzi o być albo nie być, a ty myślisz o forsie!

- Co ty mnie będziesz pouczać! - wybuchnął chłopak. - Wychodzi na to, że zgarnęłaś cały szmal, a mnie namówiłaś, żebym tyrał za marne grosze! I teraz jeszcze to! Siedź, człowieku, kamieniem w domu! Pewnie pożalowałaś pięciu tauzenów i wymyśliłaś te bzdety. Wiesz co, nie spodziewałem się tego po tobie!

- Idiota - odparła Pola. - Dostaniesz swoją forszę.

- Kiedy?

- Wkrótce.

- A ty ją w ogóle masz? - prychnął Roma.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Może już gdzieś upchnęłaś dolce...

- Posłuchaj - wściekła się Pola - nie mogę długo rozmawiać, nie mieszkam teraz w domu, jestem u obcych ludzi! Forsę mam przy sobie, schowałam ją tutaj.

- U obcych?

- Oj, tak mi się powiedziało, dla mnie są jak rodzina.

- A jak ten twój mężulek się domyśli i po nie przyjedzie?

- Nie, tutaj nie będzie się pchał.

- Dlaczego?

- Tu mieszka kupa luda, dom właściwie nigdy nie jest pusty. Przyczaj się i czekaj.

I rzuciła słuchawkę. Roma parsknął gniewnie i na drugi dzień pojechał na uczelnię. Nie uwierzył w niebezpieczeństwo, zlekceważył przestrogi i w ogóle cała historia zaczęła mu się wydawać nieprawdopodobna.

Otworzył swój zakład i jak zwykle zaczął kserować konspekty, a po głowie tłukła mu się wciąż ta sama myśl: że też zrobił z siebie takiego durnia. Zmarnował kupę papieru, drogiego tuszu, zamknął kserograf, a dostał dokładnie połowę obiecanego szmalu. Ach, ta Polina, co za cwana bestia! A jak go zręcznie zbyła, kiedy zapytał, skąd wzięła forsę: "Znalazłam". Ciekawe, gdzież to można tak po prostu znaleźć całe góry dolarów?

Im dłużej Roma rozmyślał o całej sytuacji, tym bardziej wydawała mu się ona niebezpieczna. A już całkiem źle się poczuł koło obiady, kiedy do pokoju wpadł Igor Gorbатов i wrzasnął:

- Słyszałeś?

- O czym?

- Polka Zeleznowa nie żyje!

- Jak to nie żyje? - Roman upuścił na podłogę stertę papierów.

- Co ty pleciesz?

- Podobno zginęła w wypadku samochodowym...

- Skąd wiesz? - wyszeptał Sablin, po raz pierwszy w życiu czując, że zwrot "pociemniało w oczach" wcale nie jest przesadą.

- Wszyscy o tym mówią - odparł Igor. - Dzwonili z milicji do rektoratu.

Sablin natychmiast zamknął swoje "przedsiębiorstwo", pognął do domu i teraz boi się wyściubić nos na ulicę. Ale gdzieś w głębi jego serca tliła się nadzieja, że Zeleznowa jednak nie zginęła, że to jakaś głupia pomyłka... Dlatego właśnie zbiegł na dół, kiedy mały sąsiad zawiadomił go o przyjeździe Poliny...

- Jak się nazywa jej mąż?

- Cholera go wie.

- Pola nie wymieniała jego imienia?

- Nie.

- Miałeś przecież w rękach świadectwo ślubu!

- Ale go nie czytałem, po prostu zobaczyłem, że jest. Zresztą wcale mnie to nie interesowało.

Zapadła cisza. Po chwili Roma spytał ostrożnie:

- Naprawdę Polinę zabito?

- A co, myślisz, że na niby? - odparłam tym samym tonem. - Życie to nie kreskówka dla dzieci.

- Koszmar - wyszeptał Roma. - Co ja mam robić? Popatrzyłam na chłopaka. Chyba jest niedobrze. Morderca najpierw sprzątnął Polę, a potem, w poszukiwaniu pieniędzy zainteresował się jej najbliższym przyjacielem i, jak wszyscy sądzili, narzeczonym - Kostią. Chłopaka uprowadziły mięśniaki o ogolonych głowach i pewnie... A teraz wygląda na to, że wkrótce dotrą do Romana. Dziwne, że Sablin w ogóle jeszcze żyje.

- Co robić? Co robić? - gorączkował się Roma. Uruchomiłam silnik.

- Jedziemy.

- Dokąd? - wystraszył się ostatecznie chłopak. - Tak od razu, bez niczego?

- Dobra, leć na górę, spakuj najpotrzebniejsze rzeczy i jazda, ukryję cię w bezpiecznym miejscu.

Dwie godziny później, ulokowawszy Romę u Oksany, gnałam do Łóżkina. Im bardziej zagłębiam się w tę historię, tym mniej rozumiem, o co tu chodzi. A właściwie, szczerze mówiąc, całkiem się już zagubiłam... Jasne było tylko jedno: pieniądze, trzysta tysięcy, ukradzione Wytrychowi, znajdują się w Łóżkinie. Pola ukryła je tam, uważając nasz dom za najbezpieczniejsze miejsce. Na podwórzu wpadłam na trzecim biegu i o mało nie wyrzuciłam w ścianę budynku. Żeby tylko nikogo nie było w domu! W holu natknęłam się na Bonifacego. Dziadek powyciągał z szaf nasze pantofle, półbuty, kozaczki i rozstawił je pod ścianami.

- Co ty robisz? - zdziwiłam się.

- Robię z tym porządek - wyjaśnił najspokojniej Bonifacy. - Co z was za ludzie? Czy tak się przechowuje obuwie? Trzeba je oczyścić, natłuścić, do środka wepchnąć zgniecione gazety i włożyć buty do torby. O, widzisz? Wtedy będą służyć nawet dziesięć lat, a jeśli je rzucisz byle jak, to nie ponosisz nawet przez trzy sezony.

Chciałam już palnąć, że nikt u nas nie nosi butów dłużej niż parę miesięcy, bo obuwie szybko wychodzi z mody, ale obejrzałam szereg już oczyszczonych par i powiedziałam:

- Ojej, dziękuję. Ciągłe człowiek nie ma na to czasu; a właśnie, dziadku...

Bonifacy podniósł głowę i powiedział cicho:

- Nie gniewaj się, Daszeńko, ale bardzo nie lubię, kiedy się mnie nazywa dziadkiem! I tak nie czuję się młody.

- To jak mam się do ciebie zwracać?

- A różnie. Jak chcesz, to Bonia, jak chcesz, to Bonifacy, niektórzy mówią mi Bofa, właśnie Maszutka lubiła to zdrobnienie.

- Niech będzie Bonia - zgodziłam się. - Aha, kto jest w domu?

Staruszek westchnął.

- Nikogo nie ma. Ira cały czas sprzątała jadalnię, zrobiła jaki taki porządek, a potem spakowała zasłony do torby i gdzieś pojechała.

No jasne. Wyciągnęłam telefon i zadzwoniłam do Iry na komórkę.

- Ira, gdzie jesteś?

- Jesteśmy z Katia w "Oristo" - usłyszałam poprzez trzaski wsadziłam zasłony do pralki, a ona poszła do supermarketu.

Wrócimy za jakieś dwie godziny.

"Oristo" to olbrzymie centrum handlowe, właściwie całe miasto, położone zaraz za obwodnicą; wątpliwe, czy Irka i Katierina zdążą wrócić za dwie godziny.

A więc w domu nie ma nikogo. Kiesza i Kicia są w pracy, Mania w szkole, o ile pamiętam, dzisiaj ma basen, czyli nie zjawi się z powrotem przed ósmą. Cóż, to świetnie, nikt mi nie przeszkodzi w przeszukiwaniu domu i garażu, żeby znaleźć miejsce, w którym Pola ukryła trzysta tysięcy. Dolce oczywiście oddam Wytrychowi. Będzie to chyba jedyny pozytywny wynik wszystkich moich działań. Pierwszy raz w czasie całej mojej detektywistycznej praktyki musiałam przyznać z goryczą, że nie wykryłam zabójcy, a raczej, że przypuszczam, iż jest nim mąż Poliny, ohydny typ, który zrobił z dziewczyny prostytutkę. Ale jak do niego dotrzeć? Chociaż... Jeżeli wzięli ślub cywilny, to w archiwum USC powinny być informacje na ten temat. Świetnie, jutro tam pojedę, a teraz zajmę się poszukiwaniami. Takie okazje, kiedy w domu nikogo nie ma, zdarzają się u nas bardzo rzadko. Nie ma filmowców, ani Borysa, ani Fiodora, po prostu coś cudownego. Bonifacy, nucąc cicho pod nosem, glansował starannie czółenka Kici. Poszłam na koniec korytarza. Zacznę od pokoju, w którym mieszkała Polina. Mamy cztery sypialnie gościnne. Trzy, mniej więcej dwudziestometrowe, mieszczą się po prawej stronie korytarza. Z holu wchodzi się najpierw do jadalni, następne drzwi prowadzą do salonu, za nim znajduje się mały pokój, służący za bieliźniarkę. W szafach ściennych trzymamy tam bieliznę pościelową, obrusy, dodatkowe kołdry, poduszki, szlafroki... Dalej zaczynają się

pomieszczenia dla osób, które pomieszkują w domu od czasu do czasu; jest tych pokoi, jak już mówiłam, trzy, czwarty, szczytowy, znajduje się na końcu korytarza. Jest największy, ma około trzydziestu metrów i olbrzymie drzwi, wychodzące na ogród. Naturalnie, zimą drzwi są zamknięte, ale kiedy minęłam dwa pierwsze pokoje gościnne, poczułam na nogach silny przeciąg. Pewnie w pokoju, który zajmowała Polina, został otwarty lufcik. Otworzyłam drzwi, zapaliłam światło i rozejrzałam się. W pokoju panował względny porządek. Pod ścianą stała nieduża walizeczka. Otworzyłam ją. Żadnych pieniędzy, tylko ciuchy, które Polina ze sobą przywiozła. Kilka par majtek, staniki, swetry, spodnie... Tak, teraz zajrzyjmy do szafy. Ruszyłam w tę stronę i nagle poczułam na twarzy powiew wiatru, a na drzwiach do ogrodu wydeła się zasłona. Trzeba zamknąć okno, w końcu jest zima.

Podeszłam do drzwi, odsunęłam zasłonę i mimo woli krzyknęłam. Okno było zamknięte, ale brakowało jednej szyby w drzwiach. Pewnie wybił ją silniejszy podmuch wiatru. Trzeba zaraz wezwać szklarza, albo nie, najpierw zawołam ogrodnika Iwana, może on sobie z tym poradzi. Zaciągnęłam zasłonę, odwróciłam się do szafy, otworzyłam ją, zobaczyłam drewniany pręt z wieszakami i o mało nie wrzasnęłam ze strachu. W samym kącie szafy stał facet jak z sennego koszmaru. Ubrany był cały na czarno, na twarzy miał kominiarkę, a w rękach pistolet. Złodziej! Włamywacz w domu! Przez sekundę trwałam w milczeniu. Mężczyzna podniósł rękę... Szybciej niż błyskawica, krzyząc: "Ratunku!", pomknęłam korytarzem. Bandyta biegł za mną, milcząc, ale dość głośno tupiąc. Potem nad moim uchem rozległo się cieniutkie "fiu!" i jeden z kinkietów rozleciał się na kawałeczki. Drań użył broni. O mój Boże, zaraz mnie zabije, a w domu nie ma nikogo poza słabym staruszką.

Wpadłam do holu i wrzasnęłam:

- Bonia, uciekaj, ratuj się!

Dziadek podniósł wzrok i... rzucił w bandytę szczotką do butów. Ostra szczotka trafiła złoczyńcę prosto w twarz. Facet na chwilę przystanął zaskoczony, a wtedy Bonifacy rzucił się na niego. Wydarzenia, które teraz nastąpiły, nie trwały nawet minuty, wszystko działo się jak na filmie. Z rozdziawionymi ze zdumienia ustami patrzyłam, jak prawie stuletni starzec rozprawia się z młodym facetem. Raz, raz, raz... Chłopak wyleciał w górę i runął na podłogę. Bonifacy pochylił się nad nim i zrobił jeszcze jakiś szybki ruch. Napastnik szarpnął się i znieruchomiał.

- Trzeba go związać, póki się nie ocknął - powiedział spokojnie dziadek. - Daj sznurek.

- Nie mam - bąknęłam zaskoczona.

- To może być pasek od spodni.

- Jaki? Skórzany? - spytałam, zadzierając sweter. Bonifacy zachichotał.

Ale mnie nie było do śmiechu.

Co zrobić z włamywaczem, dopóki się nie ocknął? Nagle mój wzrok padł na trumnę.

- Bonia, chodź, wsadzimy go tutaj i zamkniemy wieko!

- No - odparł dziadek - dobry pomysł. Ale będziesz musiała mi pomóc, Dariuszko, boję się, że sam nie dam rady.

Razem z dziadkiem wepchnęliśmy faceta do trumny i usłyszeliśmy cichy jęk.

- Może mu słabo? - przestraszyłam się.

- Będzie miał nauczkę - odparł obojętnie Bonifacy. - Nie denerwuj się, po prostu poczęstowałam go specjalnym ciosem, nic mu się nie stanie.

I zręcznie zamknął wieko. Szczęknęło. No proszę, zadziałał zatrzask, a przecież mówili, że trumnę można zamknąć tylko raz! Najbardziej byłam jednak przejęta nie zamkiem, który się w

niepojęty sposób naprawił, ale czymś całkiem innym.

- No, Bonia, prawdziwy z ciebie Bruce Lee! Nie gniewaj się, ale tego się po tobie nie spodziewałam!

Dziadek uśmiechnął się.

- Cóż, Dariuszko, w czasie wojny przywlokłem ponad stu "języków", a młodość spędziłem na WChKŻ.

- Gdzie? - zdumiałam się.

- Wschodniochińska Kolej Żelazna - wyjaśnił Bonifacy. - Urodziłem się przed rewolucją, mój ojciec był inżynierem kolejnictwa, mieszkaliśmy w Harbinie. Było tam wielu rosyjskich specjalistów, którzy pomagali Chińczykom budować kolej. No i spodobały mi się wschodnie sztuki walki. W Rosji o karate zaczęto mówić stosunkowo niedawno, a ja uprawiałem je w dzieciństwie i młodości. W czterdziestym pierwszym wróciłem do kraju, wsadzić mnie nie zdążyli, jak tyłu innych, bo zaczęła się wojna. A po wojnie długo uprawiałem wszelkie inne rodzaje walki, na przykład sambo. Kiedy w Moskwie otwarto pierwsze kluby karate, od razu tam poszedłem. Ta dyscyplina bardzo mi się podoba.

- Ale ileż ty masz lat!

- Tu wiek jest bez znaczenia - wyjaśnił z uśmiechem Bonifacy. Mój pierwszy nauczyciel miał ponad sto, a robił, co chciał, z każdym młodziakiem!

Mogłam tylko wytrzeszczać oczy. Dziadek karateka, słyszał kto kiedy o czymś takim? Niedługo stuknie mu setka, a rozłożył na łopatki chyba całkiem młodego chłopaka. Szkoda, żeśmy mu nie zdjęli kominiarki i nie spojrzeli w twarz.

- Co tu się stało? - usłyszałam nagle głos Diegtiariowa. Dziwne. Właśnie miałam do niego dzwonić, a on się zjawia. Prawdziwy cud! I to jeszcze nie sam, ale z całą ekipą.

- Dobrze, że jesteś! - krzyknęłam. - Złapaliśmy włamywacza! A właściwie to Bonia go obezwładnił.

- Bonia? - powtórzył stojący za pułkownikiem Żenia i przyjrzał się staruszkowi. - Chcesz powiedzieć, że on...

- Bonia jest karateką - odparłam z triumfem.

Żenia zachichotał, ale pułkownik zgromił go wzrokiem i zapytał:

- A gdzie jest człowiek, który włamał się do domu?

- W trumnie - odpowiedzieliśmy z Bonią chórem. Żenia zgiął się wpół ze śmiechu, towarzyszący mu mężczyźni zarżeli.

- Nie ma w tym nic śmiesznego - zapewniłam. - Proszę, tu jest trumna, wyciągnijcie drania. Tylko trzeba będzie rozwalić wieko.

- A pan nie mógłby się zamachnąć i z okrzykiem "kia" rozwalić trumny dłonią? - z chichotem zwrócił się Żenia do staruszka. Bonifacy popatrzył na mnie.

- Daszeńko?

- Wal! - zgodziłam się. - Od dawna marzyłam, żeby się pozbyć tego draństwa!

Bonifacy na sekundę znieruchomiał, oczy błysnęły mu dziko. Potem błyskawicznym ruchem uniósł dłoń. Trzask! Wieko pękło dokładnie na pół.

- O kurde! - wrzasnął Żenka. - Ale numer!

- Pełny odlot - zawtórowali nieznajomi faceci. - To rozumiem!

- Dość tego - warknął Diegtiariow. - Cyrk sobie robicie! Parada atletów, Iwan Poddubny i Nikita Kożemiakin!

- Już prędzej Chuck Norris - wtrącił Żenka.

- Wyjmijcie go - polecił pułkownik.

Milicjanci wywlekli z trumny oszołomionego bandziora i postawili go na podłodze.

- No, piękna odalisko, odsłoń buzię - rzekł jeden i ściągnął włamywaczowi kominiarkę.

- O matko! - wrzasnęłam. - To niemożliwe! Zamglonym wzrokiem spoglądał wprost na mnie Kostia.

Najbliższy przyjaciel i sąsiad Poliny Żelaznowej, Konstanty, którego bandyci uprowadzili nie wiadomo dokąd.

Rozdział 31

Minęło kilka pełnych zamieszania dni. W środę w biały dzień przybył do Łożkina Aleksander Michajłowicz.

Usłyszałam jakieś odgłosy z podwórka, wyjrzałam przez okno i zobaczyłam pułkownika szybkim krokiem zmierzającego do drzwi. W holu Diegtiariow zdjął ładną barankową kurtkę, którą dostał od Kici na Dzień Milicji, i powiedział:

- Tak się już przyzwyczaiłem do tej trumny, że teraz hol wydaje mi się dziwnie pusty. Biedny Bundy, gdzie on teraz sypia? Podła jesteś, Dario! Zabrałaś pieskowi legowisko.

- Zostawiliśmy mu poduszeczkę - uspokoiliam go - a trumnę Iwan porabiał i spalił. Pozbyliśmy się jej, Bogu dzięki, chociaż... Urwałam.

- Co? - zapytał Diegtiariow.

- Nina pewnie zabierze Polę do Stanów w metalowej trumnie, prawda? A właściwie, nie wiesz, kiedy ona przylatuje?

- Czemu cię to interesuje? - spytał Aleksander Michajłowicz, odwracając się ode mnie szybko.

Westchnęłam ciężko. Co to jednak znaczy skaza zawodowa! Zadałam przecież proste pytanie, oczekując równie prostej odpowiedzi, a pułkownik, zamiast zwyczajnie podać datę, z podejrzliwą miną zaczyna przesłuchanie.

- Po prostu jestem ciekawa. Dzwonię do niej codziennie, a sekretarka powtarza w kółko: "Przepraszam, moja pamięć jest przeciążona", i już.

- Niedługo przyjedzie - rzekł, wzdychając, Diegtiariow. - A gdzie filmowcy?

- Wyjechali! - oznajmiłam radośnie. - Wczoraj wieczorem dokręcili ostatnie sceny i wynieśli się.

- I tak mieliście szczęście - zaśmiał się pułkownik, ruszając do salonu - seriale kręci się całymi latami, dziesięciolecia, a wam poszło tak szybko!

Wybuchnęłam śmiechem.

- To dzięki Kieszy!

- Jak to?

- Wzniósł się na szczyty pomysłowości. Najpierw powiedział Borysowi, że nasz dom jest najskromniejszy w całym Łożkinie, a na przykład Syromiatnikowowie mają basen... Potem poleciał do Kariny i nabajerował, że będzie miała okazję zostać gwiazdą ekranu. Karina nigdzie nie pracuje i umiera z nudów. No, a potem zapoznał reżysera z panią Syromiatnikową. No i, żeby się: już nie wdawać w szczegóły, cała ekipa przeniosła się do bankierostwa!

- Sprytnie - uśmiechnął się pułkownik. - A co na to Kicia? Westchnęłam.

- Na razie nie rozmawia z Kieszą, ale myślę, że wkrótce jej przejdzie, przecież roli jej nie odebrano, po prostu zmieniono miejsce akcji...

Przy obiedzie spytałam nieśmiało:

- Znalezliście go?

- Kogo? - zainteresował się pułkownik, próbując zupę.

- Męża Poliny.

- Tak.

- I co?

Aleksander Michajłowicz odłożył łyżkę.

- Ile razy cię prosiłem...

- Wiem, wiem! Nie wtrącaj się do śledztwa. Mój drogi, jak ty się jednak starzejesz!

- Ja?! - oburzył się pułkownik. - Ja się starzeję? Ależ jestem jeszcze zupełnie młodym mężczyzną!

Spojrzałam na jego spora łysinę, sterczący brzuch i odparłam:

- Wiesz, jakie są główne oznaki starości? Nudziarstwo, nieustanne pouczanie wszystkich i narzekania pod hasłem: „Wszyscy mnie

obrażają".

- Co za bzdury! - wybuchnął pułkownik. - Nigdy nie mówię, że ktoś mnie obraził!

- Ale pozostałe symptomy masz, i to w nadmiarze! Powinieneś już dawno przywyknąć do myśli, że jestem twoim najlepszym przyjacielem, zawsze gotowym ci przyjść z pomocą, takim doktorem Watsonem!

Aleksander Michajłowicz prychnął ironicznie.

- Raczej bohaterką innego dzieła literackiego, matką Franciszką z francuskiej bajki.

Poczułam się dotknięta do żywego.

- Starucha, która podglądała sąsiadów? Wstrętną babą, która wsadziła nos w dziurkę od klucza i nie mogła wyjąć? Jak ci nie wstyd!

Diegtiarior zachichotał i zabrał się do zupy, a ja odwróciłam się do okna. Matka Franciszka! Żeby tak człowieka obrazić! Przez kilka minut panowało milczenie. Potem pułkownik mruknął:

- No już dobrze, przestań się złościć.

- Odczep się!

- Nie dąsaj się, sama dopiero co mówiłaś, że obraźliwość to oznaka starości.

- Obrażanie się bez powodu! Diegtiarior roześmiał się.

- No dobrze, przepraszam, nie jesteś matką Franciszką, tylko panną Marple!

- Ona była staruszką!

- O Boże - westchnął Aleksander Michajłowicz - mam dziś zdecydowanie zły dzień, cokolwiek powiem, wszystko źle. Dobra, co mam zrobić, żebyś mi przebaczyła?

- Kto zabił Polinę?

- Tego się nie da powiedzieć w dwóch słowach...

- I nie potrzeba, możesz mówić szczegółowo, mam mnóstwo czasu! Ty zresztą chyba też, skoro zjawiłeś się w porze obiadowej?

- Tak w ogóle to miałem powód do dzisiejszej wizyty - odparł zagadkowo Diegtiarior. - Ale dobrze, słuchaj. Wiesz, nie przestaje mnie zdumiewać fakt, że człowiek zawsze tak czy inaczej zbiera owoce wyboru, jakiego dokonał!

- Nie rozumiem.

- No, na przykład wychodzisz z domu i widzisz, że poleciało ci oczko w rajstopach. Masz dwa wyjścia. Wrócić do domu, żeby je zmienić, albo jechać do pracy z oczkiem. Załóżmy, że wybierasz drugi wariant, wbiegasz do metra i spotykasz chłopaka, który potem zostaje twoim mężem. A gdybyś wróciła do domu, nigdy byście się nie spotkali. Przeznaczenie, fatum, karma, kismet... Jeden człowiek spóźnił się na samolot, drugi zdażył, i samolot runął na ziemię...

- Do czego zmierzasz?

- Tak sobie gadam - zbył mnie pułkownik. - Historia, której rozwiązanie chcesz poznać, zaczęła się sześć lat temu.

Nie ma chyba sensu powtarzać, że Kostia i Polina przyjaźnili się od dzieciństwa. Dziewczyna ubóstwiała chłopaka. Są kobiety, które tak zapamiętują się w miłości do mężczyzny, że nie dostrzegają jego niekiedy wręcz chamskich wyskoków. Wierna niewolnica, oddana jak pies - tak można by określić stosunek Poliny do Kostii.

Chłopak dobrze widział, jak strasznie zakochana jest w nim Pola, i bezwstydnie ją wykorzystywał. W szkole Polina odrabiała za niego prace domowe i dyżurowała w klasie. Koledzy się z niej podśmiewali, ale ona nie zwracała na to uwagi, i wreszcie przestano jej dokuczać. No bo co za sens natrzasać się z kogoś, kto się o to w ogóle nie złości? Żaden.

I jeszcze jedno: Polina wierzyła tylko Kostii, zawsze. W dziewiątej klasie wredna Kątka Siedych doniosła Polinie któregoś dnia:

- Idę wczoraj do domu, a w waszej klatce twój Kostia migdali się z Anką Rogową!

- Coś ci się pomyliło - odrzekła spokojnie Polina.
- Akurat, przecież ich znam! - oburzyła się Kątka.
- Ani wczoraj zrobiło się słabo na wuefie - wyjaśniła Pola.
- Kostia ją odprowadził, bo jest szlachetnym, dobrze wychowanym chłopcem.
- Obejmował ją!
- No pewnie, była chora, pomagał jej wejść na schody.
- Ale oni siedzieli na parapecie!
- Nic dziwnego, Ania była zmęczona.

Kątka tylko wytrzeszczała oczy, nie rozumiejąc, czy Polina udaje idiotkę, czy naprawdę jest taka głupia.

Ale ona niczego nie udawała, Kostik był w jej oczach najlepszy, najmądrzejszy, najpiękniejszy, najmilszy, najlepiej wychowany, naj, naj, naj... W tej beczce miodu nie było nie tylko łyżki dziegciu, ale nawet najmniejszej kropelki, która by zepsuła słodki smak. Jednym słowem, anioł nie chłopak.

Wreszcie skończyli szkołę. Polina, która świetnie się uczyła, dostała się bez trudu na studia, a jadący na samych trójkach Kostia nie załapał się nawet na wydział wychowania przedszkolnego, gdzie dziekan po prostu kazał przyjmować chłopców. W pracy pisemnej Kostika było trzydzieści czy czterdzieści błędów...

- Zaczekaj - wtrąciłam. - Ale on mi mówił, że się dostał...
- To prawda - odparł Diegtiariow. - Spiridonow dostał się w końcu na tę uczelnię, ale rok później. Za pierwszym podejściem mu nie wyszło.
- Ale mówił...
- Kłamał.
- Dlaczego?
- Słuchaj...

Dostawszy na egzaminie wstępnym pałę, Kostia mocno się wystraszył. Widmo służby wojskowej zamajaczyło przed nim w całej okazałości. Co prawda, osiemnaście lat miał skończyć dopiero w grudniu, tak że jesienne wezwanie szczęśliwie go omijało, ale na wiosnę już na pewno czekała go komisja poborowa. Trzeba było szybko podjąć jakieś kroki.

Jak się ludzie migają od służby ojczyźnie? Jedni zdobywają zaświadczenia o jakichś okropnych schorzeniach, inni nawiązują "przyjaźń" z pracownikami komisji poborowych, ale w obu tych wypadkach niezbędne są pieniądze. Kostik nie miał rodziców, tylko niezamożną babcię i maleńkie mieszkanko. Ani rubli, ani dolarów, ani złota, ani znajomości. Jednym słowem, idealny kandydat na rekruta.

Był już kompletnie załamany, gdy nagle los podsunął mu szansę. Wyszedł kupić chleb i spotkał dawnego kolegę z klasy, Żeńkę Potapowa. Ten zaproponował, by skoczyć na piwko, i kiedy otwierali butelki, Kostia zauważył na palcu kolegi obrączkę.

- Ożeniłeś się? - spytał zdumiony. - Chyba ześwirowałeś!
- Nie - zaśmiał się Żeńka - małżeństwo jest fikcyjne, starzy wybulili dwa tysiące bagsów.
- Po co? Takie coś robi się chyba tylko, żeby zdobyć moskiewski meldunek.
- Nie tylko - odparł Żenia. - Nie dostałem się na studia, a do woja nie chcę iść.
- No i co?

Żenia zaczął tłumaczyć:

- Ten, kto zdażył się ożenić przed otrzymaniem wezwania, dostaje odroczenie na rok. A na przyszłe lato na pewno się dostanę na studia. Rozumiesz teraz, po co mi żona?
- Kostik przytaknął, a w jego głowie już skryształizował się plan. Oczywiście nie miał dwóch tysięcy dolarów, żeby zapłacić fikcyjnej małżonce. Ale za to miał ślepo w nim zakochaną Polę. Niewiele myśląc, Kostia zaofiarował jej rękę i serce, oczywiście,

nawet nie wspominając o wojsku. I dziewczyna, rozplywając się ze szczęścia, oczywiście wyraziła zgodę. Ale Kostia bynajmniej nie chciał uchodzić za żonatego mężczyznę, toteż przedstawił narzeczonej niemiłą prawdę.

- Wiesz, że moja babcia jest chora? Pola przytaknęła.

- Został jej góra rok życia - ciągnął chłopak. - Nie chcę jej denerwować. Starej z tej choroby całkiem się poprzestawiało w głowie. Wymogła na mnie słowo honoru, że się nie ożenię do dwudziestego piątego roku życia.

- No to co zrobimy? - zmartwiła się Polina.

- Nic. - Narzeczony wzruszył ramionami. - Pobierzemy się, ale nikomu o tym nie powiemy.

- Może lepiej na razie zaczekajmy i w ogóle... - zawahała się Polina.

Kostia objął czule przyszłą żonę.

- O nie! Chcę jak najprędzej cię do siebie przywiązać, żebyś się nie rozmyśliła.

- Nigdy - zapewniła go dziewczyna. Była absolutnie szczęśliwa i, jak zawsze, uwierzyła Spiridonowowi bez zastrzeżeń. Zaczekali, aż Kostia skończy osiemnaście lat i w styczniu się pobrali. Kostia dostał odroczenie, latem zdał na studia i zaczął przemyślać, jakby tu nakłonić Polinę do rozwodu. Nie kochał jej, nie chciał się z nią wiązać na całe życie i w ogóle jeszcze się nie wyszumiał jak należy. Ale akurat wydarzyła się historia, która przywiązała go do dziewczyny mocniej niż lina okrętowa. Kostia od dawna marzył o samochodzie. Prowadzić umiał, miał nawet prawo jazdy, ale czterech kółek wciąż nie mógł się dochrapać. Zresztą skąd by je wziął? Był niemal nędzarzem. A tymczasem pod oknem Niny stał stareńki żiguli, rzęch klekoczący wszystkimi częściami, ale ciągle na chodzie. Nina wyjechała w delegację, a Pola i Kostia wzięli bez pytania wóz i wyruszyli do przyjaciół na daczę. Zamierzali wesoło spędzić weekend i w niedzielę wieczorem odstawić samochód na miejsce.

Wyszło jednak inaczej. Kiedy pędzili pustą szosą, skądś z krzaków wyskoczyli jacyś ludzie i wbiegli niemal pod koła. Kostia wcisnął hamulec, skręcił kierownicę, ale żiguli i tak uderzył bokiem kobietę.

Chłopak i dziewczyna wysiedli z wozu i od razu się zorientowali: jest tak źle, że już gorzej być nie może. Kobieta zginęła na miejscu. Jej towarzysz w szoku dreptał wokół ciała i powtarzał:

- Jak to, jak to?

Pola poczuła, że zaraz zemdleje. Ale Kostia nie stracił zimnej krwi.

- Idź do samochodu - burknął.

Dziewczyna usłuchała. Po jakimś czasie chłopak wrócił i usiadł za kierownicą, a chłop wpakował się na tylne siedzenie.

Spiridonow dodał gazu i samochód pomknął z powrotem. Ciało pozostało na szosie. Polina nic nie rozumiała. Dokąd jada?

Dlaczego zostawili zwłoki? Czemu ten mężczyzna zabrał się z nimi? Dojechali do domu i Kostia powiedział do Poli:

- Idziemy na górę.

Wrócili do mieszkania Żelaznowych.

- Dawaj forszę, szybko - polecił Kostia.

- Ale my nie mamy ani grosza!

- No to biżuterię Niny.

- Dlaczego?

- Dawaj, później ci wytłumaczę.

Pola podała mężowi pudełko ze złotem. Ten wyrwał jej malowaną szkatułkę i wybiegł. Nic nierozumiejąca Pola padła na tapczan.

Po jakimś czasie Kostia wrócił, usiadł obok i powiedział:

- Aleśmy wdepnęli. Na szczęście chłop okazał się chciwy. Zgodził się wziąć złoto i trzymać gębę na kłódkę. Ale jesteśmy mu jeszcze winni kupę szmalu, a nie mam pojęcia, skąd go weźmiemy.

- Za co? - nie mogła zrozumieć Polina. - Czemu nie wezwaliśmy

milicji?

- Idiotka! - zapienił się Kostia. - Przejechaliśmy babę na śmierć. Grozi nam więzienie, mnie za to, że siedziałem za kółkiem, a tobie za ucieczkę z miejsca przestępstwa. A poza tym jechaliśmy cudzym samochodem, bez zgody właściciela, czyli ukradliśmy żiguli, a to nas dodatkowo obciąża. Sąd to wszystko podsumuje i dostaniemy po piętnaście lat!

Polina zupełnie nie знаła się na prawie i nawet do głowy jej nie przyszło, że w takiej sytuacji winę ponosi wyłącznie kierowca. Znowu uwierzyła Kostii.

- Boże, co robić? - jęknęła przerażona.

- Płacić. - Chłopak wzruszył ramionami. - Nie mamy alternatywy.

- Ale skąd weźmiemy pieniądze?

- Zastanówmy się; on na razie zadowolili się pierścionkami.

- Co powie mama?

Ale Kostia obmyślił sprytnie wyjście z sytuacji. Podważył łomem słabiutki zamek w drzwiach i kazał wezwać milicję.

Gliny leniwie rozpoczęły dochodzenie w sprawie kradzieży, które później zatoneło w archiwum. Nina wkrótce pocieszyła się po stracie, a dla Poli zaczął się permanentny koszmar. Całe jej życie zostało podporządkowane zdobywaniu pieniędzy. Co więcej, Kostia surowo jej przykazał:

- Niech cię Bóg broni chlapać, że jesteśmy małżeństwem! Na razie wcisnąłem temu gościowi kit, że słabo cię znam, że przypadkowo cię podwoziłem, i dlatego dusi szmal tylko ze mnie. Jak wywacha, że jesteśmy mężem i żoną, w życiu się nie wypłacimy. I tak już się rozbestwił.

Przerażona Pola tylko kiwała głową. A Kostia wytoczył najcięższe działa i faktycznie zrobił z żony prostytutkę.

- Ja nie mam skąd brać pieniędzy - tłumaczył. - Cała nadzieja w tobie. Jeżeli nie dostarczysz forsy na czas, pójdziemy do paki, więc się postaraj.

I Pola się starała, szukając bogatych mężczyzn i próbując ich najpierw uwieść, a potem skłonić do małżeństwa. Wszystkie otrzymane od amantów pieniądze zносиła Kostii. Potem wydarzyło się nowe nieszczęście. Jakiś człowiek zaczął szantażować Spiridonowa, sumy rosły, a Polina wciąż wierzyła mężowi. Nie zastanowiło jej nawet to, że Kostia miał teraz samochód, ani to, że zaczął się świetnie ubierać. Spiridonow zresztą bardzo łatwo wyjaśnił jej tę metamorfozę: garnitury, koszule i swetry daje mu bogaty kolega, Oleg Popow. Ponosi nowy ciuch przez miesiąc i wyrzuca. A niva pozwoliła mu jeździć przyjaciółka nieboszczki babci, też staruszka. Kostia zaś musi za to wozić ją do przychodni, dostarczać zakupy. Z wdzięczności za samochód musiał teraz często nocować u staruszki...

Każda inna kobieta natychmiast wykryłaby oszustwo, każda, ale nie Polina. Ona, przeciwnie, ze wszystkich sił starała się nastukać jak najwięcej bagsów.

- Chcesz powiedzieć, że Kostia całą forszę brał sobie? Diegtiarow skinał głową.

- Nic nie oddawał temu facetowi? - zdziwiłam się. Aleksander Michajłowicz westchnął..

- Ten chłop, zdeklarowany alkoholik, już dawno nie żyje. Sprzedał pierścionki Niny, nakupił taniego bimbru i otruił się.

- Ale jak to? - bełkotałam. - Jak to?

- Konstanty to łajdak - wyjaśnił spokojnie pułkownik. - Drań, jakiego ze świecą szukać. Zawsze chciał mieć dużo forsy, ale nie kwapił się, żeby na nią pracować. Poliny nigdy nie kochał, po prostu używał jej jak papieru toaletowego. W

dotatku, wiedząc, że głupia dziewczyna robi dla niego wszystko, żądał za każdym razem coraz więcej. Wyobraź sobie, że niedawno kupił mieszkanie, co prawda w Mitinie, ale dwa pokoje z kuchnią, o wiele lepsze niż dotychczasowe.

Biedna Pola miotała się w poszukiwaniu bogatych klientów,

zatrudniła się u Mołokowa, a Kostia spokojnie żył na jej rachunek. Przez jego nowe mieszkanie bez końca przewijały się baby, w sakiewce szeleściła forsa, a Poli wiecznie brakowało na rajstopy. Straciła wszystkie przyjaciółki, pokłóciła się z matką.

- Dlaczego?

- Nina po wyjściu za Teda i wyjeździe do Stanów zaprosiła do siebie Polę. Dziewczyna nie miała nic lepszego do roboty niż próbować uwieść ojczyma.

- Skąd o tym wiesz?

- Znalazłem Ninę w hotelu w Miami i wypytałem. Jak tylko usłyszała, że chodzi o Polinę, natychmiast ucieła: "Nie mam z tą osobą nic wspólnego". Ledwie ją nakłoniłem, żeby mi powiedziała, o co poszło. A propos, przepraszam, ale rachunek za rozmowę przyjdzie do ciebie.

- Dlaczego?

- Dzwoniłem od was, w nocy. Przecież dostałbym od szefów po uszach za pogaduszki z Ameryką. Dasz mi ten rachunek, dobrze?

- Słuchaj - zignorowałam sprawę rachunku - ale Mołokow widział dowód Poliny ze stemplem o ślubie. Po co mu go pokazała?

- Pola miała dwa dowody osobiste. Mołokow kazał przynieść dowód, Polina się pomyliła, wzięła nie ten, no i sutener kazał jej przyjść z mężem. Kostia musiał się stawić na to spotkanie.

- Dziwne...

- Co?

- Mołokow mi mówił, że mąż Poliny miał bardzo rzadkie imię, nawet je sobie przypomniał: Bonifacy.

Diegtiariow uśmiechnął się.

- Popłatał imiona. Mąż rzeczywiście ma niezwykle imię, ale nie Bonifacy, tylko Ksenofont.

- A co ma do tego Kostia?

- Ksenofont to jego prawdziwe imię, które otrzymał na cześć dziadka. A że od dzieciństwa wołano na niego Kostia, większość znajomych nawet nie podejrzewa, że nie ma na imię Konstanty. Jako Ksenofont Kostia występuje tylko, kiedy musi wypełniać jakieś urzędowe papiery, jasne?

Kiwnęłam głową. Oczywiście, że jasne, szukałam Bonifacego i teraz wiadomo, czemu nie znalazłam.

- Ale co za bydlę z tego Kostii! Bił Polinę. Waria Chomienko, która poleciała ją Mołokowowi, widziała u niej sińce na twarzy!

- Mówi, że tylko raz nie wytrzymał. Podobno Pola przez całe dwa miesiące nie przyniosła ani kopiejki, no więc skuł jej pysk!

- A ona po czymś takim poszła pracować u Mołokowa! Ja chwyciłabym kij i zdrowo go obila, co za bestia! A ona? Kompletna idiotka!

- To była zła miłość - odrzekł Diegtiariow. - A poza tym jaki naród, taki przywódca. Więc Pola na to zasłużyła.

Rozdział 32

Diegtiariow wyciągnął fajkę, nabił ją, rozpalił i gładząc Hootchusia, zaczął opowiadać dalej:

- No a potem wydarzyła się historia z trzystu tysiącami dolarów. Kostia domagał się wciąż więcej pieniędzy, motywując swoje rosnące apetyty bardzo prosto: otóż szantażysta robi się z każdym miesiącem coraz bardziej bezczelny.

Tym razem jednak przesadził i Polina wpadła w rozpacz. Tyle razy próbowała poderwać bogatego męża i nic. Ostatnią klęską był Giena Kristaliński. A tak dobrze się wszystko układało. Pola zrobiła sobie nawet na komputerze fałszywą metrykę, żeby ostatecznie przekonać biednego przyjaciela, co, mówiąc nawiasem, było głupie, ponieważ adoptowane dzieci otrzymują dokumenty na nowe nazwisko. Już świtała jej nadzieja na zwycięstwo, i znów wszystko spaliło na panewce.

Dziewczyna zaczęła rozmyślać o samobójstwie. Życie wydawało jej się koszmarem. I tu los podsunął jej Wytrycha. Pola

o sejfie dowiedziała się przypadkowo.

Obudziła się w chwili, gdy Wytrych, myśląc, że ona śpi, otworzył sejf i wyjął paczkę dolarów. Pola podejrziała przez rzęsy, ile szmalu leży w żelaznej skrytce, i wręcz dostała obsesji na tym tle. Oto otwierała się przed nią możliwość porzucenia raz na zawsze prostytucji i zatkania pyska szantażysty. Wolność była tuż, tuż. Polina weźmie pieniądze i razem z Kostią wyjadą do Stanów! Zaczną wszystko od początku... Dziewczyna wpadła w euforię i całkiem straciła rozum. Wzięła clopixon... Coś głębszego trudno po prostu wymyślić, ale ona nie potrafiła myśleć o niczym innym prócz gigantycznej forsy.

Kiedy Kostia usłyszał, o jaką sumę chodzi, o mało nie padł trupem i polecił:

- Przynies mi to! Oddamy draniowi dolce i może zatkamy wreszcie tę nienasyconą mordę.

- Ale Polina spytała nagle:

- Wszystko naraz? Może lepiej ratami?

- Nie - uciał Konstanty. - A zresztą najpierw przynies kasę, a potem się zastanowimy.

Polina jednak po namyśle postanowiła sama porozmawiać z szantażystą. Przecież oddali już z Kostią facetowi kupę forsy i wszystko na nic.

Dziewczyna po raz pierwszy zaczyna działać na własną rękę. Najpierw odnosi torbę z dolarami na uczelnię i prosi Romana Sablina, żeby je skserował. Potem jedzie do Kostii. Chłopak powiedział jej, że nie spotyka się z szantażystą osobiście, forsy dwudziestego dziewiątego każdego miesiąca wkłada do skrytki w Kredobanku, a łobuz przychodzi i ją zabiera. No i Pola obmyśla plan. Dwudziestego dziewiątego ukryje się gdzieś w pobliżu i zobaczy, kto wyjdzie z banku z torbą... Kostii nic o swoim zamiarze nie mówi. Słowem, znów potworna głupota, idiotyzm, ale Żelaznowa uważa, że obmyśliła wspaniałą podstęp. Chcąc pomóc Kostii w uwolnieniu się od bezczelnego szantażysty, po raz pierwszy oszukuje ukochanego męża. Wkłada dolary i fałszywki do dwóch jednakowych

torb, pokazuje chłopakowi prawdziwe zielone, a kiedy ten wieczorem spokojnie zasypia, wchodzi do mieszkania i zamienia torby. Znowu idiotyzm - jeżeli Kostia zajrzy do środka, od razu się zorientuje, co jest grane. Chłopak nie sprawdza jednak zawartości torby.

Polina, w obawie, że Wytrych zacznie jej szukać, przyjeżdża do Łożkina. Pociesza się naiwnie, że Koczergin trochę się pozłości i zapomni. Taka suma to dla niego drobiazg. A szantażysta niech bierze fałszywki. Znowu nieprawdopodobna głupota, ale Poli wydaje się ciągle, że postępuje przezornie i sprytnie.

Prawdziwe pieniądze dziewczyna chowa w Łożkinie, uważając dom starych przyjaciół za najbezpieczniejsze miejsce. Nikomu nie mówi, gdzie się zatrzymała, nikomu... oprócz Kostii. Ten pochwała pomysł przyzajenia się na jakiś czas.

Dwudziestego dziewiątego, na godzinę przed otwarciem banku, Polina lokuje się na strychu domu vis a vis jego siedziby. Ma ze sobą wojskową lornetkę i obserwuje wejście, nawet na sekundę nie spuszczając z nich wzroku. Teraz, lada chwila, zjawi się Kostia z torbą, a wkrótce potem pewnie i szantażysta. Czas płynie, Spiridonowa nie ma. O trzeciej Polina dzwoni do męża. Ten nie odbiera telefonu domowego, ale natychmiast zgłasza się na komórkę.

- Słucham.

- Gdzie jesteś? - pyta dziewczyna.

- Właśnie dojeżdżam do banku - mówi Kostia - zadzwonię, jak będzie po wszystkim.

Pola znów patrzy przez lornetkę, ale Kostii nie ma. Po godzinie dzwoni ponownie.

- No i co?

- W porządku - odpowiada Kostia. - Zostawiłem, jadę do domu. Nie wierząc własnym uszom i oczom, Polina przez parę minut stoi w milczeniu. Potem w jej umyśle błyska słaba nadzieja. Opuściła strych, wchodzi do banku i pyta ochroniarza:
- Czy tu jest tylko jedno wejście?
- A dlaczego to panią interesuje? - odpowiada ten.
- Umówiłam się tutaj z mężem, ale go nie ma, pomyślałam, że może są dwa wejścia.
- Nie - spokojnie oznajmia ochroniarz - tylko jedno. Nie ma żadnych innych wejść.
Pola wypada na ulicę i jedzie do domu. Zupełnie nie rozumiejąc, co się dzieje, idzie do Kosty i pyta:
- Zostawiłeś pieniądze?
- Tak - odpowiada małżonek, nawet nie mrugnawszy okiem. I wtedy Polina krzyczy:
- Kłamiesz!

Kostia początkowo drętwieje, a dziewczyna w ataku hysterii zaczyna opowiadać o banku, lornetce i fałszywych dolarach. Teraz z kolei Kostia kompletnie głupieje z zaskoczenia. Nie spodziewał się po łagodnej, wręcz pokornej Polinie takiego podstępu. Podczas jednak gdy Pola histerycznie szlocha i dygocze, wpada na pomysł, co zrobić, i wrzeszczy:

- Idiotko! Coś ty narobiła! Jesteśmy zgubieni!
- Dlaczego? - jęka Pola.
- Szantażysta zadzwonił do mnie na godzinę przed umówionym terminem i podał adres innego banku, zmienił skrytkę. Wyobrażasz sobie, głupia, co będzie, jak ten drań zobaczy zwykły papier? Polina patrzy na chłopaka z niedowierzaniem.
- Gdzie forsa? - naciska Kostia.
- W Łóżkinie, w moim pokoju, w łóżku pod materacem!
- Kretynka! - wścieka się Kostia. - A jak ją znajdą?
- To niemożliwe.
- Dlaczego?
- Tam nikt nie szpera po cudzych pokojach.
- Forsa w całości?
- Tak, tylko muszę zapłacić Romanowi Sablinowi dziesięć tysięcy za ksero.
- Nie ma potrzeby!
- Ale on się wścieknie i wszystkim rozgada. - Pola po raz pierwszy próbuje myśleć logicznie.
- Racja - zgadza się Kostia. - Ale wystarczy mu pięć. Dobra, zasuway do Łóżkina i przywoź tu dolce.
- Nie - odpowiada nagle Pola. - Zgodzę się tylko pod jednym warunkiem: jeżeli na spotkanie z szantażystą pojedziemy razem.
- Zgłupiałaś? - pieni się Kostia.
- Nie - nalega Polina. - Po prostu mam już dość płacenia, a tak w ogóle uważam za niesprawiedliwe, że tylko ja oddaję wszystkie zarobki. Dopiero teraz przyszło mi to do głowy: powiedz, dlaczego ty nie pracujesz?

Kostia osłupiał. Polina dodaje spokojnie:

- Pieniądze ukradłam ja, są moje. Nikomu ich nie oddam, pojedę do mamy, do Stanów. Bardzo wobec niej zawiniłam, poproszę ją o przebaczenie, ona zrozumie i wybaczy.
- A co ze mną? - pyta głupio Kostia.
- Ty rób, co chcesz - odpowiada Pola. - Wreszcie zrozumiałam, że cały czas mnie oszukiwałeś. Boże, jakaż ze mnie idiotka! Zmienił bank! Cha, cha, cha...

Znów wpada w histerię. Kostia krząta się wokół półprzytomnej żony. I tu w jego głowie rodzi się pomysł, jak szybko naprawić sytuację.

Babcia Kosty zmarła, ale w domu zostały jej lekarstwa, w tym środek nasercowy, krople. Konstanty bez wahania wlewa całą fiołkę do szklanki i podaje Poli ze słowami:

- Wypij, zaraz się uspokoisz, chodźmy, zaprowadzę cię do domu,

położysz się.

Pola posłusznie wykonuje polecenie. Kostia wraca do siebie. Wszystko idzie świetnie. Dziewczynie zaraz zrobi się słabo, serce się zatrzyma... Po jej śmierci Kostia pojedzie do Łożkina, by zabrać rzeczy zmarłej, i z pewnością znajdzie okazję, żeby wyciągnąć pieniądze. Najważniejsze to działać teraz bez pośpiechu.

Co było dalej, wiadomo. Polina, tracąc przytomność, zdażyła do mnie zadzwonić, ja przyleciałam, wezwałam pogotowie, a w szpitalu niekompetentni lekarze uznali, że pogrążona w śpiączce dziewczyna nie żyje, i odesłali ją do kostnicy. Widocznie Pola miała żelazne zdrowie, może obudziła się pod wpływem zimna, a może anioł stróż wymodlił u Pana Boga jej życie. W medycynie zdarzają się czasem takie niewytłumaczalne wypadki. Żelaznowa "zmartwychwstaje" i na drugi dzień jedzie na uczelnię, zabrawszy pieniądze, kiedy wszyscy świętowali jej wskrzeszenie.

- Ale po co?

- Żeby oddać pięć tysięcy Romanowi. Boi się, że chłopak się wścieknie i zacznie paplać.

- Na pewno by tego nie zrobił - zaproponowałam. - Przecież on też złamał prawo.

- Żelaznowa ma sieczkę w głowie! - rozżłościł się Diegtiariow.

- Wszystkie jej posunięcia są idiotyczne. Mało, że jedzie oddać kasę, to jeszcze wraca do domu, idzie do Kosti i oznajmia:

- Chciałeś mnie zabić!

- Psychopatka! - wrzeszczy mąż.

- Nie - upiera się Pola. - Wypiłam lekarstwo, które mi dałeś, i po pięciu minutach padłam.

- Idiotka! - drze się Kostia. - Nawet nie chcę z tobą gadać!

- Świetnie - odcina się Pola. - Odchodzę na zawsze.

Kostię ogarnia strach. Do tej pory uważał Polinę za zabawkę w swoich rękach, za istotę pozbawioną woli i choćby odrobiny rozsądku, ale teraz dziewczyna staje się niebezpieczna. Jest już noc, nazajutrz rano jednak Kostia pędzi do akademika instytutu budowy

maszyn. Od dawna mieszkają tam Czeczeni i cała Moskwa wie, że za śmieszne pieniądze można od nich kupić wszystko - pistolet, automat, materiały wybuchowe. Trzeba tylko zapłacić. Kostik nabywa odpowiednią ilość trotylu i zrecznie majstruje bombę. Ale do żiguli wsiada nieszczęsna koleżanka Poliny, Lena Rokotowa, która zapomniała w domu zeszytu. Kostia, nie posiadając się ze złości, zaczyna się na Polinę w ustronnym miejscu. Ma w kieszeni pistolet z tłumikiem, a na oku trzysta tysięcy dolarów. Ale zjawia się Dana. Chłopak aż zgrzyta zębami z pasji. Nie zamierza popełniać dwóch morderstw, Poli jednak musi się pozbyć jeszcze dziś. I tu głupie baby, jakby czytały w jego myślach, postanawiają się powłóczyć po sklepach. Kostia podąża za nimi jak cień, oczekując na sprzyjający moment, i ten wreszcie nadchodzi. Polina znika w przymierzalni. Dasza łązi po sklepie, naokoło tłum ludzi... Kostia strzela szybko przez zasłonkę i słysząc stuk upadającego ciała, wychodzi. Ale znowu kłapa, Polina zamieniła się kabinami z sąsiadką. Co prawda, Kostia o tym nie wie. Wraca do domu, cały wesolutki zaprasza do siebie Swietkę, parka upija się i zasypia.

Polina wraca do Łożkina; teraz wie na pewno, że Kostia chce ją zabić! Chłopak już jest mordercą, ma na rękach krew dwóch niewinnych kobiet: Ireny Rokotowej i nieznanym z przymierzalni.

- Trzech - szepnęłam.

- Jak to trzech? - zdziwił się pułkownik.

- Polina zostawiła na nocnym stoliku w szpitalu komórkę, pojechałam po nią, a w pokoju 305 leżał na łóżku trup młodej kobiety.

- No i co z tego? - zapytał pułkownik. - W klinice jest potworny bałagan. Ta biedaczka po prostu umarła, tyle że nie zdążono jej

odesłać do kostnicy.

- Ale zrozum - powiedziałam - w informacji mi podano, że w tej sali leży Polina. No a Kostia, usłyszawszy o "zmartwychwstaniu" Poli, postanowił ją dobić i poszedł do szpitala, my zaś w zamieszaniu poinformowaliśmy go tylko o tym, że ożyła, ale nie o tym, że zabieramy ją do Łożkina, no i...

- Nonsens - fuknął Diegtiariow. - Ta kobieta umarła sama. Rusz trochę głową, on przecież świetnie znał Polinę. Nawet przy założeniu, że przyjechał do kliniki w złych zamiarach, przecież od razu by zobaczył, że kobieta w łóżku to nie ona. Westchnęłam. No tak, racja. Kostia zorientowałby się od razu, co i jak, ale dlaczego mnie nie przyszło do głowy takie proste rozwiązanie?

- Czy teraz wszystko jasne? - spytał Diegtiariow.

- Oczywiście że nie. Jak Kosti udało się wyrwać z rąk tych bandziorów, co go uprowadzili? I skąd oni się w ogóle wzięli? Aleksander Michajłowicz zachichotał.

- Spiridonow ma bujną fantazję. Nikt go nie uprowadzał.

- Co ty powiesz? Sama byłam w jego mieszkaniu, widziałam bałagan. A poza tym sąsiad Kosti, chłopiec imieniem Losza, opowiedział mi...

- Aha - przytaknął Aleksander Michajłowicz - nam też opowiedział tę samą bajkę, ale doświadczeni dochodzeniowcy od razu się domyślili, że szczeniak kłamie.

- Dlaczego?

- Jeśli struktury przestępcze chcą kogoś porwać, to załatwiają rzecz cichutko. Skuwają go kajdankami, wbijają mu w bok lufę pistoletu i każą zachowywać się spokojnie. Ofiara sama wsiada do samochodu i nikt niczego nie zauważa. A tu! Smarkacz po prostu opowiedział film! Okrwawiona twarz, rewolwer, pogrożki wygłaszane na schodach, wszystko to brednie. A co do ruiny w mieszkaniu...

- Co?

- Przedobrze. Sama powiedz, po co cię zasłony? Gdyby tu chodziło o zazdrosną żonę, to jeszcze zrozumiałe, ale chłopcy z gangów nie będą drzeć szmat, oni przeprowadzają przeszukanie profesjonalnie, szybko i, choć wyda ci się to dziwne, schludnie. Niczego niepotrzebnie nie tłuką i nie niszczą. Po pierwsze, unikają hałasu, po drugie, czas ich nagli. Kostia wyraźnie przesadził. A Losza bardzo szybko pękł i wszystko opowiedział. Sąsiad zapłacił mu i polecił: "Gdyby ktoś się mną interesował, powiedz, że bandziory mnie uprowadziły, możesz pokazać mieszkanie. Nie chlap jęzorem w całym domu na prawo i lewo, opowiedz tylko tym, którzy będą o mnie pytać". No i chłopaczek odpracowywał honorarium, starał się, jak umiał. A Kostia prysnął do swego nowego mieszkania.

- Po co to całe przedstawienie?

- Mocno się wystraszył. W nocy miał jakieś dziwne, głuche telefony. Ktoś tylko milczał i sapał, dzwonił po kilka razy, zawsze po północy. Każdy człowiek o czystym sumieniu pomyślałby, że to zwykły chuligan, ale Kosti natychmiast przychodzi do głowy, że to Wytrych, że Koczergin wysledził Polinę i teraz prześladowuje jego, Spiridonowa. Więc niech myśli, że nie ma go w domu. Kostik wynosi się do mieszkania w Mitinie, ale na gwałt musi dostać się do Łożkina i zabrać dolary. W zasadzie mógłby otwarcie przyjść z wizytą, ale coś go przed tym powstrzymuje. Chciał najpierw opowiedzieć o swojej szalonej miłości do Poliny, wyczekać na odpowiedni moment i dobrać się do materaca. I pewnie by tak zrobił, ale nerwy miał napięte do ostatnich granic, zabił przecież dwie osoby, bał się Wytrycha i zaczął popełniać błędy. Całkowicie stracił zimną krew. W tej sytuacji uznał, że najlepiej będzie dostać się do domu ukradkiem. Kostia przyjeżdża do Łożkina. Szczęście mu sprzyja. W domu kręca film i ochroniarze bez trudności wpuszczają chłopaka na teren osiedla, myśląc, że jest członkiem ekipy zdjęciowej. Kostia chowa

się w stróżówce i czeka na odpowiedni moment, ale po domu nieustannie kręcą się ludzie. Filmowcy, Arkady, Mania, Kicia... Nawet w nocy nie gaśnie światło w salonie. Potem Dana przywozi Bonifacego i zwierzaki. Ze zdenerwowania chłopak dostaje rozstroju żołądka. A jeżeli służba zrobi generalne porządki?

- Ach, co za leń z tej Irki! - nie wytrzymałam. - Żeby ani razu nie przewrócić materaca!

- Zaczekaj, ona tu nic nie zawiniła...

- Akurat! Przecież jest pomocą domową...

- Lepiej słuchaj dalej - rzekł Diegtiarow. Umilkłam, rozzłoszczona.

- I nagle trafia się wymarzona okazja! Wszyscy się rozjechali, w domu został tylko stary dziad, a kto mógłby przypuszczać, że Bonifacy przez całe życie trenuje wschodnie sztuki walki, coś takiego po prostu nie mieści się w głowie! Ależ on tę trumnę załatwił - zachichotał Diegtiarow. - Co za fajny dziadek, powinnaś mu podziękować.

- A co?

- Nasz drogi Kostik, rozjuszony niepowodzeniem, chciał cię zabić i zabiłby, gdyby nie dziadek. No, ja się z nim jeszcze policzę

- zakończył nieoczekiwanie przyjaciel.

- Z kim?

- Nie połapałaś się, że koło domu była zasadzka? Kostia miał "ogon" i czekaliśmy na niego, ale funkcjonariusz, który miał obserwować drzwi do ogrodu, odszedł na chwilę, przycisnęło go, no i przegapił chłopaka. Ale ja mu pokażę! Żeby nikt więcej się na

coś takiego nie ośmielił! Dzięki Bogu, że inni usłyszeli hałas. I oczywiście, piękne dzięki dziadkowi.

- Jakie niepowodzenie rozjuszyło Kostię?

- No, nie wszedł od frontu przez hol, wypchnął szybę, wlaź do pokoju i starannie go przeszukał.

- I co?

- I nic! Pusto! Forsy pod materacem nie było. Nie zdążył zazgrzytać ze złości zębami, jak drzwi zaczęły się uchylać. Kostik schował się w szafie, naciągnął kominiarękę...

- A gdzie były pieniądze?

- U mnie - powiedział cicho Diegtiarow.

- U ciebie? - O mało nie spadłam z krzesła. - Jak się u ciebie znalazły?

- Ptaszek przyniósł mi w dzióbku - Aleksander Michajłowicz uśmiechnął się.

- Irka podniosła materac i znalazła?

- Nie.

- Kicia?

- Pudło.

- Arkady?

- Zimno, zimno.

- Mania?

- Nie próbuj zgadywać. Powiedz lepiej, czego jeszcze nie rozumiesz w tej całej historii.

- No, jest coś takiego...

- Co?

- Jak Kostia udało się spowodować, żeby Polina wpadła na słup? Przecież go tu nie było.

- Akurat z tym Konstanty nie ma nic wspólnego. Zupełnie kto inny namówił Polę, żeby wsiadła do forda.

- Kto? - ryknęłam. - Gadaj, ale już!

Aleksander Michajłowicz w milczeniu zaczął wystukiwać fajkę.

- No mów!

Diegtiarow popatrzył mi w oczy.

- To byłem ja!

- Ty?! - Znów omal nie spadłam z krzesła. - Ty zabiłeś Polinę?

Pułkownik parsknął śmiechem.

- Oczywiście że nie.
- No to wytłumacz mi po ludzku!
Aleksander Michajłowicz wyjął komórkę, wybrał jakiś numer i poleciał krótko:
- Chodź tutaj, komedia skończona.
Na podwórzu szczerknął automat w furtce, potem dał się słyszeć stukot obcasów, bliżej, bliżej, bliżej, drzwi się otworzyły.
-powiedziałam.....!
Na progu, uśmiechając się z zakłopotaniem, stała Polina.
- Przepraszam cię, Daszeńko - wykrztusiła.
- powtórzyłam. - A żeby was.....! W tę i z powrotem!
- No i kto by pomyślał, że tak wspaniale władasz językiem ojczystym - zaśmiał się Diegtiariow.
- Ale jak to, dlaczego? - bełkotałam.
- Polina zadzwoniła do mnie wieczorem - wyjaśnił Diegtiariow. Przyjechałam, jak wszyscy już spali. Oddała mi forszę, wszystko opowiedziała i uznaliśmy, że powinna "umrzeć" z hałasem, spektakularnie, żeby to pokazano w telewizji...
- Czyli...
- No - kiwnął głową pułkownik. - Pola wsiadła rano do forda, dojechała do posterunku drogówki, myśmy tam rozwalili samochód, ucharakteryzowaliśmy dziewczynę, wezwaliśmy TV, jednym słowem, wyreżyserowaliśmy cały spektakl.
- Ale Misza z drogówki...
- Naturalnie o wszystkim wiedział i grał swoją rolę. Mrugałam oczami, próbując przetrawić te rewelacje.
- Na wszelki wypadek umieściłem u niego na posterunku swojego człowieka - wyjaśnił Aleksander Michajłowicz.
- No właśnie, wydało mi się dziwne, że Misza zwraca się do kolegi per "pan"! - wykrzyknęłam..
Aleksander Michajłowicz milczał, Pola, skrzepowana, siedziała na brzeżku fotela. Nagle dotarła do mnie całość informacji.
- To skandal! - wrzasnęłam. - Rozbiłeś mojego forda! Coś potwornego! Po co?
- No bo musieliśmy wszystko zaaranżować bardzo prawdziwie tłumaczył się pułkownik. - Żeby Konstanty nie zaczął podejrzewać, że Pola żyje.
- To świństwo - wściekałam się. - Mój ulubiony fordzik.
- Więc wyjrzyj na podwórze - poradził przyjaciel. - No, idź, idź. Wypadłam za drzwi i zobaczyłam Kieszę, stojącego przy srebrzystym peugeocie 206.
- Co to jest?
- Ja nic nie wiem. - Syn podniósł rękę. - Kompletnie nic. Diegtiariow zadzwonił i poprosił, żebym pojechała do salonu i przyprowadziła tu auto, sam nie ma prawa jazdy.
- Co to ma znaczyć? - zaatakowałam pułkownika. Ten w milczeniu podał mi papiery wozu.
- Kupiłem ci peugeota w zamian za tego rozbitego forda - wyjaśnił.
- Musiałem naprawić szkodę. Dzięki swoim służbowym chodom zarejestrowałem go na ciebie i załatwiłem numery. Możesz jeździć na zdrowie.
Nie wiem, który już raz dzisiaj odebrało mi mowę.
- Ekstrawozik - oznajmił Kiesz. - W sam raz dla damy, mały, zwrotny. Wsiadaj.
Usiadłam za kierownicą i dopiero wtedy zobaczyłam na fotelu dla pasażera futerko ze srebrzystych norek.
- A to skąd się wzięło? Diegtiariow chrząknął.
- Chciałaś przecież mieć futerko pod kolor peugeota. Noś na zdrowie i przyjmij moje przeprosiny.
W mojej głowie terkotał kalkulator. Samochód, futro...
- Słuchaj no, skąd wzięłaś forszę?
- Nie denerwuj się, nie ukradłem!
- Mów w tej chwili! Diegtiariow zaczerwienił się.

- Kiesza mnie namówił. Powiedział, że dość tego życia w samotności, żebym się przeprowadził do was, dom jest duży, miejsca starczy dla wszystkich.
- Już dawno trzeba było to zrobić! - ucieszyłam się. - A co z twoim mieszkaniem?
- To właśnie ono - rzekł Diegtiariow, wskazując peugeota i futro.
- Sprzedałem chałupę i już. Więc będziecie mnie musieli przygarnąć z litości, bo od dziś jestem bezdomny.
Popatrzyłam na grubasa, znów niezdolna wydobyć głosu. Sprzedał mieszkanie i kupił mi samochód i futro? Kto by się spodziewał czegoś takiego po nieromantycznym i surowym pułkowniku?

Epilog

Minęły trzy miesiące. Konstanty siedział w areszcie śledczym. O jego winie miał orzec sąd, ale liczyłam na to, że za dwa zabójstwa spotka go surowa kara. Wyrok zresztą mógłby być jeszcze surowszy, gdyby Pola oskarżyła go o nakłanianie do nierządu, ale nie chciała tego zrobić, mimo że wyleczyła się chyba z miłości i załatwiła rozwód. Wiadomość o tym, że przez długie lata sprzedawała się tylko po to, by Spiridonow mógł żyć na wysokiej stopie, całkiem ją załamała. Polina zamknęła się w swoim pokoju i nie wychodziła przez kilka dni. Irka w kółko jęczała pod drzwiami:

- Pola, weź tacę z obiadem, no, otwórz...

Do życia przywrócił ją Wytrych. Na wieść, że pieniądze są u Aleksandra Michajłowicza, Koczergin w te pędy przyleciał do Łożkina. Gdy mu opowiedziałam szczegóły, tak wyrzwał pięścią w stół obiadowy, że wybił w nim dziurę, a potem ruszył pod drzwi Poli i niewiele myśląc, wyważył je kopniakiem. Irka podniosła lament, ale Kiesza zakomenderował surowo:

- Cisza i rozejść się!

Rozbiegliśmy się po swoich pokojach. Koczergin i Polina przegadali całą noc, a rano Tolan cisnął do bagażnika torbę dziewczyny i wywiózł ją wraz z właścicielką. Nie uwierzycie, ale Wytrych postanowił się ożenić; moim zdaniem, to najlepsze wyjście dla Poliny, bo szanowny Tolan czuje się jak królewicz, który wreszcie znalazł swego Kopciuszkę. To, że przyszła połowica swego czasu uprawiała nierząd, wcale mu nie przeszkadza. W końcu sam Wytrych też ma sporo na sumieniu.

- Podoba mi się Polka - oznajmił Tolik, odwiedzwszy nas kolejny raz. - Swoja kobita, o takiej żonie marzyłem.

- Nie będziesz jej wypominał przeszłości? - spytałam ostrożnie. Wytrych zarechotał.

- Sam też nie jestem aniołem! Nie, nie, oboje się wyszumieliliśmy, teraz jesteśmy normalnymi ludźmi - ja biznesmenem, a ona moja żoną, niech rodzi dzieci, na wszystkich mi wystarczy.

Stu tysięcy, zapłaconych mi za usługę, nie chciał wziąć z powrotem. A w gabinecie Aleksandra Michajłowicza oświadczył:

- Polina nie ukradła mi żadnego szmalu, te trzysta tysięcy dałem jej w prezencie!

- Na Nowy Rok? - zaśmiał się Diegtiariow, nawiasem mówiąc, bardzo zadowolony z takiego obrotu sprawy. Okropnie mu się nie chciało wszczynać wobec Poli postępowania o kradzież.

- Tak, na Nowy Rok - odparł z uśmiechkiem Wytrych. - Wręczyłem jej z wyprzedzeniem, że tak powiem, od Dziadka Mroza.

Do Moskwy przyleciała Nina Żeleznowa. Odbyły z córką bardzo nieprzyjemną rozmowę, ale w końcu się pogodziły.

Bonifacy spokojnie sobie u nas żyje, Kruszyna i Waśka zostały pełnoprawnymi członkami stada i zaczęły kręcić nosem na owsiankę, za którą niegdyś przepadały. Teraz wolą wątróbki i rybę.

Diegtiariow zamieszkał w pokoju obok dziadka i Hootchuś sypia teraz u niego. Niedawno Arkady zaczął uczyć pułkownika prowadzić

samochód.

Renaulta oddałam Syromiatnikowom.

- Co ja z nim pocznę? - jęknęła Karina.

- Podaruj komuś - poradziłam.

Kara poszła za moją radą i dała wóz operatorowi Fiodorowi, który omal nie oszalał ze szczęścia.

Życie płynie znów po dawnemu. Kicia uśmiecha się z ekranu telewizyjnego, Arkady pracuje, Mania się uczy, psy i koty rozrabiają w granicach rozsądku. Irka narzeka na bałagan, Katierina piecze ciasta, a ja czytam kryminały.

Ten harmonijny tryb życia zakłóciło nagle niezwykle wydarzenie. W marcu rozpoczęto emisję serialu. Naturalnie, pierwszy odcinek oglądaliśmy wszyscy razem. Z tej okazji nawet służące zasiadły nie w kuchni, ale z nami w salonie.

Pierwsze sceny wywołały radosny śmiech. Poznawaliśmy dom, wnętrza, psy... Ale potem nastąpiła konsternacja.

- Kto to jest? - spytała Marusia, wskazując na ekran.

- Ty! - odpowiedzieli wszyscy chórem.

- Ja? Taka okropna? Taka gruba? Taka obrzydliwa?

- Ciągłe ci powtarzamy: jedz mniej - zaczął Kiesza.

Ale Marusia wbrew oczekiwaniom nie wrzasnęła jak zwykle: "Glista w skafandrze!". Opuściła głowę, z oczu popłynęły jej gorące łzy. Brat rzucił się do niej.

- Koteczku - zawołał czule - telewizja przekłamuje!

- Akurat - wyszeptła Majusia. - Kicia jest piękna, ty wyglądasz ekstra, Irka wspaniale, a ja jestem jak kupa tłuszczu, zatuczona pokraka... Koszmar!

- Jesteś najładniejszą dziewczynką na świecie! - krzyknęli wszyscy jednym głosem.

- To po prostu szczenięca pulchność - dodał Diegtiariow.

- I w ogóle na ekranie wszystko wygląda inaczej, w naturze jesteś o wiele zgrabniejsza - próbowałam pocieszyć córkę.

- Naprawdę? - szepnęła.

Chciałam się zakląć na wszystkie świętości, ale w tej chwili mój wzrok padł na ekran. Przy naszym stole stała dziwna kobiecina, podobna do dużego pasikonika. Cienkie nożyny obciążone wąskimi porteczkami, od góry na kościstych ramionkach majtał się za luźny sweter. Ależ ta osoba nie umie się ubrać! Powinna jakoś ukryć te chude kończyny, ten bezkształtny sweter się do tego nie nadaje. No a jej włosy to istna rozpacz - stoją dęba jak igły u chorego jeża. Tu kobiecina się odwróciła. Jej zbyt blada twarz wydała mi się dziwnie znajoma.

- Kto to? - zainteresowałam się. - Chyba skądś ją znam! Gruchnął zgodny śmiech.

- To ty - oznajmiła Kicia.

- Ja?! Chcecie powiedzieć, że ja tak wyglądam?

- Jak? - Mania przestała płakać. - Uważam, że wspaniale!

Ze zgrozą gapiłam się na ekran. Chudziutka kobiecina machała rękami i kręciła głową. Katastrofa! Jutro jadę po nowe ciuchy, absolutnie nie powinnam nosić stretchu! Po prostu gorzej już być nie może!

Ale nie miałam racji. Czekał mnie prawdziwy szok. Pasikonik otworzył usta i z głośnika popłynął cieniutki dziecięcy głosik; tak mówią pierwszoklasistki.

- Dubbingowało mnie dziecko?

- Nie - odrzekła Kicia.

- Ja tak mówię?

- Moim zdaniem, zupełnie w porządku - szybko zapewniła mnie Olga.

- Świetnie wyglądasz - rzucił pośpiesznie Kiesza.

- Musieńko, jesteś po prostu gwiazdą! - krzyknęła Mania, zapominając o własnych smutkach.

Zerknęłam na Diegtiariowa. Pułkownik zasłonił się gazetą, ale jej płachta zdradziecko dygotała, przyjaciel trząsał się ze śmiechu.

Pasikonik nadal pisał. Starannie ukrywając grozę, przemówiłam:

- Dobrze, spróbuję mężnie znieść ten cios. Nigdy nie myślałam, że przypominam nerwowego owada.
- Nonsens - zaczął Kiesza.
- Nie wysilaj się - zbyłam go. - Jest, jak jest, inna już nie będę.
- Nie potrzebujemy innej Daszy - rozległ się zgodny chór głosów. Jeszcze raz rzuciłam okiem na ekran. Cóż, trzeba się z tym pogodzić: daleko mi do Claudii Schiffer. No i pal licho. W końcu ważne jest nie to, jak naprawdę wyglądasz, ale to, jak cię widzą. A ja w oczach moich bliskich zawsze jestem piękna.

KONIEC

DOTYCHCZAS UKAZAŁY SIĘ:

Nieściśle tajne
Zjawą w adidasach
Żona mojego męża